

Antologia tworząca
literacką panoramę
roku 1920

1920

NADZIEJA NIE UMIERA NIGDY



CISZEWSKI, JAX, BOCHUS, ŚWIĘTEK,
ZIENTEK, GALIŃSKI, BIŃKOWSKA... I INNI.

1920

NADZIEJA NIE UMIERA NIGDY

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

WSTĘP

Rok 1920 był dla Polski szczególnie trudny. Radość z niedawno odzyskanej niepodległości musiała ustąpić miejsca ponownej walce o istnienie kraju. Granice na Śląsku czy Mazurach wciąż się kształtowały, nie tylko podczas obrad i plebiscytów, ale często również poprzez walkę podczas powstań zbrojnych. Ze wschodu nadciągali bolszewicy – społeczeństwo polskie, zlepione z materii niedawnych trzech zaborców, zdało jednak swój obywatelski egzamin. Pomimo trudnej sytuacji ekonomicznej, braku sprzętu i gigantycznego zmęczenia Wielką Wojną Polacy zatrzymali pochód bolszewików na Europę.

Sto lat po tamtych dramatycznych wydarzeniach Biuro Programu „Niepodległa”, wsparte przez Fundację KGHM, ogłosiło konkurs literacki – zaprosiliśmy do wspólnego stworzenia panoramy roku 1920 pisanej piórem. Byliśmy ciekawi, do jakich wydarzeń wojny polsko-bolszewickiej sięgną autorzy, na czym się skupią, jakie momenty roku 1920 przyciągną ich uwagę, wreszcie – kto stanie się ich bohaterem? Antologia, którą trzymają Państwo w dłoniach, to właśnie efekt literackich zmagania konkursowych. Jury konkursu w składzie: Rafał Bielski, Anna Bińkowska, Krzysztof Bochus, Jacek Galiński, Janusz Krystosiak, Sylwia Zientek wybrało 10 najlepszych ich zdaniem tekstów. Jedenasty wyróżniony konkursowo tekst to nagroda specjalna Dyrektora Biura Programu „Niepodległa”. Antologię poszerzyliśmy o teksty stworzone przez tych z jurorów, którzy zajmują się pisaniem, jak również o opowiadania napisane specjalnie dla nas przez Marcina Ciszewskiego, Joannę Jax i Edytę Świętek.

Osiemnaście niezwykłych tekstów przeniesie Czytelników do roku 1920. Poznacie Państwo m.in. historie zarówno dzielnych panien, pierwszych

miłości, jak i obrony Płocka; będziecie towarzyszyć rodzinom rzuconym w wojenną zawieruchę i śledzić szpiegów wśród robotników na warszawskiej Pradze. Przeczytacie fascynujący reportaż o wojnie widzianej oczami zagranicznego dziennikarza i dowiedziecie się, ile czasu zajęło zbudowanie samochodu pancernego.

Ten tom to nie tylko czytelnicza uczta. Zysk ze sprzedaży książki zostanie przekazany na rzecz Fundacji „Nasze Dzieci” przy Klinice Onkologii w Instytucie „Pomnik – Centrum Zdrowia Dziecka”. Fundacja obejmuje opieką dzieci walczące z chorobą nowotworową, nie tylko podczas leczenia szpitalnego.

Dziękuję wszystkim, którzy zdecydowali się wziąć udział w konkursie, serdecznie gratuluję zwycięzcom, a Państwu – Czytelnikom – życzę wciągającej lektury, która na pewno sprawi, że odtąd o wojnie polsko-bolszewickiej pomyślicie nieco inaczej.

Jan Edmund Kowalski
Dyrektor Biura Programu „Niepodległa”

EDYTA ŚWIĘTEK

NIEUSTRASZONA

Lato 1920 r., okolice Hrubieszowa

*Rozkwitały pąki białych róż,
Wróć, Jasieńku, z tej wojenki już!
Wróć, ucałuj, jak za dawnych lat!
Dam ci za to róży najpiękniejszy kwiat^[1].*

Słodki głos obudził Bartosza z drzemki. Chłopak uniósł głowę i jęknął, gdyż niechcący uraził postrzelony lewy bark. Widok, jaki zobaczył, wart był jednak dyskomfortu, bo oto dwa łóżka dalej nad jego rannym kompanem pochylała się nadobna sanitariuszka, nucąc cicho tęskną piosenkę o wojennej miłości.

Ach! Jakże śliczna była ta panna! Z zachwytem spoglądał na jej harmonijne rysy twarzy, piękne, duże, choć nieco smutne oczy i ładnie wykrojone usta układające się w łagodny uśmiech. Krzepkie i postawne dziewczę odziane było w skromną sukienkę z kołnierzykiem zapiętym pod brodą oraz poplamiony krwią fartuch, na którym wyraźnie odbijały się wyhaftowane starannie inicjały TJG.

„Terenia! Mój anioł!” – westchnął, wspominając, że to właśnie ją pierwszą zobaczył kilka dni wcześniej, gdy już oprzytomniał po zabiegu, podczas którego usunięto mu kulę. Wprawne dłonie zmieniały opatrunki, dotykały jego czoła, podawały wodę do picia, kiedy leżał zamroczony. Teraz był już niemalże rekonwalescentem. Tylko patrzeć, jak mu pozwolą opuścić szpital polowy i wrócić w szeregi armii.

Zdążył na nią zwrócić uwagę znacznie wcześniej, gdy był jeszcze cały i zdrów. Ot, wpadali na siebie tu i ówdzie, ponieważ ich wojenne ścieżki wciąż się przecinały. Od dawna więc wodził tęsknym wzrokiem za powabną panną, snując marzenia o tym, że gdy opadnie wojenny kurz i umilkną działa, znajdzie w sobie dość odwagi, by zaproponować jej randkę.

Teraz jako lekko ranny cierpliwie czekał na swoją kolej do zmiany opatrunku, nie spuszczać wzroku z Teresy.

Nareszcie podeszła i do niego. Serce od razu żywiej mu zabiło. Zdaje się, że był ostatnim pacjentem, jakim miała się zająć. Liczył więc na to, że utnie sobie z nią choćby krótką pogawędkę. Do tej pory zdążyli się sobie przedstawić, lecz pragnął usłyszeć coś więcej na jej temat.

– Dzień dobry. Jak się kawaler dzisiaj czuje? – zagadnęła ciepłym, pogodnym tonem, jakby nie miała za sobą wielu godzin ciężkiej pracy. Tylko cienie pod oczami świadczyły o zmęczeniu, gdyż z całej postaci było zaangażowanie w niesienie pomocy.

– Jeszcze trochę boli – przyznał.

– No dobrze, zobaczymy, co my tutaj mamy. Pan Bartosz Waligórski. Postrzał w bark. Miał pan szczęście, że trafił na czas w ręce doktor Zdziarskiej. Uratowała pana przed gangreną – oznajmiła dziewczyna, odwijając ostrożnie bandaż.

Biały płat płótna przyschnął częściowo do rany. Młody mężczyzna zaciskał zęby, by nie krzyknąć, lecz nie zapanował nad stłumionym jękiem. Wstyd mu było, że okazuje słabość przed kobietą, zwłaszcza że uraz nie należał do groźnych. Wszak na polu bitwy był nieustraszony i nim padł, zdążył ustrzelić kilku czerwonoarmistów.

Domyślna sanitariuszka odeszła na moment, by wrócić z miską wody.

– Odmoczę, żeby pan tak nie cierpiał. Rana jeszcze wczoraj musiała trochę krwawić. Dobrze, że przyschła i nie podeszła ropą – oznajmiła. A potem, by odwrócić uwagę Waligórskiego od dyskomfortu, zagaiła: – A kawaler skąd pochodzi?

– Ja? Z Radomia – odparł. – A pannę skąd wiatry przyniosły?

– Z Jaszowic.

– Z tych koło Zakrzewa? – dopytywał ucieszony, gdyż nazwa nie była mu obca.

– Owszem. Zna pan te okolice?

– Mam wuja w Zakrzewie. Klemens Hałaciński, pewnie go panna kojarzy.

– A jakże! Pan Hałaciński robił interesy z moim papą. Po wojnie kupiliśmy od niego trochę bydła, bo nasz majątek został wtedy mocno przetrzebiony. Straszliwe walki się u nas toczyły. Wielu ludzi zostało bez dachu nad głową. Zniszczono nam hodowlę, pola uprawne stratowano. Przez jakiś czas mieszkaliśmy nawet w Radomiu, a nasz dwór oddał tatko bezdomnym. Później rodzice wrócili na wieś, by dalej gospodarować, a ja dołączyłam do nich po skończeniu szkoły w Zakładach Naukowych Żeńskich Marii Gajl. Na krótko zresztą, bo później wyjechałam do stolicy.

– Znam tę szkołę – odparł z uznaniem młody wojak. – Moja siostra tam uczęszczała. Zawsze wspominała, że kształcą tam w iście patriotycznym duchu. Podobało się panie w Radomiu?

– Ładne miasto – powiedziała – ale mnie w miejskich murach było jakoś duszno. Tęskniłam za naszym przedwojennym życiem na wsi. Kocham gospodarstwo, chyba jestem stworzona do tego, by się nim zajmować. Nim najechali nas bolszewicy, uczyłam się w szkole ogrodniczej w Warszawie, bo moim największym marzeniem jest to, by znowu osiąść w Jaszowicach.

– Tęskno panie za domem – stwierdził, spoglądając na nią z rosnącym zachwytem.

– A tęskno – przyznała. – Brakuje mi rodzeństwa, moich czterech starszych sióstr i braciszka – oznajmiła. – Tutaj mam tylko towarzystwo kuzynek Zdziarskich, choć na figle z Figą, jak nazywamy młodszą z nich, nie ma czasu i miejsca.

Uwielbiała siostry Zdziarskie. Zarówno starszą Marię, która pełniła funkcję asystentki lekarza, jak i młodszą Janinę – prawdziwe żywe srebro.

Troszkę zazdrościła Fidze jej lekkości i zwinności. Żwawa kuzynka, której było wszędzie pełno, wzbudzała zachwyt wśród kawalerów. W przeciwieństwie do niej Teresa była krzepką, hożą dziewczyną, „krew z mlekiem”, jak mawiała Bronisława Grodzińska, jej matka. Terenia trochę się zżymała na swoją mocną budowę ciała, czasami pragnęła być delikatną, eteryczną panienką, po której od razu byłoby widać szlacheckie pochodzenie. Jednak teraz, gdy zmagala się z trudami wojny, w głębi duszy cieszyła się ze swej witalności i siły.

– Ach, wiem! – ucieszył się zasłuchany w jej słowa mężczyzna. – To ta radosna iskierka, której wszędzie pełno. Moi towarzysze bronni uwielbiają słuchać jej szczebiotu. Tak pięknie potrafi opowiadać o roślinach!

– Janeczka uczęszczała do tej samej szkoły co ja przy Wolnej Wszechnicy. Obydwie będziemy kiedyś ogrodniczkami jak się patrzy. Niech no tylko nasi dzielni żołnierze wymiotą stąd Armię Czerwoną, a zaraz wracam do domu i razem z papą zabieram się do gospodarowania. – Błysnęła uśmiechem, opowiadając o swoich planach na przyszłość. – Jak skończę zmieniać panu opatrunki, wyjeżdżam do Jaszowic. Dostałam sześć dni urlopu. Już się cieszę na wypoczynek. Ach... niech ta wojna dobiegnie końca jak najszybciej!

– Dokładamy starań – zapewnił żywo – ale Armia Konna Siemiona Budionnego to prawdziwe diabły. Kozak może nie jest urodzonym żołnierzem, ale dobrze siedzi w siodle i w boju jest zaciekły jak mało kto. Mimo wszystko usiekliśmy ich z kapralem Fołtynem bez liku. Janek dobrze wywija szabelką, a i strzelec z niego pierwszorzędny.

– No i gotowe – oznajmiła nagle Teresa. – Pogawędziliśmy sobie miło, a tymczasem opatrunek zmieniony. Za kilka dni pan wydobreje. Kula szczęśliwie ominęła kość. Jeszcze trochę, a wróci pan do swoich.

– Nie mogę się doczekać – stwierdził. – Niech no tylko dopadnę tych bolszewików! Już ja im pokażę, gdzie raki zimują!

– Miałam na myśli rodzinę – odparła. – Na wojaczkę raczej pan nie pójdzie.

– Pójdę, pójdę! Teraz jest tam potrzebny każdy, kto utrzyma w dłoni szablę albo pistolet. A ja jestem praworęczny, więc sobie poradzę. Co tam taka rana! – rzucił lekceważącym tonem, choć nie dalej jak kwadrans temu syczał podczas zdejmowania bandażu. – To jakby mnie komar ukłuł!

– Zatem niech Bóg nad panem czuwa. I obym więcej nie musiała pana opatrywać – powiedziała na odchodnym.

– Stokrotnie dziękuję, choć dla dotyku takich anielskich dłoni dałbym się powtórnie zranić. Przyjemnego wypoczynku, panno Tereniu! – krzyknął za odchodzącą.

Odprowadził dziewczynę tęsknym wzrokiem. Serce biło mu mocno jak jeszcze nigdy w życiu.

Dobrze było wrócić do domu, wtulić się w stęsknione matczyne ramiona, porozmawiać z tatą. Co z tego, gdy czas spędzony z rodziną minął niczym jedno oka mgnienie i Teresa nawet się nie obejrzała, a już trzeba było wracać na dość odległy front pod Hrubieszowem.

– Ależ jesteśmy z ciebie dumni! – Ojciec nie szczędził córce pochwał, choć w głębi duszy drżał o jej zdrowie i życie.

Nie próbował jednak przekonywać Tereni, by pozostała w domu. Rozumiał jej wolę niesienia pomocy. Ktoś musiał się poświęcać, by ludzie tacy jak on mogli również w przyszłości uprawiać spokojnie swoją ziemię i prowadzić gospodarstwa. Wszak sam zaszczerpił w tym gorącym dziewczęcym serduszku umiłowanie do ojczyzny.

Patriotyzm był dla Grodzińskich nadrzędną wartością. Bóg, honor i ojczyzna – zdaniem Feliksa to były trzy najważniejsze spawy w życiu Polaka. Przerwaną naukę w szkole ogrodniczej córka zawsze będzie mogła kontynuować. Gdy nadeszła chwila próby, ważniejsze było ukończenie kursu sanitarnego i umiejętność opatrywania rannych żołnierzy niż pielęgnacja roślin. Takie czasy: jedne dziewczęta służyły Polsce, szyjąc „bluzy amerykańskie” na front, inne, zwane „chrzestnymi matkami”, przygotowywały paczki z bielizną, papierosami żywnością i różnymi przydatnymi drobiazgami. Były i takie dzielne panny, które stworzyły

Batalion Śmierci, idąc bezpośrednio na bój. Terenia, przeczytawszy odezwę, że potrzebne są sanitariuszki, nie zawahała się nawet przez moment.

– Uważaj na siebie, dzieciно! Wciąż drzę ze strachu o ciebie! – Bronisława uczyniła znak krzyża nad głową wyruszającej w drogę córki.

– Mamusiu, tatku, nie bójcie się o mnie! Wszak cała zakrzewska parafia modliła się w intencji mojego szczęśliwego powrotu oraz zakończenia wojny. Z takim błogosławieństwem na pewno nic mi nie grozi.

– Niech cię Bóg strzeże. Wracaj prędko i w dobrym zdrowiu.

We wsi Gródek rozgrywał się dramat. Wracająca z urlopu Teresa trafiła w sam środek zaciętych walk. Bezzwłocznie narzuciła świeżo uprany fartuch, zakasała rękawy sukienki i nie bacząc na śmigające wokół kule, rzuciła się na pomoc rannym. W pocie czoła opatrywała, tamowała, zszywała.

– Odwrót! Drugi batalion odwrót! – ryknął jej ktoś tuż nad uchem.

– Ja nie mogę! – sapnęła, pochylając się nad rannym żołnierzem, któremu pocisk rozszarpał kawał uda. Mimo że miała ciasno zaplecione włosy na karku, na twarz opadały jej miękkie pasma z grzywki, łaskocząc spoconą twarz. Odgarnęła je niecierpliwym gestem.

– Uciekaj, panno, jeśli ci życie miłe!

– Jak skończę opatrywać. Jeśli tego nie zrobię, ten chłopiec wykrwawi się na śmierć! – rzuciła, zakładając rannemu opaskę uciskową.

– Panno Tereniu – usłyszała znajomo brzmiący głos – niech mnie panna zostawi i ucieka!

Zerknęła na twarz opatrywanego mężczyzny. Mimo że była zbrukana krwią i osmalona, rozpoznała człowieka, któremu zmieniała opatrunki przed tygodniem, zanim wyjechała na urlop.

– To znowu pan? – westchnęła. – Przecież mieliśmy się więcej nie spotkać!

– Na miły Bóg! Miałem wracać do mamy, gdy prawą rękę mam sprawną? Znowu ustrzeliłem kilku Kozaków! – wyrzucił ostatkiem sił.

Obwiązała mu poszarpane udo bandażem. Potem otarła dłonie o fartuch i rozejrzała się pomiędzy innymi ofiarami pocisków. Czas płynął, a ona wytrwale opatrywała kolejnych żołnierzy. Dopiero gdy napór czerwonoarmistów zmusił do odwrotu ostatnich Polaków, również ona wraz z rannymi ruszyła w stronę mostu na Huczwie. Ku zgrozie uciekających most został podpalony.

– Nie damy rady przejść – stęknął ciężko ranny kapral Jan Fołtyn.

– Musimy! To nasza jedyna droga ucieczki! – odparła z determinacją. Słyszała już niejedno na temat tego, jak bolszewicy poczynają sobie z pojmanymi polskimi sanitariuszkami.

Od mostu buchał zar, lecz wciąż możliwe było jego pokonanie. Niewiele myśląc, Teresa objęła wpół stojącego najbliżej żołnierza. To był ów Bartosz, którego nie porzuciła, gdy padł rozkaz odwrotu.

– Niech pan się o mnie wesprze! – zarządziła, a następnie dziarsko ruszyła w stronę przeprawy.

Mężczyzna wyraźnie słabł, nie dotrzymywał jej kroku, więc przystanęła, by go unieść i zarzucić sobie na barki. Dopiero wtedy puściła się biegiem pomiędzy płonącymi zagwiami. Wokół gwizdały kule, czerwonoarmiści ostrzeliwali most z trzech karabinów maszynowych. Ognisty powiew smażył jej skórę i odzież, lecz ona wytrwale biegła, wstrzymując powietrze w płucach.

„Pod twoją obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko, naszymi prośbami racz nie gardzić w potrzebach naszych, ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawiać” – powtarzała w myślach słowa modlitwy.

Upewniwszy się, że dotarła w bezpieczne miejsce, zrzuciła balast z barków i nie oglądając się na Bartosza, ruszyła z powrotem. Pomogła przedrzeć się Fołtynowi, który wyraźnie opadał z sił, a potem przeniosła na własnych plecach kilku innych żołnierzy. Jeszcze nigdy nie była tak szczęśliwa z powodu swego wzrostu i krzepy. Eteryzna panienska nie dałaby rady podnieść dorosłego mężczyzny i przebiec wraz z nim po płonącym moście, w dodatku pod gęstym ostrzałem.

Następne dni przynosiły srogie starcia. Przychodziły chwile, gdy krew lała się strumieniami. Wokół słyhać było odgłosy bitewne mieszające się z jękiem rannych. W szpitalu polowym nie było ani chwili wytchnienia. Teresa miała ręce pełne roboty, podobnie jak jej kuzynki, panny Zdziarskie. Z poświęceniem oddawała się ratowaniu życia rannych. Najgorsze były amputacje rąk i nóg. Młodzi ludzie w jednej chwili stawali się kalekami. Serce pękało na te straszne widoki, dramaty i łzy.

„Jak podnieść na duchu tych biedaków?” – rozmyślała pracowita sanitariuszka. Sama była wyczerpana i przerażona, choć dokładała starań, aby niczego po sobie nie dać poznać. Modliła się za siebie i za innych. Błagała Opatrzność o to, by cało wyjść z opresji, a przede wszystkim o pokonanie bolszewików.

Pierwszy dzień września przyniósł żołnierzom 4 Pułku Piechoty Legionów mrozące krew w żyłach wydarzenia. Walczących Polaków zaczęła otaczać Konarmia Budionnego. Teresa u boku Zdziarskiej znowu do ostatniej chwili opatrywała rannych. Każdego, kto otrzymał pomoc i wymagał ewakuacji, umieszczała na wózku, którym wywożono poszkodowanych w bezpieczne miejsce.

– Ratuj się, Tereniu – krzyczeli żołnierze usiłujący odeprzeć szarżę Kozaków, na grzecznościową „pannę” nie było już czasu, lecz ona nie słuchała.

– Jeszcze temu pomogę!

Pochyliła się nad następnym pacjentem. Kątem oka widziała, że kto żywy i w miarę sprawny, ten ucieka do pobliskiego lasu. Ostatecznie i ona rzuciła się w stronę zarośli. Biegła co tchu w płucach, jej serce waliło jak oszalałe.

– Pospiesz się, Tereniu – krzyczała Maria, oglądając się przez ramię, choć panna Grodzińska nie mogła usłyszeć jej głosu w bitewnym jazgocie.

„Jeszcze kawałek, dobiegnę” – myślała ślaniająca się na nogach sanitariuszka. Opadała jednak z sił tak szybko, że każdy następny krok stawał się coraz wolniejszy. Z żalem spoglądała na plecy znikających w

lesie kompanów. Mijała właśnie stodołę, obok której dostrzegła stertę lnu. Rozejrzała się wokół, a następnie dała nura pod badyle. Miała nadzieję, że w tym schowku zdoła przeczekać najgorsze.

Tuż obok rozgrywały się dantejskie sceny. Konni szarżowali, odcinając drogę ucieczki niedobitkom legionistów. Świst szabli mieszał się z wystrzałami z pistoletów oraz seriami z karabinów maszynowych.

Bartosz zdołał dotrzeć w bezpieczne miejsce. On i kilku innych poturbowanych żołnierzy znaleźli schronienie w lesie. Choć zraniona noga mocno dawała mu się we znaki, zamiast wzorem kolegów przycupnąć pod drzewem, oprzeć plecy o pień i złapać choćby chwilę wytchnienia w tym szaleństwie, błądził pomiędzy ludźmi poukrywanymi w zaroślach. W oddali zamajaczył mu pielęgniarski fartuch i czepek, więc pokuśtykał w tamtą stronę w nadziei, że odnajdzie pewną powabną sanitariuszkę. Pragnął jej podziękować za to, że kilka dni wcześniej ocaliła mu życie. Zamiast umiłowanej panny zobaczył zupełnie obcą dziewczynę.

– Widziałaś Terenię Grodzińską? – krzyknął, łapiąc ją za przedramię.

– Nie. Chyba tutaj nie dotarła. Została z rannymi w Stepankowicach.

– O Boże miłosierny, bądź dla niej łaskawy! – jęknął, zdawał sobie bowiem sprawę, że tam wrze teraz niczym w czarcim kotle.

Chciał wracać, by ratować dziewczynę, choć sam ledwo ciągnął za sobą nogi. Gwałtowny ruch sprawił, że świat zawirował mężczyźnie przed oczami. Zauważywszy, jak bardzo poblądł, sanitariuszka ujęła go pod ramię.

– Niech kawaler usiądzie, bo mi zaraz fiknie koziółka. Dość mam urwania głowy – westchnęła.

– Ale panna Terenia! – próbował oponować.

– Da Bóg, że sobie poradzi. To naprawdę sprytna dziewczyna. Krzepy też jej nie brakuje.

– Ano nie. Słyszała pani, jak kilka dni temu przenosiła nas przez most koło Hrubieszowa? Ledwo wtedy zipałem, byłem świeżo zraniony.

– To co pan tutaj robi? Czemu nie jest pan w szpitalu albo w domu?

– Rana okazała się mniej groźna, niż na to wyglądała. Nie mogłem wracać do swoich. Chciałem najpierw odszukać pannę Terenię i podziękować za pomoc – wyznał, gdyż właśnie z tego powodu nie dał się odesłać do Radomia kilka dni wcześniej. – Zuch dziewczyna! Niejeden zawdzięcza jej życie. Należy jej się medal za męstwo. Ja to bym jej nadał *Virtuti Militari*, bo tak szalonej odwagi nie widziałem nigdy w życiu, nawet wśród mężczyzn. Nie straszny jej był ogień ani ostrzał z cekaemów. Słów mi nie wystarczy, by wyrazić wdzięczność i uznanie.

– Zrobi pan to po wojnie. Niech kawaler już dzisiaj nie szarżuje, bo widzę, że bandaż na pana udzie nasiąknął mocno krwią – rzuciła na odchodnym.

– Obym miał ku temu okazję – powiedział sam do siebie.

Czuł się przerażająco bezsilny. Gdyby tylko mógł swobodnie chodzić! Pobiegłby poszukać sanitariuszki, która wywoływała szybsze bicie serca. To właśnie jej piękne oczy zatrzymały go pośrodku wojennej zawieruchy. Żałował, że nie dane im było poznanie się w innych, spokojniejszych okolicznościach. Wtedy pewnie bez wahania ruszyłby w konkury.

Przez myśl przemknął mu wiersz ukochanego poety – Bolesława Leśmiana.

Gdybym spotkał ciebie znowu pierwszy raz,

Ale w innym sadzie, w innym lesie –

Może by inaczej zaszumiał nam las

Wydłużony mgłami na bezkresie... ^[2]

– szeptał bezgłośnie, marząc o tym, że gdy ugaśnie wojenna pożoga, odwiedzi swego wuja w Zakrzewie i poprosi go o oficjalne wprowadzenie do domu Grodzińskich. Zapadła mu bowiem panna Teresa w serce tak mocno, że nie potrafił o niej zapomnieć choćby na chwilę.

„Anioł nie dziewczyna” – westchnął, a potem skrajnie wyczerpany pogrążył się w nerwowym śnie.

Skrytka w stercie lnu okazała się niewiele warta. Ktoś musiał Teresę zauważyć, ponieważ nie minęło wiele czasu, gdy poczuła silne szarpnięcie. Bezceremonialnie wyciągnięto ją z ukrycia.

– *Szczo u nas tut*^[3]? – zarechotał umorusany Kozak, mierząc wzrokiem swą zdobycz.

Terenia stała bezradnie, niedowierzając własnej niedoli. O ile rano miała na sobie czysty fartuch oraz świeżo wykrochmaloną czapkę na starannie zaplecionych włosach, tak teraz prezentowała się doprawdy żałośnie. Czapka gdzieś przepadła, sanitariuszka musiała ją zgubić, gdy próbowała przemknąć w stronę lasu. W poplamionej krwią odzieży, z rozwichrzonymi włosami, pomiędzy które zaplątały się źdźbła, w ogóle nie przypominała pogodnej zazwyczaj panny.

Nagle jednak poczuła przyływ energii. To nie mogło się tak skończyć! Zaczęła się szamotać z żołdakiem. Gdyby zdołała wyswobodzić się z uścisku brudnych rąk, może dobiegłaby do swoich. O ile wcześniej nie zginęłaby od kuli. Niestety w tej szarpaninie była na z góry przegranej pozycji, jej siły zostały już solidnie nadwątlone.

– Zdejmuj buty i oddaj pasek! – nakazał Kozak, mierząc do niej z pistoletu.

Posłusznie zsuła trzewiki, choć podejrzewała, że boso nie da rady daleko zajść.

Wraz z Terenią pochwycono jeszcze kilka osób, pomiędzy nimi mignęła jej twarz doktor Zdziarskiej.

Wśród czerwonoarmistów wybuchała jakaś pyskówka. Być może spierali się o to, co dalej zrobić z jeńcami. Ich nieuwagę wykorzystwała Zdziarska, której sprytnie udało się umknąć. Sanitariuszka odetchnęła z ulgą. Może kuzynka zdoła sprowadzić pomoc, nim będzie za późno?

Ostatecznie Grodzińskiej zwrócono buty, nie odzyskała jednak paska.

Jeszcze tego samego dnia została przetransportowana do pobliskich Czortowic, gdzie zamknięto ją w jakiejś stodole.

W drodze do wsi Terenia z narastającym przerażeniem rozglądała się wokół. Wzdłuż drogi zalegały końskie i ludzkie trupy, po polach snuły się dymy. Słysząc było strzały i cały wojenny rejwach. Wszędzie roило się od konnych żołdaków z armii Budionnego. Choć nie pierwszy raz miała z nimi do czynienia, gdyż kilka dni wcześniej trafiła w samo serce walki, teraz wyraźnie dostrzegała, jak bardzo różnią się od żołnierzy Wojska Polskiego. Prawdą musiały więc być pogłoski krążące wśród Polaków, że do Konarmii werbowani są wszyscy ochotnicy, byle tylko potrafili dobrze jeździć konno i byli ślepo posłuszni swemu watażce. Licho odziani i kiepsko uzbrojeni, mieli w sobie zadziwiającego ducha walki. Przez wiele miesięcy parli uporczywie naprzód. Wycięli w pień cały polski garnizon stacjonujący w Żytomierzu. Niszczyli wszystko na swej drodze, zostawiając za sobą trupy, i uwalniając sowieckich jeńców, którzy zasilali szeregi armii. W Berdyczowie spalili szpital z sześciuset rannymi Polakami oraz siostrami Czerwonego Krzyża. Siali popłoch zarówno pomiędzy żołnierzami, jak i wśród cywili.

Pojmana do niewoli sanitariuszka знаła te wszystkie zatrważające wieści. I już drżała na myśl o losie, jaki może przypaść jej w udziale. Mimo wszystko nie popadała w zwątpienie i, podobnie jak Maria, szukała drogi ucieczki. Najskuteczniejsze byłoby zapewne zdobycie jakiegoś konia. Zyskałaby, jeśli nie przewagę nad ewentualnym pościgiem, to przynajmniej w miarę wyrównane szanse. Gdy zamykano ją w stodole, zauważyła kilka zwierząt uwiązanych u płotu.

„Nie poddam się!” – postanowiła w duchu, odzyskując rezon. „Musi być jakiś sposób, by stąd umknąć”.

Wiedziona nadzieją obeszła cały budynek, zaglądając w każdy kąt. Znalazła siekierę, która mogłaby jej posłużyć do utorowania drogi na wolność. Kiedy tylko nadarzy się okazja, wyrąbie nią dziurę w deskach. Na razie jednak nie mogła tego zrobić, nie wzbudzając niczyjej uwagi. Wszędzie kręcili się Kozacy i Rosjanie. Kopcili cuchnące papierosy, przeklinali, popijali tęgo – zdaje się samogon – wprost z blaszanej kanki.

Teresa postanowiła, że poczeka do zmroku. Liczyła na to, że do tej pory podchmielone strażę tracą czujność. Sama nie mogła sobie pozwolić na dekoncentrację, ponieważ w każdej chwili ktoś mógł po nią przyjść. Mimo zmęczenia kurczowo ścisnęła topór, wierząc głęboko, że nie będzie musiała go wykorzystywać do obrony.

– Najświętsza Panienko, miej mnie w swojej opiece – szeptała, to znów odmawiała kolejno wszystkie znane modlitwy. – Pod Twoją obronę uciekamy się...

Skrzypnęły otwierane wierzeje. Sapnęła z przestachem, gdy do stodoły wtoczyło się kilku pijanych żołnierzy.

– *Chody siudy, hołubko! Skoro budemo wesetytsja!*^[4] – powiedział jeden z nich, wyciągając w jej stronę ręce.

„O dobry Boże, przepadłam” – przemknęło Tereni przez myśl, gdyż odgadywała jego intencje. „Matko Najświętsza, ratuj!”

– Żywej mnie nie dostaniesz! – krzyknęła, biorąc solidny zamach.

Ciężka siekiera rozłupała głowę bolszewika. Bez tchu padł na klepisko, nie wydając z siebie nawet piśnięcia.

– *Wiz'my jiji!*^[5] – ryknął jeden z Kozaków, dobywając szablę.

Krzepka dziewczyna kolejny raz się zamierzyła siekierą. Teraz wywijiała nią na prawo i lewo, na oślep, bez celowania. Byle nie dać się do siebie zbliżyć tym strasznym brudasom o przekrwionych oczach i poczerniałych zębach.

– Odjeżdżają! Odjeżdżają! – krzyczał mały Wicek, pokazując palcem ciągnącą się za wojskiem chmurę kurzu.

Armia Konna Budionnego ruszyła w dalszą drogę, opuściwszy Czortowice.

Wieśniacy z nadzieją gadali między sobą, że bolszewicy uciekają przed polską piechotą. Dla okolicznych chłopów przyszedł czas na rachowanie poniesionych strat i dogłębne cudem ocalałego dobytku. Grzebano zabitych, którzy próbowali bronić swych żon i córek przed gwałtem albo

mienia przed grabieżą. Lizano rany, opłakiwano bliskich i z nadzieją wyglądano Wojska Polskiego. Niejeden marzył, by żołnierze raz na zawsze przepędzili bolszewików, kładąc kres rozlewowi krwi i wojnie. I faktycznie niebawem wieś została zajęta przez 35 Pułk. Żołnierze rozpytywali o wszystko: i o przebieg działań wojennych, i o kierunek, w którym odjechała Konarmia, i o świeże mogiły.

– O tutaj, panie dowódco – powiedział jeden z chłopów, wskazując świeżo usypany kopiec ziemi – pochowaliśmy sanitariuszkę. Tak niebogę skatowali, że rodzona matka nie rozpoznałaby córki. Roznieśli ją na szablach.

Dowódca zerknął pytająco na przysłuchującego się im doktora.

– Domyśla się pan, o którą sanitariuszkę może chodzić?

– Straciliśmy ostatnio trochę dziewcząt. Trzeba bezzwłocznie przeprowadzić ekshumację – zarządził lekarz plutonowy. – Może zdołamy zidentyfikować nieboszczkę. Jeśli się uda, zabierzemy ciało do Chełma, a potem damy znać jej rodzinie, gdzie jest pochowana. Być może bliscy zechcą ją złożyć w rodzinnym grobie lub na cmentarzu parafialnym.

Chwilę później zaczęto rozkopywać prowizoryczny nagrobek, by wydobyć szczątki. Ciało rzeczywiście wyglądało przerażająco. Twarz była nie do rozpoznania, lecz na szczęście dziewczyna miała na sobie fartuch, w którym opatrywała rannych żołnierzy, a na nim wyszyte inicjały.

– TJG – odczytał dowódca. – Koniecznie trzeba poszukać w spisie sanitariuszek, czy znajdzie się ktoś, kto by do tego pasował. Ta panna zginęła prawdziwie męczeńską śmiercią. Najgorszemu wrogowi nie życzyłbym takiej.

– Pewnie broniła się przed bolszewicką zarazą. Wiadomo powszechnie, jak ta swolocz poczyną sobie z kobietami. Być może wolała śmierć niż upodlenie.

– Panie dowódco – wtrącił na to gospodarz. – W stodole przy tej niebodze znaleźliśmy jeszcze dwa inne trupy. Strach pomyśleć, co tam się działo, bo wczoraj dochodziły stamtąd przeraźliwe krzyki.

– To też były ciała naszych? – zapytał zaniepokojony oficer.

– A gdzie tam! To byli Kozacy. Jeden miał rozłupany czerep, drugi leżał z siekierą wbitą w pierś. Czerwoną swołocz pogrzebaliśmy oddzielnie, by nie bezcześcić miejsca wiecznego spoczynku tej panny.

– Bohaterka. Nie dała się wziąć żywcem. Należy jej się godny pochówek z wojskowymi honorami.

18 września 1920 r., Radom

Wieści o odnalezieniu ciała Teresy Grodzińskiej zastały Bartosza Waligórskiego w szpitalu. Po wycofaniu się ze Stepankowic ranny mężczyzna został przewieziony z linii frontu do rodzinnego Radomia. Wraz z nim na salę trafił Piotr – dość poturbowany drugi towarzysz niedoli.

– Panna Terenia nie żyje? Teresa Grodzińska? – jęknął Piotr, upewniając się, że słowa kolegi, który przyszedł w odwiedziny, korzystając z krótkiego urlopu, nie są przerażającym urojeniem. A gdy usłyszał, w jakich okolicznościach poległa, zapłakał nad jej losem. – Ale jak to? Na Boga! Nie mogę w to uwierzyć!

Bartosz słuchał relacji w osłupieniu.

– Nie, to niemożliwe, nie ona! Błagam! Powiedz, że chodzi o kogoś innego! – Spoglądał z nadzieją na gościa, lecz ten, mocno zafrasowany, pokręcił głową.

– Niestety, nie ma mowy o pomyłce. Po ekshumacji przewieziono ciało sanitariuszki do Chełma, gdzie spoczęła w tymczasowej mogile. Stamtąd bliscy przewieźli ją do Radomia. Rozpoznali Terenię.

– Ale jak, skoro mówiłeś, że była potwornie zmasakrowana? – dociekał Bartosz, wciąż łudząc się nadzieją, że chodzi o jakąś inną sanitariuszkę.

– Rozpoznali ją po fartuchu i odzieży. No i jeszcze jej kuzynka, panna Zdziarska, opowiadała, że widziała, jak Kozacy uprowadzili Teresę. Sama ledwo im uszła. Terenia stawiała opór, lecz nie dała rady.

– Taka dzielna panna! Na plecach przeniosła mnie przez ogień! – Bartosz wspomniał jej niesamowite wyczyny na moście nad Huczwią.

– To męstwo zostało docenione. Ponoć Żymierski pospołu ze Smorawińskim wystąpili do naczelnika Piłsudskiego z wnioskiem o odznaczenie panny Teresy orderem Virtuti Militari! Jeśli wniosek przejdzie, czego jestem pewny, bo na własne oczy widziałem jej poświęcenie, to będzie pierwszą tak docenioną kobietą w całej historii Polski.

– Zasłużyła na to, jak mi Bóg miły! – wykrzyknął Bartosz, którego serce zdawało się pękać z niewysłowionego bólu.

Usiadł na łóżku, pochylił się i ukrył twarz w dłoniach. Jego ciałem wstrząsnął szloch, bo oto nie dość, że nie podziękował powabnej pannie za ocalenie życia, to jeszcze zgasła nadzieja na to, że po wojnie zaprosi ją na przechadzkę, by wyznać, że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

Gdy otrząsnął się z pierwszego szoku, podniósł się z wysiłkiem z łóżka i podreptał do lekarskiej dyżurki. Uprosił doktora, by mimo poważnych obrażeń pozwolono mu wziąć udział w uroczystości pogrzebowej.

Tego samego dnia ulicami Radomia przejeżdżał kondukt pogrzebowy Teresy Jadwigi Grodzińskiej. W tym czasie w mieście panowała przygnębiająca cisza. Pozamykano sklepy i kawiarnie, ludzie licznie wylegli z domów i miejsc pracy, by pożegnać nieustraszoną sanitariuszkę. Wraz z rodziną zmarłej kroczyli dwaj ranni wojacy odziani w szpitalne kitle. Po ich policzkach spływały rzewne łzy, dzielni żołnierze płakali nad śmiercią dziewczyny niczym niepocieszeni chłopcy. Dalej szło wojsko i tysięczne tłumy.

„Terenu, moja Terenu! Mój ty cudny aniele! Czemu los zgotował ci tak okrutny koniec?” – rozmyślał mężczyzna, z niedowierzaniem spoglądając na trumnę ze szczątkami umiłowanej kobiety.

Od autorki

Opowiadanie powstało na kanwie prawdziwych wydarzeń. Dekretem Józefa Piłsudskiego 28 lutego 1921 roku Teresa Jadwiga Grodzińska została odznaczona pośmiertnie Orderem Wojskowym Virtuti Militari.

Postać Bartosza jest fikcyjna, choć we wspomnieniach Joanny Potockiej, krewnej Grodzińskich, pojawia się wzmianka o dwóch rannych żołnierzach, którzy towarzyszyli rodzinie podczas uroczystości pogrzebowych w Radomiu.

Źródła:

Iwona Kienzler, *Walczone kobiety roku 1920*, Bellona 2020.

Artykuły z miesięcznika „Skarpa Warszawska” nr 7/2020.

Janina Natalia ze Zdziarskich Wencłowa [online, dostęp: 12 stycznia 2021]. Dostępny w Internecie: <<https://zdziarskifamily.co/5-janina-zdziarska-wencel>>.

Jakub Szczechowski, *Pamięć o bohaterce z podradomskich Jaszowic*, Radio Plus [online], 29 listopada 2019 [dostęp: 12 stycznia 2021]. Dostępny w Internecie: <<https://radioplus.com.pl/radom/42316-pamiec-o-bohaterce-z-podradomskich-jaszowic>>.

Marek Pietruszka, *Teresa Jadwiga Grodzińska – bohaterka wojny z Bolszewią*, „Przystanek Historia” [online], 30 sierpnia 2020 [dostęp: 12 stycznia 2021]. Dostępny w Internecie: <<https://przystanekhistoria.pl/pa2/teksty/60474,Teresa-Jadwiga-Grodzinska-bohaterka-wojny-z-Bolszewia.html>>.

KRZYSZTOF BOCHUS

SIEDEM DNI IWANA FROŁOWA

Dzień pierwszy

Iwan Frołow z trudem otworzył powieki. Potrzebował chwili, aby uświadomić sobie, że żyje. Nie czuł w ogóle swojego ciała: ani rąk, ani nóg, tak jakby cała jego fizyczność odeszła gdzieś hen, z zagonem Armii Czerwonej. Dysponował w tej chwili tylko swoją głową, lewitującą niczym chiński latawiec nad tą skrwawioną, przeklętą ziemią. Przekręcił ją z wysiłkiem i niemal natychmiast zamknął oczy porażony rozciągającym się przed nim widokiem.

Szrapnel musiał rozorać brzuch wierzchowca. Zwój flaków wylewał się obślizgłą falą z wnętrzości konia niczym pęta kielbas, które wędził dziad Pietia, sąsiad z jego rodzinnego sioła w guberni saratowskiej. Gdzie teraz był ten bezzębny staruch, psia jego mać, a gdzie teraz był on, Iwan Fiodorowicz Frołow?

Czy źle mu było w rodzinnym siole, w Małej Skatowce? Wstawał rano, gdy matka jeszcze spała, oddychając nierówno i wzdrygając piersią niczym kopczykiem opanowanym przez termity. Wychodził za chałupę i odlewał się, patrząc na żółtawy łuk moczu przebijający poranną mgłę płożącą się nad trawą.

Lubił ten moment dnia, gdy świat jeszcze drzemał, nawet słońce nie miało dość siły, by wspiąć się nad horyzont. I tylko on, Iwan, stał krzepko

na szeroko rozstawionych nogach. „Ach, Iwan – myślał sobie wtedy – jakież ty masz szczęście, Iwan, job twoju mać, że tak sobie żyjesz szczęśliwie w kraju światowej rewolucji!”. W ojczyźnie proletariatu, w której tacy jak on wykuwali przyszłość całej Rosji, ba, całej planety! W kraju rad, w którym popędzono wreszcie zdzierców, krwiopijców, kapitalistów i burżujów wszelkiej maści! Jakież to szczęście żyć w takich czasach! Drapał się wtedy po ogolonej na лыso głowie i czuł, jak spływa na niego duma. On, zwykły gołodupiec, co ledwie podpisać się umiał i skończył cztery klasy w gminnej szkole, niósł teraz sztandar rewolucji. Pobudują huty, popłynię stal, na złociste pola wyjadą traktory! A niezwyciężona Armia Czerwona nawet bez butów, w samych onucach, a jak, kurwa jego proletariacka mać, da bobu kapitalistom! Będzie wybijać rytm zwycięstwa na ulicach Warszawy, Berlina, Paryża! Towarzysz Lenin dał rozkaz, a oni nie mogą zawieść wodza!

Ale to było wczoraj. A teraz leżał w jakimś dole w błocie, gównach i zwierzęcych flakach, wśród pogiętego żelastwa i ludzkich szczątków. Dopiero teraz doleciał do niego odór bijący z zabitego konia: wżerający się w nozdrza niczym smrodliwa dżdżownica, przenikający do wnętrza, przyprawiający o mdłości.

Zapałł się w sobie. Ogarnęła go dziwna niemoc paralizująca umysł i umęczone ciało. I zapadła ciemność.

Dzień drugi

Ocknął się. Na dworze już świtało. Potrzebował dłuższej chwili, aby opanować panikę. Musiał uspokoić rozbiegane myśli. Jak się tu znalazł w tej smrodliwej pułapce? Był na terytorium wroga, czy też zapomnieli o nim swoi i poszli do przodu? Co pamiętał? Jaki był ten ostatni moment przed?

Błysk, odgłos wybuchającego pocisku, gdzieś nad jego głową. Ściana opadającej ziemi i piasku, smród palonego żelastwa... Tak, to była chwila przed atakiem...

Widział teraz siebie wyraźnie, tak jakby uwolnił się ze swego ciała i wznosił się nad ziemię niczym jeden z tych szybkoskrzydłych jastrzębi szybujących nad rodzinnym siołem. On, Iwan, siedzi w szarym szynelu. Pod spodem ma tylko żołnierską bluzę, porwaną pod pachami, odziedziczoną po jakimś trupie. Spodni żołnierskich nie dali, ma własne, wsiowe. Na buty też poluje. Nogi owinał onucami z bandaży. Na stopach ma tylko łykowate buty podarowane mu przez dziada Pietię, który był dla niego jak ojciec.

Patrzy na siebie z góry i widzi, jak czyta list od Tatiany. Dziewczyna ma śmieszne dołeczki na policzkach i duże mleczce piersi, którymi kołysze niepokojąco, gdy idzie nad rzekę po wodę.

– Ja ciebie, Tatiana, za żonę wezmę – przechwalał się, próbując ją złapać za te wielkie półkule, a ona wymykała mu się, parszkając ze śmiechu i bijąc go pięściami po ramionach.

Dopiero w przeddzień zaciągu do armii pozwoliła mu na więcej. W stogu siana za wsią, tam gdzie droga skręcała do brzoźowego lasu. Jeszcze teraz czuł jej wilgoć i zapach. Widział krople potu zbierające się w rowku pomiędzy piersiami i miękkimi meszkiem na jej silnych, toczonych udach.

Próbował czegoś więcej, ale go osadziła w miejscu.

– Nie teraz, Iwan...

– A kiedy? – Czuł, jak buzuje mu krew.

– Po wojnie, jak wrócisz. Wtedy ci dam, po bożemu. I pójdziemy do ołtarza.

– A jak nie wrócę? – jęknął z rozczarowaniem.

– Teraz wiesz, że masz po co wracać. Nie daj się zabić, głupi. I wracaj cały...

Potem poranną ciszę rozdarł wrzask Stiepanowa.

– Gotuj się do ataku! Bagnet na broń!

Tak, kurwa, trzeba było mieć ten bagnet. Miał tylko karabin na konopnym sznurku, który zacinał się po kilku strzałach. Nie lubił Stiepanowa. Dowodził od niedawna, a wyżej srał niż dupę miał.

Polacy umocnili się w okolicach Kocka. Warszawa była niedaleko. Na wyciągnięcie dłoni. Czasami wieczorami zastanawiali się, jak to będzie, gdy już wkroczą do miasta. Dadzą Polaczkom bobu! Zawieszą czerwony sztandar na najwyższym kościele, bo tam u białopolaków podobno kościołów na każdej ulicy. Co za zacofańcy! Jakby nie wiedzieli, że religia to opium dla ludu...

No więc zerwali się z okopów i ruszyli tyralierą. Biegł, potykając się o grudy ziemi, i czuł, jak ogarnia go uniesienie. Rozlewali się jak szara lawa, jak błoto, które wystąpiło z brzegów Wołgi. Urrra! Urrra! Ich krzyk niósł się nad polem, wyprzedzał ich, uderzał we wroga całą mocą ich siły, wściekłości i strachu. Jebać Polaków! Na śmierć! Urrra! Urrra! Za rewolucję! Za pokój na świecie! Za czerwony raj!

Potknął się raz i runął w błoto, ale zerwał się zaraz na równe nogi. Nie chciał być ostatni, co to, to nie! Chciał dopaść tych gadów, paniczków w rogatywkach, którzy gnębili przez setki lat lud pracujący, gnoili takich jak on, bez butów, godności i ziemi. Rezać skurwysynów! Kłuć, zabijać!

Widział już ich okopy. Jakieś płotki majaczące w szarości poranka, zwalony na bok wóz drabiniasty, faszyny i nieforemny wał ziemny wijący się wzdłuż łąnów pszenicy jak wielki robal. Zza wozu pluł ogniem cekaem. Ktoś obok niego zwałił się ciężko. Spojrzał – to Stiepanow, nie miał już połowy głowy.

Jeszcze kilkadziesiąt metrów, jeszcze trochę, zaraz ich dopadną.

I wtedy to się stało. Przeróżliwy gwizd, błysk, trzask jakby łamiącej się gałęzi, słup tryskającej w powietrze ziemi. Oj, matulu...

A więc co? Leży na polskiej czy zdobyczej ziemi? Kto znajdzie go pierwszy? Ta biała swołocz w wypastowanych oficerkach czy kamraci z oddziału?

Przekręcił się na bok i jęknął z bólu. A więc jednak... Całą prawą stronę ciała od pachy po krocze miał we krwi.

Na pewno po niego wrócą. Popędzili do przodu, zuchy! Na Warszawę, na to gniazdo szerszeni! Na pewno, Grupa Mozyrska sunie przecież jak walec. Przecież nie wstrzymaliby natarcia dla takiej bolszewickiej

mróweczki jak on? No bo kim on tak naprawdę jest, Iwan Frołow? Ziarnem piasku, malutkim trybikiem w kombajnie rewolucji. Poczekaj, dobrze będzie. Wrócą. Jakże mieliby nie wrócić? Za chwilę pojawią się podwody, sanitariuszki. Wody dadzą, rany opatrzą. Szkoda tylko, że atak na Warszawę może go ominąć. I co wtedy powie Tatianie? Na ten przykład, że gdy Armia Czerwona sławę wieczną zdobywała, on leżał w jamie z końskim truchłem i bąki zbijał?

Poruszyła go myśl, że znajdą go umazanego łajnem i juchą. Będą sobie żarty z niego robić, że Iwan Frołow zesrał się w gacie podczas ataku i schował ze strachu za kobyłę. Z niego – szczerego bolszewika, awangardy ludu pracującego miast i wsi! Niedoczekanie! Zaciskając zęby, spróbował wygramolić się z dziury w ziemi. Za pierwszym razem zsunął się bezwładnie w dół. Nadal nie czuł prawej części ciała. Ale za drugim razem poszło mu lepiej. Czepiając się ziemi pazurami, udało mu się podciągnąć na lewej ręce i przetoczyć przez krawędź dołu. Pole zryte było pociskami niczym Księżyc kraterami, wszędzie walały się ludzkie szczątki. Te białe skurwysyny waliły do nich z artylerii jak do kaczek!

Przeczołgał się obok zwłok ze zdartym płatem skóry, równiutko, jakby ktoś oprawiał srebrnego lisa w tajdze. Pełznąć, dotarł się do małego wzniesienia zapewniającego lepszą widoczność i zatrzymał się, ciężko dysząc. Przesunął się jeszcze kilka centymetrów i niespodziewanie natrafił na kolejne zwłoki. Poznał od razu. Stiepanow! Chociaż po prawdzie, dowódca nie miał połowy twarzy, zamiast czoła i oczodołu widniała w czaszce jedynie ciemna wyrwa z nierównymi krawędziami. Poznał go po butach, porządnych oficerkach do kolan, które Stiepanow podobno kilka dni wcześniej ściągnął z jakiegoś ubitego polskiego paniczyka. Przynajmniej tak gadał. Inni szeptali, że rozwalił jakiegoś jeńca dla tych butów, ale ludzie gadają, co im ślina na język przyniesie...

Zawsze mu zazdrościł tych skórzanych butów, z porządnej, wiśniowej skóry, a teraz mu się już przecież nie przydadzą, co nie? Mają się zmarnować? Ściągnął mu je więc z nóg, zapierając się o pobliski korzeń, charcząc i plując z wysiłku, aż dopiął swego. Buty pasowały jak ulał. W sam

raz dla niego. Wróci po wojnie do Małej Skatowki jak gość, może mu nawet jakiś medal jeszcze dadzą. *Cierp Kozacze, atamanem zostaniesz*^[1]. Już widział te roześmiane dołeczki na policzkach Tatiany...

Zmęczył się. Czuł, jak opadają mu powieki, jakby ktoś na nie dwie kowalskie podkowy położył.

Obudziły go jakieś niewyraźne głosy. No, nareszcie! Czemu tak długo?

– Tu jestem, towarzysze! – spróbował krzyknąć, ale głos uwiązł mu w gardle.

Jak mogli go nie widzieć, gdzie oczy mieli, w dupie?

Wypluł plwocinę z gardła i krzyknął głośniejsze:

– Tutaj! To ja, szeregowy Iwan Frołow!

Słyszał ludzkie kroki, ciężkie jakby ktoś stawiał je w stalowych butach. A może to w uszach tak mu szumiało?

– Patrz, Józek, co my tu mamy! – usłyszał szeleszczącą mowę, która zmroziła mu krew w żyłach. – Czerwona gnida nam się trafiła. Witaj, bratku...

Dzień trzeci

W nocy musiał majaczyć. Trawiła go gorączka. Czuł, jak paliła go swoim suchym, zatrutym oddechem. W głowie szumiało mu jak w kniei, tak jak w tym borze za wsią, do którego wybierał się polować na kaczki... Ale nie, to nie był sen. Słyszał coraz wyraźniej ludzkie głosy, które napływały i odpływały jak stado ptaków omiatających niebo. Rozumiał dobrze ten język, w ich siole mieszkała polska rodzina, familia Pawłowiczów. Z ich synem Jankiem ganiłi razem po polach i łowili ryby w potoku. To porządni ludzie byli, ale rewolucja wszystko zmieniała...

Bał się otworzyć oczy. Lepiej udawać nieprzytomnego, żeby zmylić wroga. Tak ich uczył oficer polityczny batalionu. *Dwa niedźwiedzie nie żyją w jednym barłogu*^[2]...

– Niech Zofia przemyje rannego i zmieni mu opatrunek. – Dobiegający go głos był niski, zdecydowany jak u człowieka przyzwyczajonego do posłuchu.

– A czy to się godzi, proszę księdza? A dyć ten bolszewik pewnie ma krew na rękach. Tamtych dziewczyn do dzisiaj nie odnaleziono...

– Pamięta Zofia o przykazaniu? Miłuj bliźniego swego jak siebie samego? To tylko człowiek. Zbłądził, to prawda. Ale to nasz bliźni.

– Taki to on bliźni, jak ja artystka z baletu.

Usłyszał odgłos splunięcia i mocniej zacisnął powieki.

Kobieta podeszła do niego z miską gorącej wody. Przemyła mu ranę i na nowo obandażowała bok, a on mimowolnie syknął z bólu.

– Żyjesz, gadzino – usłyszał jej szept do ucha. – Gdyby nie ksiądz dobrodziej, tobym cię gołymi rękami udusiła.

Odczekał, aż kobieta skończy i zaniknie odgłos jej szurających kroków. Dopiero wtedy ostrożnie otworzył oczy. Leżał w małej izbie. Prosty sosnowy stół, kilka ksiąg parafialnych ułożonych w nierówny stos, jakaś haftowana chorągiew oparta o łuszczącą się ścianę. I duży krzyż na niej. Patrzył na niego ten ich szarlatan, Jezus z Galilei. Spoglądał na Iwana Frołowa z jakąś bolesną ciekawością: a kogóż to do jego świątyni przywiało? Iwan poczuł się nieswojo. Jeszcze nigdy nie był tak blisko fałszywego bożka. Tfuj, zgiń zarazo!

Pewne było jedno. Trzymali go w zakrystii, pewnie z braku miejsca. Przez uchylone drzwi widział drewniane wnętrze kościoła: kilka steranych ławek w nawie głównej i rąbek złoconego ołtarza.

Dlaczego nie rozwalili go od razu? Nie postawili pod ścianą? Przecież to byłoby normalne. On nie zastanawiałby się ani chwili, gdyby w jego ręce wpadł białopolak. Nagan do czoła i prast! Jednego wroga rewolucji mniej, jeden krok do światowego pokoju bliżej. Widocznie mają wobec niego jakiś plan. Pewnie przesłuchać chcą, wycisnąć wszystko, co wie. Na pewno, psia jego mać! Przecież to chytrusy pierwszej wody są. To dlatego sznura mu jeszcze nie ukręcili, kolbami nie zatłukli... Trzeba się przespać i sił nabrać.

A potem może uda się stąd czmychnąć. Nasi pewnie niedaleko. Słyszał przecież w oddali głuchy odgłos wojny: jednostajny pogłos armat niczym pomruk burzy.

Dzień czwarty

Gorączka powoli mijała. Nie słyszał już tego jednostajnego szumu w głowie. Przeszkadzało mu coś innego. W kościele właśnie trwała msza. Która to już dzisiejszego dnia? Trzecia? Słyszał rozmodlone głosy i śpiewy. *Boże, coś Polskę...* Co chwila uchylały się drzwi od zakrystii.

Zaczynał rozumieć porządek tych katolickich zabobonów. Najpierw spod przymrużonych powiek obserwował przygotowania księdza Zygmunta do mszy. Młody ministrant zakładał mu z namaszczeniem zielony ornat wyszywany złotymi nićmi. Ksiądz przyklękał na chwilę przed Jezusem z majolikowymi ślepiami i modlił się w skupieniu. Ministrant czekał cierpliwie, przekładając świecę z ręki do ręki. Miał wyszczerbione zęby i burzę rudych włosów na głowie jak Janko Pawłowicz... Potem drzwi trzaskały i obaj znikali we wnętrzu kościoła. Przez tę chwilę, gdy drzwi się uchylały, widział ludzką ciżbę. Spoconą, rozbuchaną, parującą mokrymi ubraniami po letnim deszczu.

Nie wyglądali na przestraszonych. A przecież zwycięska Armia Czerwona była tuż-tuż. Przeciwnie, w oczach mieli jakieś trudne do wytłumaczenia uniesienie, hardość i dumę. No tak, to białopolacy są... Zawsze nosili nosa wysoko, uważali się za kogoś lepszego od innych Słowian, burzyli się i buntowali. A przecież nie o carski knut tu teraz się rozchodzi, ale o powszechne wyzwolenie ludzi pracy... Tylko jak tu ze ślepym o kolorach gadać?

Słyszał te wszystkie pieśni. Nawet ładnie śpiewali. Zwłaszcza jedna pieśń mu się podobała, melodyjna bardzo.

My chcemy Boga, Panno święta!

O, usłysz naszych wołań głos!

*Miłości Bożej dźwigać pęta,
To nasza chluba, to nasz los...*

W połowie mszy drzwi trzaskały ponownie. Wiedział, że to ministrant przynosi pleciony z wikliny koszyk wypełniony pieniędzmi. Iwan za każdym razem wyciągał szyję, tak się dziwował. Wojna, bida z nędzą, żołądki im do krzyża przyrastały, a na zabobon ostatnie grosze wytrząsali? Co za naród? Choć co prawda na nędzarzy nie wyglądali. Wszyscy w butach, odzienie porządne. Nie to, co u nich w Małej Skatowce...

Na początku trochę go drażniły te gusła. Ale potem przywykł, a nawet, wstyd to przyznać, znalazł w śledzeniu tego misterium pewne upodobanie. Może mu przypomniały zatarte już w pamięci obrazki z cerkwi? Jeszcze hen, hen, z czasów przed rewolucją. Szedł jako mały chłopiec, młokos jeszcze, z tatką po skrzypiącym śniegu, a cebula cerkwi majaczyła nad horyzontem. We wnętrzu świątyni zawsze stawał koło ikonostasu i chłonał zachwyconymi oczami dziwne malowidła. Wtedy jeszcze nie wiedział, że to zabobon...

Wieczorem przyszedł do niego ksiądz Zygmunt. Spodziewał się tego. Miałby uwierzyć w to ich miłosierdzie? Pewnie na przeszpiegi przyszedł, wroga wybadać. Chcą sprawdzić, czy Iwan już skruszał. I czy gotów za polskie srebrniki sprawę rewolucji zdradzić, czerwony sztandar zbrukać. A on klasy robotniczej nigdy się nie zaprze...

Ksiądz nie wyglądał na kapłana. Wysoki, zgarbiony, z krogulczym nosem. Łapę miał jak bochen chleba, wcale nie wydélikaconą. Może to i chłopski syn, tylko przez jaśnie panów przekabacony.

– Z dokumentów, które przy tobie znaleźliśmy, wynika, że nazywasz się Iwan Frołow. Żołnierz Grupy Mozyrskiej. Prawda to?

Po cóż miałby zaprzeczać? Bumagę znaleźli, to sami wiedzą.

– Jak wiecie, to po co pytacie?

– Dla porządku. I żeby sprawdzić, czy mówić potrafisz. Mam do ciebie jedno pytanie, Iwanie Frołow. Czy wierzysz w Boga?

– Wierzę w rewolucję proletariacką – odpowiedział zdecydowanie. A, to tak chce go podejść, gadzina...

– A jeśli ty, dajmy na to, Iwanie Frołow, ot tak, umrzesz jutro, czego ci broń Boże nie życzę, to dokąd trafi twoja dusza? Macie jakie swoje własne czerwone niebo?

Iwan zafrasował się. Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Bo niby kiedy? Najpierw najważniejsze było, żeby z głodu nie zdechnąć. Potem, żeby przeżyć. Kto by się tam nad niebem i piekłem zastanawiał? A co to on, jakiś jewrej jest?

– Jesteś dzieckiem Bożym, Iwanie, jak my wszyscy. Dlatego pomódl się do Pana i poproś o wybaczenie. Nie wiemy, czy w ranę nie wda się gangrena. Jeśli tak, to po tobie.

– Nie będę pierwszy ani ostatni. Armii Czerwonej nikt nie powstrzyma, zaniemiemy wolność na naszych bagnietach aż do Paryża.

– Ale ty tego możesz nie doczekać. I odejdiesz bez Boga, pochowają cię w niepoświęconej ziemi jak psa, a nie jak człowieka. Tu nikt nie będzie za tobą płakał. Ale tam, u ciebie?

Iwan poczuł ukłucie w sercu. Złousty klecha wiedział, jak człowieka podejść. A potem pojawił się obraz Tatiany, tam w stogu. Miała takie twarde piersi, a sutki jak guziki od munduru... Ach, żal trochę tych konfitur, tego ciała prężnego, pachnącego sianem i trawą. Szkoda byłoby, psia mać, tak teraz odchodzić, zanim tego wszystkiego zakosztował.

Opadł na poduszkę i udał, że przysypia. Byleby ten klecha z izby się wyniósł, przestał ten swój podstępny jad sączyć i spokojnie pomyśleć pozwolił.

Dzień piąty

W nocy musiał mieć malignę. Wstrząsały nim zimne dreszcze. Narzucił na siebie nawet tę ich haftowaną chorągiew, a i to nie pomogło. Był mokry jak

szczur, koszula oblepiła mu całe ciało. Musiał strasznie śmierdzieć. Z reguły człowiek nie czuje własnego smrodu, zostawia to innym.

Całe jego życie przepojone było odorem. W Małej Skatowce pachniało zwierzęcą sierścią, kurzymi odchodami, moczem oddawanym za chałupą. W okopach leciało onucami, ludzką padliną zalegającą na polu, gównem wymieszonym z błotem, którego nawet nie próbowali zmyć, bo niby czym? Wody szkoda, a sierpień był upalny tego roku.

Dopiero nad ranem zapadł w płytki sen. Niespodziewanie przyśnił mu się Stiepanow. Leżał na ziemi, wijąc się jak piskorz.

– Nie zabieraj moich butów, Frołow, nie zabieraj, zaklinam cię, człowieku – błagał go, podciągając nogi pod siebie.

– Tyś już umarłak, Stiepanow – odpowiedział mu hardo w tym śnie. – Połowa łba ci została. Resztę ci z cekaemu odjebali. Dawaj buty, one tobie już i tak niepotrzebne. A mnie służyć dobrze będą. Wypastuję świńskim łojem, namaszczę, dbać o nie będę.

– Nie zabieraj! Jak ja bez butów, na bosaka, do proletariackiego nieba pójdę?

– Głupiś, Stiepanow! Nie ma żadnego nieba dla naszych. W Boga nie wierzysz, to i nieba nie zobaczysz. W niepoświęconej ziemi cię pochowają, jak psa...

I zdarł z niego oficerki, nie bacząc na protesty i błagania komendanta. Zarzucił je na ramię i ruszył w stronę okopów. Nagle usłyszał za sobą jakiś tupot. Obejrzał się i krew mu się zmroziła w żyłach. Stiepanow, ta pierdolona kutwa, posuwał na swoich gołych kulasach ku niemu. Wyciągnął ręce jak szpony i wykrzywił wściekle tę połowę gęby, która mu jeszcze została...

Wstrząsnął się i wybudził. Chyba w samą porę, bo w kilka minut potem usłyszał jakiś rumor w drzwiach. Znowu msza? Nie za wcześnie? Przekręcił głowę i spojrział w brudną szybkę okna... A jednak. Słońce stało już wysoko na niebie.

– Wstawaj, kacapie! – Czyjeś mocarne ręce ściągały go z łóżka. Polscy żołnierze w wypłowiałych mundurach. Czego od niego chcieli? Jeden celował do niego z karabinu. Drugi już ciągnął go po podłodze. Mieli wrogie, poszarzałe twarze.

– Czego ode mnie chcecie? – zasłonił się rękami. – Jestem jeńcem...

– Nie, kurwa. Jesteś tylko czerwoną gnidą.

Kątem oka zobaczył, jak drugi z żołnierzy podnosi kolbę karabinu do góry.

I zapadła ciemność, jakby ktoś spuścił ją z uwięzi.

Gdy się ocknął, zrozumiał, że musieli wywlec go na zewnątrz. Uniósł ciężkie jak ołów powieki. Miał skrócone pole widzenia. Widział tylko czyjeś nogi, las nóg. Męskich, kobiecych, nawet dziecięcych w małych bucikach jak z ceraty. Tłum nad nim szemrał wrogo, jednostajnie, jak rój wściekłych pszczół nawołujących się wzajemnie i formujących chmurę przed śmiertelnościami atakiem.

Ktoś chwycił go za włosy i szarpnął do góry. Zabolalo, oblizał krew spływającą ze skroni. Wcale nie była słodka. Miała smak piołunu.

– Patrz, morderco, patrz, coście uczynili! – Poczul ponowne szarpnięcie.

Leżał na wybrukowanym podejździe do kościoła. Otaczał go wianuszek ludzi ze wsi, rozgorączkowanych, wskazujących na niego oskarżycielsko palcami. Obok stało dwóch żołnierzy, tych, co go wywlekli z kościoła. Jeden z nich oblewał spoconą głowę wodą z manierki. Jakiś wychudzony pies z zapadniętymi bokami wygrzebywał odpadki z góry śmieci za kościołem.

A potem wszyscy, jakby się zmówili, zamilkli. Słyszał, jak buczą muchy nad śmietnikiem. Poszedł za wzrokiem ludzi i zamarł.

Na środku leżał stos ciał. Niczym stóg siana, tylko wypełniony ludzkimi włókami. Widział młode dziewczęce twarze z otwartymi ustami, nienaturalnie powyginane ręce, jakby powyrywane z zawiasów, pokrzwawione uda, jasne włosy przyprószone krwią niczym płatkami maku.

– Przyjrzyj się, co zrobili twoi towarzysze. – Wieśniak w wyliniałym kubraczku i ogorzałej twarzy szerokiej jak księżyc podszedł do Iwana. – Ja, wójt, mówię wam, ludzie! Oto jest bolszewicki raj, oto są ich bezbożne porządki! Bez Boga, bez litości, bez miłosierdzia. Porwali te dziewczyny przy wodopoju. Są ze wsi zza rzeki. Zgwałcili, okaleczyli, zmasakrowali. Jak zwierzęta... – Potoczył wylupiastymi oczami po zgromadzonych.

– Na pohybel! Hańba! Śmierć czerwonym! – rozległy się bezładne głosy.
– Powiesić kacapa!

– Nie! Na księdza nam trzeba poczekać! – zaprotestowała kobieta, w której rozpoznał przemywającą mu rany Zofię.

– A po co tu czekać? Powiesić czerwonoarmiejca! – Młody pryszczaty chłopak w kolejarskiej czapce wysunął się z szeregu.

– Bez księdza się na godzi – nie ustępowała gospoia, ale szybko została zakrzyczana przez pozostałych.

Wójt wziął się pod boki i oskarżycielskim gestem wskazał na Iwana.

– Możesz i ty brać udział w tym mordzie? Tak zhańbić dziewczęta, to takie wasze ruskie zwyczaje, co?

Iwan szarpnął się, ale wójt przygwoździł go butem do ziemi.

– A jak nie ty, to twoi towarzysze, mordy bolszewickie! Zapłacisz za to teraz!

Frołow zawył jak pies.

– Nie! Nie! To nie ja, *pomyłujcie!* Nigdy bym nie tknął bezbronnej kobiety. Ja nie taki!

– Gadaj zdrów, swołocz! – Wójt przywołał ręką jednego z najbardziej awanturujących się mężczyzn. Ten wziął do ręki sznur i zaczął skręcać go w pętlę.

Frołow spojrzał błagalnie na stojącego najbliżej żołnierza. Ten jednak wyprostował jedynie nieistniejące fałdy na mundurze.

– Na nas już czas, panowie. – Poprawił furażerkę. – Zwłoki przywieźliśmy. Musimy wracać do oddziału. Więźnia zostawiamy w

waszych rękach. Nie nasza to sprawa... A zwłoki pochowajcie. Ksiądz wróci z miasta, to odprawi egzekwie...

Ludzie szemrali wrogo, jedna z kobiet odwróciła oczy. Ktoś usłużnie podłożył skrzynkę pod nogi Iwana. Ten poczuł szarpnięcie, sznur zacisnął się na jego szyi, boleśnie wpijając się w skórę. Spojrzał w górę. Stado ptaków szybowało na wypranym z błękitu niebie. Napływająca chmura miała baśniowy kształt: jak krążownik Aurora z wieżyczkami wyciętymi z kartonu.

Iwan Frołow pomyślał, że życie jest niesprawiedliwe. Nie zasłużył na ten los. Ot, pech. Nawet medalu nie zdobył. Paryża nie zobaczy. Nie usłyszy szczekania psów na rogatkach Małej Skatowki. I z dziadem Pietią nie wypije po stakanie. A już na pewno nie dogodzi Tatianie, tej diablidy z piersiami jak dwie dynie... *Pogonisz za dwoma zającami, ani jednego nie złapiesz*^[3].

Zamknął oczy, rozpaczliwie bujając się na skrzynce. I wtedy coś się zmieniło. Wyczuł to niemal natychmiast po tym, jak tłum nagle umilkł.

– Co wy, ludzie, najlepszego robicie!?! – Rozpoznał głos księdza. – Mało wam krwi? Mało ofiar? Chcecie być tacy sami jak ci mordercy?

Tłum zafalował we wrogim szemraniu.

– Oko za oko! To kacap! – krzyknął ktoś odważniejszy z drugiego szeregu.

– Ty mi tu z Biblią nie wyjeżdżaj, Kłosowski! Do spowiedzi lepiej przyjdź, bo już cię dawno nie widziałem... A piąte przykazanie mówi: nie zabijaj. Na razie on niczemu nie winien. Dowodów nie ma. Wydobrzeje, przed sądem stanie. Winę mu udowodnię, to wtedy zawiśnie. Nie wcześniej. Ja na samosąd przed kościołem nie pozwolę...

Frołow zacisnął powieki. Teraz się wszystko ważyło, w tej minucie, która dłużyła się i wlokła jak poranna mgła nad ścierniskiem. Słyszał, jak ludzie przestępują z nogi na nogę, szurają po ziemi niezdecydowanie, jakby nie wiedzieli: zostać i dokończyć dzieła czy posłuchać duszpasterza swego. A

potem wszystko ucichło. Odważył się i otworzył oczy. Odeszli. Tylko chudy kundel zmagał się z rybią ością, wlokąc ją po ziemi...

Dzień szósty

Tego ranka po raz pierwszy poczuł się lepiej. Gorączka ustąpiła. Leżał z szeroko otwartymi oczami, a rozbiegane myśli tłukły mu się po głowie niczym gzy przy końskim ogonie. Rzecz w tym, że pewne rzeczy mieściły mu się w łepetynie, a niektóre wręcz przeciwnie, uwierały i nijak nie dawały się zagonić na swoje miejsce.

No bo, dajmy na to, zachowanie tych Polaków. Chcieli jego śmierci. *Charaszo*. Dobrze to rozumiał. Na ich miejscu postąpiłby tak samo. Odnaleziono te dziewczyny, takie tutejsze Tatiany. Przecież zajebałby każdego, kto by jej krzywdę zrobił, cnotę zabrał gwałtem i w polu porzucił... Nie można mieć do nich pretensji, bo i o co? No, może o to, że on, Iwan Frołow, palców w tym haniebnym czynie nie maczał. Taki szczegół. A towarzysze, bez dwóch zdań, się nie popisali. Co to, to nie.

Potańczał zafrasowane czoło. Wojna nie wojna, ale po co było zaraz te dziewczyny ruszać i gwałcić? Życia pozbawiać? Wiadomo, żołnierz na froncie za spódnicą jak pies za kiełbasą, ale żeby takiego mordy się dopuszczać?

Większy kłopot miał z księdzem Zygmuntem. Złapał się na myśli, że go już w myślach tak nazywa: ksiądz Zygmunt, a nie klecha, jak poprzednio... Dobry ojczulek, jak ich stary pop, sprzed rewolucji znaczy się. Dlaczego go uratował przed tą ciżbą? Wstawił się za nim, własną pierś zasłonił? Za nim, czerwonoarmiejcem i wrogiem, gołodupcem z dalekiego sioła, którego ledwie co na własne oczy zobaczył. I którego miał za bezbożnika i barbarzyńcę, widać przecież było, jak na niego patrzy jak na bożego raba, który skręcił w złą stronę i na zatracenie z Armią Czerwoną maszerował. Życie nauczyło Iwana, że biedny zawsze dostaje po dupie. Skończył tylko

cztery klasy, ale swój rozum miał. Tyle twego, ile wywalczysz pięściami. Ludzkie życie tyle było warte ile końskie łajno. I wsio!

Dlatego tak do rewolucji przyłgnał; bo po raz pierwszy ktoś mu powiedział: ty, Iwan, ziarno piasku jesteś, mały trybik w wielkiej maszynie. Ale sprawa jest wielka. Warto nawet za nią życie oddać. Nie jesteś od dziś sam. *Wyklęty powstań, ludu ziemi, powstańcie, których dręczy głód...* Nawet jeśli zostaniesz nawozem historii, to twoja ofiara nie pójdzie na marne. I wsio! To było coś... Po raz pierwszy poczuł się potrzebny.

Wczorajsze zdarzenie nijak mu nie pasowało do tego obrazu. Zaczadziały wrogą propagandą lud powinien go rozwalić – a nie zrobił tego. A katolicki ksiądz, nie wiedząc czemu, wyrwał go z objęć pewnej śmierci. O tę jego duszę się rozchodziło? Miał w sobie jeszcze coś, co było cenne dla innych? Nie tylko szybkie nogi, celne oko i twardą skórę żołnierza, który zniesie wszystko? Ale czy ktoś widział kiedyś duszę? Co to niby takiego? Z czym to się je? Z omastą czy bez? Śmiechu warte!

Wzdrygnął się. Musi przestać. Od myślenia tylko głowa boli, tak mawiał ich polityk. Dusza? Katolickie bajanie, żeby ludzi do posłuszeństwa panom przymusić... Na ziemię wrócić musi z tego ich nieba. Przeżyć jakoś trzeba, z opresji się wyzwolić, czmychnąć z tej klatki do swoich.

Inna sprawa, że tych dziewczyn szkoda... Czy to na pewno rewolucja się o nie upomniała? Co sprawie proletariackiej po takim barbarzyństwie? A może to o zwykłą chuć się rozchodziło, a towarzysze gardłem za tę zbrodnię zapłacić powinni?

Dzień siódmy i ostatni

Już przywykł do tych kościelnych dzwonów o poranku, głośnego ziewania organisty, cichych kroków ministranta zmierzającego do zakrystii. Polubił zwłaszcza to pianie kogutów dobiegające gdzieś ze wsi rozłożonej nad rzeką, opartej glinianymi domami o ciemny bór. Mógł ulec złudzeniu, że jest bliżej domu. To jednak nie był jego dom.

Po raz pierwszy spróbował stanąć na własnych nogach. Zsunął się z łóżka i niepewnie stanął na podłodze. Zaszumiało mu w głowie, ale przytrzymał się ściany. Zrobił kilka kroków i wyczerpany dotarł ponownie do łóżka. Dobre i to.

Zegar na wieży wybił dziesięć razy, gdy wszystko się zmieniło. Usłyszał warkot samochodu. Potem doleciały go krótkie szczękliwe komendy, trzaskanie butów. Wojskowi! To nie wróżyło dobrze.

Drzwi od zakrystii otworzyły się nagle, jakby przybyszom bardzo się spieszyło. W progu stanął młody oficer w przekrzywionej rogatywce. Towarzyszył mu żołnierz, którego Iwan widział już wczoraj. To on wywlekał go na dziedziniec kościoła.

– To ten? – Oficer spojrzał na niego bystro.

– Jużci, że ten. Niech pan porucznik spojrzy... Już wczoraj te buty przyuważylem...

Mówiąc to, schylił się i wyciągnął stojące pod łóżkiem zdobyczne oficerki Iwana.

– Skąd je masz? – Oficer zwrócił się w stronę Iwana. Na policzki wystąpił mu krwisty rumieniec.

– Buty? – zapytał zdziwiony Iwan.

– Tak, te oficerki. Skąd je masz?

– Trofiejne, zdobyczne znaczy się.

– A, zdobyczne, powiadasz? – Po twarzy oficera przebiegł nerwowy skurcz. – Szeregowy, wyciągnijcie więźnia z tego barłogu.

Żołnierz bez chwili zwłoki szarpnął Frołowa za koszulę.

– Wstawaj, gadzie!

– O co znowu chodzi? Ja niczemu nie winien. Ksiądz wszystko wyjaśni. Nie mam nic wspólnego ze śmiercią tych dziewczyn. Sąd mi się należy...

– Właśnie będziesz sądzony, bolszewiku. – Oficer wskazał żołnierzowi wyjście. – Na dwór z nim!

Na podwórzu stał gazik. Wokół niego kręciło się kilku wojskowych. Jeden z nich siedział przy sosnowym stole zbitym z kilku nieheblowanych desek. Jego ogolona głowa świeciła w słońcu. Żar lał się z nieba.

Iwana siłą posadzono na zydlu naprzeciwko stołu. Za placami tysego oficera stanęło dwóch wojskowych. Patrzyli na Iwana, ale ten miał wrażenie, że w ogóle go nie widzieli.

To, co mówili, docierało do niego jak zza jakiejś zasłony. Szumiało mu w głowie. Rejestrował tylko poszczególne słowa, strzępy zdań.

„Wyrokiem sądu wojskowego...”, „za zabójstwo pojmanego polskiego oficera i obrabowanie jego zwłok”, „dowodem buty porucznika Wojciechowskiego, charakterystyczne, koloru wiśniowego, zidentyfikowane ponad wszelką wątpliwość”, „na karę śmierci przez rozstrzelanie...”.

Dopiero ostatnie zdanie wybrzmiało jak granat. Iwan Frołow wzdrygnął się. Śmierdział potem, lękiem, zmęczeniem. Ubiją go za cudze buty? To szutki jakieś? Spojrzał w niebo, mrużąc oczy. Stado czarnych kruków wzbiło się w powietrze, zataczając ciemny krąg nad ich głowami.

Chciał im powiedzieć, że on nie winowaty. I że te buty ukradł Stiepanow, ale nie może tego potwierdzić, bo już nie ma połowy głowy i tylko straszy we śnie, unosząc się nad ziemią na swoich kulach... Chciałby im powiedzieć, że jest zmęczony, śmiertelnie zmęczony. I że ma już dość rewolucji, całej tej wojny, rzezi i wielkiej sprawy. Towarzysze tym razem przegięli, Armia Czerwona nie od tego, by z babami wojować...

A on marzy tylko o jednym: aby powrócić do Małej Skatowki, przemyć twarz w rzeczce na skraju sioła, z której wyciągał bolenie i sumy wielkie jak pień drzewa... I chciałby wtulić zmęczoną głowę w wielkie, ciepłe piersi Tatiany...

Nawet nie otworzył jednak ust, bo i po co? Są takie chwile, kiedy wiesz, człowieku, że już po tobie, że skamlanie nic nie da. Jak to dziad Pietia gadał? Żyjesz z wilkami, to wyj jak wilk... To po co gadać po próżnicy?

Stanęło przed nim trzech żołnierzy. Chyba byli bardziej zdenerwowani od niego... Błysnęła stal karabinów. Krótka komenda. Jeszcze raz spojrzął

w niebo. Chmura miała kształt wielkiego suma, takiego olbrzyma z
włosami. Ciekawe, kiedy nadpłynie nad Małą Skatowkę?

Któż to wie?

ANNA BIŃKOWSKA

MECHANIK

POCZĄTEK SIERPNI 1920

Odgłos silnika przypominał ryk jakiegoś zwierzęcia. Na przykład lwa, choć porucznik Tomasz Dowgiałło w swoim dwudziestokilkuletnim życiu nigdy nie słyszał ryku lwa, ba, nawet nigdy takiej bestii nie widział na własne oczy! W Uhowie pod Białymstokiem, skąd pochodził, w lasach narwiańskich nie było lwów, a na cyrk nigdy nie było go stać. Lwy znał tylko z obrazków, ale niewątpliwie odgłos, jaki z siebie wydawały, musiał brzmieć jak ryk silnika.

A w zasadzie to ryczało całe stado lwów – sześć wozów bojowych grzmiało silnikami. Jak tanki podczas niedawnej Wielkiej Wojny.

Choć, prawdę mówiąc, podobno silniki tamtych były ciche, ale tanków Dowgiałło, podobnie jak lwów, również nie widział na własne oczy. Znaczący widział, ale nie w akcji. Zaciągnął się do piechoty, strzelał doskonale, sporą część dzieciństwa spędził w puszczy ze strzelbą na ramieniu, ojciec był leśniczym. Nie po drodze mu było jakoś z tankami. I na co mu przyszło – ostatecznie i tak skończył w ruchomej puszczy, wystawiony na cel bolszewikom jak kaczka podczas polowania!

W pancerną burtę samochodu ktoś zastukał gwałtownie, a Dowgiałło drgnął nerwowo i złapał za uchwyt maxima zamontowanego w wieżyczce.

– Drażki kierownicze są wzmocnione – powiedział szczupły mężczyzna w skórzanym płaszczu stojący obok samochodu. Miał na głowie skórzaną czapkę i wąskie okulary przesunięte na czoło. Przez ramię przewiesił

płaskie pudełko z pokrętłami z jednej strony. Na jego twarzy, pod okazałym nosem pysznił się wąs jak szczotka. – Pancierz jest bezpieczny, ale podłoga jest drewniana, więc ostrożnie. – Mówiąc to, patrzył na wóz i wodził palcami po pomalowanych na cztery kolory kamuflażu stalowych płytach nadwozia w sposób, który Dowgiałle kojarzył się bardziej z obchodzeniem się z kobietą niż z samochodem, zwłaszcza pancernym.

– Jasne. – Kierowca siedzący nieco poniżej przed Dowgiałłą, Marian Raszyna, pokiwał głową i odchrząknął, bo głos mu się łamał. – Ile... ile mogę tym jechać maksymalnie, panie inżynierze?

– Do pięćdziesięciu na godzinę, choć w terenie... – Inżynier zawiesił głos.

Dowgiałło wzdrygnął się. Pięćdziesiąt kilometrów na godzinę! To tak, jakby jechać z Uhowa do Supraśla, trochę okrężnie! W ciągu godziny!

Raszyna wydawał się w tej kwestii dużo spokojniejszy. Może i dobrze, przecież był kierowcą. Siedzącym prawie w kucki, czy też nawet półleżącym, ale wciąż kierowcą.

– Boicie się? – zapytał niespodziewanie inżynier. Być może dostrzegł pobielające kłykcie Dowgiałły zaciśnięte na maximie. Albo usłyszał to w głosie Raszyny.

– Absolutnie nie, panie inżynierze – odparł Dowgiałło bez chwili namysłu. Żaden z nich nie miał wątpliwości, że kłamał, ale przecież żołnierzowi Wojska Polskiego nie wypadało przyznać, że najchętniej uciekłyby w te pędy!

– Strach to naturalny odruch ludzki – powiedział z uśmiechem inżynier. Odszedł wóz z drugiej strony, poprawił mocowanie siekiery na lewej burcie i dwoma placami zasalutował do swojej skórzanej czapki, po czym odszedł na bok i wsiadł do stojącego za wozami pancernymi forda T, wybierając siedzenie obok kierowcy.

– Co on miał w tym pudełku? – zastanowił się na głos Raszyna, wychylając się z wozu i oglądając za odchodzącym mężczyzną.

– Aparat fotograficzny, ty głąbie. – Dowgiałło założył okulary. – Obiektyw się otwiera tam ze środka. Świat poszedł do przodu, wszystko jest mniejsze i automatyczne. Zobaczysz, w przyszłości taki Raszyna nie będzie potrzebny, bo samochody będą same jeździć!

– Ta, i jeszcze może karabiny będą same strzelać, a samoloty latać – mruknął kierowca, ale Dowgiałło nie dosłyszał go przez dźwięk gazujących w miejscu silników i gwar obozu. – Ty! – powiedział głośniejszym głosem, przebijając się przez odgłos pracujących maszyn. – A po co mu aparat?

– Inżynier Tański jedzie za nami w tamtym aucie, po szosie. Będzie robił zdjęcia. – Dowgiałło sprawdził zamek maxima. Draństwo lubiło się zacinać w najmniej odpowiednim momencie.

– W trakcie walki...? – Raszyna kręcił się na swoim miejscu, próbując znaleźć w ciasnej przestrzeni jak najwygodniejszą pozycję. – To chyba niebezpieczne. Myślisz, że on tak... bez strachu...?

Dowgiałło wzruszył ramionami.

– Wojna jest niebezpieczna – odparł. – No, zamykaj włącz, ruszamy! Na bolszewika!

Sześć samochodów pancernych wystartowało z rykiem z miejsca, wypluwając z siebie kłęby spalin. Za nimi ruszył ford. Kilkanaście kilometrów dalej wozy zjechały z drogi na Ostrołękę na ściernisko i ustawiły się w tyralierze; nieco za nimi po szosie mknął niepozorny samochód. Liście na mijanych drzewach były nieco pożółknięte, jakby już był wrzesień, a nie dopiero początek sierpnia.

Ale Dowgiałło nie zważał na naturę, ściskając kurczowo rękojeść maxima i wbijając wzrok w horyzont. Pęd powietrza uderzał go w wystawioną ponad wieżyczkę twarz i zapierał dech w piersiach.

W oddali coś jakby się poruszyło.

Wydawało mu się, że samochód zadrżał; Raszyna również dojrzał przez swoją szczelinę obserwacyjną ruch w odległości i dodał gazu.

Dowgiałło przyłożył się do celownika maxima.

– W imię Ojca i Syna – szepnął.

Inżynier Tański, wciąż w swoim fordzie na szosie, widząc, że wozy pędzące po ściernisku jak jeden mąż przyspieszyły, otworzył aparat.

Rozległy się pierwsze strzały.

* * *

CZERWIEC 1920

Rulon papieru uparcie się zwijał pomimo ciągłego rozprostowywania przez Tańskiego. Inżynier czynił to jednak automatycznie i bez zastanowienia, jemu rysunek nie był potrzebny. Wykonany ołówkiem szkic podwozia nieco się rozmazał. Zniecierpliwiony generał Gołogórski postawił w końcu na jednej krawędzi rulonu popielniczkę, a na drugiej położył jedną z teczek ze swojego biurka.

Tański nawet nie zwrócił na to uwagi.

– Podwozie lekko zmodyfikowałem, tylny most wymaga zdecydowanie wzmocnienia, a kierownicę trzeba lekko pochylić, a wieżyczka oczywiście obrotowa, trrrrrr, z karabinem. – Chwycił ze stołu szklankę z herbatą i pociągnął łyk. Generał spojrzał krzywo na inżyniera, na jego wygniecioną marynarkę i buty, które ostatni raz pastę widziały chyba jeszcze za czasów panowania cara Mikołaja II. Tański spojrzenie wyłapał. – Chce pan? – Wyciągnął do generała szklankę z herbatą.

Sumiaste wąsy generała, noszone na dawny wzór austriacki, poruszyły się niebezpiecznie, a łysina okolona posiwiałymi włosami poczerwieniała – znak, że generał się gotował. Atmosfera w gabinecie szefa Departamentu II Wojsk Technicznych Ministerstwa Spraw Wojskowych była gęsta nie tylko od unoszącego się w powietrzu dymu tytoniowego.

Pułkownik Rycki, stojący dotąd nieco z boku z fajką w zębach, stanowczo odebrał Tańskiemu herbatę i odstawił na bok. Znał Tańskiego jeszcze z czasów studiów w Paryżu, wiedział, że jest oryginałem – choć to właściwie mało powiedziane.

– Co pan Tański chce powiedzieć – wtrącił się Rycki, ściągając na siebie uwagę generała – to to, że możemy zacząć produkcję własnych samochodów pancernych, nie czekając na wozy z Francji i Włoch, które nie wiadomo kiedy przyjadą...

– Albo czy w ogóle przyjadą. – Tański usiadł na fotelu i sięgnął po stojące w miseczce na biurku generała orzechy, jego wielką słabość.

Gołogórski łypnął na niego okiem. Sięgnął do papierośnicy na biurku, wyłuskał jednego papierosa i zapalił go od zapalki.

– A ten pancierz to jak pan chcesz zrobić? Fabryki ledwo zipią, skąd mamy wytrzasnąć... ileś pan tu nabazgrał? – Generał pochylił się nad rulonem. Miał niecałe sześćdziesiąt lat i choć nie chciał się do tego przyznać sam przed sobą, to jednak sokolego wzroku już nie miał. – Osiem do trzech milimetrów blachy – odczytał. – Drapie pan jak kura pazurem.

– Jestem mechanikiem, nie artystą. – Tański rozłożył ręce.

– No właśnie, panie generale – wtrącił się Rycki. – I to jest najlepsza informacja. Mamy takie płyty.

Generał uniósł brew i wydmuchnął kłąb dymu.

– Odnaleźliśmy takie w twierdzy w Modlinie, panie generale.

– Tarcze okopowe piechoty z Wielkiej Wojny – odezwał się Tański, wstając z fotela. – Leży tego zapomniany stos. Gospodarka państwowa...

– Gotowe do wykorzystania – przerwał Rycki, który postanowił zainterweniować, zanim inżynier zapędzi się w kozi róg i palnie coś, co go zupełnie przekreśli w oczach generała. – Płyty na panczerze są praktycznie gotowe.

Generał w milczeniu zaciągnął się papierosem. Podkreślił węża, wpatrując się w bazgroły na rulonie. Pułkownik poczuł, jak robi mu się gorąco pod kołnierzem munduru, więc dla uspokojenia pyknął fajkę. Generał był stosunkowo od niedawna w Warszawie na stanowisku, Rycki nie poznał go jeszcze zbyt dobrze. Nie wiedział, czy będzie w stanie przejść do porządku dziennego nad nieco ekscentryczną osobowością Tańskiego,

akceptując jego talent konstruktorski, czy też będzie się sztywno trzymał zasad.

Zerknął na Tańskiego, ale ten zajadał orzeszki podkradzione generałowi z biurka. Cholerny ekscentryk, który konwenanse miał w nosie. Kiedyś napyta sobie tym biedy!

– Hm – odezwał się w końcu Gołogórski i postukał palcem w rysunek. – To podwozie...

– Ford T, panie generale.

– Reszta nasza.

– Nasza, panie generale.

– Hm.

Rycki miał wrażenie, że zaraz się rozplynie z nerwów. Sam nie wiedział, czemu aż tak się tym przejmuje. Przyjaźnił się z tym szaleńcem Tańskim od lat, może dlatego. A może z tego powodu, że ostatnie potknięcia z bolszewikami bolały go coraz bardziej i chciał, żeby coś w końcu było w stanie rozgonić te czerwone tabuny bez strat w ludziach. A może dlatego, że chciał wierzyć, że ten kraj, ledwo co odzyskany i jeszcze w budowie, będzie w stanie docenić talent, jaki mu wyrósł w postaci tego wariata.

– I kto by to produkował?

– Gerlach i Pulst na Woli – odparł Tański, stając przy stole i również patrząc na projekt. Dość szkicowy, to prawda, ale on sam nie potrzebował dokładnych i precyzyjnych rysunków, widział w głowie, jak to ma wyglądać i działać. – Robili już wagony szturmowe i artyleryjskie, więc panczerzy się nie boją. A podwozia dostosuje CWS.

Generał spojrział na Tańskiego.

– Widzę, że panowie mają na wszystko odpowiedź. Może jeszcze pojedzie pan na front z tymi samochodami, co?

Tański wzdrygnął się. Front i wojna nie były dla niego. Wiedział to, podczas Wielkiej Wojny nie był w stanie się zmusić do zaciągnięcia.

– I pan to tak wymyślił sam z siebie? Jest pan pracownikiem cywilnym Sekcji Samochodowej MSW, nie dostał pan rozkazu ani polecenia

służbowego. Mamy przecież sto dwadzieścia tanków.

Tański podniósł wzrok i hardo spojrzął w oczy generała. Dzieliło ich trzydzieści lat, pozycja, doświadczenie i charakter, ale mimo to inżynier nie zamierzał ustąpić ani pozwolić się zepchnąć na podrzędną pozycję.

– Bo tak trzeba, panie generale – powiedział twardo. – Tanki są głośnie i powolne, a samochody pancerne umożliwią naszym wojskom szybki i niezauważony przejazd na dużych odległościach. Jeśli Francja i Włochy nie chcą... – tu się zawahał, kiedy Rycki syknął znacząco – ...bądź nie są w stanie nam pomóc i przysłać wozów pancernych, które według mnie stanowią o przyszłości wojen, dając zaskoczenie, szybkość, skuteczność... to musimy poradzić sobie sami.

– Sami, mówi pan, choć nigdy nie był pan na wojnie. – Generał zdusił papierosa w popielniczce, sięgnął po pióro. Rycki już się ucieszył, że sprawa załatwiona, jednak ręka Gologórskiego zatrzymała się nad rulonem. – Ile czasu zajmie panu przygotowanie tego... jak on się będzie nazywał, ten samochód?

– Ford FT-B. Dwa tygodnie – rzucił Tański.

Rycki zamarł. Dwa tygodnie?!

– Pan jest albo szaleńcem, albo geniuszem, panie Tański. – Generał spojrzął na konstruktora znacząco.

– Mechanikiem, panie generale – odparł Tański niewzruszenie.

– Zatem ma pan dwa tygodnie, panie mechaniku. – Gologórski złożył zamaszysty podpis na rulonie z projektem.

Rycki ukradkiem poluzował kołnierzyk munduru. Dopiero teraz zauważył, że tytoń w fajce przestał się żarzyć.

* * *

CZERWIEC 1920

Atmosfera w Warszawie była napięta. Gdzieś tam, w stronę miasta pędzili bolszewicy, piechota, konna armia Gaj-Chana, tanki i samochody. Pędzili – ale jeszcze ich pod miastem nie było. Co bardziej optymistyczni uważali, że nic nie jest przesądzone i być może Rosjanie nie staną znów u wrót miasta. Co bardziej pesymistyczni po cichu pakowali manatki i wyjeżdżali.

W samej Warszawie na ulicach było więcej żołnierzy, część z nich dumnie się prężyła, eksponując wstążeczki na piersiach – znak, że zgłosili się na ochotnika. Do miasta stale przyjeżdżały, a także wyjeżdżały z niego kolumny samochodów i wozów, których było znacznie więcej niż zwykle. Było również znacznie bardziej nerwowo – wciąż wybuchały strajki i protesty. Niedawny strajk powszechny spowodował, że zamknięto nawet miejską jadłodajnię. Nic zresztą dziwnego, skoro ceny jedzenia szybowały pod niebo jak aeroplany. Protestowali robotnicy, piekarze; zdawało się, że każdy nagle miał coś do powiedzenia.

– Musisz pójść do fryzjera – odezwała się Maria, a Tański ocknął się z zamyślenia.

Siedzieli na ławce w cieniu wielkich lip nad stawem w Ogrodzie Krasińskich, a niespełna roczna Danusia wyglądała ciekawie zza – szczęśliwie – wysokiej burty swojego wózka, zafascynowana kaczkami pływającymi po tafli wody.

Tański odruchowo dotknął swoich potarganych włosów.

– Nie jest tak źle – mruknął bez większego przekonania. Musiał przyznać, że to Maria zawsze go pilnowała, żeby wyglądał mniej więcej jak człowiek. On co prawda jej wysiłki niweczył w mgnieniu oka, ale doceniał starania.

– Stara Budrysiowa straszyla, że fryzjerzy znów będą strajkować.

– Wszyscy? – zdziwił się Tański. Jakoś nie mieściło mu się w głowie, że fryzjerzy w takich Bristolach czy w Europejskim mieliby zacząć protestować. Tańskiego nawet nie było stać, żeby tam wejść, a co dopiero się ostrzyc!

– Chrześcijańscy fryzjerzy – westchnęła Maria. – Tacy zwykli.

– Dobrze, pójdę się ostrzyc.

Maria wiedziała lepiej. Maria zawsze wiedziała lepiej.

Teraz wstała z miejsca i usadziła wiercącą się Danusię w wózku. Tański również wstał – rodzinny spacer dobiegł końca, czas było wrócić na biedny obiad do domu. Ruszyli bez słowa w stronę placu Krasieńskich, by tam skręcić w Długą i potem w Kilińskiego – i już prawie docierali do Szerokiego Dunaju, gdzie mieszkali w jednej z kamienic.

– Wojna się zbliża – odezwała się Maria, pchając wózek po chodniku Kilińskiego, poprawiając jedną ręką kapelusz na pięknych, ciemnych włosach upiętych nisko nad karkiem.

– Wojna już trwa – zauważył Tański, lekko zaskoczony. Maria nie była przecież głupia!

– Mam na myśli to, że wojna zbliża się do Warszawy – uściśliła i nagle się zatrzymała, łapiąc Tańskiego za rękę. – Tadeusz, wyjedźmy!

Tański nakrył jej dłoń swoją i spojrzał na nią poważnie.

– Nie mogę. Chciałbym, wierz mi, chciałbym, ale ta wojna jest jakaś inna... Przeraza mnie bardziej, ale mimo to chyba nie mogę uciec, bo to jakoś nie w porządku. – Byli małżeństwem od sześciu lat i Maria była jedną z osób, które szczególnie poważał. Wiedział, że nie należał do ludzi łatwych, a mimo to ona zawsze była obok niego. Także podczas Wielkiej Wojny, którą przetrwali we Francji. – Ale wy możecie wyjechać, ty z Danusią – powiedział. – Ojciec ma zaprzyjaźnionych ludzi w Olszance koło Puszczy Mariańskiej.

Maria przez chwilę milczała.

– Nie – oznajmiła w końcu. – Jeśli ty zostajesz... to i my też. Poza tym strach to naturalny odruch ludzki.

Tański uśmiechnął się pod wąsem. Ujął Marię pod rękę i ruszyli dalej w stronę domu. Nie przyznałby się do tego głośno, ale decyzja żony go ucieszyła. Wyjechać nie mógł, ku swojemu własnemu zaskoczeniu, a bał się jak diabli, co również go dziwiło, bo nie nawykł do tego uczucia. Ucieszył się jednak, że Maria zostanie przy jego boku. Był do niej szczerze

przywiązany, nawet do Danusi był przywiązany, choć – musiał przyznać – nie był w stanie powiedzieć, kiedy ma skończyć rok. Wydawało mu się, że chyba pod koniec sierpnia, ale musiałby sprawdzić.

Na rogu Kilińskiego i Podwała stał ford T, przy którym, paląc fajkę, przechadzał się niespokojnie Rycki. Na widok Tańskich pułkownik zatrzymał się i wznosił ramiona do góry w dziękczynnym geście.

– Chryste Panie, nareszcie! – zakrzyknął. – Gdzie ty się podziewasz, Tadeusz?! Pani Mario, uszanowanie – zreflektował się i chwycił dłoń Marii, składając na niej szarmancki pocałunek.

– W parku byliśmy z córką, panie pułkowniku, takie trudne czasy, że trzeba się oderwać – powiedziała Maria. – Może zajdzie pan do nas na kawę zbożową? Prawdziwej nie sposób dostać...

– Niestety, szanowna pani, choć dziękuję za zaproszenie. – Rycki skłonił się dwornie. – Obawiam się, że muszę porwać pani męża.

Tański od razu się zaniepokoił.

– Coś się stało...?

– W zakładach na Dworskiej wybuchł pożar i chyba mamy problem – wyjaśnił zdawkowo Rycki. Tański bez słowa ruszył w stronę samochodu. – Pani Tańska, spotkanie z panią to zawsze wielka przyjemność. – Pułkownik ponownie ucałował dłoń Marii i za Tańskim wsiadł do samochodu.

Maria została sama z wózkiem na rogu Kilińskiego i Podwała.

– Widzisz, Danusiu, zapamiętaj – zwróciła się do córki w wózku – dla twojego ojca zawsze są rzeczy ważne i ważniejsze.

* * *

W wielkiej hali dawnych zakładów Gerlacha i Pulsta przy Dworskiej 29 panowała zaskakująca cisza. Wnętrza na ogół tętniące życiem, pełne huku młotów i młotków, zapachu metalu i smaru, rozświetlane snopami iskier – wydawały się zamrożone w ruchu. Wszędzie śmierdziało spalenizną.

W jednym miejscu zgromadził się tłum robotników, niektórzy – jak na pogrzebie – pozdejmowali czapki.

Tański przedzierał się przez tłum, za nim próbował nadążyć Rycki. Ci, którzy go poznawali, ustępowali mu z drogi i pociągali za sobą kolegów.

Kiedy inżynier przebił się na przód tłumy, jego oczom ukazał się paskudny widok. Prototyp nowego wozu pancernego był spalony do cna, osmalone kątowniki mające tworzyć nadwozie, przymocowane wcześniej do drewnianej konstrukcji wspierającej, teraz leżały bezwładnie wśród zwęglonych resztek.

Przy wraku projektu stał zakłopotany człowiek z Głównego Urzędu Zaopatrywania Armii, który wyglądał tak, jakby miał się za chwilę rozpłakać. Jako przedstawiciel urzędu nadzorczego czuwał nad produkcją nowego pojazdu. Przynajmniej w teorii...

– Panie Tański...! – zakrzyknął, dojrzwawszy konstruktora. – Panie Tański, naprawdę, nie wiem, jak to się mogło zdarzyć... takie nieszczęście...! Pół hali się spaliło...!

Tański w milczeniu obszedł dookoła wrak samochodu. Mniej niż pół hali, ale owszem, pożar pochłonął część zakładów. Dotknął kątowników, które miały tworzyć stelaż wieżyczki. Metal wciąż był gorący.

– Do kurwy nędzy... – wyrwało się Ryckiemu.

– Panowie, naprawdę nie wiem, co tu mogło zajść... – kajał się przedstawiciel GUZA.

Tański przykucnął przy resztkach konstrukcji. Nie było dobrze, ale też nie było tragedii, podwozie z CWS jeszcze nie zdążyło przyjechać, byli dopiero po kilku dniach prac, wóz nawet jeszcze nie przypominał końcowej wersji. A pożary w fabrykach się zdarzały, zwłaszcza teraz, podczas wojny, szczególnie gdy większość robotników strajkowała i Stowarzyszenie Samopomocy Społecznej, składające się w dużej mierze ze studentów i uczniów, przejęło na siebie ciężar utrzymania służb komunalnych w mieście.

Rycki podszedł do Tańskiego i nachylił się nad nim; w nos uderzył go smród spalenizny i metalu.

– To mógł nie być przypadek – rzucił półgębkiem.

– Podpalili? – zapytał szeptem Tański.

– Zapewne, przy tych wszystkich robotniczych strajkach ostatnio – mruknął Rycki.

Tański potoczył wzrokiem po zgromadzonych robotnikach – na większości twarzy widział troskę i zaniepokojenie. Na większości. Inżynier był jednak mniej podejrzliwy niż pułkownik.

Wstał z kolan i otrzepał pobrudzone sadzą nogawki spodni.

Przedstawiciel GUZA podszedł do nich, szarpiąc nerwowo kołnierzyk. Wyglądał tak, jakby miał zaraz paść trupem obok resztek prototypu.

– Dramat, panowie, dramat – jęczał. – Co my teraz zrobimy? Plany poszły z dymem, wszystko trzeba od zera, od zera...!

– Musimy powiadomić generała, że nie zdążymy w terminie. – Rycki skrzywił się. I tak uważał, że dwa obiecane tygodnie to przerażająco mało czasu, ale teraz poinformować go, że się nie wyrobiją, nie z ich winy co prawda, to nie było coś, co chciał zrobić.

Tański pomyślał o zbliżających się bolszewikach. O tym, jak bardzo w gruncie rzeczy przerażały go doniesienia z frontu. I o Marii, która zawsze wszystko wiedziała.

– Nie ma potrzeby informować generała – powiedział z mocą i zdjął marynarkę. Podał ją zaskoczonemu przedstawicielowi GUZA. – Mamy przed sobą półtora tygodnia, zdążymy na spokojnie. Uprościmy to wszystko, nie damy łożyska przy wieży, tylko ją położymy i będzie się obracała na felcu. Będzie prościej i szybciej, a też zadziała. – Podszedł do resztek i rozgarnął nogą spaleniznę. – Trzeba to wszystko uprzątnąć. Potrzebujemy też podwozia z CWS, niech przywożą jak najszybciej. A my zajmiemy się konstrukcją. Mamy jakieś kątowniki? Nie chcę używać tych, które były w ogniu, cholera wie, jakiej jakości to był materiał, nie będziemy ryzykować. Gdzie są blachy do pancerza, które wybrałem w Modlinie?

– Ale... przecież projekt poszedł z dymem – zauważył zdziwiony przedstawiciel GUZA. – Jak mamy zdążyć bez projektu?

– Papier jest nam niepotrzebny – rzucił Tański, podwijając rękawy koszuli, która już się zdążyła ubrudzić sadzą – dopóki jestem ja. Cały projekt jest gotów tu. – To mówiąc, postukał się w głowę. Urzędnik z GUZA zamrugał zaskoczony, a Rycki mimo woli się uśmiechnął.

Sabotaż czy przypadek, Tański był zdecydowany wykonać swoje dzieło w zadeklarowanym czasie. A nawet w krótszym – wiedział, że spokojnie zdąży w niecałe dwa tygodnie. W końcu sam projektował ten samochód!

– Czy ktoś mógłby tylko uprzedzić moją żonę, że przez kilkanaście dni nie będzie mnie w domu?

Podejrzewał, że w najbliższym czasie nie zdąży pójść do fryzjera. Ale może jak on skończy prace nad samochodem pancernym, to zapowiadany przez Marię strajk fryzjerów też dobiegnie końca. Albo ostatecznie Rycki pożyczy mu pieniądze na lepszego fryzjera, żeby Maria się ucieszyła.

* * *

POCZĄTEK SIERPNI 1920

Dowgiałło otarł pot z czoła i odetchnął głęboko. Zapach spalin i prochu był teraz dla niego niczym perfumy. Z trudem wylazł z samochodu i zachwiał się – nogi miał jak z waty. Spojrzał na Raszynę, który gramolił się przez właz samochodu. Strużki potu, które spływały mu po twarzy, stworzyły jasne bruzdy na pobrudzonej pyłem i dymem twarzy kierowcy.

– Nie wierzę, że udało nam się w tym pudle przeżyć. – Dowgiałło poklepał dłonią skrzynię samochodu tak, jak klepie się konia.

– Oże... – zaczął Raszyzna i odchrząknął, bo głos mu się łamał. – Ożeż w mordę bolszewika...

To nie był pierwszy dzień na wojnie ani dla Dowgiałły, ani dla Raszyny. Był to jednak pierwszy ich wypad samochodem pancernym, którym praktycznie nikt wcześniej jeszcze nie brał udziału w walce. Ba! miesiąc

temu ten samochód jeszcze nie istniał! Gdzieś tam testowano niby jeden czy dwa egzemplarze, ale dziś po raz pierwszy samochody plutonu wystąpiły razem, wykazując swoją przydatność bojową.

Dowgiałło rozejrzał się nieco przytomniej. Do obozu wróciło wszystkie sześć wozów. Niesamowite! Ich załogi wyglądały na tak samo skołowanych, jak on i Raszyna. Nic dziwnego, w końcu brali udział w bojowym chrzcie samochodów. Wozy obstąpili mechanicy, ale także żołnierze, zafascynowani maszynami i ich zwycięstwem w starciu z wrogiem.

– Czerwona swołocz rzuciła w nas granatem, ale patrzcie, nic nam nie jest, coś niesamowitego – opowiadał z podekscytowaniem dowódca z sąsiedniego samochodu. – Rozbiliśmy ich, zmykali, jakby im ktoś pieprzu pod ogon nasypał!

Żołnierze zarechotali, ktoś rzucił niewybrednym żartem.

Na teren obozu wjechał czarny ford, zatrzymując się z piskiem obok samochodów pancernych. Ze środka wyskoczył podekscytowany inżynier Tański w skórzanym płaszczu i czapce. Dopadł najbliższego wozu pancernego i zaczął go oglądać, niemal wodząc nosem po karoserii.

– I jak się sprawdził? – zapytał, dotykając wgłębień na wieży samochodu, pomalowanego w barwy kamuflujące, doskonale dopasowane do kolorytu polskich ziem: żółto-zielonkawo-brązowo-szare.

– Jesteśmy cali – odparł Dowgiałło. – Żaden pocisk się nie przebił.

– Za to porucznik kąsał bolszewię jak wściekła osa z tego maxima – wtrącił Raszyna.

– Nooo... był problem lekki – przyznał Dowgiałło. – Maxim się zaciął, kiedy obróciłem wieżę. I w ogóle ciężko ją było obrócić w akcji.

Inżynier Tański kiwał głową, oglądając w dalszym ciągu samochód.

– Nie ma łożyska, to jak ma się łatwo obracać? – Wzruszył ramionami.

– Ale poza tym jest bardzo dobry – pospieszył z zapewnieniem Dowgiałło.

– Ciasny strasznie i w tyłek twardo... – mruknął Raszyzna, ale Dowgiałło trzepnął go przez głowę. – Tak jest, bardzo dobry!

Inżynier pokiwał głową i ukłęknął, żeby zajrzeć pod samochód i zobaczyć, jak wygląda podwozie oraz drewniana podłoga po rajdzie na bolszewików po terenach pod Ostrołęką. Załoga wozu również się pochyliła, wypinając tylne części ciała.

Ciasny, ciasny, nie projektował przecież pałacowych komnat, tylko pojazd pancerny przeznaczony do warunków wojennych; w okopach Wielkiej Wojny używano niewielkich tarcz! I tak dobrze, że wojsko zostawiło ten złom na miejscu w Modlinie, bo teraz okazał się wielce przydatny. A że rozmiary tarcz częściowo wymuszały ograniczoną przestrzeń? Trudno!

– Tański, do jasnej cholery, co pan wyrabia?! – rozległ się nagle wściekły głos generała Gołogórskiego. Dowgiałło i Raszyzna natychmiast wyprostowali się i zasalutowali, ale generał nawet nie zwrócił na nich uwagi.

Tański wyjął głowę spod samochodu, ale nie odwracał się jeszcze.

– Bardzo jest wściekły? – zapytał cicho załogę samochodu.

– Jak diabli – odparł Dowgiałło półgębkiem.

Tański westchnął i wstał z kolan.

– Panie generale, nie wiedziałem, że pan dzisiaj w terenie – powiedział, odwracając się.

Generał stał obok forda, którym Tański jechał za samochodami pancernymi, i wyglądał na poważnie zirytowanego. Towarzyszył mu pułkownik Rycki – ku zaskoczeniu Tańskiego równie wściekły jak Gołogórski.

– Co to ma być, panie Tański? – ryknął generał. Tański ściągnął z głowy czapkę.

– Test bojowy plutonu samochodów pancernych 8 Brygady Jazdy 1 Armii, panie generale – odezwał się Dowgiałło służbiście.

– Nie ciebie pytam, żołnierzu! – Gołogórski nie miał czasu i ochoty na żarty. – Won mi stąd, ale już!

Dowgiałło i Raszyzna stuknęli obcasami, zasalutowali i w tempie błyskawicznym czmychnęli na bok, poza zasięg wzroku wściekłego generała. Tański ruszył za nimi, ale pułkownik Rycki był szybszy.

– Ty zostajesz, Tański! – Rycki złapał inżyniera za kołnierz płaszcza.

Tański z niechęcią się zatrzymał.

– Co to ma być, ja się pytam! – Generał walnął dłonią w karoserię fordą. Konstruktor zerknął na drzwiczki i dopiero teraz zauważył, że cały samochód był poharatany pociskami. Ciekawe, w ogóle nie zauważył ich uderzeń, kiedy w toku walki jechał obok swoich samochodów pancernych... Generałowi chodziło o te przestrzeliny? Nie sądził, że jest aż tak małosłowny, no ale cóż.

– No dobrze, trochę zepsułem samochód. – Wzruszył ramionami. – Ale to przecież betka, wyklepie się w warsztatach CWS...

Generał poruszył wściekle wąsami. Zupełnym przypadkiem akurat był w sztabie cofającej się 1 Armii pod Ostrołęką, kiedy doniesiono mu, że Tański w zwykłym samochodzie niczym szalowiec pognął za pancernymi fordami, które po raz pierwszy w takiej liczbie, w pełnym rynsztunku ruszyły do starcia z bolszewikami. I co – i wrócił w samochodzie podziurawionym jak sito!

– Czy on jest tak głupi, czy sobie stroi żarty? – zwrócił się ostro do Ryckiego.

– No przysięgam, panie generale, to naprawdę da się naprawić. – Tański wsadził palec w dziurę w karoserii. – Owszem, trochę pracy trzeba będzie w to włożyć, ale doprawdy, pieklić się tak o jeden głupi samochód...

Generał zgrzytnął zębami.

– To nie o samochód chodzi, tylko o ciebie! – zirytował się Rycki.

– O mnie...?

– Czy ty naprawdę nie pojmujesz, że jak ostatni idiota naraziłeś się na niebezpieczeństwo? – Rycki wiedział, że Tański czasem myśli w odmienny

sposób, ale teraz nawet i jemu kończyła się cierpliwość. – Co, gdyby jeden z tych pocisków trafił w ciebie? Jakim cudem ty w ogóle żyjesz?!

– Ale nie trafił... – Tański wzruszył ramionami.

– Nie? – Generał podszedł do Tańskiego i chwycił poły jego skórzanego płaszcza, unosząc je do góry. Inżynier ze zdumieniem ujrzał w materiale dziurę, której nie było, kiedy ruszał, tego był pewien. – A to to co, myszy panu wyjadły?! Jest pan kompletnie nieodpowiedzialny! Po cholere pan tam się pchał w ten kocioł?!

Prawda była taka, że jakoś zupełnie zapomniał wówczas o niebezpieczeństwie i śmigających pociskach. Bał się wcześniej, jasne. Ale kiedy ruszył za pancerniakami, zupełnie o tym zapomniał. Pierwszy raz widział walkę z tak bliska – i zupełnie zapomniał się bać. Były przecież rzeczy ważne i ważniejsze, strach był ważny, ale samochody – ważniejsze. Już się nie bał. I nigdy już nie miał się bać.

– W celu dokumentacji. – Tański z godnością wyjął połę płaszcza z rąk generała. Sięgnął do samochodu po aparat fotograficzny. – Musiałem zobaczyć, jak wozy dają sobie radę w akcji. Przecież muszę wiedzieć, jak je ulepszyć!

Generał pokręcił głową z niedowierzaniem.

– On nie rozumie – powiedział sam do siebie. – On naprawdę nie rozumie...!

– Przecież jestem mechanikiem. – Tański oparł się o przestrelony samochód.

Rycki westchnął.

– Jesteś mechanikiem, na którym nam bardzo zależy i którego nie możemy stracić. – Poklepał Tańskiego po ramieniu. – A wozy jak, tak w ogóle? – zapytał mimochodem.

Tański się rozpromienił.

– Dostanie pan za to pochwałę – mruknął generał, obserwując go spod oka. – Ale dopilnuję też, żeby za dzisiejszy wybryk dostał pan naganę!

Tański machnął ręką. Nie zależało mu ani na pochwałach, ani na naganach. Zależało mu na tym, żeby tworzone przez niego sprzęty były dobre.

– Wróci pan z nami do Warszawy – zdecydował Gołogórski i wciąż fukając pod nosem, ruszył w stronę dowództwa Brygady, gdzie stał jego służbowy samochód. Tański rzucił ostatnie spojrzenie w stronę wozów pancernych, przeczesał palcami włosy, po czym pospieszył za generałem i Ryckim.

– Panie generale, mógłby mi pan pożyczyć na fryzjera?

Przedstawiona historia wprowadzenia samochodu pancernego według projektu Tadeusza Tańskiego jest oparta na faktach, choć została oczywiście zbeletryzowana. Część osób i wydarzeń pozostaje fikcyjna. Ale zbudowanie prototypu samochodu pancernego w dwa tygodnie przez ekscentrycznego Tańskiego jest jak najzupełniej prawdą.

MARCIN CISZEWSKI

MOST

– Karpiuk!

– Jestem, panie poruczniku – odkrzyknął kapral.

Wojdat raczej domyślił się odpowiedzi, niż ją usłyszał. Sowiecka artyleria ani na sekundę nie zwalniała tempa. Trzydzieści dział waliło ile mocy w zamkach i siły w mięśniach podających pociski kanonierów. Huk eksplozji niemal rozrywał bębunki. Odłamki fruwały niczym stado drapieżnych ptaków, raniąc i zabijając. Z ich kompanii – niezbyt co prawda licznej jeszcze przed rozpoczęciem walk – zostało dziewiętnastu ludzi. Dziewiętnastu. Byli ostatnią zaporą przed mostem.

Porucznik nachylił się. Chciał być dobrze zrozumiany. Rozkaz, który zamierzał wydać, uznawał za naprawdę ważny. Również z tego powodu, że posyłał czterech ludzi na pewną śmierć.

– Weźmiesz trzech żołnierzy, kulomiot i tyle amunicji, ile zdołacie udźwignąć! – wrzasnął wprost w niemyte od wielu dni ucho Karpiuka. – I obsadzisz ten dom. Widzisz? – Wyciągnął rękę, celując dłonią w niewielką kamieniczkę dominującą nad prawą pierzeją ulicy.

Karpiuk wolałby nie widzieć, w ogóle zdecydowanie chciałby, żeby porucznik wybrał kogoś innego. Nie był głupi. Wiedział, co czeka śmiałka, który spróbuje pokonać biegiem sto metrów otwartej przestrzeni. Piekielny chichot przelatujących tuż nad głową kul i skowyt rozdzieranego odłamkami powietrza uświadamiał mu to od godziny. Porucznik miał swoje kalkulacje, a on, kapral Wojciech Karpiuk – swoje. Porucznik chciał obronić most. Karpiuk – przeżyć. Ot, sprzeczność. Jednak skinął głową. Nie

miał wyboru – gdyby decydowała wyłącznie jego wola, byłby daleko stąd. Koniec końców jednak nosił mundur i składał przysięgę na wierność Rzeczypospolitej. W wojsku obowiązuje hierarchia. Ci, którzy są wyżej, mają prawo rozkazywać tym, co pod nimi. I nawet wysłać ich na zatrącenie.

Karpiuk rozumiał kalkulacje porucznika. Przed kilkoma godzinami był świadkiem pewnej rozmowy, stał nie dalej niż o parę kroków i nie żeby specjalnie słuchał, ale tamci przecież nawet się nie kryli ani za bardzo nie ścisiali głosu. Major Mościcki, oficer postawny, wąsaty, cieszący się dużym autorytetem, przeprowadziwszy żądaną przez dowództwo armii serię bezsensownych z operacyjnego punktu widzenia i krwawo odpartych przez bolszewików ataków, pojawił się bez wojska i w podartym mundurze przy ostatniej barykadzie blokującej przeprawę przez Wisłę, po czym stwierdził jasno: „panowie, nie mam już kim dowodzić, jednak mostu nie przejdę, ponieważ Płock odegrać może rolę decydującą w bitwie o Warszawę”. Przysłuchujący się oficerowie, w tym Wojdat rzecz jasna, przytaknęli gorliwie i owa gorliwość Karpiukowi w ogóle się nie spodobała. Bitwa warszawska czy nie warszawska – życie można było stracić równie dobrze w tej, jak każdej innej. Rozumiał oczywiście, że jeśli bolszewicy przejdą przez most, polskie wojsko straci lewobrzeżną część miasta, a jak ją straci, to krwawe sokoły z 3 Korpusu Kawalerii, z budzącym grozę atamanem Gajem Bżyszkianem na czele, będą mogły swobodnym lotem pomknąć do Warszawy, od północy i zachodu przeciw niebronionej. Tu nic tajemnego nie było, a Karpiuk swój rozum miał, więc pojmował te zależności aż nadto dobrze. Zrozumienie nie wykluczało jednak chęci przeżycia. Wystarczyło spojrzeć: naszego wojska mało, a bolszewików dużo, u nas armat dwanaście, a tam trzykroć więcej, w kulmiotach proporcja jeszcze gorsza (u nas kulmioty głównie zresztą zdobyczne, bolszewickie), amunicji tyle, co kot napłakał, i to wcale nie tłusty kocur, ale mały, chudy kotek. Więc jak tu walczyć? Zgłaszającymi się na ochotnika licealistami, młodymi dziewczuszkami i harcerzami, pełnymi zapału, ale bez przeszkolenia i broni? Regularne wojsko trzymało się ostatkiem sił: jedna z kompanii 10 Pułku Piechoty poszła w rozsypkę, 17 Pułk Ułanów

Wielkopolskich liczył połowę stanu wyjściowego, Karpiuka własna kompania nawet tego nie. W innych oddziałach nie było lepiej – wszystko przez bezsensowne, wymuszone przez Sikorskiego wczorajsze ataki. Tak czy inaczej, żołnierz był śmiertelnie zmęczony i zniechęcony, wiary w przetrwanie – o zwycięstwie nawet wspominać nie warto – nie było w nim prawie w ogóle.

A tu porucznik Wojdat, brudny, niedożywiony i cierpiący na nadkwasotę, robi z Karpiuka ostatnią zaporę przed bolszewicką nawałą. Wie, że linia obrony jest cienka jak szewska nić, a między barykadą i mostem nie ma żadnych odwodów, major Mościcki rządzi tym, co ma, a nie ma prawie niczego, zapal jedynie. Więc Wojdat nie pyta kaprała Wojciecha Karpiuka o zdanie, tylko po prostu czyni odpowiedzialnym za powodzenie obrony mostu, Warszawy, ba, Polski całej. I każe poświęcić życie.

Jednak rozkaz to rozkaz.

– Tak jest, panie poruczniku! – krzyknął kapral, krzywiąc się wewnątrz na prezentowany w głosie zapal, co z tego, że udawany. – Widzę.

Czując na sobie spojrzenia reszty żołnierzy, którzy mimo piekielnego hałasu i konieczności trzymania głowy nisko, domyślili się bez pudła, o co chodzi porucznikowi, i cieszyli się, że to nie na nich wypadło, że choć na kwadrans odwlekli wyrok śmierci, Karpiuk odwrócił się i wbił wzrok w Majchrzaka, Bieguna i Kowalczyka.

– Pójdziecie ze mną! – wrzasnął. – Brać kulomiot, skrzynki z amunicją i jazda.

Spojrzeli na niego ze złością i rozczarowaniem – identyczna mina na trzech, tak przecież różnych, twarzach w normalnych okolicznościach mogłaby wydawać się nawet zabawna – ale nie protestowali. Byli sekcją cekaemu, więc wiadomo było do początku, na kogo padnie. Majchrzak sprawnie zdjął z podstawy lufę zdobytego przed kilkoma godzinami maxima, owinał szyję taśmą amunicyjną, po czym z pomocą Wojdata wrzucił sobie żelazo na ramię. Kowalczyk, również ubrany w złożony z

dwustu pięćdziesięciu naboju naszyjnik, dźwignął ważącą ponad czterdzieści kilogramów kołową podstawę, Wojdat wzorem kompanów powiesił sobie na szyi jedną taśmę, w obie dłonie złapał dwie skrzynie amunicji z kolejnymi. Karpiuk przerzucił swojego mosina przez plecy i wziął w dłoń trzecią skrzynkę – ciężka cholera była, niech to diabeł porwie – po czym wszyscy jak na komendę spojrzeli na porucznika.

– Zaraz ruszy atak. Oni nie mogą przejść, jasne? – krzyknął Wojdat. – Postaramy się was osłonić.

Karpiuk przytaknął, a potem się obejrzał. Teren opadał lekko, więc widział most jak na dłoni. Oddalona nie więcej niż o dwieście metrów nowoczesna, kratownicowa konstrukcja była dumą mieszkańców Płocka i jeszcze nie tak dawno, przed najazdem, źródłem niemałych dochodów miasta. Teraz stanowiła strategiczną arterię wojny. Mostem można było uciec. Mogły nim również nadejść posiłki – Karpiuk na własne uszy słyszał, że lada chwila powinny nadciągnąć odwodowe bataliony 5 Armii. Plotki krążyły w powietrzu od kilku dni, a posiłki jakoś nie nadciągały, od wschodu nadeszli za to bolszewicy w miażdżącej przewadze. Jeśli przedmoście padnie, wróg zdobędzie most i nic go już po drodze do Warszawy nie zatrzyma. Prosta sprawa.

Nie było nic więcej do dodania. Karpiuk po raz kolejny przeklął w duchu dowódcę, bolszewików i całą tę cholerną wojnę, po czym nabrał powietrza w płuca. Nie patrzył na pozostałych, wiedział, że pójdą za nim – gdyby Wojdata nie było w pobliżu, może by się zawahali, ale porucznik stał tuż obok, starając się czterem śmiałkom dodać spojrzeniem otuchy, pójdą więc, oczywiście, że pójdą.

Na razie Karpiuk miał to gdzieś. Myślał tylko o dystansie, który miał do pokonania. Jak pchnięty sprężyną wybiegł zza osłony. Natychmiast poczuł się nagi. Był sam naprzeciw stalowego piekła. Przez walenie własnego serca i grzmot wybuchów usłyszał, że żołnierze otwierają ogień, starając się zdusić sowieckie kulomioty, choć na pół minuty zamknąć im paszcze, co, wiedział z doświadczenia, nie zda się na wiele, ziejących ołowiem paszcz było bowiem zdecydowanie zbyt wiele. Nic nie mogło mu pomóc –

ani buzująca w żyłach adrenalina, ani wątpła ogniowa osłona kompanii. Może pomógłby Bóg, ale Karpiuk już od dawna wątpił, czy Bóg miesza się do ludzkich spraw, więc na pomoc najwyższej instancji również nie liczył. Po prostu biegł przed siebie, miarowo, równo, lekko zygzakując, starając się nie myśleć, jak niewielkie ma szanse, i uważać na to, co ma pod nogami, bo droga, jeszcze wczoraj nawet równo wybrukowana, dziś była gigantycznym kretowiskiem, zrytym wzdłuż i wszerz przez ogień trzycalówek. Słyszał świst kul, niekiedy przerażająco blisko; coś szarpnęło go za ramię, ale biegł dalej, byle szybciej, byle dalej, ile tchu. Czuł, że włosy pod czapką stoją dęba, a po plecach spływa struga potu. Gdzieś blisko huknął grom. Wybuch obalił go na ziemię i ogłuszył. Przez chwilę leżał oszołomiony, odnotowując, że trzech objuczeni żelastwem żołnierze mijają go w pośpiechu, czerwoni, zdyszani, w wytrzeszczonymi oczami, ale na razie niedrażnięci. Żaden nawet nie spojrzał w jego stronę. Trudno mieć pretensje. W takich sytuacjach ludzie na ogół myślą tylko o sobie, zresztą zadanie było jasne: kto przeżyje bieg, ten zajmuje stanowisko w kamienicy i strzela, póki serce bije. Ale Karpiuk na razie nie był martwy i wiedział, że jeśli chce utrzymać ten stan, musi zniknąć z ulicy w mgnieniu oka. Przewrócił się na brzuch, złapał porzuconą skrzynkę amunicyjną i ruszył do przodu. Kulejąc, z piekielnym szumem w głowie i ogniem w płucach sadył wielkie susy, zmuszając mięśnie do wysiłku, którego jeszcze nie podejmowały. Dwadzieścia kroków. Piętnaście. Dziesięć.

Wpadł do bramy, niemal taranując towarzyszy. W miejscu, którym przed chwilą przebiegał, z ogłuszającym hukiem eksplodował pocisk sowieckiej pułówki. Gdyby Karpiuk poleżał na ziemi kilka sekund dłużej, ruszył w drogę choć odrobinę później, podmuch rozerwałby go na strzępy. A tak tylko sypnął w twarz kurzem i dymem. Odłamki zastukały o elewację, wybijając kilka dziur w tynku, ale szczęśliwie omijając bramę.

Wszyscy czterej dyszeli ciężko, rozpaczliwie walcząc o oddech. Żyli. Tylko to się liczyło.

Karpiuk rozejrzył się. Po drugiej stronie bramy ciągnęło się błotniste podwórko. Dostrzegł drzwi do klatki schodowej wiodącej na piętro. Zdjął z

ramienia karabin. Kamienica wedle wszelkiego prawdopodobieństwa powinna być pusta. Większość mieszkańców – Karpiuk miał szczerą nadzieję, że wszyscy – uciekła jeszcze wczoraj. Bolszewicy zdobyli ją rano, ale zostali wypchnięci przez polski popołudniowy kontratak. Dowódca odcinka popełnił błąd, nie wydając rozkazu obsadzenia jej. Karpiuk nawet się nie dziwił Wojdatowi, że próbował to naprawić. Szkoda, że jego, kaprała Karpiuka, kosztem.

– Sprawdź – powiedział. – Poczekajcie tu.

– Pójdę z panem kapralem – odparł Majchrzak.

– Dobra. – Karpiuk wzruszył ramionami. Potem spojrzał na pozostałą dwójkę. – Macie nie stać jak barany, tylko uważać, jasne? Jeśli tamci się ruszą, ustawicie kulomiot tu, w bramie, i strzelacie bez rozkazu. Zrozumiano?

Nie bardzo im się to podobało, ale nie powiedzieli nic. Karpiuk liczył, że zrobią, jak rozkazał. Nie chciał podczas przeszukiwania kamienicy dostać kuli w plecy. Był na froncie piąty miesiąc i naprawdę widział niejedno. Czuł przez skórę, że bolszewickie natarcie może rozpocząć się lada moment. Kompania Wojdata stanowiła na drodze do mostu przeszkodę tak wątpliwą, że właściwie nieważną. Sam, będąc na miejscu sowieckiego dowódcy, wydałby bezzwłocznie rozkaz ataku.

Wszedł do klatki schodowej. Śmierdziało kocimi sikami i czymś jeszcze, jakby spalenizną połączoną z czymś słodkim. Znał dobrze ten zapach. Schody były stare i skrzypiały przeraźliwie przy każdym kroku. Z bijącym sercem dotarł na piętro, czując za plecami obecność kompana. Znajdowały się tu drzwi prowadzące do dwóch mieszkań. Otwarte na oścież.

– Sprawdź tam. – Wskazał te po prawej.

Majchrzak przytaknął. Wsunął przed siebie lufę mausera i zniknął w półmroku sieni.

Karpiuk skierował się w lewo. Przekroczył próg. Wnętrze powitało go martwym spokojem, o ile w ten sposób można nazwać stan, w którym trzęsą się mury i któremu akompaniuje nieustanne dudnienie artylerii. Słodki zapach stał się intensywniejszy. Poczul dobrze znany ból w dole

brzucha. Strach. Uczucie towarzyszyło mu, odkąd znalazł się przy tym cholernym moście, ba, odkąd niemal siłą zaciągnięto go do wojska. Był pod ogniem czy nie, szedł do ataku czy tkwił w jakichś okopach, broniąc się, maszerował czy spał – czuł strach, mniejszy czy większy, ale obecny zawsze. A także wynikającą ze strachu wściekłość – na świat, na bolszewików, na własnych dowódców. I może jeszcze głód. Tak, głód na pewno. Ciepły posiłek jadł przed tygodniem. Jakikolwiek – wczoraj po południu.

Postąpił dwa kroki i zrobiło się jaśniej.

Okna izby wychodziły na ulicę. Pokój był duży i sprawiał wrażenie, jakby jeszcze przed chwilą urzędowało w nim stado małąp. Wywalone na ziemię szuflady komody, przewrócona półka na książki, masa potłuczonej porcelany; nawet stół miał powyłamywane nogi. Na zrytej wojskowymi buciorami podłodze leżał przecięty na pół obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Cięcie było równe, niemal eleganckie. „Szabla” – pomyślał Karpiuk. Pieprzona, bolszewicka szabla.

Starając się nie robić hałasu – zabawne, nawet gdyby tłukł szyby, nie usłyszałyby go przecież nikt, kto stałby dalej niż o krok – podszedł do okna. Wyjrzał ostrożnie. Widoczność była pierwszorzędna – co najmniej dwieście metrów pustej, jeśli nie licząc wywróconego wozu i końskiego trupa, przestrzeni. Mocny dębowy parapet wydawał się dostatecznie szeroki, by pomieścić podstawę kulomiotu. Punkt dobrze panował nad okolicą. Nieźle to Wojdat wymyślił.

Nadal mając w nozdrzach słodkawo-duszny odór, Karpiuk szybko wycofał się z pokoju. Przeciął się, po czym znalazł się w izbie o połowę mniejszej od frontowej, najwyraźniej pełniącej funkcję sypialni. Nagi, pokrwawiony trup kobiety leżał na łóżku. W otwartych oczach przekrzywionej w bok twarzy nie wygasła jeszcze groza. Oddzielona od ciała, wisząca na kilku włóknach głowa. Odcięte piersi. Głębokie rany na brzuchu i udach.

„Znów szabla” – pomyślał Karpiuk, z trudem przelękając ślinę. „Ta sama, co Matkę Boską rozłupała”.

– Jezus Maria – usłyszał za plecami. Majchrzak niemal dyszał mu w ucho. – Bandydzi. Przekłęci bandyzi.

Karpiuk rozejrzył się. W kącie leżała narzuta – brudna i zmięta, ale wyglądająca na niepokrwawioną.

– Przykryj ją – rozkazał. Mimo okrucieństwa, które spotkało ofiarę, najbardziej dojmująca wydała mu się jej nagość.

– Pochować ją trzeba – odparł Majchrzak. Jego prosta, chłopska twarz wyrażała czystą grozę. – Po chrześcijańsku.

– Jak przeżyjemy, to ją pochowamy – odparł niecierpliwie Karpiuk. – Przykryj ją i do roboty.

Nie oglądając się, szybko zszedł na dół. Cekaem był już umieszczony na podstawie, koła zablokowane. Taśmy czekały w gotowości. Obaj szeregowi palili papierosy ukryte w zwiniętych dłoniach. Biegun wyglądał na ulicę. Kowalczyk spojrział na Karpiuka.

– My tu gotowi, panie kapralu – zameldował. – Coś mi się zdaje, że cholery zaraz ruszą.

– Dobrze – odparł zagadnięty. – Bierzcie żelazo i na górę, już! Do mieszkania z widokiem od frontu.

Biegun cofnął się, złapał podstawę kulomiotu z przodu, Kowalczyk dźwignął tył. Czerwoni z wysiłku, zniknęli z cieniu klatki schodowej. Karpiuk wyjrzał ostrożnie. Dokładnie w tym momencie artyleria i kulomioty przestały strzelać. Zmasakrowane dwugodzinnym łoskotem bębenki nie od razu zarejestrowały ten fakt. Przez dłuższą chwilę Karpiuk nie słyszał niczego poza potężnym dzwonieniem w uszach. Nie był pewien, czy zwróciłby uwagę na wystrzał tuż koło głowy.

Zaraz zaatakują, pomyślał i znów poczuł silne uderzenie strachu. Oni byli tam, na górce z cekaemem, ale właściwie bez amunicji – dwie taśmy na szyjach, ot i wszystko. On miał tu trzy skrzynki. Złapał dwie. Czując przez skórę, że w każdej chwili ktoś może mu strzelić w plecy, pobiegł po schodach. Żołnierze zdołali już ustawić kulomiot na parapecie, Majchrzak wyraźnie zdążył już przykryć nagiego trupa i zająć stanowisko. Teraz jako

celowniczy sprawdzał kąty ostrzału i regulował celownik, Biegun wkładał taśmę do zamka. Karpiuk postawił skrzynki obok. Spojrzał na Kowalczyka.

– Na dole została jeszcze jedna – powiedział. – Przynieś ją.

– Tak jest, panie kapralu.

Szeregowy zniknął w drzwiach. Karpiuk ostrożnie wyjrzał przez okno. Spokój i pustka ulicy wydały mu się jeszcze bardziej zwodnicze niż wcześniej. Poczuł, że żołądek przekształca się z zaciśniętego w pięść supła w coś żywego, co chce za wszelką cenę wydostać się na zewnątrz. Przełknął ślinę; nie pomogło. W dalszym ciągu potężnie dzwoniło mu w uszach, a unoszący się powietrzu wywołany wybuchami kurz i śmierdzący kordytem dym dusiły i obezwładniały.

Może dlatego, choć starał się patrzeć uważnie, przegapił początek szarży.

W jednym momencie nic się nie działo. W następnym – zobaczył szybko zbliżający się mur wypełniających ulicę końskich łbów z pochylonymi nad nimi ludzkimi głowami. Wzniesione ku górze szable lśniły w przedwieczornym słońcu. Ze stu gardeł wydobywał się paralizujący wolę ryk.

Żółć zadrapała Karpiuka w gardle. Przestał myśleć; zdał się na instynkt. Wszystko, co było w jego życiu do tej pory ważne, wszystkie nadzieje, ambicje i pragnienia odeszły w niepamięć. Widział tylko zbliżające się z piorunującą prędkością ohydne, wykrzywione nienawiścią twarze, otwarte w krzyku usta, ostrogi bijące zaciekle w końskie boki. To one były jego światem.

– Jak oni przejdą, zginiemy! – ryknął.

Nie wiedział, czy żołnierze usłyszeli: Majchrzak nacisnął spust, nim kapral zdołał wypowiedzieć zdanie do końca. Słowa zginęły we wrzasku długiej serii: maxim grał równo, gorliwie, kosił ludzki łan od brzegu do brzegu, jak rzetelny zniwiarz. Karpiuk słyszał – albo wydawało mu się, że słyszał – że reszta skrytej za barykadą kompanii daje ognia; killkanaście mannlicherów, mauserów, mosinów i lebeli, a także jeden wiecznie zacinający się lekki karabin maszynowy Chauchat stanowiło mimo

wszystko zbyt wątlą i zbyt późno postawioną zaporę, by zatrzymać atak. Zapora owa, przy wydatnym udziale placówki Karpiuka, zdołała go jednak spowolnić i wprowadzić weń chaos. Pierwszy szereg zachwiał się, konie, trafione pociskami upadały z przerażającym kwikiem, w powietrzu koziołkowali jeźdźcy, w kłębowisko wjeżdżały następne szeregi i na złamanie karku pędziły dalej.

Usłyszawszy grzechot cekaemu, Karpiuk oprzytomniał. Złapał karabin i spojrział na przedpole. Wyćwiczonym ruchem nastawił celownik na pięćdziesiąt metrów, przeładował, po czym wysunął lufę przez okno. Nie miał czasu na dokładne rozpoznanie celów i wyłowienie dowódców czy komisarzy politycznych. Strzelił, poczuł kopnięcie kolby w ramię; kula strąciła jednego w wysuniętych do przodu kawalerzystów. Przesunął lufę w lewo. Kolejny strzał sfuszerował, trzeci był nieco lepszy, czwarty i piąty weszły gładko w cel. Zmiana łożki, automatyczny ruch przeładowania, kopnięcie, kolejny cel; huk ogłuszał i pozbawiał zmysłów. Maxim umilkł, Biegun wkładał kolejną taśmę, ludzka i końska fala była właściwie już wprost pod oknem, Karpiuk z oszołomieniem odnotował, że za kawalerią biegnie piechota i jest jej znacznie więcej niż kozaków, pewnie ze trzy setki dyszących żądzą mordy bojców, usłyszał gdzieś z dołu jeden, a zaraz potem drugi wybuch, to Kowalczyk, o którym zdążył już zapomnieć, wysłany po amunicję Kowalczyk domyślił się, że musi zmienić rozkaz, że jego zadaniem jest obrona bramy, by choć przez jakiś czas dać towarzyszom złudzenie zabezpieczenia tyłów, więc przyczaił się i rzucił jeden po drugim dwa granaty, zadając straty i wywołując niemałe zamieszanie na lewym skrzydle ataku, co pozwoliło mu ze skrzynką amunicyjną w ręku wycofać się do klatki schodowej i galopem wbiec na piętro. Karpiuk ze wstydem pomyślał, że powinien był taki właśnie rozkaz wydać i że szeregowy okazał się bardziej przewidujący od niego. Odwrócił się, spojrział w czerwoną z emocji i wysiłku twarz Kowalczyka, po czym skinął głową.

– Postaw! – krzyknął. Miał wrażenie, że podłoga kołysze mu się pod stopami. – Masz jeszcze granaty?

– Jeden.

– Weź. – Karpiuk odczepił od pasa dwa karbowane jaja i wręczył je szeregowemu. – Stań w korytarzu. Oni przyjdą. Rzucaj, gdy będą na półpiętrze. A potem strzelaj.

– Tak jest. – Kowalczyk usiłował trzasnąć obcasami. Potknął się na śliskiej podłodze, więc nie bardzo mu wyszło; zasalutował więc tylko do przekrzywionego stahlhelmu i wybiegł galopem z izby. Karpiuk poczuł się jakoś podniesiony na duchu.

Atak trwał dalej, czoło szarzy minęło już kamienicę i w piorunującym tempie zbliżało się do barykady. Mimo iż prowadzony z niej ogień zadawał straty, a maxim pod boki wprost zachłystywał się ogniem, Karpiuk nie miał najmniejszych wątpliwości, że los obrońców jest właściwie przesądzony.

Czoło szarzy było o trzydzieści metrów od barykady, gdy gdzieś zza Wisły dała ognia polska siedemdziesiątkapiątka. Pocisk nadleciał ze skowytym; oficer ogniowy musiał być nie lada specem, bo już pierwsza salwa wybiła krwawą wyrwę w kozackich szeregach. Karpiuk odwrócił się, po raz kolejny załadował nową łódkę do karabinu, strzelił jednemu z jeźdźców w plecy...

...a końska i ludzka fala doszła.

Zakłębiło się. Karpiuk zdawał sobie sprawę, że powinien działać, strzelać ile tchu – ale po prostu patrzył. Majchrzak nadal brał na cel jeźdźców i biegnącą za nimi piechotę – słusznie, barykada i tak była stracona – a Karpiuk zastygł w jakimś przedziwnym stuporze, obserwując z pełną grozy fascynacją, jak ginie Wojdat i reszta kompanii. Jeszcze ostatnią serię dał chauchat, jeszcze wzniesiona do ciosu szabla opadła wraz z dzierżącą ją prawicą, bo kula strąciła kawalerzystę z siodła, jeszcze jakiś śmiertelnie raniony koń wspiął się i upadł, przygniatając jeźdźca – ale to były już ostatnie akordy oporu. Obrońcy zginęli, fala poszła dalej, miażdżąc i tratując wszystko na swej drodze.

Wtedy Karpiuk usłyszał coś jeszcze, dźwięk, który podniósł mu włosy na głowie, choć przecież podświadomie spodziewał się go w każdej chwili, ba,

nawet dziwił się, że przychodzi tak późno.

Pokojem wstrząsnął bowiem dochodzący z klatki schodowej huk eksplodującego granatu wraz z towarzyszącym mu dzikim wyciem rannych i konających. Zaraz potem zagrzmiała kolejna eksplozja. I znów – wrzaski jęki grozy i bólu. Karabinowy wystrzał. Kolejny. I jeszcze jeden.

Zgodnie z rozkazem Kowalczyk bronił powierzonej mu placówki.

Karpiuk zdobył się na najwyższy wysiłek woli, by zacząć myśleć i działać.

– Strzelajcie dalej! – wrzasnął w stronę Majchrzaka, mimochodem tylko rejestrując, że obok nóg Bieguna stoi ostatnia już skrzynka amunicyjna. Wypadł na korytarz. Z dołu, z półpiętra huknęły strzały. Kowalczyk właśnie podnosił karabin do ramienia po przeładowaniu, gdy dosięgła go kula, wybijając dziurę w lewej części twarzy, tuż poniżej oka. Martwe już ciało upadło z hukiem na ziemię. Karpiuk zobaczył przed sobą nabrzmiałą z wysiłku twarz krasnoarmiejca. Strzelił odruchowo, bez celowania. Szkarłatny kwiat wykwitł w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą były oczy – bolszewicki żołnierz zniknął. Karpiuk ukląkł, odpiął od pasa ostatni granat, wyrwał zawleczkę i rzucił przed siebie. Żelastwo poszybowało w dół, by po trzech sekundach eksplodować z gromkim hukiem. Znowu wrzaski bólu wypełniły przestrzeń, ale nie trwały długo – strzały, niecelne, ale gęste, przygniotły go do ziemi. Mimo potężnego dzwonienia w uszach, mimo jazgotu maxima, mimo tętentu kopyt i okrzyków piechoty usłyszał – całkiem wyraźnie, biorąc pod uwagę okoliczności – tupot butów wybijających rytm śmierci na drewnianych schodach. Strzelił, przeładował, strzelił ponownie, usłyszał kolejny już wybuch kanonady, tym razem cichszej, za to bardziej jazgotliwej („nagan – pomyślał – cholerny nagan”), kule zagwizdały tuż nad głową, nacisnął spust, ale iglica uderzyła w pustkę, ogień nasilił się; Karpiuk był całkowicie bezbronny. Zaczął się modlić niezgrabnymi, przypadkowymi słowami, choć, Bóg świadkiem, w kościele nie był od nie wiadomo kiedy, a do wiary podchodził lekko, jak do niezbyt uciążliwego obowiązku, z którego korzyści raczej nie ma. Ale modlił się, bo wiedział, że stanowi ostatnią zaporę między obsługą kulomiotu a

bolszewickim motłochem, a nie miał sposobu, by przedłużyć opór, ponieważ podniesienie głowy równało się samobójstwu.

Modlił się, nasłuchiwał i czekał na śmierć.

Bóg chyba się zastanawiał, bo maxim, ten ostatni cierń w cielsku bolszewickiego ataku, cierń, który nie pozwalał do końca wykorzystać impetu natarcia, cierń zadający rany, grał dalej pod wprawną ręką Majchrzaka. Nadal dudniła siedemdziesiątkapiątka. W dalszym ciągu waliły o bruk buty biegnących na oślep bojców. Grzechotały pojedyncze strzały. W niebo wznosiły się wrzaski walczących wręcz żołnierzy. Sąsiednie barykady broniły się jeszcze. Opór trwał.

Po dłuższej chwili hałas na zewnątrz zmienił tonację.

Gdzieś w głębi, może od mostu, a może od skrzydła, doszedł dziki, podnoszący włos na głowie okrzyk „Hurraaaa!”. Był tak głośny, tak potężny, brzmiała w nim taka zuchwałość i wola zwycięstwa, że dotarł aż do zmasakrowanych uszu kaprała Karpiuka. Strzelanina nasiliła się, do samotnej armaty musieli dołączyć kompani – może nawet stumilimetrowe haubice, bo wybuchy stały się znacznie potężniejsze – dziki okrzyk polskiej piechoty zbliżał się szybko. Może była jeszcze nadzieja.

Zasypujący Karpiuka ogniem bolszewicy zawahali się. Echo polskiego kontrataku dotarło również do ich uszu. Wyraźnie był im nie w smak. Wiedzieli, że łącznie może ich odciąć od swoich. Zaczęli się zastanawiać, czy nie ratować własnej skóry, miast likwidować ostatnie polskie gniazdo oporu.

Mimo ogłuszającego jazgotu bitwy kapral doskonale owo wahanie usłyszał. Sięgnął do ładownicy, wyszarpnął łódkę, załadował, nacisnął szybko spust, raz za razem, czterokrotnie.

Odpowiedziała mu cisza.

Ostrożnie podniósł głowę. Nikt do niego nie strzelał. Usiadł na kolanach, potem dźwignął się całkiem. Z bronią gotową do strzału postąpił ostrożnie do przodu. Minął martwe ciało Kowalczyka i spojrzał w dół. Na półpiętrze leżał rozerwany wybuchem bolszewik z niemal oderwanym ramieniem, niżej, na schodach, dwóch następnych. Ściany, poszarpane odłamkami i

schlapane krwią, niemi świadkowie piekła, patrzyły na niego z przerażeniem.

Cofnął się, potem, nadal nie dowierzając, że to już koniec, wszedł do mieszkania. Stał w sieni. Czuł, że drży. Oddychał ciężko, niczym astmatyk rozpaczliwie walczący o haust powietrza. Serce waliło, karabin niemal wyslizgiwał się ze spoconych dłoni. Musiał poświęcić minutę, by choć odrobinę się uspokoić. Dopiero wtedy wkroczył do frontowej izby.

Majchrzak siedział pod ścianą, przyciskając prawą dłoń do przestrzelonego barku. Przez palce sączyła się krew. Celowniczy był blady jak ściana, ale rana nie wyglądała na zagrażającą życiu. Biegun wyglądał przez okno. Na dźwięk kroków odwrócił się.

– Aleśmy im pogonili kota, panie kapralu! – zawołał. Całe szczęście nie przyglądał się zbytnio dowódcy. – Bolszewiki uciekają aż się kurzy.

Karpiuk wyjrzał na ulicę. Czwarta kompania kowieńskiego pułku strzelców wysunęła przed siebie bagnety i gnała co sił w nogach. Kontratak był z pewnością zbyt słaby, by zupełnie wyrzucić bolszewików z miasta, ale dawał nadzieję na przyszłość. Zaświadczał o determinacji i uporze dowódców oraz żołnierzy, którzy mimo wściekłego ostrzału bolszewickiej artylerii przeszli przez most z zachodniego na wschodni brzeg rzeki.

Karpiuk odetchnął głęboko. Kowalczyk zabity, Majchrzak ranny, z kompanii pewnie nie ostał się nikt. On sam, gdy startował spod barykady, żadnych szans nie dawał ani sobie, ani towarzyszom. A jednak żył i pomógł obronić most. Tylko to się liczyło, choć z doświadczenia wiedział, że spokojnego snu zapewne prędko nie zazna. Czuł, że gdy tylko ułoży głowę na byle jakim pośłaniu, stanie mu przed oczami widok pędzącej w wrzaskiem końskiej i ludzkiej tyraliery, w uszach zabrzmie bojowy ryk i świst opadających na głowy obrońców szabel, na twarzy poczuje podmuchy eksplozji, a w nozdrzach odór krwi i śmierci. Tak już będzie, bo tak było zawsze, po każdej bitwie.

Wiedział, że walka wcale nie jest jeszcze wygrana i że zginie jeszcze wielu ludzi; wiedział, że on także pójdzie do boju i być może zapłaci

życiem. Na razie starał się o tym nie myśleć. Chciał po prostu odpocząć i zjeść coś ciepłego.

Stary frontowy wyga miał rację: nad ranem pójdzie do szturmów świeżo przybyły batalion podhalańczyków wsparty ciężkimi haubicami i kosztem niemałych strat oswobodzi miasto. W tej krwawej operacji most odegra nadzwyczaj ważną rolę, rolę życiodajnej arterii, przez którą będą ciągnęli ludzie i zapasy. Zdobyty przez żołnierzy Gaja Bzyszkiana miał być przekleństwem, obroniony – okazał się błogosławieństwem.

Karpiuk tego jeszcze nie wiedział. Po prostu stał i spoglądał na żelazny most, skąpany w ostatnim blasku dnia.

JOANNA JAX

NA WSCHÓD OD MIŃSKA

Świat zdawał się wymarłym miejscem. Po licznych wybuchach salw armatnich, seriach strzałów z karabinów i krzykach żołnierzy nastąpiła cisza. Niby kojąca, bo przecież Polacy byli zwycięzcami na tej wojnie, a jednak jakaś złowróżbna.

Sanitariusze podążali wciąż na wschód za polskim wojskiem. Wycieńczeni, ale dumni. Brudni, głodni, ale żywi i uradowani, że bolszewicy uciekają przed nimi gdzie pieprz rośnie.

– Uśmiechnij się wreszcie, siostrzyczko. Mińsk już niedaleko, a tam odpoczniemy. Podobno trwają rokowania pokojowe w Rydze. Ta wojna zaraz się skończy i wrócimy do Warszawy – powiedział zmęczonym głosem Gustaw Niemojski do swojej siostry Wiktorii, w której oczach czaił się głęboki smutek.

– Kiedy ja się tak strasznie o Piotra zamartwiam – westchnęła i odgarnęła z czoła niesforny kosmyk włosów.

– To silny chłop. Jeśli przeżył moją operację, to przeżyje już wszystko, nawet zemstę samego Lenina. – Gustaw się zaśmiał i poklepał siostrę po ramieniu. Po chwili dodał swoim zwyczajowym, nieco ironicznym tonem: – A może ty się martwisz, bo Fryderyk ci zgody na ślub z Kondratowiczem nie dał? Ugnie się, bo przecież Piotr jest jak rzodkiewka. Z wierzchu czerwony, a w środku biały. Poza tym to ojca musi ten bolszewicki neofita przebłagać, a nie Fryderyczka. Nasz braciszek też nie całkiem święty i musi swój problem rozwiązać, bo będzie o nim plotkowała cała Warszawa.

– Ludzie teraz nie mają głowy do plotek. Bieda, inflacja, podobno nie ma dnia, żeby w Warszawie do jakichś rozbojów nie dochodziło. – Wiktoria machnęła ręką.

Brnęli dalej, z trudem przebijając nogami, bo konie ciągnące medyczne kibitki ledwie posuwały się do przodu, nadmiernie przeciążone rannymi. Na szczęście, gdy mijali polskie wsie, wolne już od wojsk bolszewickich, mogli napoić konie, nakarmić, a i dla nich znalazła się strawa.

Z tej przejmującej ciszy, jakby wieszczącej katastrofę albo koniec świata, wydobył się kobiecy krzyk. Odwrócili głowy i zobaczyli młodą dziewczynę jadącą wierzchem na wychudzonym koniu. Miała rozłożyste biodra, spódnicę podkasaną aż do pasa i niedbale zarzuconą na włosy chustkę.

– Jak wiaterek się zerwie, to nam zaraz kobiecość całą pokaże. Nasi ranni mogą podobnego widoku nie zdzierżyć, bo od miesięcy nie używali sobie z babami – mruknął pod nosem Gustaw.

– Gucio, powiedźże, to w tobie krew zawrzała. – Wiktoria zachichotała.

Pewnie dokuczyłyby bratu bardziej, ale zobaczyła, że za koniem idą jacyś ludzie. Obszarpani, boso, z zaschniętą na twarzach krwią i utytlani w błocie jak nieszczęście.

– Jeńców wam przywlekłam – oznajmiła kobieta i zeskoczyła z konia jak wprawny kawalerzysta.

– My sanitariusze, jeńców nie bierzemy, łaskawa pani. Trzeba ich oddać żołnierzom. A ci są jakieś dziesięć wiorst przed nami. Kto wie, może już nawet wkraczają do Mińska – powiedział Gustaw, lekko dukając, bo zapewne onieśmielił go widok mlecznobiałych ud, jakie miał okazję zobaczyć chwilę wcześniej.

Dziewczyna pociągnęła lekko zaczerwienionym nosem i dotknęła rumianego policzka, jakby zafrasowała się, że nie ma co zrobić ze złapanymi czerwonoarmistami.

– No i co ja mam z nimi zrobić? – jęknęła. – Ja ich sama dopadłam. Łąłam ich czym popadło. Grabiami, sierpem, a nawet maselnicą w jednego rzuciłam.

– Już ja bym tam nie chciał się panience narazić – odparł Gustaw z udawaną grozą, łypiąc okiem raz na przasną pannę, a raz na żołnierzy, którzy patrzyli obojętnie na koński zad.

– Niech ich pani wolno puści – wtrąciła się Wiktoria. – Oni przecież niegroźni.

– Widać, że siostrzyczka w komunistę wpatrzona, bo litość chce okazać czerwonym braciom. – Gustaw szturchnął łokciem Wiktorię.

– Oj, bracie, tobie już całkiem rozum odjęło. Pewnie wizja obejrzenia, co ta niewiasta ma między udami, tak ci w głowie namieszała – fuknęła i podeszła do czerwonoarmistów.

Jeden z nich klęknął na błotnistej ścieżce i złożył dłonie jak do modlitwy, chociaż trudno było go podejrzewać o pobożność.

– My chcemy do niewoli. Do waszej niewoli. My jeńcy – powtarzał żołnierz z paniką w głosie i żebrząc po rosyjsku o niepozostawianie ich w szczerym polu.

– A co im się tak do nas śpieszy? – zapytała Wiktoria, trochę zdziwiona, że żołnierze nie chcą skorzystać z ich miłosierdzia.

– A panienka to chyba się wczoraj urodziła! – fuknęła dziewczyna. – Oni zaraz z głodu pozdychają. Albo w drodze, albo w domu, bo przecież władze w Moskwie narzuciły rolnikom takie kontyngenty, że ci biedacy nie mają co do pyska włożyć. A w obozie to choć miskę lury dostaną. Może boją się też swoich dowódców, że ci zaraz nakażą im wracać do oddziałów i znowu z białopolakami się tłuc.

Wiktoria podeszła do jednego z mężczyzn, który z trudem trzymał się na nogach, a to za sprawą rany na łydce, tak paskudnej, że żal było na to patrzeć. Po chwili wróciła do kubitki i wyciągnęła z niej apteczkę.

– Jak masz na imię? – zapytała po rosyjsku czerwonoarmistę, który wykrzywił z bólu twarz.

– Dmitrij – odparł cicho.

– Opatrzę ci nogę. Do Mińska niedaleko. A potem wrócisz do domu. Już koniec wojny, zaraz pewnie podpiszą rozejm – powiedziała życzliwie.

– W domu z głodu umrę. Nie ma co jeść. Ja chcę do waszej niewoli.

Wiktoria westchnęła i zmieniła temat.

– A gdzieżeś buty zgubił, chojraku?

– Jakie buty?

– No takie, co się na nogach nosi. – Roześmiała się.

– My z braćmi tylko jedne trzewiki mieliśmy. Jak nas wezwano do jednostki, to patyki ciągnęliśmy, który z nas buty na wojaczkę weźmie. Wygrał Jurij.

Wiktoria wzniosła oczy ku górze i zapewne stwierdziła, że w tej sytuacji dla tego chłopca lepiej byłoby trafić do polskiej niewoli, aniżeli do domu wrócić. Cieszyła się, tak jak Gustaw, że koniec wojny nastąpi lada dzień. Nie tylko dlatego, że stęskniła się za rodzicami i Piotrem Kondratowiczem, rannym pod Wyszkowem, lecz także miała dosyć. Podobnie jak wielu żołnierzy, którzy uginali się pod ciężarem ekwipunku i byli tak wycieńczeni, że w drodze na wschód już nawet nie mieli siły strzelać w pociągi wypełnione uciekającymi Rosjanami.

Jedynie Fryderyk, jej najstarszy brat, wciąż rozprawiał o wojaczkę, widząc siebie bez mała w Moskwie, wieszającego na Kremlu biało-czerwoną flagę.

– Że też mu się chce – sarknęła wówczas Wiktoria przez zaciśnięte zęby.

– Bo siedział przez całą wojnę na tyłku i nasłuchy robił. Nie zdążył się zmęczyć – zakpił Gustaw.

– Mam wrażenie, że on nigdy się nie męczy – burknęła, zła na starszego brata, że marzą mu się moskiewskie salony.

Wiktoria Niemojska modliła się o pokój i nawet nie potrafiła się cieszyć, że rozgromili w pył oddziały Tuchaczewskiego nad Niemnem, a Budionnego pod Komarowem. Jak na nią jedną wszystkiego było za dużo. Śmierci, rannych i nędzy. Nie pocieszało jej, że w Armii Czerwonej mieli gorzej, a trupy, którymi usłane były całe mijane po drodze polacie, to głównie ciała bolszewików. „Już dość tej wojny” – powtarzała w myślach, gdy amputowała kolejną rękę czy nogę. Może dlatego, że w oczach tych

okaleczonych mężczyzn widziała nie dumę ze zwycięstwa, ale tęsknotę, ból i wyczerpanie. Nigdy jednak głośno nie ośmieliła się skarżyć, by nie niszczyć i tak nadwątlonego ducha żołnierzy.

Gustaw Niemojski, który należał do ludzi praktycznych i pozbawionych romantycznego spojrzenia na sprawy kraju, trzymał się zdecydowanie lepiej od niej. Chyba dlatego, że przyświecał mu jeden cel...

– Ja tam do Moskwy się nie pcham, bo i po co? Tylko do Berezyny chciałbym dotrzeć. Tam, gdzie ta ruska swołocz Józika zamordowała. Krzyż mu jakiś postawię, modlitwę za niego odmówię i opowiem mu, jak przegoniliśmy tych drani... Niech chłopina wie, że poległ na polskiej ziemi.

– A od kiedy ty taki wierzący? – zadrwiła Wiktoria.

– Odkąd Bóg moich modłów wysłuchał i zabić mnie nie dał. Pal już licha nawet tę śmierć, ale jak sobie pomyślę, co oni by mi przedtem zrobili, to mi się tyłek marszczy. Żołnierze Budionnego na ten przykład wbijali polskim oficerom gwoździe w miejsce epoletów. Albo żywcem oczy wydłubywali. Jednemu przybili język do drewnianego stołu i tak dogorywał nieszczęśnik, dopóki go nasi nie znaleźli. Jak mnie kto straszy, że bolszewicy przegrają z białymi i carat powróci, to mu mówię, iż lepszych pięciu carów niż jeden Lenin.

– Co też mówisz, braciszku? – obruszyła się Wiktoria. – Przecież naszego ojca na Syberię nie kto inny wysłał, tylko car. Jak wrócił do domu, to wyglądał jak osiemdziesięcioletni starzec, nawet nasza mamusia rozpoznać go nie mogła.

– Kochana siostró, gdyby wpadł w ręce bolszewików, to w ogóle byś go nie zobaczyła. Oni z mordów przednią rozrywkę sobie zrobili. Już nie pamiętasz, jak *czerezwyczajka* potraktowała pocziwą Swietłanę?

Nie odpowiedziała, bo Swietłana wciąż jej się śniła po nocach. Zresztą nie tylko ona, ale także ludzie z wioski, którzy mieli nieszczęście zetknąć się z czekistami. Starcy z wylupanymi oczami i sinymi językami zwisającymi z ust, kobiety leżące z rozłożonymi nogami i z zakrzepniętą na udach krwią. Pozbawione życia i godności jednocześnie.

Na szczęście czerwoni uciekali przed polskimi oddziałami i ani Gustaw, ani Wika nie widzieli powodu, by przesadnie ich gonić. Dziewczynie zapewne żal było tych normalnych chłopców z Armii Czerwonej, którzy szli walczyć bez broni, mundurów i butów. Im daleko było do oszalałych z nienawiści funkcjonariuszy Czeka, którzy uczyli bolszewizmu w wyjątkowo brutalny sposób.

Dmitrij i jego koledzy poszli z nimi do Mińska, by oddać się w niewolę i ani myśleli opuszczać ich konwój chociaż na chwilę. Rumiana chłopka, na której uda tak bardzo zapatrzył się Gucio, wróciła do swojej wioski na wychudzonej szkapie, pożegnawszy się słowami:

– Nareszcie znowu będzie tutaj Polska.

* * *

W Mińsku polskie wojsko witały tłumy, a w kościołach rozległo się dudnienie dzwonów. Niektórzy płakali, inni patrzyli jedynie na triumfatorów. Miejscowi snuli opowieści o tym, jak czerwonoarmiści uciekali z miasta w popłochu, a oficerowie polityczni chowali się po piwnicach, by uniknąć gniewu polskiego wojska.

Wiktoria i Gustaw stali oparci o słup ogłoszeniowy i przyglądali się krocącym ulicami Mińska żołnierzom. Dziewczyna od razu odzyskała dawny wigor, jakby poczuła, że jej ofiara nie poszła na marne. Miała ochotę krzyczeć, że warto było i od tego dnia wizje trupów i zakrzepłej krwi rannych zastąpi jej ten oto widok – szczęśliwych Polaków, witających ich w Mińsku. Nie tylko oni mieli uśmiech na twarzach, lecz także wielu Białorusinów, dla których każdy był lepszy od tych „czerwonych diabłów”.

– Popatrz – odezwała się w końcu do Gucia – oto Fryderyczek. Jakież przystojny ten nasz starszy brat.

Jakieś młode kobiety z grubymi jak powrozy warkoczami rzuciły mu kwiaty, a jedna z nich zatrzymała go i wręczyła biało-czerwoną kokardkę wbity na szpilkę krawiecką, by mógł sobie przyczepić ją do munduru.

– A za sanitariuszami to się żadna nie obejrzy – mruknął Gustaw.

– Pożycz mundur i konia od Fryderyka, to od razu zwrócą na Ciebie uwagę – ze śmiechem zasugerowała Wiktoria.

– A gdzież mnie z tym kulasem się na taką piękną kasztankę gramolić. Jeszcze bym zleciał takiej pannie pod nogi i wstyd byłby na cały Mińsk.

– Zawsze mógłbyś powiedzieć, że Cię jej uroda tak olśniła. Gorzej, gdybyś zaliczył upadek przy jakiejś nobliwej matronie.

– Taki wyposzczony jestem, że nawet sześćdziesięcioletnia bezzębna dama zrobiłaby na mnie wrażenie.

– Jakże ty możesz wciąż myśleć o jednym, kiedy ja marzę tylko o prawdziwym łóżku, wannie z gorącą wodą i żeby chociaż jeden posiłek spożyć z talerza! – westchnęła.

– Marzenia to my całkiem podobne mamy, ale gdyby w tym łóżku leżała jakaś fertyczna kobietka, wcale bym się nie pogniewał.

– Już niedługo, braciszku, wrócimy do Warszawy i będziesz mógł znaleźć sobie narzeczoną. – Wiktoria się uśmiechnęła, wciąż nie mogąc uwierzyć, jak niepoprawnym kobieciarzem jest jej brat.

– Boże, uchowaj mnie od ożenku. To już wolę nogi nieszczęśnikom obrzynać. – Gustaw się przeżegnał.

– Ciekawe, czy Teresa przeżyła i jej białoruski narzeczony. Pójdę do Czerwonego Krzyża, może coś wiedzą. I wcale nie będzie mi wstyd, że kiedyś od nich uciekłam.

– Ale może zamiast jednego, mojego życia w tym czasie uratowałybyś ich setki – odparł Gustaw, poważniejąc i kończąc dyskusję o pięknych kobietach.

– Dla mnie życie brata było ważniejsze niż setki innych. Może to nie jest chwalebne, ale kto by mnie dzisiaj zabawiał rozmową, gdybyś zginął?

– A zatem ja szanownej siostrzyczce tylko do rozrywki jestem potrzebny.
– Zmarszczył czoło w udawanej złości.

– Nie pleć! – Ścisnęła mu dłoń.

Chciała jeszcze coś dodać, ale nie zdążyła, bo podjechał do nich Fryderyk i zsiadł z konia. Wyglądał na wyczerpanego, lecz jego oczy rzucały iskierki

radości i triumfu. Starszy Niemojski to był wojownik z krwi i kości. Naprawdę gotów był szarżować na Moskwę i osobiście zadźgać bagnetem Lenina. Wiktoria pomyślała z trwogą, że nigdy nie zaakceptuje jej związku z kimś takim jak Piotr, bo chociaż ten już przejrzał na wylot swoich braci bolszewików, wciąż snuł opowieści o rządach proletariatu.

Fryderyk przywitał się z nimi i oznajmił:

– Państwo Słomczyńscy wysłą po nas bryczkę z majątku. Zapraszają nas do siebie.

– Ty, bracie, zawsze potrafiłeś spełniać moje marzenia niczym Święty Mikołaj. – Gucio się rozpromienił, bo chyba od razu pomyślał o prawdziwym łóżku i balii z gorącą wodą. – A są w tym majątku jakie niezamężne panny? Chociaż jak małżonek nieobecny, to mnie ich stan cywilny żadną miarą przeszkadzać nie będzie.

Siostra popatrzyła na niego z politowaniem. Jej spojrzenie mówiło: „A jednak. Uwielbienie dla płci przeciwnej zwyciężyło nad snem, głodem i brudem”.

– Chyba tylko ta mała Anielcia została. Dwaj synowie Słomczyńskich polegli jeszcze w zeszłym roku – westchnął Fryderyk.

Gustaw nie ośmielił się powiedzieć nic więcej, bo w podobnej sytuacji indagowanie o małą Anielcię wydało mu się nader niestosowne.

Umówili się pod wieczór przy cerkwi Świętego Ducha. Wiktoria miała więc czas, by chociaż spróbować odnaleźć przyjaciółkę, z którą pracowała w lazarecie koło Dokszyca.

– A ty co będziesz robił do wieczora? – zagadnął brata Gustaw.

– Pojadę do naszych radiotelefonistów. Może uda mi się nadać wiadomość do ojca, że żyjemy i mamy się dobrze. Ciekawy też jestem, jak idą rokowania w Rydze, a przecież wywiad wie wszystko.

– Mogliby już ten rozejm podpisać – westchnęła Wiktoria.

– Broń Boże – zachnął się Fryderyk. – Trzeba iść naprzód. Im dalej zajdziemy, tym więcej zdołamy bolszewickiej swoloczy dla siebie wyrwać.

– Ja tam nie chcę być złym prorokiem, ale jak pojechał się dogadywać z bolszewikami ten dureń Dąbski pospołu z bardziej nieudanym z braci Grabskich, to niczego nie wyrwiemy, a jedynie coś dołożymy z litości, że daliśmy bolszewikom łupnia.

– Nawet tak nie żartuj! – Fryderyk zmarszczył czoło. – I tak popełniliśmy błąd, nie zawiązując sojuszu z Wranglem.

– Przecież to też sowiety – zdziwiła się Wiktoria. – Tylko że ci nie od Lenina, ale od cara.

– Cara już nie ma – zauważył Fryderyk, a potem powiedział cicho: – Wiktorio, każdy jest lepszy od bolszewika.

Powiedział to takim tonem, że dziewczyna pobladła i nie ośmieliła się poprosić brata, by i o stan zdrowia Piotra Kondratowicza się dowiedział. Gdyby nie jej ślepa miłość do tego człowieka, Fryderyk zapewne już dawno nadziałby go na bagnet, a jego wnętrzności rozrzucił po polu, by rozdziobały je kruki i wrony.

Wiktoria zabrała brata do oddziału Czerwonego Krzyża. Nie musiała nawet nikogo pytać o swoją przyjaciółkę, bo ta wypatrzyła ją pierwsza i podbiegła, płacząc i śmiejąc się na zmianę.

– Wiktorio, kochana przyjaciółko, jakże się cieszę, że tu jesteś i Polskę nam przywiozłaś!

Teresa wyściskała i ucałowała Wikę ku rozpaczycy Gucia, bo jemu zaledwie podała dłoń na powitanie.

– A twój narzeczony? Żyje? – dopytywała Wiktoria.

– Na szczęście żyje i tylko odlicza dni do zawarcia pokoju.

– Przecież bolszewicy przegrali – zdziwiła się Wiktoria.

– Wygrali, przegrali, co za różnica. On żaden miłośnik bolszewików. Chcemy się pobrać, mieć dzieci i kawałek pola. Jego rodzice posiadają spłachetek ziemi, tylko że u nich bieda, bo wszystko na kontyngenty poszło. Ale teraz, jak tu będzie Polska, życie będzie wyglądało inaczej – cieszyła się Teresa.

– To ciekawym, dlaczego w Armii Czerwonej taki głód, jak rolnikom wszystko prawie zabierają – wtrącił się Gustaw.

Teresa machnęła ręką.

– A po co rolnicy mają się starać, jeśli wiedzą, że i tak większość im zabierze władza. Więc sieją i zbierają, byle jak najmniej oddać. Po co mają się dla kogoś innego wysilać? Bolszewicy sprowadzili nawet jakiegoś znamienitego naukowca, co to niby ma sprawić, że ziemia będzie wydawała plony pięć razy do roku.

– O takim czarodzieju to ja jeszcze nie słyszałem – śmiejąc się, stwierdził Gustaw.

– Oni chyba też nie. Już teraz zastanawiam się, jak tego człowieka potraktują, kiedy mu te jego gusła nie wyjdą.

Porozmawiali jeszcze trochę, racząc się cienką herbatą i wodnistą ciecżą nazywaną zupą, by potem pójść w stronę cerkwi. Na razie dostali wolne, bo nikt nie wiedział, co dalej i kiedy przyjdzie im ruszyć głębiej na wschód. Atmosfera w punkcie Czerwonego Krzyża była podniosła, mimo że z namiotów lazaretu wciąż dobiegały jęki i zawodzenie rannych. Jednak każdy z nich już wiedział, że koniec wojny jest bliski i żadna bolszewicka armia nie puści polowego szpitala z dymem.

Gustaw wyobrażał sobie, że zaprzęg, który po nich przyjedzie, będzie przypominał ten, jaki posiadał ich wuj Antoni spod Płocka. Jego konie lśniły, podobnie jak lakier na burtach powozu. Tymczasem Słomczyński przybył wozem zbitym z surowych desek, który niemrawo ciągnął wychudzony koń. Nie narzekał jednak, bo polowe życie dało mu się już we znaki i marzył, by spędzić noc w normalnym łóżku.

– A gdzie Fryderyk? – Wika zaczęła się nerwowo rozglądać.

– Sam przyjedzie. Jutro rano. Podobno Polacy chcą jak najszybciej rozejm podpisać, a Fryderyk uważa, że to za wcześnie i trzeba jak najdłużej trzymać Lenina i Trockiego w szachu. Zwłaszcza że podobno ten cały Adolf Joffe, co negocjuje warunki pokoju z Polską, to szczywana sztuka, a nasi to jacyś niewprawni politycy. Po cóż więc takich wysyłają? – dziwił się Słomczyński.

– Każda partia chciała mieć swojego przedstawiciela, a gdzie kucharek sześć i tak dalej. – Gustaw machnął ręką, po czym pomógł Wice wsiąść do wozu.

Nadszedł październik i pierwsze chłody, więc przykryli się starą derką i ruszyli do majątku Słomczyńskich znajdującego się kilkanaście wiorst za Mińskiem. Słomczyńscy byli przyjaciółmi wuja Antoniego. Ten, gdy jeszcze robił interesy pod zaborem rosyjskim i często odwiedzał Moskwę, zatrzymywał się po drodze w ich majątku. Kiedyś nawet zabrał ze sobą siostrę Niemojską i jej trójkę dzieci. Gustaw jednak niewiele pamiętał z tej wyprawy, jedynie ciemne, gęste lasy i bezkresne pola, na które spoglądał z werandy domu Słomczyńskich. Wydawało mu się wówczas, że dojechali na koniec świata, a za rozciągającym się przed jego oczami polem jest tylko ciemna czeluść.

Teraz, jadąc rozklekotanym wozem, który co rusz się zatrzymywał, by wychudzony koń mógł nieco odpocząć, wyobrażał sobie elegancki dworek, zadbane ogród i roześmiane towarzystwo. Tymczasem na miejscu okazało się, że obejście porastały wysokie na metr chwasty, na ścieżkach zalegały jesienne liście, a okna w jednym miejscu zabito deskami.

Pani Słomczyńska, kobieta wysoka i szczupła, podeszła do nich i ucałowała w policzki. Mimo że jej włosy domagały się fryzjera, a sukienka była spłowiała i zacerowana w kilku miejscach, kobieta wciąż wyglądała jak prawdziwa dama.

– Wybaczcie, moi drodzy, ale dopiero niedawno wróciliśmy do domu. Ukrywaliśmy się w Mińsku, u jednego ajenta handlowego, który robił interesy z czekistami, dzięki czemu mieliśmy spokój. Niestety nasz majątek rozgrabiono, a czego nie udało się wynieść, zdemolowano – powiedziała przepaszająco Słomczyńska, jakby wstydziała się, że zaprasza gości do tak zaniedbanego domostwa.

– Szanowna pani, dla nas to zaszczyt i wielki przywilej móc was odwiedzić – odpowiedział szarmancko Gustaw. Nie tylko dlatego, że każdy murowany dom wydawał mu się teraz pałacem, ale przy takiej damie jak Słomczyńska wszyscy mężczyźni zamieniali się w dystyngowanych

dżentelmenów, no może oprócz bolszewików, bo wielu z nich nawet nie wiedziało, co owo słowo oznacza.

Tego wieczoru Gustaw nie zdołał porozmawiać z panną Anielą, a gdyby ktoś go zapytał, nawet nie byłby w stanie określić, czy córka Słomczyńskich jest piękna, czy wręcz przeciwnie. Padł na przygotowane wcześniej posłanie i zapadł w kamienny sen. Wydawało mu się, że minęły całe wieki, zanim kolejny raz otworzył oczy, ale gdy to nastąpiło, stwierdził, iż właśnie tego najbardziej mu brakowało. Snu.

Śniadanie było skromne, za co pani Słomczyńska znowu poczęła przeproszać, ale i tak nie można było porównywać go do posiłków, jakie jadali podczas działań wojennych. I w końcu mógł przyjrzeć się pannie Anieli, osobie nad wyraz szczupłej i bladej, jednak z niepokojącym błyskiem w oku. Od razu przypomniał sobie o dobrych manierach wpajanych mu przez matkę, a o których zapomniał w konwoju medycznym. A wtedy zdarzało mu się i kilka przekleństw rzucić, i jadać w mało elegancki sposób.

Sielską atmosferę przerwało przybycie Fryderyka. Gustaw dawno już nie widział swojego brata w podobnym stanie. Nie miał pojęcia, co się wydarzyło, ale najstarszy Niemojski miał łzy w oczach i usta zaciśnięte, jakby ostatkiem sił powstrzymywał się, by nie rozpłakać się jak dziecko.

– Co jest, braciszku? – zapytała zatrwożona Wika, bo i ona zauważyła odmienioną twarz brata. – Bolszewicy znowu ruszyli do boju?

– Oni to jeszcze długo się nie podniosą po ciosie, jaki im zadaliśmy – wybełkotał Fryderyk.

– Więc o co chodzi? – Gustawa także zmartwiła mina brata, który, odkąd rozgromili bolszewików nad Niemnem, uśmiechał się niemal bez przerwy.

Fryderyk usiadł w fotelu, a potem zakrył twarz rękami.

– Koniec, podpisaliśmy rozejm wojskowy.

Gustawa nie zmartwiło to zanedo, bo miał już serdecznie dosyć spartańskiego życia i chciał jak najprędzej powrócić do Warszawy. Koniec działań wojennych oznaczał także wznowienie zajęć na uczelni i powrót do

względnej normalności, bo było mało prawdopodobne, by Rosjanie szybko podnieśli się po druzgocącej porażce i mogli zaszkodzić Polsce.

Stary Słomczyński pogłaskał swojego sumiastego węża i oznajmił:

– Wiem, że każdy ma dosyć, ale przecież trzeba iść za ciosem. Już tak niewiele brakuje, by wyrwać bolszewickiej hydrze łeb na zawsze. A gdyby Piłsudski dogadał się z Wranglem, Moskwa byłaby w zasięgu ręki. Nie robi się takich rzeczy. Im dalej na wschód, tym lepsza karta przetargowa w negocjacjach.

– To nie koniec złych wieści... – powiedział grobowym tonem Fryderyk.

– Coś z rodzicami? Piotr ma się gorzej? – odezwała się nagle Wiktoria i pobladła. Ostatni raz bowiem widziała swojego brata w podobnym stanie, gdy informował ją o śmierci męża.

– Nie wiem, co w domu. Zdołałem tylko dostarczyć wiadomość do sztabu, że żyjemy... Mam nadzieję, że ktoś przekaże te wieści ojcu.

Wiktoria jakby odetchnęła z ulgą, bo ona patrzyła na wojnę przez pryzmat swoich bliskich. Byleby tylko im się nic nie stało.

Wszyscy obecni wpatrywali się we Fryderyka jak zaczarowani, chcąc w końcu dowiedzieć się, jakie hiobowe wieści im przywiózł.

– Białoruś oddana, Mińsk oddany, podobnie jak Wołyń i Kamień Podolski – wymamrotał Fryderyk, wpatrzony gdzieś w przestrzeń, jakby wciąż nie dowierzał, że mogło stać się coś podobnego.

Cisza, która zapanowała wśród zgromadzonych, była wręcz namacalna. Jakby nagle wszyscy stracili głos pod wpływem zasłyszanych informacji.

– Przecież wygraliśmy tę wojnę... – pierwszy odezwał się Gustaw.

Przez ostatnie tygodnie wciąż marzył, by wojna się zakończyła, ale nie w taki sposób. Rozgromili bolszewików, zmusili ich do podpisania rozejmu, a na koniec podarowali im taki szmat polskich ziem? Nie spodziewał się, co prawda, że uda im się wyrwać to wszystko, co Polska posiadała przed pierwszym rozbiorem, ale nawet w najczarniejszych snach nie przewidział, iż tam, gdzie Józik stracił życie, a jemu niewiele do tego brakowało, Polski już nie będzie.

– Boże, to niemożliwe, Fryderyku – jęknęła pani Słomczyńska. – Chcesz powiedzieć, że teraz nie jesteśmy już w Polsce, tylko w Rosji? I za to zginęli moi synowie, których oplakuję niemal codziennie?

Fryderyk Niemojski pokiwał głową i dodał:

– Sam nie mogę w to uwierzyć...

– Może nie dało się inaczej? – Wiktoria jako jedyna próbowała bronić oddanie tak wielkich połaci ziemi bolszewikom. Najgorsze jednak, że w tych regionach mieszkali Polacy.

– Dałoby się. Oni oddaliby nam wszystko za pokój! – niemal krzyczał Fryderyk. – Nasi posłowie powiedzieli, że nie chcą Mińska, bo za bardzo zżydziały, a Smoleńsk, Witebsk i okolice Berezyny to zbyt duża masa mniejszości. Cholerni nacjonaści, cholerni idioci!

– Zostawili nas... Po prostu nas zostawili. Wygraliśmy wojnę, a oni nas oddali na pastwę bolszewików. – Pani Słomczyńska kiwała się na krześle jak osieroczone dziecko.

Gustaw próbował rozładować atmosferę, mówiąc coś pogrzipiającego, ale zdawał sobie sprawę, że w tej chwili pewne argumenty mogą nie przemówić do siedzących w salonie gości.

– Słuchajcie, przecież gdy dojdzie do podpisania traktatu, Rosjanie będą musieli zapewnić innym narodowościom swobody obywatelskie i bezpieczeństwo. Trzeba będzie tego przypilnować.

– Młody człowieku – syknęła pani Słomczyńska – czyś ty jeszcze nie zdołał poznać bolszewików? Oni każdą umowę mają za nic.

– To zdrada, to Targowica! – grzmiał Słomczyński.

– Nie wiem, dlaczego tak się stało. – Fryderyk miał w tym momencie minę strapionego dziecka. – Nie mogę uwierzyć... Jednak ma pani rację. Oni wszelkie umowy mają za nic. Jeszcze nie dawniej niż kilka dni temu całym sercem byłem za tym, by nie wiązać się z Wranglem, bo przecież Rosjanie to jedna swołocz nienawidząca Polaków, teraz jednak wiele bym dał, żeby czas się cofnął. Nie ma niczego bardziej wyjąłowego z wartości

niż bolszewizm. Zachód tego jeszcze nie widzi, ale my już powinniśmy to zobaczyć.

– Masz rację, Fryderyku – westchnął Słomczyński. – Ugadywać się z bolszewikami to jak negocjować z samym diabłem.

– To nasz koniec... – dodała ze łzami w oczach Słomczyńska. – To nasz koniec. Wcześniej czy później wymordują nas wszystkich. Nie tylko oddano nas bolszewikom, nas skazano na śmierć.

Anielcia, która do tej pory nie odzywała się wcale, jakby nie rozumiała powagi sytuacji, powiedziała cicho:

– Trzeba nam będzie stąd uciekać.

– Mój dziad tu mieszkał i ojciec. Starych drzew się nie przesadza, córeczko. Zresztą mam to wszystko zostawić i zaczynać od początku? Kto to teraz kupi? Nikt, bo przecież bolszewicy mają za nic własność prywatną. Boże, moi synowie zginęli na darmo. A oni o tę ziemię, o naszą polską ziemię walczyli.

Potem nastąpiła w salonie Słomczyńskich grobowa cisza.

Gustaw nie wierzył, że polska delegacja nie zdawała sobie sprawy, na co naraża Polaków, którzy niebawem staną się obywatelami Rosji. Pani Słomczyńska miała rację – wraz z rozejmem na te setki tysięcy ludzi podpisano właśnie wyrok śmierci. Ile czasu im zostało, zanim bolszewicy się podniosą? Pięć lat, może dziesięć. A potem po Polakach nie zostanie tu kamień na kamieniu...

– Zabierzcie Anielę do Warszawy – zawyrokowała w końcu Słomczyńska.

– Niech chociaż ona ocaleje z naszego rodu.

– Niech mamusia nawet tak nie mówi. Nie zostawię was. – Aniela rozplakała się, bo przecież stolica była tak daleko. A jeśli naprawdę jej dom już niedługo dostanie się pod władanie bolszewików, może już nigdy nie zobaczyć rodziców.

– Dziecko drogie, ty musisz stąd uciec. Jak najdalej... – ze łzami w oczach dodał pan Słomczyński.

– Zaopiekujemy się nią – powiedział cicho Fryderyk, jakby w tej sytuacji jedynie to mógł zrobić.

– Może nie wszystko stracone, może los się jeszcze odmieni? Przecież to niepodobne, przecież to my wygraliśmy...

– Córeczko, to chyba najsmutniejsza wygrana – jęknął Słomczyński i dodał: – Zastanowimy się jeszcze, co zrobić, ale nie chciałbym stracić swojego ostatniego potomka.

– Ja też się Anielcią zajmę. Jak należy – wyskoczył nagle Gustaw, bo chciał jakoś wesprzeć rodzinę Słomczyńskich. Był nawet gotów z miejsca oświadczyć się pannie Anieli, by móc ją zabrać do Warszawy, ale mimo wszystko coś podobnego przez gardło mu przejść nie mogło.

Jeszcze tego samego wieczoru do majątku przybyli proboszcz, notariusz i fabrykant części do bryczek. Każdy z nich już wiedział o nowych granicach, bo ogłoszono to doniosłe wydarzenie w prasie. Pytali jeden przez drugiego, czy to prawda, czy bolszewicka propaganda, bo w tej materii Rosjanie byli mistrzami.

– Tak, księżo proboszczu – odpowiedziała zapłakana Słomczyńska.

– Najprawdziwsza, panie Raczek, najprawdziwsza – wzdychał właściciel majątku.

Nie chcieli wierzyć, wciąż łudząc się, że coś jeszcze da się zrobić. Liczyli na ministra Sapiechę, na cały rząd polski, ufając, że nie wszystko stracone.

– Trzeba nam stąd wiać, panie Słomczyński – powiedział poblady fabrykant. – Tylko czy nam pozwolą, czy lepiej już teraz nam dobytki pakować.

– Rozejm podpisany, ale przecież wciąż trwają negocjacje co do kształtu granic – pocieszał Fryderyk, ale widać było, że z każdą godziną jego głos tracił żarliwość.

Gustaw pomyślał, że w tej sytuacji jego brat tym bardziej nie zaaprobuje narzeczonego małej Wiktorii. Wciąż powtarzał jak obłąkany, że chociaż wygrali, to jednak przegrali.

* * *

Kilka dni później wracali do Warszawy, z dziwnymi myślami, bólem w sercu i jakimś ogromnym zawodem, że tak daleko dotarli, by na końcu nieudolni politycy się poddali. Fryderyk zajmował się Wiktoria, odradzając jej małżeństwo z Kondratowiczem, bo przecież każdy komunista to oszust i kłamca. Gustaw skupił się na poblądłej Anieli, która wciąż chlipała, bo wyrwano ją z domu rodzinnego, z miejsca, gdzie się urodziła, wychowała i zamierzała kiedyś założyć własną rodzinę.

Byli wypoczęci i po skrajnym wyczerpaniu, jakie towarzyszyło im w drodze do Mińska, już nie pozostał ślad. A jednak to właśnie wtedy na ich twarzach gościły uśmiechy, a nie teraz, gdy byli już wyspani i najedzeni. Patrzyli przez okno na krajobraz, jakby chcieli skupić się na czymś innym niż rozmowa o tym, co się wydarzyło. Jechali do domu, do Warszawy, ocalonej przed bolszewikami, wolnej ojczyzny, zostawiając za sobą miejsce, które polskie już nigdy miało nie być.

Na polach wciąż leżały trupy, hordy wycieńczonych polskich żołnierzy maszerowały do swoich domów. I pewnie jeszcze nie wiedzieli, że niektórzy z nich idą z powrotem do Rosji.

SYLWIA ZIENTEK

CÓRKA PUŁKOWNIKA

Jak to możliwe, że świat i życie, które znałam, rozpadły się w ciągu kilkunastu dni? Wychodząc z mieszkania na zalane lipcowym żarem podwórze, raz po raz zadaję sobie to pytanie. To, co dzieje się dookoła, wydaje się nierealne. Jakby ktoś uwięził mnie we śnie, w którym rzeczywistość myślę z ponurym marzeniem, na próżno czekając na moment przebudzenia.

Stróż zamiatający schody naszej kamienicy przy Marszałkowskiej kłania się na mój widok i wyraźnie zdenerwowany mówi, że klamka zapadła, bolszewicy idą na Warszawę.

– Czy szanowny tatuś przesłał jakie wiadomości z frontu?

Kręcę przecząco głową. Od połowy czerwca, kiedy nastąpił wielki odwrót wojsk, wyczekujemy z matką listu i lękamy się nadejścia depešy.

– Pani pułkownikowa ciągle w niedyspozycji? – dopytuje mężczyzna.

Wzruszam ramionami. Cóż mogę powiedzieć? Że trwoga zatruwa mamie życie? Ojca nie ma w domu już od wczesnej wiosny i nie sposób przewidzieć, kiedy i czy w ogóle zawita do Warszawy.

Tym razem przeczucia są dużo gorsze niż dwa lata temu, kiedy papa walczył w legionach. Matka od południa nie funkcjonuje bez szklanki koniaku, a im bliżej wieczora, tym bardziej jej niepokój wzrasta, i dopiero po kilku solidnych porcjach trunku ogarnia ją otępienie i w końcu zapada w sen. Gdyby zobaczyła, co dzisiaj się dzieje w mieście, jej strachu przed bolszewikami nie ukołaby żadna dawka alkoholu.

Obleczona blaskiem Warszawa pozornie wydaje się emanować letnią radością. Bujne korony drzew, klomby pysznych kwiatów i beztrioskie chmurki na błękitnym niebie przywodzą na myśl sielskie pejzaże. Ale wystarczy spojrzeć na poszarzałe twarze przechodniów, aby prysła iluzja.

– Bolszewicy górą! Wojsko polskie w odwrocie! Tuchaczewski się nie cofnie! – krzyczy na całe gardło chłopiec z naręczem „Kurjera Warszawskiego”.

– Będzie dobrze, droga pani, bolszewicy nie odrzucą naszej propozycji pokojowej – zapewnia osłupiałą kobiecinę jakiś elegancki jegomość.

Z powodu wiosennych strajków odzwyczaiłam się od korzystania z tramwaju. Mijam wysepkę oznaczoną literą „P” (Powiśle) i postanawiam iść pieszo na nadbrzeże, do budynku Szkoły Sztuk Pięknych. Gdy skręcam w Aleje Jerozolimskie, widzę kondukt żałobny idący pewnie spod Szpitala Ujazdowskiego. Ktoś na ulicy szepce z trwogą, że to ktoś poległy za ojczyznę. I że to już piąty kondukt sunący tego dnia w kierunku Powązek.

Kiedy patrzę na ulice, uświadamiam sobie, jak miasto nagle się zmieniło. Wszędzie pełno jest ludzi, którzy w obawie przed działaniami wojennymi uciekli do stolicy. Mnóstwo wozów, bryczek, koni. Wielu przybyszów ze wsi przywiozło ze sobą żywy inwentarz – dotąd nie widziałam jeszcze krów albo owiec na Nowym Świecie! Letnicy wracają znad morza i gór do swoich mieszkań, inni zaś stąd uciekają – widać wielu, jak obarczeni bagażami kierują się w stronę dworca. Jeszcze w pierwszych dniach lipca każdy, kogo tylko było na to stać, wyjeżdżał z Warszawy na letnisko. W Zakopanem nie sposób było znaleźć wolnego pokoju. Na morzem podobnie. Za marną świetlicę w chacie rybackiej żądano kilkaset marek, a do tego Kaszubom nie podobało się, że kobiety i mężczyźni kąpią się na tej samej plaży. Śmialiśmy się z przyjaciółmi, że tam akurat jechać nie możemy. Pieniądze oszczędzaliśmy na Paryż.

Dosłownie z dnia na dzień okrągłe słupy, mury budynków, witryny sklepowe pokryły się ogłoszeniami, zarządzeniami i odezwami. Dosadne komunikaty biją po oczach: „Do broni! Ratujmy ojczyznę!” albo „Wstępujcie do armii ochotniczej!”. Naczelnik Piłsudski wzywa naród do

obrony granic. Każdy mężczyzna, który skończył siedemnaście lat, jest zobowiązany do zgłoszenia się do armii tworzonej przez generała Hallera. Dociera do mnie, iż gdybym była mężczyzną, nie byłoby dla mnie innej alternatywy niż wojsko. Rodzice modlili się o syna, miałam być Karolem – urodzona w przypadającym na 2 marca święcie tego imienia zostałam Karoliną. Gdybym zgodnie z pragnieniem ojca była chłopcem, moim przeznaczeniem byłaby kariera wojskowa. Tata powtarzał mi to wielokrotnie.

Nagle dostrzegam plakat przedstawiający polskiego żołnierza walczącego z ogromnym smokiem. Z dumą stwierdzam, że czerwona farba, którą przedwczoraj zamalowywałam owego smoka (kontury własnoręcznie nakreślił profesor Skoczylas), doskonale przyciąga wzrok.

Czuć nerwowość wśród ludzi, którzy w ciszy czytają kierowane do nich słowa. Wykrzykniki, pisane dużymi literami agresywne wyrazy chwilami kojarzą mi się z jakąś filmową scenografią.

Nagle słychać młody, męski głos:

– Niech żyją sowieci! Precz z uciskiem i poniżeniem proletariatu!

Wśród stojących przed słupem ogłoszeniowym ludzi podnosi się wrzawa. Kto wypowiedział te bluźnierstwa?

– Nie tylko chłop na wsi, proszę pana, czeka na wejście bolszewika... – wzdycha mężczyzna w robotniczym stroju i odchodzi, zapalając papierosa.

Z rulonem brystolu pod pachą kieruję się ku widocznej w oddali wieży Dworca Wiedeńskiego. Spieszę się do malarni zorganizowanej ad hoc przez CKP, czyli Centralny Komitet Propagandy (przez złośliwych nazywany Co Komu Po tym), gdzie uznani artyści i studenci przygotowują antybolszewickie plakaty, które później któraś z „czołówek” rozlepia po całej Warszawie.

Trudno wprost uwierzyć, że zaledwie dwa tygodnie temu studencką grupą spędzaliśmy cudowne dni na plenerze malarskim w Kazimierzu Wielkim. Premiery teatralne, koncerty, wernisaże w Zachęcie, wieczory w kawiarnianych ogródkach, zabawy taneczne, niemal codzienne wyjścia do kinematografu... Tak wyglądało nasze życie. Na zabawie pożegnalnej w

ostatni dzień czerwca tańczyliśmy fokstrotą. Oto kończył się drugi rok naszej nauki, a szkoła zamykana była tymczasowo z powodów finansowych. Ze smutkiem rozstawaliśmy się z uczelnią, ale czuliśmy też entuzjazm i radość, bo dla niektórych z nas miał się zacząć nowy rozdział naszego życia – Paryż!

Na targowisku u zbiegu Nowego Światu i Tamki ceny porażające, wyższe dwukrotnie od tych sprzed tygodnia! Wokół straganów kręci się mnóstwo wyglądających niezwykle nędznie ludzi. Ze zgrozą spoglądają na wskazane w markach kwoty. Paskarze spekulują w najlepsze! Co rusz słyhać utyskiwania, nawet przekleństwa rzucane pod ich adresem. Spekulanci bezwstydnie windują nieziemskie ceny, podczas gdy ludzie nieustannie są nakłaniani do oddawania pieniędzy na kasę odrodzenia, która finansuje wojnę.

Przyciągają mój wzrok dorodne maliny. Przywołują obraz sprzed kilku dni, gdy karmiąc się wzajemnie owocami, leżeliśmy z Lidką i Wojtkiem na trawie nad brzegiem Świdra, ja z głową opartą na jej kolanach, on opierający się o jej ramię. Pragnę znowu poczuć smak malin. Sięgam do torebki, by wyjąć portfel i nagle przypominają mi się słowa matki: „Broń cię Boże jeść teraz świeże owoce! Mamy epidemię czerwonki! Jeszcze mi tego brakowało! Kompot wystarczy”. Ruszam więc dalej. Pogoda jest bajeczna, pełnia lata i jego możliwości. Po tym dniu wszystko może być już tylko wyblakłą akwarelą. Wojna, bolszewicy... Ale najważniejsze, że Lidka, Wojtek i ja za chwilę znowu będziemy razem.

Nie wiem, gdzie spędzimy dzisiejszy wieczór. Ledwie przedwczoraj w mieście ucichła muzyka, w lokalach już nie wypada tańczyć, nie wypada nawet jeść przy dźwiękach pianina, bo „melodie nie odpowiadają nastrojowi chwili”, jak wyjaśnia kierownik sali w Astorii, gdzie najczęściej bywam z najlepszymi przyjaciółmi ze studiów. Lidka, Wojtek i ja. Nierozłączna trójka. Ona – najzdolniejsza artystka na roku, obdarzona niezwykłą wyobraźnią, niebywała kolorystka, charyzmatyczna, a do tego piękna. Niedościągniony wzór. O niczym nie marzę bardziej, jak tylko być Lidką. On, z głową w chmurach, smukły i marzycielski, zaczytany w

wierszach Staffa i Leśmiana, bardziej poeta niż malarz, nie pasuje do współczesnego świata. Obie z Lidką durzymy się w nim od przeszło roku, a on zdaje się tego nie zauważać. W końcu będzie musiał dokonać wyboru i jedna z nas będzie cierpieć. Czuję, że będę to ja, bo przecież nie mógłby nie kochać Lidki. Niech stanie się to w Paryżu, nie tutaj, nie teraz, nie tego lata.

W cichej sali, gdzie zwykle rozbrzmiewały dźwięki modnych melodii, palimy w milczeniu papierosy, zjadamy siekane kotlety z cebulką, których cena wzrosła trzykrotnie w ciągu ostatnich kilku tygodni. Nie poddajemy się. Życie toczy się dalej, nasza sztuka jest naszą przyszłością. Wszystko jest już zaplanowane, klamka zapadła: za trzy tygodnie jedziemy studiować w Paryżu! Dzięki pomocy kuzynki mojej mamy, która mieszka tam od przeszło dziesięciu lat i wystawia swoje obrazy na Salonie Jesiennym, mamy ugadane pokoje w małym pensjonacie przy bulwarze Raspail i jesteśmy zapisani na zajęcia dla wolnych słuchaczy w Académie de la Grande Chaumière. To na początek, później zobaczymy. Na Montparnassie, gdzie mieści się szkoła, życie ponoć nie jest tak drogie jak w innych dzielnicach, a rodaków jest tak wielu, że główny bulwar przypomina naszą Marszałkowską. Kobiet malarek i rzeźbiarek jest tam bez liku, a traktowane są jak artystki niemal równe z mężczyznami.

Na skutek wielu moich próśb papa w końcu obiecał mi dać niewielką sumę na podróż i początek mojej edukacji.

– Potem zobaczymy – westchnął. Nie miał już co do mnie złudzeń, nawet nie ukrywał swojego rozczarowania jedynym swoim dzieckiem.

Zawiodłam go już w momencie urodzin, przychodząc na świat jako dziewczynka, a później było tylko gorzej. Kiedy uparłam się, żeby pójść do Szkoły Sztuk Pięknych, powiedział mi tylko:

– Obyś znalazła właściwego męża.

To było wiosną, gdy jechał na wschód, aby wziąć udział w wyprawie kijowskiej. Nie widziałyśmy go z matką od tamtego czasu. Stał na środku naszego ciemnego, pełnego pamiątek po przodkach i ciężkich mebli salonu, ubrany już w mundur, gotowy do drogi. Mdlilo mnie od znanej mi od dzieciństwa mieszaniny woni munduru, dodatków ze skóry i długich

butów oraz wody kolońskiej o drzewnym zapachu. Kiedy byłam małą, ilekroć czułam ten zapach, wpadałam w rozpacz. Człowiek, którego bezgranicznie kochałam, za chwilę miał mnie opuścić. Jego ukochana królowna w wytwornej sukieneczce rzuciła się wówczas na podłogę i zalewała łzami, wyjąc przy tym jak zranione zwierzę. Jak mi opowiadano, łapałam za nogawki jego spodni, błagając, by nie wyjeżdżał. Ale on za każdym razem musiał iść. Nienawidziłam jego munduru, jego wojskowych akcesoriów, jego pagonów w stopniu pułkownika, z których matka była tak dumna. Jej życie wypełniało nieustające czekanie na męża i wobec ludzi zawsze robiła to z wdziękiem. Ubrana z największą elegancją, dystyngowana i dumna, była szczęśliwa w chwilach, gdy nazywano ją „panią pułkownikową”. Przy mnie i przy służbie więdła, od czasu do czasu grając na fortepianie ballady Szopena i wyczekując odgłosu ciężkich, wojskowych butów na trzeszczącym parkiecie.

Orkiestry grają jeszcze tylko w trakcie seansów filmowych w czterdziestu dwóch warszawskich kinematografach. Prawie codziennie nasza trójka umawia się w kinie, najczęściej w Mirażu na Nowym Świecie albo w Sfinksie przy Marszałkowskiej. Filmy to nasz chleb powszedni. Cóż z tego, że te nieme historie są sentymentalne i mało prawdopodobne – najważniejsze, że prawie wszystkie opowiadają o miłości, a ten niewypowiedziany, choć widoczny ogrom emocji kompletnie nas rozpiera. Lidka i ja, obie kochamy tego złotowłosego cherubina o sylwetce i twarzy greckiego boga, którego rzeźby widziałam w muzeum pergamońskim.

W malarni zostali już tylko niemal sami starsi mężczyźni, praktycznie wszyscy zaciągnęli się do armii ochotniczej. Na ulicach właściwie nie widać żadnych chłopców ani młodych mężczyzn. Prym wiodą kobiety. Namawiane jesteśmy już nie tylko do szycia koszul i bielizny dla żołnierzy, zbierania datków czy przygotowywania poczęstunków dla przechodzącego przez miasto wojska, teraz mamy być tramwajarkami, subiektkami, możemy uczyć się na szoferów.

Jako studentki wcześniej byłyśmy dopuszczane tylko do wypełniania kolorami powierzchni naszkicowanych przez artystów. Teraz same

wymyślamy plakaty i malujemy je na wielkich płachtach papieru, którego zapasy są już na wyczerpaniu. Zwykle rysujemy sylwetki polskich żołnierzy walczących z bolszewikami o odstręczających twarzach, czemu towarzyszy napis „Bij bolszewika” albo „Ratujmy ojczyznę”. Ale propaganda nakazuje rzucać pociski nie tylko w bolszewików, lecz także w bezwzględnie wykorzystujących sytuację paskarzy, a nawet w obojętnych cywilów. Tych wciąż nie brakuje. Niektórzy unikają poboru i spokojnie czekają na wkroczenie bolszewików. „Kiedy przyjdą...”, mówią takim tonem, jakby chodziło o zapowiadzaną i pewną wizytę przyjacielskich sąsiadów.

Temperatura przekracza trzydzieści trzy stopnie. Nieustannie jęcząc z powodu duchoty, realizujemy dziś w malarni pomysł Lidki – plakat, który ma potępiać masowo opuszczających Warszawę antypatriotów, głównie arystokratów i bogaczy: w głębi wagonu z napisem „Wagons lits par Poznań” znika kobieca sylwetka, dobrze widoczna jest zgrabna noga w drogim pantofelku, w środku, za szybą widać eleganckiego mężczyznę. Napis głosi „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, będziemy Polakami”.

Po ośmiu godzinach pracy moi przyjaciele są markotni. Może to z powodu parnej pogody. Wieczór nie przynosi ulgi. Namawiam ich na seans filmowy w Capitolu. Kupujemy bilety, chociaż podrożały o sto pięćdziesiąt procent! W trakcie antraktów orkiestra cichnie i czytane są odezwy. Gdy padają słowa o obowiązku walki o ojczyznę, jakaś starsza kobieta siedząca w naszym rzędzie naskakuje na Wojtka. Dlaczego siedzi w kinematografie, dlaczego jeszcze się nie zaciągnął?

– Przez takich jak ty nasz kraj spłynie krwią! – pokrzykuje kobieta.

– Niech pani zrozumie, on jest niezdatny do służby, choruje na płuca! – staję w obronie Wojtka, z zapalem przekrzykuję agresorkę.

Wreszcie orkiestra zaczyna grać, gasną światła i na ekranie pokazuje się zboląła twarz aktorki grającej zdradzoną hrabinę.

Kiedy wychodzimy z kina, Wojtek długo milczy. W końcu mówi, że tamta kobieta miała rację. Musi TO zrobić. Chorował na płuca, kiedy był mały, teraz nic mu już nie dolega. Od kilku dni wiedział, że musi się zaciągnąć. Podjął już decyzję. Nazajutrz rano zgłosi się do punktu

werbunkowego. Staram się odwieść go od tego zamiaru, przecież naszą przyszłością jest sztuka. Lidka milczy.

– Zobaczysz, ta wojna nie potrwa długo, zawrzemy pokój z bolszewikami. Tak jak planowaliśmy, pojedziemy do Paryża! – mówię, siląc się na uśmiech.

Wojtek patrzy na mnie tak, jakbym mówiła do niego w obcym języku.

– Paryż... – szepce i wzdycha. Żegnając się, nie wstydzimy się ronić łez. Obejmujemy się we trójkę na krótką chwilę. Lidka wydaje się nieobecna, jakby nie docierało do niej, że szybko nie zobaczymy naszego ukochanego Wojtka. A może nie zobaczymy go już nigdy. Czy Paryż może poczekać? Wciąż nie dopuszczam do siebie myśli, że podróż będzie musiała być przełożona.

Nazajutrz Lidka nie pojawia się w malarni, kolejnego dnia również.

Po zakończeniu pracy idę na ulicę Lwowską i pukam do drzwi jej mieszkania. Młodsza siostra ze łzami w oczach mówi mi, że Lidka wbrew woli rodziców poszła zaciągnąć się do oddziałów Ochotniczej Legii Kobiet – będzie prawdziwą żołnierką, będzie strzelać do bolszewików z prawdziwego karabinu.

– Gdzie jest teraz? – pytam wstrząśnięta tym, że przyjaciółka tak po prostu zniknęła, nie mówiąc mi nawet słowa.

– Ma kwaterę na Grochowie, skierowano ją na szkolenie – informuje dziewczynka i przypomina sobie o liście, który zostawiła dla mnie Lidka.

Chwilę później, stojąc pod halą Koszyki, drżącymi rękami otwieram kopertę. Lidka pisze, że już od dawna nosiła się z zamiarem wstąpienia do OLK, to dla niej ważniejsze niż Paryż, niż cała sztuka. Nie chciała mi o tym powiedzieć, bo wiedziała, jak nie znoszę wojska. Od tygodnia załatwiała dokumenty, bo aby zostać przyjętą do Ochotniczej Legii Kobiet, trzeba przedłożyć podpisane przez proboszcza świadectwo moralności i mieć wymagany ekwipunek.

W chwili dziejowej próby to wyjątkowa szansa, aby kobieta mogła walczyć z wrogiem prawie tak jak mężczyzna. Nie martw się o mnie, kochana, jeśli przyjdzie

mi zginąć, będzie to piękna i pożyteczna śmierć. Jeśli będziesz mogła, przyjedź na Grochów, mamy zapowiedziane ćwiczenia koło Kamionka. Przynieś mi papierosy. Palenie jest tu zabronione, podobnie jak wszelkie spotkania z płcią męską. Do zobaczenia! Może uda nam się spotkać. Twoja Lidka.

Nazajutrz w gorący, przesycony zapachem kwitnących lip dzień przeprawiam się przez Wisłę i w południe docieram na Grochów. Na polu grupa przeszło stu żołnerek, które wstąpiły do Ochotniczej Legii Kobiet, ćwiczy strzelanie. Wszystkie ubrane są w jednakowe ciemnozielone mundury składające się z kurtki niemal identycznej z męską oraz sięgającej połowy łydki spódnicy i żółtych butów. Na głowach mają kapelusze skautowe w kolorze khaki z rzemykiem pod brodą i podniesionym prawym rondem. Szybko odnajduję w grupie dziewczyn moją przyjaciółkę. Wzrusza mnie wygląd jej drobnej sylwetki z przewieszonym przez ramię karabinem. A tak niedawno ubrane w letnie sukienki w kwiatki czytałyśmy na głos wiersze z nowego tomu Leśmiana, rozmarzone, gotowe na pocałunki i pieszczoty, których pragnienie rozbudził w nas poeta.

Przypatruję się wraz z grupką gapiów na pełne wigoru młode kobiety, a gdy nadchodzi chwila przerwy, oddalamy się z Lidką w osłonięte krzakami miejsce i kładziemy na trawie blisko siebie. Palimy papierosy. Wkrótce dołącza do nas kilka innych żołnerek. Wszystkie są radosne i pełne entuzjazmu. Lidka śmieje się wraz z nimi. Tak jak kiedyś w trakcie wycieczki do Świdra, kładę moją głowę na jej kolanach, ona sunie opuszkami palców po moich policzkach, wkłada dłoń we włosy.

– To zawsze byłaś ty – szepczę, patrząc jej w oczy, zawstydzona swoją słabością i niedoskonałością. Czuję się jak pusta dusza, która czerpie garściami z osobowości bogatej przyjaciółki, a i tak jest zaledwie jej cieniem.

Żegnając Lidkę, nie umiem pohamować łez i gwałtownego żalu.

– Kiedy to wszystko się skończy, pojedziemy do Paryża, tak jak planowałyśmy? – pytam przyjaciółkę, bojąc się odpowiedzi.

Ona tylko muska moje usta swoimi wargami, chowa do kieszeni spódnicy papierosy i zapalki i dziarsko woła:

– Stańmy na szanćach orlice!

A inne dziewczęta odpowiadają jej bojowym okrzykiem.

Sierpień rozpoczyna się gwałtownymi burzami. Na ulicach podszyty przerażeniem spokój. Wróg jest kilkadziesiąt wiorst od stolicy. Procesje kościelne mijają się z oddziałami robotników, którzy wstąpili do armii ochotniczej, konduktami pogrzebowymi, przemarszem wojsk i kolumnami bolszewickich jeńców.

Rada Obrony Stolicy zarządza prace publiczne – rozpoczyna się kopanie rowów i fortyfikacja miasta. Wszystkie ręce na pokład: kobiety, dzieci, starcy. Zgłaszamy się z mamą akurat dziesiątego sierpnia, kiedy wprowadzony jest oficjalnie stan oblężenia. W parne popołudnie kopimy rów, wysłuchując przygnębiających wieści, jakie omawiają inni uczestnicy „społecznego zrywu”. Ponoć Tuchaczewski wydał już rozkaz: 16 Armia ma zaatakować Warszawę od wschodu. Bolszewicy przekonani są o czekającym ich sukcesie. Po upadku Warszawy i połączeniu się Armii Czerwonej z planowaną rewolucją komunistyczną w Niemczech rewolucja ogarnie całą Europę. Ale ponoć Piłsudski ma jakiś plan, co prawda nasze wojsko od wielu tygodni jedynie cofa się przed wrogiem, ale po przegrupowaniu armii jest jakaś nadzieja...

Ciekawe, gdzie teraz jest ojciec. Czy pod Warszawą? Oczyma wyobraźni widzę Lidkę uczącą się strzelać z karabinu. Ona i inne żołnierki zostaną na Grochowie, będą pełnić służbę wartowniczą. Może znajdą się na pierwszej linii walki z wrogiem?

Codziennie odbywają się sądy doraźne i na stokach cytadeli rozstrzeliwani są dezercerzy. Kiedy słucham tych rewelacji, z bólem myślę o biednym Wojtku. Czy da radę bić się z bolszewikami? A inni młodzi chłopcy? Nie każdy jest bohaterem. Ponoć jeden ze studentów naszej szkoły tak bardzo bał się wstąpić do wojska, że chodził po ulicach ubrany w sukienkę i perukę swojej siostry. Zdradził go niestarannie ogolony zarost i rozpoznała go grupa starszych pań sprawdzająca restauracje, kawiarnie i

parki w poszukiwaniu „tchórzów”. Agitatorki siłą zaprowadziły chłopaka do punktu poborowego, po czym wróciły do Ogrodu Saskiego kontynuować obławę na antypatriotów.

– Paniusie dostały obłądu – komentuje bileter w kinoteatrze Corso, gdzie grają *Truciznę rozkoszy*.

W bramach i podwórkach zgrupowane w kołach kobiet warszawianki częstują żołnierzy kawą i herbatą, obsługują stacje żywnościowe na trasie przemarszu wojsk.

– Wystrojone jak na odpust, niech jadą za rogatki, na obrzeża miasta! Tam nie ma komu żołnierzowi kubka wody podać! Ale nie, tu pod kawiarnią Lourse’a, w eleganckiej sukni i kapeluszu przybranym kwiatami warto się pokazać! Ale w Wesolej czy Rembertowie nie ma sensu... – pokrzykuje starszy jegomość, wymachując laską, gdy idziemy z mamą na plac Saski, aby oddać złotą ślubną obrączkę w ofierze na polskie wojsko. W zamian za złotą mama dostaje żelazną, za to z pamiątkowym napisem.

Kiedy wracam do domu, mama krąży po salonie w jakimś nerwowym amoku. Jest roztrzęsiona, powtarza w kółko, że jutro zaczyna się ostrzeliwanie Warszawy, że zginiemy od wybuchów albo bolszewicy wkroczą do miasta i takich jak my powieszą na latarni. Staram się przytulić mamę, ale ona wyslizguje się z objęć. W gabinecie ojca stoi pusta karafka po koniaku, nie ma już żadnych zapasów alkoholu. Staram się spokojnie uśmiechać i mówić łagodnym głosem. Wyciągam kupione w drodze do domu wieczorne wydanie „Kurjera”.

– Zobacz, mamo, wszystko jest normalnie, zobacz, co piszą w gazecie. Gdyby było tak źle, na pierwszej stronie nie byłoby tylu ogłoszeń o spektaklach, filmach i premierach! Zobacz – podtykam matce płachtę papieru pod oczy – w Palace grają nowy film z Polą Negri, może pójdziemy razem? Francuski film, operetka, nowy spektakl w Colosseum i premiera w Mirażu! Przecież świat nie może się walić, jeśli grane są przedstawienia!

Matka, ciężko oddychając, opada na fotel. Siedzi skulona z głową opuszczoną na piersi.

– Co my zrobimy? Mój brat, tchórz jeden, wyjechał z całą rodziną, to samo ciotka Wiesia... Prawie wszyscy uciekli, ale ja przecież nie mogę tego zrobić. Żona pułkownika musi wykazać się odwagą... – szlocha.

Przebiegam wzrokiem po szpaltach gazety. Jutro o 10 rano w katedrze Świętego Jana odbędzie się uroczyste nabożeństwo i poświęcenie sztandaru Ochotniczej Legii Kobiet! *Prosi się o liczne stawienie się na tę uroczystość, w której dzielne nasze legionistki w pełnym rynsztunku wezmą udział* – czytam. Serce bije mi mocniej. A więc będzie okazja jeszcze raz zobaczyć Lidkę! Przed oczami staje mi jej obraz w ciemnozielonym mundurze, jasnych włosów wystających spod kapelusza. Widok tej drobnej kobiety dumnie niosącej karabin nie daje mi spokoju. A może ja też...?

– Przysięgnij mi, dziecko, że nigdy mnie nie zostawisz – nagle zaczyna zawodzić matka. – Tylko ty mi jedyna zostałaś! Czuję, że ojciec nie wróci już do domu – płacze.

Ponury zegar z kurantem donosi o nadejściu godziny 19.00.

– Niech się mama ubiera, zdążymy przed godziną policyjną zjeść kolację w Astorii – zachęcam dziarskim głosem.

Ktoś mówił mi, iż w dobie prohibicji w restauracjach podają teraz wódkę w filiżankach.

– Przecież ceny w lokalach drakońskie, a nam się kończy rezerwa. Jak tak można windować ceny, myśleć tylko o swoim zysku, w chwilach kiedy zaraz odebrana może być Polsce niepodległość! Przez paskarskie ceny za zwykły obiad zapłacimy fortunę! – z żalem mówi mama.

Wiem, że w tej chwili ta odrobina normalności, a także alkohol są niezbędne dla jej zszarganych nerwów.

– Trudno. Nie martw się, mamo. Zapłacę markami, które zbieram od miesięcy na wyjazd do Paryża – odpowiadam.

Nazajutrz spada na nas szokująca wiadomość: bolszewicy zajęli Radzymin! W katedrze Świętego Jana panuje zaduch i ścisk. Robi mi się niedobrze. W zielonym tłumie legionistek nie jestem w stanie wypatrzeć słodkiej twarzy Lidki.

Tymczasem wysłana przez mamę po sprawunki kupuję za ledwie funt kaszy za astronomiczną cenę dwudziestu marek. Ceny skaczą dosłownie z godziny na godzinę. Całe przedpołudnie spędzam w kolejce po chleb (jego cena podwoiła się w ciągu dnia) i w końcu przynoszę do domu bochen z nalepką „Spożywasz polski chleb – zasil armię ochotniczą”.

Nocą nie mogę spać przez straszliwy huk armat. Zaczęło się. Walczą tak blisko! Mama śpi, niczego nie słysząc. Gdy wychodzę z mieszkania, przejęty stróż wita mnie słowami:

– Panienska słyszała? Los Polski, a może i całej Europy, zależy od tego, co się stanie z Warszawą! Koniec świata! Mówią, że piechota bolszewicka zdemoralizowana, wygłodniała, obdarta. Może nie wszystko stracone? – A zaraz potem poufnym tonem dodaje, iż pan literat zajmujący mieszkanie pod numerem dwudziestym okazał się komunistą! Trzymał w domu ulotki nawołujące do przyjęcia w Warszawie bolszewików i zaprowadzenia w Polsce rewolucji. „Precz z burżuazyjno-arystokratycznym terrorem!!!”, krzyczał, gdy dwóch panów w mundurach wywlekało go z mieszkania.

Niedziela zapowiada się na ciepłą i słoneczną. Nasza jedyna służąca Andzia, patrząc na nas lękliwie, podaje owsiankę na rozwodnionym mleku (innego nie sposób teraz kupić) i kromki chleba z dżemem.

– Co teraz z nami będzie, pani pułkownikowo? Jak bolszewiki zajmą Warszawę, co z nami zrobią? – pyta przerażona.

Aby odciągnąć myśli mamy od walk, których odgłosy wystraszyły ją po przebudzeniu, nakłaniam do wyjścia z domu. Idziemy razem zalanymi światłem ulicami na uroczystą mszę do kościoła Świętego Krzyża. Panuje uroczysta, wzruszająca atmosfera i padają podniosłe słowa. Gdzieś tam na wschodnich przedmieściach miasta prawdopodobnie walczą ojciec, Lidka i Wojtek. Nie mogę powstrzymać łez. Gdyby na początku lata ktoś mi powiedział, iż w połowie sierpnia tych troje będzie z bronią w rękach bronić dostępu bolszewikom do Warszawy, nigdy bym w to nie uwierzyła.

Kiedy wyłaniamy się z chłodnego wnętrza świątyni na Krakowskie Przedmieście, z zaskoczeniem patrzę na to, co się dzieje na ulicy. Ledwie kilkadziesiąt wiorst stąd ludzie przelewają krew, a tu odświętną ulicą

paradują beztroskie tłumy warszawian, w tym także oficerów w schludnych mundurach. Panuje atmosfera letniego jarmarku. Wystrojeni ludzie spacerują, siedzą w kawiarnianych ogródkach, racząc się mazagranem, którego szklanka kosztuje tyle, ile przed miesiącem płacono za całą butelkę porządnego wina.

Przechodnie śmieją się, przystają przy słupach ogłoszeniowych, na których widnieją plakaty reklamujące przedstawienia teatralne. Jeszcze dzisiaj wieczorem w Teatrze Polskim grany będzie *Klub kawalerów*, w Teatrze Małym – *Zakochani*. W kinematografach, kabaretach i na letnich scenach także ten ciepły sierpniowy wieczór zapowiada się atrakcyjnie. Zupełnie jakby jutrzejszy dzień miał być jedynie kontynuacją letnich przyjemności.

Mama chce zjeść swoje ulubione ciastko ponczowe u Lourse'a („może to już ostatni raz”, mówi poruszona), kierujemy się więc pod budynek Hotelu Europejskiego. Jesteśmy już pod wejściem do najbardziej eleganckiej kawiarni Warszawy, gdy nasz wzrok przyciąga zbliżająca się od placu Zamkowego kolumna jeńców bolszewickich. Mężczyźni wyglądają odrażająco: brudni, mizerni, wycieńczeni i przeważnie bosi. Gdy z przewiazaną firmową wstążką paczuszką w dłoni opuszczamy z mamą kawiarnię, na chodniku widzę zbiegowisko eleganckich pań i mężczyzn w kanotierach. Pochylają się nad jednym z jeńców, który nagle upadł, straciwszy przytomność. Młoda kobieta pomaga ocucić mężczyznę. Ktoś przynosi z cukierni szklankę wody, ktoś prosi, by przynieść miskę zupy. Ludzie wołają dorożkę i każą odwieźć człowieka do szpitala.

Cały wieczór ustawiamy z mamą pasjansa, czekając na najgorsze. Do niczego jednak nie dochodzi. Warszawa zasypia wolna od bolszewików. Grzmot działa jakby słabnie.

Nazajutrz rano biegnę kupić poranne wydanie gazet. Nikt dokładnie jeszcze nie wie, jak potoczyły się wczorajsze walki. Oprócz relacji z premiery sztuki w Bagateli, nekrologów, opisów licznych wypadków w mieście najwięcej miejsca poświęcono bohaterskiej śmierci księdza Skorupki.

Na szczęście stróż naszej kamienicy – niezawodny dostarczyciel świeżych wiadomości – i tym razem jest świetnie zorientowany.

– Najgroźniejszy atak bolszewików odparty! Świetny manewr flankowy zapewnił druzgocące uderzenie. Jest dobrze! – mówi wesołym tonem.

Cieszymy się ogromnie, cała kamienica wydaje się buzować od radości i ulgi. Mama gotowa jest iść gdzieś świętować. Może nawet najpierw kinematograf, później kolacja? Co tam, sprzeda perły. Warto uczcić ten niezwykle moment!

Po południu w mieszkaniu pojawia się dwóch żołnierzy. Chcą rozmawiać z panią pułkownikową na osobności. Słyszę tylko krótki, zdławiony krzyk zza zamkniętych drzwi gabinetu papy. Wojskowi wychodzą, nie patrząc mi w oczy.

Pułkownik poniósł honorową śmierć w obronie ukochanej ojczyzny. To napiszą mu na wieńcu. Odznaczony zostanie orderem i pochowany z największymi honorami.

Reszty tego dnia nie będę pamiętać z wyjątkiem jednej chwili, gdy poszłam do sypialni rodziców, otworzyłam drzwi starej szafy i przylgnęłam twarzą do wciąż wiszącego tam galowego munduru taty.

Następnego dnia rano matka siedzi nieruchomo jak mumia, odziana w czarną suknię z twarzą zasłoniętą woalką. Pogrzeb odbędzie się nazajutrz, 17 sierpnia. Trumna ze zwłokami taty będzie wystawiona w katedrze polowej obok trumny poległego na polu bitwy księdza Skorupki.

Przecież to nie koniec wojny. Tuchaczewski będzie jeszcze próbował wdrzeć się do Warszawy. Ochotnicza Legia Kobiet nadal potrzebuje nowych żołnerek. Z tą myślą wychodzę z kamienicy przy Marszałkowskiej, mijając stróża i sąsiadkę spod dwójki, którzy na mój widok milkną i składają kondolencje córce pana pułkownika. Zaciskam powieki, aby powstrzymać łzy. Tam gdzieś są Lidka i Wojtek. Czekają na mnie.

Zabieram ledwie kilka rzeczy, aby mama się nie zorientowała. Łąkę Leśmiana chowam w kieszeni lekkiego płaszcza, który nie będzie mi zapewne potrzebny. Przeczesauję ręką krótkie włosy. Jak dobrze, że je obciąłam! Mama była zdruzgotana, ta nowa moda w Warszawie nie

znalazła jeszcze wielu naśladowczyń. Ale ja szykowałam się na swoje nowe życie w Paryżu...

Energicznym krokiem ruszam w kierunku dworca. Pociągi znowu kursują normalnie. Gazeciarz macha płachtą „Kurjera”, wołając:

– W teatrze Nowości dziś premiera! Operetka węgierska *Skowronek* z Mieczysławą Ćwiklińską w roli głównej!

JACEK GALIŃSKI

PRZEPRAWA

Marszałek wraz z najwyższej rangi oficerami pochylali się nad mapami w oświetlonym jedną lampą pokoju. Nikt nic nie mówił. Nie było potrzeby. Wieści z frontu powiedziały już wszystko. Heroiczna wojna obronna zmierzała ku tragicznemu końcowi, a Polska miała na kolejne lata ponownie pogрузić się w odmętach niebytu.

– Musimy kontratakować – stwierdził marszałek.

– Czy to na pewno rozsądne? – odpowiedział jeden z generałów. – Może lepiej przygotować się do obrony Warszawy?

– Najlepszą obroną jest atak. Wyślemy kolejny zwiad. Niech szukają najlepszej przeprawy dla zaskoczenia wroga.

– Może to jeszcze przedyskutujemy? – spytał generał. – Panowie, co wy na to?

Nikt nie odpowiedział.

– Zwiadem pokieruje porucznik Bernard Smagły-Cyc.

Wśród zgromadzonych nastąpiło poruszenie.

– Nie, panie marszałku – odpowiedział generał. – Tylko nie on.

– Proszę się jeszcze nad tym zastanowić.

– Każdy tylko nie Smagły-Cyc.

– To oficer myślący i działający niekonwencjonalnie. On nas ocali. Poza tym obiecałem jego matce, że weźmie udział w działaniach wojennych, a może nie być już wielu okazji.

Mimo niezrozumiałej niechęci większości generałów już po godzinie porucznik Smagły-Cyc jechał na czele pięcioosobowego pododdziału zwiadowczego, wystawiając radosną twarz w kierunku ostatnich promieni zachodzącego słońca.

– Pięknie, panowie, nieprawdaż? – mówił. – Pola, łąki, wsie, pola, łąki...

– Bardzo pięknie – odpowiadali od niechcienia żołnierze. – Bardzo.

– Tędy pomaszeruje nasze wojsko.

Żołnierze popatrzyli na siebie.

– Po otwartym terenie? – spytał jeden z nich.

– Oczywiście, że nie. – Smagły-Cyc zorientował się, że popełnił gafę. – Mówię, ogólnie, symbolicznie... Gdzie przenocujemy?

– U mojej ciotki w starym młynie. Ze dwadzieścia kilometrów w dół rzeki.

– Świetnie. Ciotka młoda czy stara?

– Nie wiem, panie poruczniku. Trudno ocenić. Po prostu ciotka.

– Ach, po prostu ciotka. Jakże to tak? Tak nie można. Ciotka może być albo urokliwą młódką, nieśmiałą, zalotną, nieco naiwną, której łatwo w głowie byle czym zawrócić... a może też być stateczną damą w średnim wieku, ale taką, która jeszcze oprócz przymiotów urody i pięknem umysłu, i rozmową może zabawić...

Rozmarzył się Smagły-Cyc, ale dzięki temu trudy podróży nie wydawały się aż tak dokuczliwe. Jechali już bowiem dłuższy czas, wypatrując dogodnego dla wojska zejścia do rzeki.

– Pięknie, panowie, pięknie – mówił. – Pola, łąki, wiejskie chałupy, młyn, pola, łąki, lasy...

Po pewnym czasie żołnierze przestali odpowiadać. Prawdopodobnie ze względu na znużenie podróżą i dokuczliwy, choć słabnący już o tej porze dnia, skwar. Smagły-Cyc zdążył się już przyzwyczaić przez te kilka tygodni służby wojskowej, że nie z każdym żołnierzem znajdzie wspólny język. Różniły ich często temperament, kultura osobista oraz zainteresowania, głównie te wojenne.

– Gdzie się panowie podzialiście?! – krzyknął zaskoczony, gdy odwróciwszy się w pewnym momencie, nie zobaczył już obok siebie swoich kompanów. – Gdzie panowie jesteście?! Co to ma znaczyć?!

Taki żart i zniewaga zasługiwały z pewnością na sąd wojskowy. Smagły-Cyc miał o tym jako takie pojęcie, gdyż w czasie swojej niezbyt długiej służby już dwa razy przekonał się, jak sprawnie owa instytucja funkcjonuje.

Jedno z niesłusznych, rzecz jasna, oskarżeń dotyczyło rażącego zaniedbania obowiązków służbowych, drugie – dezercji. Oba zaś łączył fakt, że spowodowane były brakiem umiarkowania porucznika Smagłego-Cyca, jeżeli chodzi o pociąg do kobiet. Na szczęście udało mu się z nich wyjść bez szwanku. Pierwszą sprawę prowadził jego wuj wyrozumiały ze względu na wyjątkowo dobre rozeznanie w delikatnej specyfice podobnych spraw. Drugą zaś ojciec kobiety, o której dobre imię właśnie się rozchodziło, i w tym przypadku nikomu nie zależało na zbytnim nagłaśnianiu kazusu i szukaniu rozgłosu. Oba postępowania umorzono wszak pod jednym warunkiem: że nigdy, rzecz podobna się już młodemu oficerowi nie przydarzy.

Z tego choćby powodu musiał zawrócić i albo odnaleźć towarzyszy, albo przed nimi wrócić do sztabu w celu uniknięcia jakichkolwiek kontrowersji i niesłusznych podejrzeń.

Obrócił więc konia i ruszył nieśpiesznie z powrotem. Czasu do zachodu słońca jeszcze zostało, a intensywny i mocno wybijający galop niezbyt dobrze służył delikatnym lędzwiom.

Droga wydawała się prosta, ale, jak się przekonał Smagły-Cyc, tylko w jednym kierunku. Z powrotem natomiast minął już trzy rozstaje, które wcześniej najwyraźniej pokonał bezwiednie. Teraz natomiast powoli tracił orientację, czy aby na pewno zmierza poprzednim szlakiem, czy może jednak zboczył, i to znacznie, w nieznanym kierunku.

Ucieszyło go zatem, gdy dostrzegł domostwo daleko na skraju lasu. Ruszył w tamtą stronę zasięgnąć języka i poszukać pomocy w jak najszybszym dotarciu do celu.

Pola, łąki i lasy wyjątkowo obmierzły bohaterowi.

Piaszczysta droga pomiędzy łąkami biegła prosto do niedużego wiejskiego obejścia otoczonego pokrzywionym i dziurawym płotem. Zapadnięte dachy domostwa oraz drewnianej stodoły znamionowały, że w gospodarstwie brakowało silnej ręki gospodarza. Zaiste tak było.

Porucznik zatrzymał konia na środku podwórza i choć uważał, że nie było to jego obowiązkiem, to wobec braku innej możliwości zmuszony był własnoręcznie zaczerpnąć wody ze studni i własnymi rękami napoić konia.

Dopiero po chwili krzywe drzwi chałupy otworzyły się, skrzypiąc przeraźliwie, i stanęła w nich okręcona w łachmany zgarbiona starowina.

– Czego tu? – zawołała. – Ki czort?

– Dzień dobry, dzień dobry, miła kobieto.

– Ani ja miła nie jestem, ani też dzień nie był dobry. Poszedł won. Nic nie oddam, bo już nic nie mam. U innych szukajcie.

– Ha – zaśmiał się Smagły-Cyc. – Kiedy ja od dobrodziejki niczego nie oczekuję. Jedyne wskazania drogi, bo zgubiłem szlak po tym, jak cały dzień szukałem dobrej przeprawy dla naszego wojska, żeby uderzyć z zaskoczenia na wroga.

– To już bolszewicy tak blisko?

– Podchodzą pod Warszawę. A jak ich nie odepchniemy, to z dnia na dzień i we wsi staną. A to, jak dobrodziejka wie lub nie, nie żadne oficery, tylko wyciągnięta z najdalszych zakątków tundry najgorsza dzicz azjatycka.

– To odpychajcie sobie ich, panowie, gdzie indziej.

– Łatwo powiedzieć, jak wszystkie mosty przez wroga obstawione.

– Ja na tej ziemi jestem uwłaszczona i nie pozwolę zdeptać. Musicie się przez rzekę przeprowić gidzie indziej.

Porucznik rozejrzał się, po czym podszedł powoli w stronę chałupy.

– Daleko stąd do rzeki? – spytał.

– Poszedł won, bo widły biorę! – wrzasnęła.

Cofnął się.

– Dobrze dobrodziejka gospodaruje – stwierdził Smagły-Cyc. – Ale krowa pewnie by się przydała.

– Krowa? – Starowina wbiła wzrok w porucznika i kilkakrotnie oblizwała zapadnięte usta różowym językiem. – A tłustego mlika by ta krowa dała? – spytała.

– A jakże! Pewno, że tłustego!

– Skąd u was we wojsku miałyby się taka krowa wziąć, jak wy sami głodni chodzicie?!

– W wojsku takiej nie znajdziecie, to fakt. Prowadźcie do chaty, to szczegóły omówimy. Nie przystoi młodemu oficerowi na podwórku wystawać.

Starowina wykrzywiła twarz, ale gdy podszedł i pchnął drzwi, nie zaprotestowała.

Od samego progu zaduch uderzył go niczym pięść oberżysty. Dopiero gdy się otrząsnął, w wieczornym półmroku ujrzał wewnątrz ciasnej izby, w której mieściły się ledwo stół, dwa krzesła i piec, na szczęście wygaszony, bo by się z pewnością zadusili.

Zasiadł za stołem i spojrzał na gospodynię. Ta już miała odejść, ale spojrzała podejrzliwie na oficera i zatrzymała się, jakby nie chciała zostawić go bez nadzoru.

– Zieeemuś! – zawołała w kierunku niewielkich drzwiczek ukrytych za piecem. – Ubierz no się, bo gościa mamy i przyjdź do izby!

Zanim jednak ów Ziemuś pojawił się na widoku, starowina sama zniknęła za drzwiczkami na dobrych parę chwil. Potem pojawili się oboje.

Ziemuś jawił się dosyć osobliwie. Był to niewielkiego wzrostu młodzieniec w obwisłych portkach i luźnej koszuli. Włosy miał niedbale przycięte i rozczochrane, a twarzy w ogóle nie było widać, bo miał ją od szyi po prawie sam czubek głowy okręconą białą pociętą w pasy szmatą.

– Co się chłopakowi z twarzą stało? – spytał Smagły-Cyc.

– Gębę ma tak okropną, że szkoda na nią patrzeć.

– Ranny?

– Bardzo ciężko.

Starowina szepnęła Ziemusiowi to i owo na ucho tak, że porucznik choć wyteżał słuch, to dosłyszał ledwo dwa słowa, a i tak nie był pewien, czy usłyszał je w rzeczywistości, czy tylko spragniony umysł takie słowa mu do uszu podsunął. Były to „flaszka” oraz „gorzałka”, rzecz jasna.

– Przez te rany zapewne do wojska niewzięty? – stwierdził oficer po tym, jak chłopak wyszedł z chałupy. – Widać, że cherlawy.

– Niech się młody człowiek nie interesuje tym, co nie potrzeba, tylko lepiej powie, skąd krowa dla mnie miałyby się wziąć, bo póki co mgliście te obietnice wyglądają, a ja ani jednemu słowu nie wierzę. Wieść niesie, że nasze wojsko boso i o samym chlebie albo i bez żadnego jedzenia całymi dniami maszeruje, bijąc się i rzeki forsując. Ludzie nawet bez kontaktu z wrogiem padają na ziemię bez przytomności.

– W wojsku oczywiście krów nie mamy. A jeżeli nawet, to kwatermistrz z pistoletem przystawionym do skroni by nie oddał. To wiadome. Prędzej by konfiskatę przeprowadził, jeżeli jakkolwiek by we wsi znalazł.

– Znaczy, że oszukać mnie pan oficer chciał?

– Krowę dostanie z osobistego majątku mojej kochanej mateczki, która w Tymbarku posiada największe obory w Małopolsce.

– Bydło dorodne?

– Z medalami z wystaw rolniczo-przemysłowych w Piotrkowie, Wadowicach i Jaworowie.

– Jakiej rasy?

– Najlepszej mlecznej. Polskiej czerwonej!

– Waga?

– Czteryśta sześćdziesiąt kilogramów.

– Przyprowdzi oficer krowę, to wojsko będzie mogło przejść. Nie przyprowdzi oficer krowy, to widłami pogonię choćby i cały batalion.

Zaskrzypiały drzwi i stanął w nich spocony i zdyszany chłopak. Natrudzić się musiał nieprzeciętnie, bo go dobry kwadrans nie było. Starowina zaś cały ten czas spędziła na psuciu krwi porucznikowi swoją małą wiarą w oficerskie słowo honoru.

– Niech gospodyni lepiej powie, czy jest o czym rozmawiać – stwierdził.
– Jest przeprawa za tym zagajnikiem? Przejadą ciężkie wozy?

– O panie, przeprawa jest, i to doskonała.

– To dlaczego nikt o niej nie wie? Może gospodyni chce tylko krowę wyłudzić? Wozy natomiast zatoną, a żołnierzy i sprzęt porwie zdradliwy nurt.

– O czym pan oficer mówi? Wody o tej porze roku prawie nie ma. Dno kamieniste, a zejście łagodne. O dogodności przeprawy nikt nie wie, bo nikomu nie zależy, żeby się wszyscy dowiedzieli. Starorzecze skutecznie osłania rzekę, ale jeżeli ktoś drogę zna, to przejdzie. Dla wroga to doskonała niespodzianka, bo przecież na żadnej mapie nie znajdzie, a i po tamtej stronie też im nikt nie wskaże. Tam same tumany mieszkają.

I tak się targowali, a choć ich stanowiska nie zdawały się przybliżyć ani odrobinę, to wraz z upływem czasu i gorzałki oboje mieli wrażenie, że coraz lepiej się dogadują. Najbardziej przy negocjacjach napracował się Ziemuś, który jeszcze tego wieczora dwa razy obrócił do ukrytej spiżarki po nową flaszkę.

Choć zupełnie inaczej wyobrażał sobie zapisanie się na kartach historii, to właśnie w ten sposób młodemu, rokującemu oficerowi przypadło toczyć boje o uratowanie ojczyzny. Niestety przeciwnik okazał się nadspodziewanie wytrwały, a i walecznym duchem niewiele żołnierzowi polskiemu ustępował. Stąd już w późnych godzinach nocnych Bernard Smagły-Cyc, zachowując jedynie resztki sił oraz przytomności umysłu, zmuszony został do chwilowego wycofania się z pola walki i przy wsparciu czynnego Ziemusia udał się na wyznaczone miejsce spoczynku.

Co działo się później, podobnie jak spora część wojowników biorących udział w walce, młody oficer zwyczajnie nie pamiętał. Wiele jednak wskazywało, że nie był to kres bohaterskich wyczynów.

Choć wiele razy budził się zawiedziony, że to, czego dokonał, okazało się jedynie snem, niestety nie było tak w tym przypadku. Otworzył oczy i widząc zapadnięty sufit drewnianej stodoły, czując pod sobą kłucie słomy, a obok czyjś dotyk i głośny oddech, bardzo chciał, żeby okazało się to nieprawdą.

Bał się spojrzeć, z kim spędził tę noc. Miał tylko nadzieję, że nie ze starą, choć z dwojga złego nie wiedział, co lepsze.

Poznał po włosach, że tym, który leżał obok niego, był Ziemuś. Wzdrygnął się i odskoczył bez namysłu.

Nie czas był jednak o tym rozmyślać, bo z podwórka usłyszał odgłosy jakiegoś okrutnego zamętu. Podciągnął spodnie, wstał i zatoczył się, zanim zdołał odzyskać równowagę. Łeb mu pękał, w gębie suszyło, a na dworze harmider, jakby kwatermistrz słońcę rozdzielał.

Podszedł do drewnianych wrót i spojrzął przez szparę.

– O zdrajcy – wymamrotał pod nosem, widząc, jak chłopci podstępnie szykowali się na szlachcica.

Kilkunastu parobków otaczało stodołę, a każdy dzierżył w kościstej łapie widły albo kosę.

– Uciekaj, panie – powiedział Ziemuś piskliwym, dziecięcym wręcz głosem.

Smagły-Cyc odwrócił się do niego. Gębę miał nie aż tak znowu okropną, jak mówiła babka. Z pewnością nie za to odrzucili go w punkcie werbunkowym. Gdy zaś wstał przestraszony rozmowami dochodzącymi z zewnątrz, spomiędzy na wpół rozpiętej koszuli ukazały się całkiem ładne, krągłe piersi.

Porucznik, choć zdawał sobie sprawę, że najprawdopodobniej zawiedzie rodzinę i nie weźmie udziału w chwalebnym starciu z bolszewikami, ale polegnie niehonorowo zadźgany przez bandę parobków, to jednak ucieszyło go, że przynajmniej Ziemuś okazał się całkiem zacną dziewczyną.

– Tu przy ścianie jest podkop – mówiła dalej przejęta.

Spojrzał na nią pełen podejrzeń.

– Lis kury podbierał, kiedy je tu ukrywaliśmy. Ciężko się będzie precyśnić, ale innej drogi nie ma.

– A gdzie mój koń?

– Matka z pewnością go w stodole trzyma. To dobra kobieta. Zwierzęciu krzywdy zrobić nie da.

Popatrzyli na siebie.

– Nic ci nie będzie? – spytał.

– Mateńce powiem, że siłą mnie pan wzięłeś to mnie tylko batem oćwicz, ale pan niech się tu już nie pokazuje, bo chłopci nie odpuszczą.

Więcej nie potrzebował wiedzieć. Zdawał sobie sprawę, co by się z nim stało, gdyby w sztabie się dowiedzieli, że zamiast szukać bezpiecznej drogi dla wojska, on urządził sobie polowanie na wiejskie dziewczki!

Całe szczęście, że lisy w okolicy takie dorodne chodziły, bo porucznik precyśnił się podkopem bez najmniejszego problemu, a nawet trochę jeszcze luzu zostało.

Będąc już na tyłach stodoły, poczuł się tylko trochę bezpieczniej, ponieważ pozostawała jeszcze przed nim misja odbicia oficcerskiego konia. Na szczęście jednak parobkowie poganiani przez starą, która teraz przypominała wściekłego wieprza, parli tylko do przodu niczym armia bolszewicka, nie zważając zupełnie na to, co się działo na flankach.

Podkraść się zatem tyłami zabudowań aż do stajni. Wśliznął się ukradkiem, gdy tamci łomotali z opętaniem we wrota opuszczonej już przez niego stodoły.

W środku jednak zastał widok oburzający! W innych okolicznościach zrobiłby karczemną awanturę o to, że wojskowy wierzchowiec całą noc stał osiodłany i w uprzęży, a do jedzenia miał tylko stare siano, które nawet nie wiadomo skąd się tu wzięło!

Przysunął sobie podest, by łatwiej mu się wsiadało na koń, bo nie był przyzwyczajony do dużego wysiłku z rana. Spiał go tym razem tak, że zwierzę jednym susem wyskoczyło na sam środek podwórza. Tam Smagły-

Cyc zamierzał rzucić kilka dosadnych obelg pod adresem gospodyni oraz jej pacholków, ale oceniwszy błyskawicznie sytuację, uznał, że ani chwili nie należy tracić na zbędne gadanie, tylko niezwłocznie przejść do ucieczki.

Ruszył z kopyta, minął furtkę i gnał piaszczystą drogą, pozostawiając za sobą tumany kurzu, a w nich bandę parobków oraz wściekłą starowinę. Na rozstajach minął niewielką grupę chłopów także bojowo nastawionych. Skręcił na północ, choć ponownie nie był do końca przekonany, czy podjął dobrą decyzję.

Pędził przed siebie, a jedyne, o czym marzył, to ujrzeć siedzibę sztabu i siedzących w nim oficerów choćby mieli być na niego wściekli, zarzucali mu zdradę i grozili sądem wojskowym. Wolał się z nimi honorowo zmierzyć, licząc jak zwykle na wstawiennictwo rodziny, niż wpaść w łapy rozjuszonego spóółstwa.

Chciał się też wykapać i przebrać, bo twarde i kłujące siano dostało się nawet pod bieliznę i dokuczało mu niemiłosiernie podczas i tak już niewygodnej jazdy. Ale nade wszystko dokuczało mu pragnienie. Jaki diabeł go podkuśił, żeby tyle razy sprawdzać moc chłopskiej okowity? Wiele by dał za wiadro świeżej wody dopiero co zaciągniętej ze studni, jednak na razie silniejsze od pragnienia było wspomnienie tutejszej gościnności.

Nieprędko było mu dane zaznać ukojenia i wygod. Dopiero wczesnym popołudniem wycieńczony i błakający się po bezdrożach został zauważony przez pieszy patrol.

Brudny, odwodniony, półprzytomny ze zmęczenia i nudy Smagły-Cyc przedstawiał już wtedy widok na tyle żaloszny, że byłoby wręcz nieludzkie przedstawić mu jakiegokolwiek zarzuty.

Patrol odstawił go do swojego oddziału, ale do sztabu dotarł dopiero wieczorem, ponieważ kolejny raz pomylił kierunki i jadąc przez pół dnia, oddalił się jeszcze bardziej. Rozgorączkowany mówił od rzeczy, tłumacząc, co zaszło, o zdradzie, napaści i brawurowej ucieczce. Tak przy tym był przejęty, chaotyczny i niedokładny, że żyjący doniesieniami z frontu

żołnierze byli przekonani, że Smagły-Cyc, prowadząc zwiad, dostał się w ręce wroga, został poddany torturom i ratując życie, cudem zdołał uciec. Obejrzał go nawet felczer, stwierdzając liczne i dotkliwe obtarcia w okolicach krocza.

– Bestie! Barbarzyńcy! Dzicz! – stwierdzili zszokowani wojskowi na wieść o tym, do czego posunęli się bolszewicy, schwytawszy polskiego oficera.

Tę samą opowieść, nieznacznie tylko okraszoną duchem bojowym przedstawił w sztabie, gdzie trwały właśnie gorączkowe dyskusje nad możliwościami kontrofensywy. Liczono, że zwiadowcy potwierdzą, że przeprawa w pobliżu jest możliwa. Zaprzeczył temu jednak zdecydowanie Bernard Smagły-Cyc, twierdząc, że wsie, które zbadał, należy ominąć jak najszerszym łukiem. Tylko najwięksi niedowiarkowie i najzagorzalsi przeciwnicy mogliby powątpiewać w jego słowa. Nie mieli jednak żadnych argumentów, ponieważ porucznik wyjątkowo wiarygodnie relacjonował zajście, pokazując z pewnością prawdziwe emocje. Nie miał wielkiego problemu z wyzwoleniem gniewu i chęci zemsty, gdy tylko przywołał w wyobraźni obraz wściekłej staruchy.

– O niczym innym nie myślę, tylko o zemście i uderzeniu wieprza! – krzyczał z pasją.

– Pomysł mi się podoba – stwierdził marszałek, wchodząc niespodziewanie do pokoju, gdy Smagły-Cyc był w połowie zdania. – Nieważne szczegóły. Dobra robota, młody człowieku. Tego nam było trzeba. Natychmiast wyruszamy!

Na nic zdały się tłumaczenia, że może zbyt nagle ta decyzja o rzuceniu wszystkich dostępnych sił do kontrofensywy. Bernard Smagły-Cyc przez całą drogę, patrząc na pełne bohaterstwa i odwagi twarze swoich kompanów, bił się z myślami, czy wyznać prawdę, czy ją zataić. Maszerowali bowiem uderzyć na bolszewików znad Wieprza!

EWA A. GIROWICZ

SŁOWOGRAFIE,
CZYLI (NIE)ZWYKŁE
SCENY Z ŻYCIA A.D. 1920

Zdjęcie nr 1.

Młody jeszcze śpi. Nie mam ochoty go budzić i najchętniej pozwoliłbym mu spać do świtu, lecz nie mam wyboru.

Podchodzę do stołu, na którym stoi karafka z wodą. Biorę do ręki szklankę i umyślnie głośno napełniam ją do połowy. Cichy szmer zlewa się ze spokojnym oddechem młodego.

Porusza głową, ciemne włosy zaplątują się między palcami podłożonej pod ucho dłoni.

Siadam na krześle i popijając obrzydliwie ciepłą, mętnawą wodę, czekam. Czekam, aż młody sam się obudzi.

Za oknem czerni się sierpniowa, upalna noc. Z gatunku tych, które opiewają poeci i na które czekają zakochani: bezchmurna, spokojna, bez wiatru. Gałęzie rosnącego pod oknem bzu ani drgną.

Lecz ja wiem, że to tylko pozorna cisza, należy się jej strzec. W oddali, niemal poza granicą słyszalności, huczą kanonady, ponad dachami raz po raz wznosi się łuna pożaru.

– Wstawaj – mówię.

Młody otwiera oczy, ale widzę, że jeszcze śpi. W tej chwili jeszcze jest tym, kim być powinien: zaspanym chłopcem z przyklejonym do skroni kosmykiem włosów. Jednak zmieni się nie do poznania, nim zdążę się mu przyjrzeć.

Przeistoczenie następuje tym razem prędko. Młody zrywa się na równe nogi, nawykłym, prędkim gestem poprawia bluzę i staje na baczność. Chce nawet zsalutować, lecz w porę przypomina sobie, że nie ma czapki.

– Spocznij!

Reaguje na rozkaz niczym marionetka, której poluzowano nitki. Ramiona rozluźniają się w okamgnieniu, ręce opadają swobodnie wzdłuż tułowia. Bez słowa podaję mu mapę.

– Wiecie, co z tym robić? – pytam, choć wiem dobrze, że wie. Wszyscy wiedzą: rano ruszamy znów w drogę, aby wreszcie zalać krwią zgniłą, burżujską Warszawę.

Kiwa głową. Patrzymy sobie w oczy, jednakowo zmęczeni, wyczerpani toczącym się gdzieś daleko chaosem, który – to wiemy obaj – sami rozpętaliśmy.

Zamykam oczy i myślę, jak bardzo nie chcę pisać raportu. Po cóż strześcić pióro, skoro i tak wszystko wiemy? Wygrywamy bitwy, nie wojnę.

Mimo zmęczenia wyjmuję z kieszeni pióro. Napełnione atramentem, zawsze jest przy mnie, odkąd odebrałem je jakiemuś burżujowi pod Samhorodkiem. Pisze się nim wygodniej niż ołówkiem. Cichy szmer stalówki po papierze przypomina mi szkołę i profesora Rywkina. Burżuj! A jednak jestem mu wdzięczny za to, że nauczył mnie pisać. Bez tego nie byłbym dzisiaj tym, na którego widok staje się na baczność. Szybko kreślę kilka zdań meldunku i podpisuję się.

Atrament uwiecznia moje nazwisko, parując w ciepłą, sierpniową noc.

Wkładam raport do koperty i podaję młodemu. Tym razem nawet nie pytam, czy wie, co ma robić.

Zdjęcie nr 2.

Co robić, gdy się ma jeden garnek, a chce się zachować koszerność?

Niby skąd mam to wiedzieć! Ot, poczytajcie o jaroszach. I, na litość boską, poprawcie hebrajszczyznę, pani – jakże was tam – Saro Hirsmannowa! Przecież tego się czytać nie da!

Rzucam list Hirsmannowej na podłogę. Nie mam już sił odpisywać na pytania. Odpiszę jej jutro, dziś nie mogę. Z głowy nie chce mi wyjść inny list, adresowany nie do rabina odesskiego Mojżesza Junkelesa, lecz do szanownego pana M. Junkelesa.

Izaaka zwolniono ze szpitala! Niech państwo tylko pomyślą: zwolniono, bo jest Żydem. Zresztą, jakież tam z niego Żyd – jeśli na szabas do synagogi pójdzie, zamiast się po służbie w szpitalu wylegiwać, to święto, klękajcie narody!

Zawsze mu powtarzałem, że Polacy to podstępny, gojski naród, lecz cóż mu uczynisz? Chciał na studia – puściłem, chciał się z niewierną żenić – puściłem. To miałem go, drodzy państwo, do Polski nie puścić?

Miękkie mam serce, powiecie, ale to syn mój jedyny, umiłowany, oczko w głowie. Żeby mu tylko krzywdy większej nie uczynili w tej Polsce, żeby szczała. Żeby na nią trąd, żeby na nią krew się poląła, żeby ją ogniem spaliło!

Sięgam ponownie po list i czytam od góry do dołu, z uwagą. Przeznaczenie mego syna jest jasne – bezrobotny. Jak dwa a dwa, jak to, że broda Mojżesza jest siwa.

Nie mam za co wrócić do domu. Pensję wydałem na wódkę.

I cóż z nim robić? Trzeba będzie pieniądze wysłać. Zresztą, ja bym mu i samego proroka Eliasza wysłał, byleby wrócił już do domu. I nie ja jeden, proszę państwa, nie ja jeden rad byłbym Eliasza o pomoc prosić. Kto, zapytacie? Odpowiem, nie mrugając.

Ot, synowa moja, Mańka. Choć gojka, to mi jej szkoda. Chodzi po kątach, smutna i jakaś taka szara. Przy stole tylko je, zagadać nie można. Co tam – je! Dziubie po talerzu jak ten wróbelek, stworzenie boże. Więcej nakruszy, niż do ust włoży. A przecież jej nie wolno nie jeść. Ja muszę wnuki zobaczyć! Muszę!

W gospodarstwie o Mańce jednak słowa złego nie powiem: gotować się nawet dla mnie koszernie nauczyła... Dobra dziewczyna. Szkoda tylko, że niewierna. Cóż robić z Ickiem nieszczęsnym? Muszę mu odpisać, odpisać czym prędzej. Do diabła z pytaniami, do diabła z Polską. Niech wraca, niech wraca, światło moich gasnących oczu!

Zdjęcie nr 3.

Ożenisz się, to cię przestanie po świecie nosić – nigdy jeszcze nie słyszałem podobnej bredni!

Jeszcze mi obrączka na palcu się nie ogrzała jak należy, a już mam dość.
Za oknem szumi sierpniowa noc. Gorąca, parna. Poślubna.

Maria śpi w pokoju obok, a ja siedzę przy biurku i myślę nad rozkazem. Muszę zameldować się na służbę. Jutro.

Wojna to wojna, trudno. Ale kobiecie tego nie wytłumaczysz. Uczucia, nerwy, nienarodzone dzieci – gotowa jest użyć wszystkiego, aby mi popsuć humor.

A przecież będę walczył również o nią.

O jej bezpieczeństwo. Mogłaby się ucieszyć. A tak... Odwróciła się tylko do ściany i powiedziała „dobranoc”. Śpi, bo zbiera siły na jutrzejszą awanturę. Znam ją, jest podstępna.

I niechaj śpi, jabłuszko podgniłe. Wiedziała, za kogo idzie! Mało brakowało, a by mnie w mundur do ślubu wcisnęła, ale na szczęście mi guzik odleciał. I to w takim miejscu, że i myśleć nie przystoi.

Właśnie, muszę dać go Ignacemu do przyszcicia.

Śpi, stary drań. A ja muszę jutro na służbę...

A, jeszcze się będiesz opędział, stary capie! No, poczekaj, poczekaj tylko! Już Maria cię zwolni. Osobiście cię zwolnię, choć i służył mi dobrze przez te lata.

Tylko czy zdążę? Jutro... Już jutro!

Przygryzam paznokcie. Robię tak zawsze, kiedy się denerwuję. Maria za każdym razem robi mi piekło, kiedy zauważy, że gryzę paznokcie. Ale teraz nie widzi, jest noc, a ona śpi.

Też mi – żona ułana! Inne to same z pakunkami latają, nockę bez pytania zarwą, kiedy trzeba, a ta... Trzeba mi było z nią o służbie przed ślubem porozmawiać, a teraz to już za późno.

W zdrowiu i w chorobie, proszę księdza.

Chorobie... A co, jeśli mnie postrzelą? Albo zastrzelą? Kto ją, sierotę, weźmie do siebie? Trzeba by coś na tę okazję napisać. Testament może, czy co?

Już późno, głupie myśli do głowy włożą. A jednak – testament to nie taka głupia myśl!

Zaraz, zaraz...

O, już wiem, wiem, komu Marię moją zawierzyć!

Tylko jak on się nazywał...? Nazwiska nigdy nie pamiętam.

Zdjęcie nr 4.

List? Jaki list, do cholery, dajcie mi spać!

Od kogo? Mieczysław? Nie znam żadnego... Czekajcie, jak nazwisko?

Znam, znam, dawajcie. Dawajcie, mówię!

Drogi, najdroższy mój Icku!

Oho, coś z nim niedobrze. Cóż tam dalej?

A, ożenił się. Może w pijanym widzie pisane.

Marię w razie czego przyjmij do siebie jak siostrę. W imię przyjaźni naszej uniwersyteckiej, w imię...

Uch, Mieciu, mocne to wino musiało być, skoro tak mnie zaklinasz. Lecz o cóż ci, Mieciu, chodzi?

Jeżeli zginę, pamiętaj o prośbie mojej. Zaopiekuj się Marią, weź ją do siebie, do Odessy, byle dalej od wojny. Byle dalej od śmierci była.

Pamiętasz, Icku, te buty, co ci się podobały? Weź sobie. Mnie i tak w mundurze pochowają.

Patriota! On się zamierza dać za Polskę zabijać. Ech, Polacy...

Jeśli zginę, a ty byś był na pogrzebie, to proszę cię o jedno – kiedy już będą „Witaj, królowo” śpiewać, powiedz Marii, że ją kochałem. I kochać nie przestanę. Po śmierci za nią chodzić będę, jej rękę tak prowadzić, by była bezpieczna. A tą ręką, jej znakiem widzialnym, uczynię Ciebie, Icuniu, przyjacielem serdecznym.

Tyś mi jak brat, Icuniu.

A co to? Kleks?

No nie, nie mówcie mi, że pan ułan ryczał jak panna!

A jednak ryczał. Emocjonalny, cholera.

A buty weź, weź też, co jeszcze będziesz chciał. Mnie to już się nie przyda.

Cóż ci, Mieciu, te buty zrobiły, żeś się ich tak uczepił? Wezmę, wezmę, skoro nalegasz.

O Marii nie zapomnę, piąty raz mi przypominać nie musisz.

Oj, Mieciu, Mieciu... po coś się żenił, kiedy ty Polskę kochasz?

Zdjęcie nr 5.

Patrzę na młodego. Trzęsie się jak zbity pies, spojrzenie ma smutne, błagalne. Na policzku – czerwona pręga od nahajki, bluza przedarta na piersiach. Na piersi i brzuchu – krew.

Już wiem, że wypełnił rozkaz; jest mi niepotrzebny. Muszę go zabić, zanim on mnie zabije. Jeszcze raz kiwam głową. Kilku chłopców z oddziału, z którymi wczoraj młody grał w kości, podchodzi do niego.

– Bij! – krzyczę i odwracam się.

Słyszę odgłosy razów, coraz mniej wyraźnie, coraz bardziej przypominające uderzenia otwartej dłoni o taflę wody. Młody charczy; oczyma wyobraźni widzę, jak krew wycieka mu z rozerwanych płuc przez usta.

Nie mogę znieść swojej wyobraźni. Zaciskam dłoń na rękojeści rewolweru. Dobry, stary rewolwer; tylko on zna moją tajemnicę. Tylko on wie, że pióro odebrałem nie burżujowi, lecz temu, kto go zabił. I tylko on wie, że...

– *Naczalnik!*

Odwracam się na to wołanie.

Młody leży w kałuży własnej krwi. Dogorywa.

Unoszę rewolwer i celuję mu prosto w głowę.

Niech się nie męczy dłużej.

Broń ma nad człowiekiem tę przewagę, że nawet dręczona nie wyjawia tajemnic. Gdy ją za mocno przyciśniesz – wypali ci w łeb. Dlatego wolę broń, nie ludzi.

Patrzę na chłopców. Oni jeszcze nie wiedzą...

Zdjęcie nr 6.

O dziewiątej przyszedł Hirsz.

Lubię go nawet, ale jest za bardzo polski jak na mój gust. Nawet w szabas nie nosi jarmułki. Kilka tygodni temu odgrażał się, że się przechrzci, jeśli tak dalej pójdzie.

No i się przechrzcił. Na patriotyzm.

– Będę – mówi od progu – w ułanach.

– W ułanach?

Uśmiecha się szeroko, od ucha do ucha.

– Tak. Wzięli mnie do szpitala polowego.

Kiwam głową. Hirsz zawsze był doskonałym chirurgiem, nawet na studiach pracował prędko, zawzięcie, czasami trudno było za jego dłońmi nadążyć.

– Icek, wiesz co?

Niby skąd i co mam wiedzieć? Spoglądam na niego w milczeniu, czekam, aż się wysłowi.

– A może ty też byś się zapisał?

Wyglądam przez okno. Na słupie wisi znajomy plakat – ułan w rogatywce, z zamachu celujący szablą w plecy zgarbionego Rosjanina o potwornej, zdeformowanej twarzy. Pod nimi napis „Bij bolszewika!”.

Widzę ten plakat już któryś dzień z rzędu, jednak nigdy jeszcze nie przyglądałem się mu dokładniej. Ułan ma jasną, spokojną twarz. Czymś przypomina mi Mietka.

Przygryzam wargi i myślę.

– Nie jestem pewien, co powie ojciec – szepczę.

– Myślę, że byłby dumny.

– Muszę się zastanowić.

Odwracam się od okna, niemal czując na sobie spojrzenie ułana z plakatu.

Zdjęcie nr 7.

Patrzymy sobie w oczy.

Jeszcze nigdy nie miałem tyle czasu, aby przyjrzeć się tęczęwkom Marii. Iskierki wstającego słońca dodają im dziwnego, nieziemskiego blasku. Idąca od pół mgła pachnie kwiatami.

Mam ochotę tu zostać na zawsze, umrzeć w jej ramionach. Lecz oboje wiemy, że postąpiłbym źle, zostając.

– Idź już – mówi.

Z początku nawet nie zauważam, że po raz pierwszy powiedziała mi „ty”.

Maria uśmiecha się i całuje mnie w usta. Przyciągam ją do siebie mocno, wdychając zapach jej włosów.

Czort z tym, że służba patrzy.

– Kocham cię – mówię cichutko, choć chciałbym to wykrzyczeć całemu światu.

– Ja ciebie też. Wrócisz?

Z uśmiechem zażenowania poprawiam pas z bronią. Skąd mam wiedzieć?

– Wrócę.

Uśmiecha się. Ma piękny, uroczy uśmiech.

W oddali słychać srebrzysty, czysty dźwięk trąbki. Wskakuję na siodło i ściągam lejce.

Koń posłusznie unosi się; zawadiacko rżąc, kopie przednimi kopytami powietrze.

– Domu mi pilnuj! – krzyczę ni to do Marii, ni to do Ignacego.

Oboje kiwają głowami.

Odjeżdżam kawałek, lecz muszę się odwrócić. Muszę jeszcze raz zobaczyć mój dom i tych, których kocham.

Maria płacze w objęciach starej ekonomki. Ignacy gdzieś zniknął.

Już jadąc gościńcem, widzę go, jak idzie przez pola, zgarbiony. Chciałbym go pocieszyć, lecz głos więźnie mi w krtani.

Trąbka gra po raz drugi. Jestem coraz bliżej jej śpiewu.

Zdjęcie nr 8.

Czy państwo to sobie wyobrażają?! Mój syn, światło moich oczu jedyne, zapisał się w te polskie ułany!

Nie przyjadę, tato. Będę służył. Za pieniądze dziękuję, kupiłem sobie nową torbę lekarską.

Kiedy czytam te słowa, czuję nienawiść. Żeby Polskę krew zalała, żeby ją trąd...

Mańka zbliża się bezszelestnie.

– Obiad podałam – mówi.

Nie składam listu; chcę, aby go przeczytała. Przy obiedzie – zrobiła przepyszny czulent, mój ulubiony! – raz po raz spoglądam na synową.

Je więcej niż zazwyczaj i... Czy ja dobrze widzę, proszę państwa? Czy moje oczy dobrze widzą?

Ona się uśmiecha i płacze jednocześnie!

Czuję ukłucie pod sercem. Ból rozpełza się po całym ciele, aż nie mogę oddychać. Ostatkiem sił zdobywam się na błogosławieństwo po jedzeniu.

– Muszę się położyć – mówię do Mańki.

Odprowadza mnie do sypialni, wciąż uśmiechnięta. Jej radość udziela mi się w dziwny, niewyjaśniony sposób. Zasypiając, widzę Icka w mundurze z naszywką czerwonego krzyża na ramieniu.

– Jeśli będziesz szczęśliwy – mruczę do niego w półśnie – to i ja będę.

Zdjęcie nr 9.

Jeszcze nie wiedzą, ale to tylko kwestia czasu. Do Warszawy jest coraz bliżej, lecz boję się, że wszystko się wyda.

Ze strachu stałem się surowszy, za byle przewinienie karzę chłostą. Nie potrzebuję silnych ludzi, potrzeba mi jedynie posłuchu. Chcę, żeby się mnie bano do końca.

Póki mogę, będę ich karał i bił do krwi, wykorzystam każdy ułamek danej mi władzy, aby dopiąć swego.

Pomału popadam w paranoję, mam wrażenie, że wszyscy wiedzą już, kim jestem. Nocami po kilkanaście razy sprawdzam warty. Mają stać tak, aby nie mogli ze sobą rozmawiać. Podczas marszu każę im ciągle śpiewać, żeby nie mieli szansy zamienić ani słowa. Najchętniej wyciąłbym im języki.

Raporty piszę coraz krótsze, nie mam pojęcia, czy Warszawa cokolwiek z nich rozumie. Nawet jeśli nie rozumie, to przecież mają mapy, a te mówią same za siebie.

Z trudem skupiam się na marszu, ciągle chce mi się spać. Jednak skoro tylko się kładę, sen odlatuje hen, za góry, rzeki. Czasami, w chwilach męczącego półsnu, widzę zakrwawioną twarz młodego. Tęsknię za nim. Szkoda, że wiedział za dużo, by żyć.

Jest noc, piszę kolejny meldunek. Muszę się skupić. Mój nowy adiutant śpi, spod słomy wystaje mu tylko but.

Sam go tak okryłem, żeby ukryć krew. Poderżnąłem mu gardło, żeby nie podglądał.

Czy jestem zabójcą?

Kim w ogóle jestem, jeśli zabijam tych, od których zależy moje życie?

Zdjęcie nr 10.

W sztabie od rana panuje poruszenie. Szpieg przysłał nowy raport. Plan ataku na Warszawę.

Załączony list jest chaotyczny, pisany dziwnie: pół cyrylicą, pół pismem łacińskim. Polskie wyrazy, zniekształcone przez obco brzmiące litery, trudno jest zrozumieć, lecz ogólny zarys działania bolszewików wyziera spomiędzy nich bardzo wyraźnie.

Dowództwo pospiesznie układa plan obrony, a ja siedzę w kącie namiotu i czytam dziwną plątaninę polsko-rosyjskich liter.

Kim jest ten, którego słowa przynoszą nam zwycięstwo?

Podpis niewiele mi mówi.

I.I.D.

Na dole zauważam plamę krwi. Jest jasna.

Czy to jego krew? Czy został ranny? Czy go zdemaskowano? A może on sam...?

Z zamyślenia wyrywa mnie wołanie.

– Doktora, doktora!

„Zaczęło się!” – myślę i jak na potwierdzenie moich słów w oddali zaczyna grać karabin.

Pędzę do namiotu szpitala. Doktor Junkeles, mój wierny druh, krząta się przy rannym. Z trzaskiem rozcina resztki munduru. Podchodzę do stołu.

Wystarczy mi jeden rzut oka, by wiedzieć, że ten nie przeżyje.

– Chce pan morfiny? – pytam go cicho.

Kiwa głową. Izaak ściska mu rękę, podczas gdy ja robię zastrzyk.

Słyszę, że mówią coś do siebie. Pada imię kobiety. Maria.

Doktor Junkeles uśmiecha się przez łzy.

Morfina pomału roztacza przed rannym błogosławieństwo bezbolesnej śmierci.

Izaak płacze.

– Dzisiaj nie mogę operować – mówi przez szloch.

Uśmiecham się przyzwalająco.

– Następny! – krzyczę do sanitariuszy.

Zdjęcie nr 11.

Jestem ranny! Po stronie wroga.

Specjalnie odczołgałem się tak daleko od swoich, żeby mnie nie znaleźli. Jest bardzo gorąco, cholernie chcę pić, lecz wiem, że nikt nie poda mi ani kropli wody.

Umrę tutaj, na nieswojej ziemi, do której przylgnąłem tylko z zemsty. Pragnąłem zemsty na czerwonych. I mam ją.

Leżę na trawie, w kałuży własnej krwi. Zaczyna mi brakować powietrza. Opłucna.

Ktoś idzie. Kulę się mimowolnie. A nuż swoi?

– Wstawaj.

Podnoszę oczy. Stoi przede mną młody. Ma zakrwawioną twarz, z rany w głowie sączy się brunatno-czerwona, gęsta krew. Niemal czuję jej zapach. Jest ohydny.

Wymiotuję na kępkę mleczy. Krew miesza się z plwociną.

Świat wiruje, coraz prędzej i prędzej.

Jak przez mgłę słyszę odgłosy walki. Tupot setek nóg, terkot karabinów. Wiem, że czerwoni są w rozsypce.

Przez krzaki migoczą przytulone do końskich grzbietów sylwetki ułanów. Jeden z nich...

Zamykam oczy. Nie chcę, nie chcę...

Przeszywa mnie dreszcz. Następny, jeszcze jeden.

Zimno...

Młody bierze mnie za rękę. Wstaję.

Odchodzimy po promieniu słońca tam, skąd się nie wraca.

Zdjęcie nr 12.

Dwa dni po pogrzebie przyszedł list od pana Mieczysława. Adresowany do mnie.

Na początku nie mogłem uwierzyć, lecz pani Maria – oby Bóg jej oszczędził cierpień – zapewniła mnie, że na pewno nieboszczyk pan pisał do mnie, swego starego sługi.

Wziąłem list i czując pod sercem dziwny ucisk, poszedłem do swego kąta w kuchni. Czytanie przyszło mi z trudem, odzwyczaiałem się.

Pan Mieczysław – świeć, Panie Boże, nad duszą jego – musiał pamiętać, że nie umiem dobrze czytać. Pisał dużymi, wyraźnymi literami.

Byłeś mi dobrym sługą, więc wierzę, że i to moje ostatnie żądanie spełnisz jak należy. Czuję, Ignacy, że zginę w tej bitwie. Zginę za Boga, Honor i Ojczyznę.

Na wypadek mego odejścia polecam Tobie, Ignacy, zaopiekować się panią Marią najlepiej, jak umiesz. Niech będzie Ci oczkiem w głowie. Nie daj jej skrzywdzić.

I jeszcze jedno: pamiętaj, że choć ja zginę, Wy żyć musicie.

Ostatnim moim poleceniem dla Ciebie jest wiara w Polskę Niepodległą. Nie wolno ani Tobie, ani Marii, ani starej ekonomce Kozłowskiej, ani żadnemu Polakowi zwątpić w Polskę Niepodległą.

Nie płaczcie po mnie, pójdę do raju.

Niech Was Bóg Wszechmogący ma w opiece.

Nie wolno zwątpić... Czytam to zdanie tak długo, aż wryje mi się w pamięć. Muszę wypełnić swój dług wobec Ojczyzny, za którą tyłu zginie.

Niech wszyscy idą do raju.

MARCIN JĘDRYSIAK

WERBLE WERBUNKOWE

List 1

Moja Droga!

Cieszę się, że w swych listach i zapale potrafisz nie zadawać mi tych samych kłopotliwych pytań, które zaskakująco często słyszę w Zarządzie Cywilnym lub sztabie. Celują w tym szczególnie ci, którzy przybyli z Królestwa, w głowie mając jedynie zbiór niejasnych wyobrażeń i próżnych nadziei.

W jakim języku mówią miejscowi? Kogo popierają? Jaki stosunek mają do bolszewików? Jaki do Rosjan? Czy działa jakaś agitacja za niepodległą Białorusią?

Setki razy mówiłem już, co sądzę. Tutejsi nie znają słowa „bolszewik”, o ile nie przekonali się na własnej skórze, że to ten, co zabrał im większość zapasów podczas rekwizycji. Do Rosji mają stosunek taki jak do wiosennych roztopów lub porannego wschodu słońca – zawsze była, towarzyszyła im przez całość ich życia. Jest czymś po prostu zastanym, naturalnym, znanym. Co nie oznacza, że odczuwają do niej miłość i że na każde słowo z cerkwi gotowi są unieść się w patriotycznym zapale. Wolnej Białorusi nie rozumieją i nie wiedzą, co znaczy – jest dla nich niepewna i nieznaną, może przez to zatem nawet gorsza od Rosji. Nie oznacza to, że ludzie ci nie mają ojczyzny. Mają, po prostu nie widzą powodu, by ją jakoś szczególnie nazywać. Nauczyłem się już przez ostatnie lata, iż czasami słowo „dom” wystarczy za cały opis. Zresztą i my w ZC nazywamy ten teren

po prostu „krajem”, jakbyśmy bali się używać jaśniejszych nazw, które mogłyby nieopatrzenie ujawnić nasze intencje...

Na te pytania mam zwyczaj odpowiadać w sposób lakoniczny. Zawsze mówię to samo i opowiadam o uczuciu, które nieraz zajrzało w oczy każdemu podczas ostatnich sześciu lat. Uczuciu, o którym oni zdążyli już chyba zapomnieć, żywiąc się zapalem i żądzą dalszego parcia naprzód. Otóż zawsze odpowiadam im:

– Ludzie tutaj są po prostu głodni.

Zrozumienie tej rzeczywistości tak wiele potrafiłoby zrobić dla sprawy, którą ukrywamy i o którą walczymy.

Przez ostatnie kilkanaście miesięcy spędzonych na przekraczaniu w jedną i drugą stronę linii frontu wielokrotnie przekonałem się, że głód i bieda stanowią na ziemiach między Bałtykiem a Morzem Czarnym swoistą lingua franca, pozwalającą na porozumienie poza podziałami narodowymi, religijnymi i klasowymi. Wbrew pozorom ludzie niezeżarci jeszcze do cna desperacją i niezarażeni rewolucyjnym zapalem, zdolni są do pomocy komuś, kto wydawał im się równie pokrzywdzony jak oni sami. Szkoda, że to nieoczywiste piękno ludzkiego ducha, które poznałem podczas tej wojny, tak często niknie, bezdusznie wykorzystywane i niszczone okolicznościami.

Być może jutro przyjdzie mi ponownie z tego przymiotu ducha skorzystać. ZC wysłała mnie po to, bym odnalazł pewną zgubę. Udam się zatem do kolejnej białoruskiej wioski, których odwiedziłem już chyba setki i której nazwy Ci nie zdradzę, zarówno dlatego, że mi nie wolno, jak i dlatego, że jej prawdopodobnie nie zapamiętam.

Pozdrawiam Cię, jak zawsze pogrążony w smutku i tęsknocie

Twój A.

List 2

Moja Droga!

Jak bardzo się cieszę, że nie możesz mnie teraz ujrzeć! Pewien jestem, wyglądam gorzej niż wtedy, gdy wyciągano mnie z okopu ogłuszonego, a potem na wpół martwego odesłano do szpitala i do domu, gdzie szczęśliwie zastał mnie koniec wojny z Niemcami.

Z rozrzewnieniem wspominam ten czas. Pamiętam, jak czuwałaś nade mną, nawet wtedy, gdy gorączka już dawno mi przeszła. Niekiedy udawałem malignę, byś nieco dłużej posiedziała przy mnie. Wybacz mi to kłamstwo, które Ci dzisiaj wyznaję, ale była to dla mnie zbyt silna odmiana po miesiącach spędzonych w okopach, drzeniu o życie i polowaniach na szczury. Twoje powieki, zamykające się w wieczornym zmęczeniu, pozwalały mi zapomnieć o widoku tych, których powieki odmroziły się podczas zimowych kampanii. Przypomniały mi o luksusie, jakim jest możliwość zamknięcia oczu i ciągłego snu, nieprzerywanego salwami artylerii albo nocnymi okrzykami.

A jednak – teraz, bez munduru wyglądam jak najgorszy z bieżenców i zaczynam tęsknić za swym uniformem. Oto stoję niczym włóczęga, którego tylko lepkość brudu i potu utrzymuje przed tym, by nie rozleciał się na tysiące kawałków. Z zarostem na brodzie wyglądam na chyba dwakroć więcej lat, niż mam. Nie musiałem się nigdy przygotowywać do tej roli. Wystarczyło mi kilka ubrań, które zdążyłem już znieść, oraz garść wspomnień z ostatnich kilku lat, by moje czoło odpowiednio się pomarszczyło, uśmiech stopniowo zamarł, a barki same ściągnęły się w dół. Tylko włosy trzymają się dzielnie, jakimś cudem jeszcze nieposiwiале ani nieprzerzedzone. Cieszę się tylko, że mogę w końcu spać: bałem się, że nawet mimo posiadania całych powiek, nigdy już nie dam rady przymknąć nocą oczu.

Kraj nie przestaje mnie zadziwiać. Mijam kolejne opustoszałe wsie o zapomnianych nazwach. Jesteśmy tak daleko na wschodzie, że ziemi tej nie zdążyły porać zbyt mocno ani zmarszczki niemieckich okopów, ani pociski carskich haubic, ani ślady podków bolszewickich koni. Mimo to nie mniej tu zniszczonych chat, niektórych po dwakroć odbudowywanych i po dwakroć spalonych. Gdzie okiem sięgnąć, rysują się zalane pola, zarosłe

drogi czy zdziczałe i rozszabrowane resztki sadów. Niedaleko miejsca, gdzie zacząłem pisać ten list, widzę niewielki krzyż. To jakiś świeży grób, postawiony bardzo niedawno. Kwiaty na nim leżące dopiero co zwiędły, a drewniany krzyż wydaje się zrobiony ze świeżo ściętego drzewa. Nad tym bezimiennym kawałkiem ziemi, którą nasi znajomi z dzieciństwa romantycznie zwykli nazywać Litwą, a Rosjanie ezoterycznie Białą Rusią, unosi się jakiś dziwny, milczący duch, który przejmuje mnie czasem dreszczem bardziej niż dziesiątki dni spędzonych w okopach wśród huku artylerii i świszczących koło głowy pocisków. Tęsknię za prostotą wykrzychanego rozkazu. Dalej zresztą – wydaje mi się – wyrywa mnie ze snu wspomnienie jakiegoś nakazu, by iść naprzód, w ślad za frontem. Przez lata wydawało mi się, że szczęśliwy będę, gdy tylko zrzucę mundur. Myliłem się. Gdy na mocy prawa wrzucono mnie do okopu, odziano w rosyjski uniform, zabrano mi też z barków większość trosk tego świata, począwszy od ubioru, na wikcie kończąc. Przede wszystkim jednak – zabrano mi czas na kolejne dylematy, które stanowią niekiedy o życiu i śmierci w tej smutnej krainie między Rewlem a Jassami. Jakże przerażony byłem w okopach i gdy zostałem ranny. Teraz, przemierzając spalone wioski i wysłuchując opowiadań o tragediach dziejących się na Rusi, widzę jaką radością może być zabranie człowiekowi troski wyboru. Od dnia, w którym włożyłem mundur, byłem tylko ofiarą rzuconą w wir walki przez potężniejsze od siebie siły nieznanych mi mocarzy tego świata dogląających nas z wysokości swoich tronów. Więzy, które mnie krępowały i popędzały do walki, były jednak też moim wybawieniem. Wziętego do niewoli człowieka chroniły, przynajmniej pozornie, jakieś konwencje i kropla współczucia ze strony wroga z okopu naprzeciwko. Może także autorytet tronu, w którego mundurze występował. Niewola chroniła mnie przed losem, który staje się udziałem mieszkańców tych wszystkich wsi i miasteczek, które odważyły się dokonać złego wyboru i których już żaden majestat nie chronił. Tym wyborem mógł być zły język. Niewystarczający poziom rewolucyjnej gorączki. Albo po prostu decyzja o tym, by zatrzymać resztkę zapasów dla siebie zamiast dla obcej maszyny wojennej. Za te błędne wybory wiele osób płaciło już tutaj bagnetem w

sercu, poderżniętym gardłem czy spalonym domem. Leżeli czasem niepochowani, wśród traw i zniszczonych chat. Tak się kończy wolny wybór między Rewlem a Jassami. Czasami, przemierzając te puste drogi i mijając spalone domostwa, tęsknię zatem za moją niewolą w mundurze, która przynajmniej zapewniała mi jakąś godność umierania i prawo pochówku. Teraz, bez munduru, bez formalnego świadectwa niewoli, jestem zupełnie bezbronny.

Jednocześnie nie mogę się doczekać aż wrócę do Ciebie i oddam się w kolejną, miłszą już, niewolę.

Twój A.

List 3

Moja Droga!

Nie powinienem Ci pisać, na czym polega moje zadanie. To tajemnica, której zdradzenie miałoby dla mnie fatalne konsekwencje. A jednak, wciąż nie potrafię trzymać przed Tobą sekretów, może dlatego, że przysięgę ich zachowania składałem, podnosząc ku niebiosom rękę chorą, zbolałą i przeszytą kulą. A może dlatego, że nim wyślę te listy, sprawa powinna być już dawno zakończona i nie będzie już żadnej tajemnicy do chronienia. Jeżeli zaś znajdzie mnie jakaś bolszewicka banda – to cóż, mój los będzie i tak przesądzony, niezależnie od treści listów...

ZC wysłał mnie w celu poszukiwania niejakiego Hościka, niby wojskowego (zdaje się sierżanta), agitatora przydzielonego nam przez jakiś białoruski komitet, który niedawno miał urządzić się w Mińsku (choć inni mówili, że powstał w Siedlcach albo Białymstoku). Hościka wysłano do okolicznych wiosek w celu poszukiwania rekruta do powstających załączków rzekomo białoruskiej armii pod naszą komendą. Problem w tym, iż nasz agitator zaginął bez wieści, nie przynosząc żadnego nowego żołnierza, co ZC – odpowiedzialny za werbunek na terenie kraju – uznał za podejrzanę i wartę zbadania. Oznaczać to mogło

bowiem zdradę, dezercję, a w najgorszym wypadku – dowód na funkcjonowanie jakiejś bolszewickiej bandy.

Sam podejrzewam, że Hościk napotkał niemal puste wioski i dostrzegłszy szansę na szybką ucieczkę, czmychnął czym prędzej na północ, zostawiając za sobą krótką i nieopłacalną karierę oficera, która mogłaby zakończyć się rychłą śmiercią lub ciężkimi ranami. Po drodze często wyobrażałem sobie sierżanta (?) Hościka wchodzącego na pokład jakiejś łodzi w ryskim porcie albo lepiej – wygodnie spoczywającego na pokładzie transatlantyku, spokojnie sunącego po falach w kierunku Ameryki. Albo możliwe, że Hościk ukrywa się gdzieś tutaj, w jakiejś stodole, i bawi z okoliczną chłopką, czule szepcząc jej do ucha jakieś białoruskie wiersze.

Nie pamiętam, ile minęło czasu, zanim pośród gąszczu lasu, krętych i zalanych dróg dotarłem w końcu do wioski. Była to nieduża osada położna na uboczu, wtulona między jakiś liściasty bór i niewielkie jezioro, po którym miejscowi pływali łodziami w poszukiwaniu ryb i kaczek. Zapewne z powodu położenia na uboczu wioska uniknęła losu kilku sąsiednich. „Być może nikt nie miał w sobie tyle determinacji co ja, by tu dotrzeć, a może we wsi nie było niczego interesującego” – pomyślałem wtedy. Od razu jednak przekonałem się, jak mocno się myłę. Jeszcze bowiem przed pierwszą chatą pojawiła się niewielka grupa starszych mężczyzn, która otoczyła mnie szczelnym kołem i wypytywała o powody mojego przybycia. Udawałem, jak wiesz, bieżenca i próbowałem wyjaśnić, że zgubiłem się w drodze powrotnej do Lidy. Miejscowi byli podejrzliwi, chociaż nie wrodzy. Powiedzieli mi, że mam poczekać, a oni zabiorą mnie jutro do kogoś. Jakiegoś „Polaka”, który chwilowo był nieobecny.

Tu właśnie przyznać się muszę, że po raz pierwszy dopadł mnie strach. Któż to ten Polak? Boję się, że to jakiś komunistyczny agitator. Jeśli tak, to marny los mój i moich listów. Ale może to wcale nie Polak, tylko jakiś zbiegły paniczyk oszust? Co to za czasy – oto udaję rosyjskiego uciekiniera przed kimś udającym Polaka!

Pozdrawiam Cię, módl się za mnie

List 5

Ukochana!

Przyznaję, bałem się, iż mój poprzedni list okaże się ostatnim, który do Ciebie skieruję. Znów całą noc nie spałem. Śniłem na jawie, majaczyło mi przed oczyma, iż „Polak” okaże się bolszewickim zdrajcą, zaprzańcem, który zdemaskuje mnie i odda na rozstrzał jakiejś bandzie. Senny, przez okno oglądałem, jak wieś ostrożnie budzi się do życia. Ludzie monotonicznie przemykali pod moim oknem, zajęci swoimi sprawami, nieporuszeni moją obecnością. Czy widzieli już innych bieżących? Jeśli tak, to czy każdego trzymali w odosobnieniu i pilnowali? Czy też jakieś zdarzenie sprawiło, że postanowili bardziej ostrożnie podchodzić do nowych przybyszów?

Niedługo czekałem od wschodu słońca, aż Iwan i Jakow – dwaj rośli, starsi mężczyźni, którzy wydawali się niepisanymi przywódcami wioski – pojawili się w moich drzwiach. Zaprowadzili mnie do niewielkiej izby w jednej z opustoszałych chat, gdzie gospodarzył wspomniany „Polak”. Nie wiem, jak opisać Ci tę izbę – najbardziej zapamiętałem jej zapach: stęchły, duszny i zupełnie nieprzystający do świeżości poranka.

„Polak” siedział przy stole, zwrócony tyłem do mnie. Zajadał coś i początkowo nawet nie zwrócił na mnie uwagi. Przez chwilę stałem w ciszy, czekając mojego losu i starając się nie zdradzić zdenerwowania. W końcu „Polak” odwrócił się i ku mojemu zaskoczeniu zobaczyłem twarz niejakiego Pawłowskiego, znanego mi z wydziału werbunkowego ZC! Widząc mnie, Pawłowski z trudem opanował pełen zadziwienia grymas.

Jak się okazało, Pawłowski wysłany tu został kilka dni wcześniej w podobnym celu – w poszukiwaniu Hościka. Misja Pawłowskiego miała większy sens niż wysłanie mnie – jak wspomniałem, podlegał pod wydział werbunkowy, podczas gdy ja należałem do wydziału spraw narodowościowych. Okazało się jednak, iż cel Pawłowskiego zdecydowanie

przeżył celom samego Hościka. Pawłowski wyjawiał mi, że ZC wysłał go tutaj w istocie w dążeniu do udaremnienia misji Hościka oraz powstrzymania jego agitacji na rzecz werbunku do oddziałów białoruskich pod naszą komendą! Zapytałem go, czy dobrze rozumiem – po coś zostałem przecież wysłany na poszukiwania.

– Czyżby w ZC jedna ręka nie wiedziała, co czyni druga? – zapytałem.

Pawłowski początkowo wzruszył ramionami i powiedział, że pewnie chodzi o jakąś wewnętrzną rozgrywkę między wydziałami ZC. Albo może to zwykłe bezhołowie i dezorganizacja. Sam uważał, iż wynikało to z problemów innej natury. Wojna obniżyła i tak już niską jakość życia. Doświadczenia z werbunku miejscowych Polaków i Białorusinów pod Lidą pokazały, że nowego żołnierza trzeba przede wszystkim odwszawić, bo inaczej kilku jest w stanie zarazić robactwem cały batalion. Taką ilością środków materialnych i taką dawką luksusu, jeśli chodzi o czas, sztab nie dysponował, o czym ZC został skwapliwie poinformowany. Z tego też powodu akcję agitacyjną należało utrzymać na możliwie niskim poziomie, przy zachowaniu pozorów ciągłego jej prowadzenia. Pawłowski twierdził – mówił ze świecącymi się oczyma i patriotycznym zapałem – że zaciąganie do wojska Białorusinów nie jest zresztą konieczne, a polskie ręce same poradzą sobie z bolszewikiem. Pawłowski był gadatliwy i uwielbiał rozprawiać o polityce. Niechętnie musiałem wysłuchać jego tyrad o granicach z 1772 roku, przekroczeniu Berezyny, odrodzeniu Wielkiego Księstwa Litewskiego. Rysował on słowami mapy, panoramy wojenne i komponował nuty marszów. Wydawał się czekać tylko na rozkaz, a pieszo – on, nieco starszy ode mnie urzędnik ze służby cywilnej – pobiegnie w ślad za ułanami na Moskwę. Czemu zatem tu siedział? Trzymało go tu pewnie polecenie służbowe. Ponadto Pawłowski – tak sędzę – rozkoszował się ciszą przed burzą. Trzeba jednak przyznać, że starał się zapobiegać rekwizycjom, gdy przybywali tu jacyś bardziej wyrywni ułani. Prawdopodobnie dlatego zresztą tutejsi pozwolili mu zostać w wiosce i obdarzyli pewną dozą szacunku. Nie był zatem Pawłowski przynajmniej ignorantem. Widać było po nim jednak pewne znudzenie wsią.

O Hościku nic nie wiedział. Również miejscowi – stwierdziłem po serii krótkich rozmów – podobno go nie widzieli. Pawłowski twierdzi co prawda, że coś ukrywają. Nie uważał jednak za konieczne sprawdzać, tym bardziej że wioska nie wygląda na zbolszewizowaną ani wrogą. Zostanę tu zatem do jutra. Hościk najwyraźniej zdezerterował, a moja misja jest niepotrzebna.

Pozdrawiam Cię po stokroć

A.

List 6

Ukochana!

Los bardzo lubi ze mnie drwić. Gdy tylko utwierdziłem się w przekonaniu, iż moje zadanie tu zostało zakończone, po raz kolejny okazywało się, iż był to jedynie okrutny wstęp do jeszcze bardziej ponurego dowcipu.

Dzisiejszego poranka ujrzałem kobietę wychodzącą z wioski z jakimś koszykiem, trzymanym blisko przy piersi. Ostatnie kilka lat nauczyło mnie wystarczającej podejrzliwości, bym za nią poszedł. Może ukrywała zapasy, może kontrabandę, a może po prostu kogoś.

Kobieta szła powoli, rzadko rozglądając się na boki, co czyniło podążanie za nią dosyć łatwym. Widać było, że jest zatroskana i pogrążona w myślach. Szliśmy wzdłuż niewielkich jezior, chaszczy i pagórków – kilka razy jej drobna sylwetka niemal zaginęła mi za jakąś fałdą terenu albo wysokim krzakiem. Nieustępliwie podążałem wciąż za nią, walcząc z nieznanym mi terenem, aż w końcu zatrzymała się przy jakiejś chacie. Zapukała ostrożnie do drzwi. Ze środka pomału wyłonił się kilkunastoletni gołowąs. Na widok chłopaka kobieta ożywiła się, wyściskała go, pocałowała kilka razy w czoło. Mówiła doń, troskliwie patrząc, czy chłopak dojada. Może godzina minęła, zanim wreszcie poszła, pożegnawszy chłopca równie czule, jak witając. Chłopak został sam, siedząc na jakimś pieńku.

Nie wyglądał na uzbrojonego. Kobieta pewnie ukrywała go przed werbunkiem.

Zapewne odwróciłbym się i spokojnie powrócił do wioski, dając mu spokój, gdyby nie coś, co dostrzegłem u stóp wyrostka. Była to ciężka torba, którą nosili oficerowie, także ci z pułków białoruskich. W sam raz taka, jaką mógłby nosić ze sobą Hościk. Czyżby Pawłowski miał rację, że wioska skrywa jakiś sekret, i to nie tylko podrostka? Torba i jej dobry stan, mogłyby na to wskazywać. I tak oto rozkaz znów kazał mi iść naprzód, wbrew moim chęciom i zdrowemu rozsądkowi. Źle się czułem, zmuszony do samodzielnego szturmowania tej chaty. Czy jednak po kilku latach w okopach, nawet mimo chorej ręki, nie byłem w stanie sprostać jednemu młokosowi? Wiedz, że czułem się winny, porywając się na bezbronne pacholę. W pierwszej chwili udało mu się jakoś wywinąć z mych rąk. W ślad za nim pobiegłem do chaty. Tam scena się powtórzyła – chłopak szamotał się, walczył, krzyczał, jednak nie miał zbyt wielkich szans powodzenia. Był zbyt młody, wąty, zbyt spanikowany.

– Skąd masz tę torbę? – zapytałem. – Skąd?

– Znalazłem, znalazłem! – jęczał. – Znalazłem! Leżała przy jeziorze, niedaleko bagien.

– Był tam ktoś? Przy kim leżała?

– Nie, sama torba! Ja uczciwy! Nie kradnę! – zarzekał się, niemal płacząc. Po chwili przestał się szamotać i lejąc łzy, mówił: – Proszę, baćka, nie zabierajcie mnie na wojnę, proszę, ja nie chcę, ja nie chcę... – Zrezygnował już z dalszej walki. Pozwoliłem mu usiąść i oprzeć się o ścianę. Z odległości spoglądał na mnie załzawionymi, niewinnymi błękitnymi oczyma, nieudolnie próbując im nadać bojowy wyraz.

Przyznaję, trochę mnie to poruszyło. Za kogo wziął mnie ten chłopak? Za bolszewika? Bandytę? Mordercę? Czy wykonanie zadania, które mi postawiono, upoważnia mnie do napadania na dzieci w celu uzyskania informacji? Czy oto w niczym nie jestem lepszy od tych z czerwonymi gwiazdami? Otrząsnąłem się i odsunąłem pod drzwi. Już spokojniej powiedziałem chłopakowi, że nie zabiorę go na wojnę, pod warunkiem, że

pokaże mi, gdzie znalazł torbę. Nie odpowiedział. Dopiero po kilku powtórzeniach, zdaje się, zrozumiał znaczenie moich słów. Zgodził się. Zapytałem go o dokumenty – podobno nie było ich w torbie, gdy ją znalazł. Znalazł tylko kilka czystych papierów, na których próbował coś rysować. Rzeczywiście, dookoła latały jakieś szkice zwierząt, lasu i ludzkich twarzy. Ilja, bo tak się chłopak nazywał, nie ufał mi jednak. Próbował wybadać, co mu grozi. Z dużą niechęcią i ostrożnością przeprowadził mnie przez las. I mnie w głowie kotłowało się od myśli. Co jeśli dzieciak ciągnie mnie w pułapkę i zaraz pojawią się tutaj jacyś uciekinierzy, partyzanci albo komuniści? Nawet nie wiedziałbym, dokąd uciec. Myślę teraz, dlaczego tak ryzykowałem...

Miejsce, gdzie Ilja znalazł torbę, było błotnistą polaną rozpostartą nad niewielkim jeziorem, z jednej strony ogrodzoną bagnem. Trudno byłoby ją znaleźć bez znajomości okolic. Zapytałem Ilję, jak dostać się z powrotem do wioski, i zaproponowałem, już nieco spokojniejszemu, że jeśli nikomu nie powie, że go znalazłem, dam mu kilka kartek papieru, tych samych, na których piszę do Ciebie listy. Z zadowoleniem pokiwał głową i wyjaśnił mi, jak dostać się z powrotem na drogę, na której – podejrzewam – ujrzałem wspomniany już krzyż. Zapisałem sobie wskazówki i odesławszy chłopaka, zacząłem poszukiwania. Z zaskakującym zapałem przystąpiłem do wykonywania majaczącego mi w głowie rozkazu. Zajrzałem za każdy krzew, zbadalem każdą wyższą trawę. W leżących nieopodal żołądździach i kamykach dopatrywałem się wojskowych guzików. Moja cierpliwość została jednak nagrodzona, gdy ujrzałem niewielką, wydeptaną ścieżkę, ledwo widoczną wśród porastającej las ściółki. Szła wzdłuż brzegu jeziora. I to właśnie nieopodal tej dróżki, obok miejsca, gdzie jezioro zamieniało się w bagno, ujrzałem wśród dziesiątek męczących je much – ciało Hościka. Bez wątplenia był to on – poznałem go po pokazanych mi zdjęciach oraz mundurze podziurawionym ostrzami bagnetów. Być może zabójcy liczyli, że bagno szybko przyjmie zwłoki i po zbrodni nie zostanie ślad. Tego nie wiem. Hościka mundur nie ocalił od haniebnej śmierci. Widać, nie stał za nim niczyj majestat, dzięki któremu zasłużyłby na godny pogrzeb.

List 7

Moja Droga!

Zrazu zupełnie inne zaczęły mi się wydawać twarze mieszkańców wioski. Nagle stały się podobne do masek, które zakładali na siebie aktorzy w greckich teatrach. Nie symbolizowały jednak ani uśmiechu, ani smutku, lecz bezbrzeżną obojętność.

Pawłowskiego zastałem, gdy dźwigał swoje rzeczy z chaty, w której pozwolili mu spać mieszkańcy. Wydawał się zmęczony i zniecierpliwiony, jak rozumiałem, chciał już wracać do Mińska. Ta cała historia z Hościkiem i wizytą w tej wiosce wydawała mu się zupełnie nieistotnym epizodem, spowalniającym jego drogę i walkę o chwałę odrodzonej Ojczyzny. Owa ambicja i chęć czynienia rzeczy wielkich nie pozwalały mu długo pozostawać na poboczu. Kilka dni, które tu spędził, nie były dla niego – jak mi się wcześniej wydawało – spoczynkiem. Dla osoby energetycznej i pełnej zapału były to męki bezczynności spowodowane jakimiś niewartymi uwagi błahostkami.

Moje wieści o znalezieniu ciała Hościka przyjął zatem ze z trudem skrywanym rozczarowaniem. Widziałem to w jego wąskich, ciemnych oczach, czułem w cedzonych ostrożnie słowach. Bez satysfakcji przyjął wieść o tym, że miał rację co do wsi. Zatrzymywało go to tutaj na kolejny dzień lub dwa, jeszcze dłużej odrywając od tego, co postrzegał jako prawdziwą i słuszną pracę na rzecz Ojczyzny. Pawłowski zaczął analizować, chyba z nudów, potencjalne motywy działania mieszkańców wsi. Nie chodziło o sprawy narodowe – stwierdzał – gdyż sam Hościk był Białorusinem, a i do Polaka Pawłowskiego nikt nie odnosił się z wyraźną wrogością. Bolszewików tu nienawidzą, rewolucji nie czuć. Wioska wydawała się wręcz niebywale śpiąca, jak gdyby ktoś zbudził jej mieszkańców przedwcześnie i zmusił do beznamietnego snucia się. Zatem

– zaproponowałem – może to sprawa kryminalna? Pawłowski mruknął z niezadowoleniem, jakby coś tak pospolitego jak motyw kryminalny zbyt mocno nie pasowało mu do jego wielkiej narracji. Mimo to mrukliwie przytaknął. Jeśli jednak – stwierdził – to już nie nasza sprawa. Nie mogłem się z nim zgodzić. Sprawę Hościka miałem nie tylko zbadać, lecz także wyjaśnić, niezależnie od wzniosłości motywu jego zabójcy – nie mogłem sobie pozwolić na pozostawienie niewyjaśnionego trupa oficera. Pawłowski wydawał się nieco zaskoczony moją skrupulatnością. Nie mniej niż ja sam.

Skoro jednak wioska ukrywała sekret, pozostawał problem, jak tę zmcowę milczenia pokonać. I jednak tutaj na pomoc przyszła ta sama lingua franca, o której powiedziałem Ci wcześniej. Bieda, głód, napięcie i strach – były to narzędzia, które łatwo było wykorzystać, co nieraz już czyniłem przez ostatni rok, zdobywając liczne ważne informacje.

Informacji tych udzielić miał nam tym razem Iwan. Jest to rosły mężczyzna, który chyba kiedyś udał się w niezbyt udaną próbę dorobienia sobie w jakiejś miejskiej fabryce. Wydawał się nieco wyrastać i nie pasować do reszty wioski, przez co paradoksalnie cieszył się większym autorytetem. Postanowiłem więc pociągnąć Iwana za język, używając do tego nieco moich racji żywnościowych oraz zdobytego przez Pawłowskiego bimbru. Rzeczywiście, nie minęło wiele czasu, nim Iwan niczym wytrawny kronikarz zaczął opowiadać o najnowszych dziejach okolicy. Zapytałem go, co się stało z pobliskimi wioskami. Iwan kiwał z żalem głową – jedną spalili dwa lata temu, bo nie chcieli oddać zapasów komunistom. Druga – opowiadał – częściowo ucierpiała wcześniej od Polaków (pewnie Korpus Dowbora), a potem swoje dołożyli czerwoni. Z jeszcze innej, bardziej na zachodzie, mieszkańcy uciekli przed Niemcami, ale sam nie pamięta kiedy, i słuch po nich zaginął, nie wrócili. Iwan nie przestawał wymieniać, jak kolejne wsie padały ofiarą następnych wojen, plotek o walkach lub napadów rabunkowych... Opowiadałem mu moje historie, których byłem świadkiem lub które znałem z raportów docierających do ZC. Obaj obficie zapijaliśmy te wspomnienia bimbrem.

– Najgorzej było – mówił z fatalistycznym spokojem, jakby opowiadał o czymś, czego się uniknąć nie dało – gdy na zimę wpadli obok ci z czerwonymi gwiazdami. Powiedzieli, że każdy zdolny do noszenia broni ma się natychmiast stawić do nich albo mają oddać zapasy. W sąsiedztwie oddali, co mieli, bo we wsi tylko trzech chłopaków zostało, takich po piętnaście czy szesnaście lat. Pech, że niestety jeden z bolszewików był stąd, znał kryjówki i znalazł jednego z nich, takiego Kastusia, i jeszcze jakieś schowane zapasy. To się bandzie nie spodobało. Całą wieś spalili, dwóch chłopców wzięli, a Kastusia zastrzelili.

– Widziałem jakąś mogiłę po drodze – wspomniałem – nowy grób. To jego?

– Tak, tak... tegoroczny. – Iwan zamilkł.

– A u was? Nie było żadnych rekwizycji? Bolszewików? Dlaczego wsi nie spalili?

– U nas było trochę zapasów, to wszystko zabrali. A do walki nie było kogo. Czterech było chłopców wcześniej we wsi, ale wszyscy już poszli na wojnę, nie wrócili. Jak już przyszli, to nie było kogo szukać... Nikt u nas nie werbował... – kłamał.

– Idąc tutaj – zacząłem – spotkałem młodego chłopaka, nazywał się Ilja. On może z sąsiedniej wioski?

Iwan niemal skoczył w miejscu.

– Ilja – powtórzył – Ilja? Żadnego Ilji tutaj nie ma, nie było. To może jakiś włóczęga.

– To możliwe – rzekłem – ale to właśnie on wskazał mi tutaj drogę, zdawało mi się, że tutaj mieszkał.

– To może z sąsiedniej wsi. – Iwan zaczął nerwowo rozglądać się po izbie.

– Może, może. Dobrze w takim razie, że bolszewicy go nie zabrali, nawet jeśli to włóczęga.

Iwan nie odpowiedział. Zmieniłem temat, jednak mój rozmówca wydawał się zasępiiony i markotny. Dyskusja już nie wróciła na stary tor.

Iwan wyszedł czym prędzej z izby.

Nie wiem, co będzie dalej.

Pozdrawiam Cię

Twój A.

List 8

Wieś zmieniła się nagle. Wszczął się w niej jakiś dziwny gwar. Ludzie zdawali się kogoś szukać – zapewne mnie. Dla pewności trzymałem w gotowości broń. Pawłowski był na mnie zły, ale nic nie mówił. Zaciskał tylko usta i patrzył na mnie niechętnie, w głowie zapewne wyliczając kolejne zarzuty. Nie minęło dużo czasu, gdy usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Stała w nich matka Ilji, ta sama, za którą szedłem do chaty. Za nią zgromadziła się chyba połowa wsi. Mężczyźni spoglądali groźnie. Kobiety wspierały się na nich, dodając im otuchy.

– Nie zabierajcie mi mojego Ilji, to dopiero dziecko! Nie chcę, by mi ktoś kolejnego syna zastrzelił! – pisnęła kobieta, niemal padając na kolana.

Pawłowski wpuścił ją do środka i zapewnił, że donikąd go nie zabierzemy ani zabierać nie chcemy. Kobieta zdawała się jednak w ogóle nas nie słyszeć, na przemian klnąc na nas i błagając o łaskę. Pawłowski musiał ją niemal podnosić z kolan. Reszta wsi zastygła w oczekiwaniu na to, co zrobimy, zapewne gotowa rzucić się na nas. Pawłowski mówił jak do ściany, jak do płaczącego łzami posągu. Napięcie spowodowane bezskutecznością naszych wyjaśnień stale wzrastało. Zdecydowałem się w końcu przerwać ten chaos i zwróciłem prosto do tłumu, pokazując broń.

– Co zrobiliście z mężczyzną, który przyszedł tutaj tydzień temu? Znaleźliśmy jego ciało.

Kobieta zamarła. Wcześniej jakby w ogóle mnie nie dostrzegła i po chwili milczenia znów wybuchła:

– Oddaliśmy go tym z czerwonymi gwiazdami, bo inaczej by mi zabrali mojego Ilię, chcieli go wziąć na wojnę. Dlatego powiedzieliśmy, że wydamy im oficera w zamian za puszczenie mojego Ilii wolno. Sąsiednie wioski się tak dogadywały. Zgodziliśmy się, bo już wszystkich od nas powołali albo zabili albo uciekli, tylko mój został...

– Oddaliście zatem Hościka bolszewikom? W zamian za spokój?

Kobieta nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na nas pytająco.

– A bolszewicy? Są jeszcze?

– My ich nie widzieliśmy od kilku dni – odezwał się ktoś z tłumu. – Uciekli za front zaraz po tym, jak wyście przyszli. Ale jeszcze po drodze chcieli zabrać Ilię, dopiero po oddaniu im tego żołdata, co mówił po naszymu, to dali spokój i poszli.

– To oni go zabili – powiedział ktoś inny. – Nie my.

Ponownie zapadła cisza. Staliśmy na skraju jakiegoś zdarzenia. „Jeden fałszywy ruch i możemy podzielić los Hościka” – pomyślałem. Albo znowu staniemy się narzędziami losu i każemy tym ludziom zapłacić za wybór krwią – najczęstszą walutą, której używa się między Rewlem a Jassami.

– Co zrobimy? – zapytałem Pawłowskiego.

– Bolszewicy dali im spokój i poszli – stwierdził. – My nie potrzebujemy rekruta, zwłaszcza jednego, po którego zabranii wściekła będzie na nas cała wieś. Chodźmy stąd – zaproponował. – Powiemy, że bolszewicy zamordowali Hościka albo że zdezerterował, że tutaj ani w sąsiedztwie ludzi gotowych do walki nie ma. Bolszewicy zaś uciekli za front. W ZC ucieszą się z każdej z tych informacji. Dzieciak i tak pewnie ma wszy – mruknął.

Cóż mogłem zrobić? Milcząco przytaknąłem i ponownie poczułem ból w mojej poranionej ręce. Bolała mnie, ale nie martw się – nie od pisania do Ciebie. To był ból fantom, spowodowany tym, że sprawa ta zbyt mało mnie obchodziła, by boleć mnie w duszy, wystarczająco jednak, by wzbudzić jakieś poczucie obowiązku.

Z Pawłowskim ruszyliśmy z powrotem do Mińska, zostawiając za sobą bezimienną wieś – z jej własnymi wyborami i ich konsekwencjami.

Pozdrawiam Cię i tęsknię

Twój A.

JACEK KALINOWSKI

WANDA

– Nawet nie mów o tym ojcu. – Matka kręci głową, a w jej spojrzeniu widzę ukrytą ekscytację i groźbę zarazem. Odkąd pamiętam, jest właśnie taka niejednoznaczna, jak na prawdziwą aktorkę przystało. – Niech się o niczym nie dowie, bo ci tego, skurczysyn, nigdy nie wybaczy.

– Dlatego przyszedłem do ciebie – mówię. – Po za tym to twoje rzeczy. Peruki, stroje, czarne szminki. Potrzebuję mieć do nich dostęp, mamó.

– To szaleństwo, Feliks. Zbyt ryzykowne. Teatr czy kabaret to inna sprawa, ale ulica?

Bierze głęboki wdech i otwiera dwuskrzydłową szafę. Wnętrze jest zdominowane przez wieczorne kreacje, jedwabne sukienki za kolano, pióra, długie sznury pereł, wachlarze, opaski i wełniane płaszcze, które nie nadawały się na lipcowe upały.

Kilka najbardziej ekstrawaganckich strojów kojarzę z występów matki w teatrzyku Qui Pro Quo przy Senatorskiej, dokąd chodziłem czasami po szkole na próby.

Dostrzegam cielistą suknię do kostek z obniżonym stanem i przypominam sobie przedstawienie *Co będzie w lipcu?*, w którym mama grała samotną matkę z dwójką małych dzieci. To nie była główna rola, ale i tak całe przedstawienie patrzyłem tylko na nią. Z całej historii zapamiętałem niewiele.

Łapię materiał w dwa palce. Śliski, migoczący jedwab.

– Zbyt... modne. – Długo szukam słowa. – Nie wiem, czy to jest coś, w co ubrałyby się przeciętne dziewczyny.

– Chodź dalej. – Mama trzaska drewnianymi drzwiczkami. – I niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Wchodzimy do jej pokoju, gdzie w ogromnej rzeźbionej szafie znajduję to, na czym mi zależy – zwykłe, codziennie stroje, które nic a nic nie rzucają się w oczy.

Matka wyciąga skromne bluzki i sukienki, batikowe chusty, codzienne buciki z prostą cholewą i kilka kapeluszy bez ronda nasuwanych głęboko na czoło. I perukę w kolorze moich włosów, za to dłuższą, uczesaną zwyczajnie, tak jak co druga dziewczyna na ulicy. Narzuca mi to wszystko na wyciągnięte ręce.

Z toaletki wybiera kilka podstawowych kosmetyków: niemal biały puder, dwie szminki w różnych odcieniach czerwieni i czarną kredkę. Wciska mi je w rękę, rozglądając się przy tym, jakby ktoś miał zaraz wejść i nas przyłapać, osądzić i skazać za coś niegodnego i bezecnego.

– Trzymaj – mówi, zaciskając mi dłoń na malowidłach. – I potrenuj przed... debiutem.

– Potrzebuję jeszcze, żebyś nauczyła mnie szyć na maszynie – oznajmiam przy drzwiach.

Matka uśmiecha się szeroko i widzę, że nic, co jeszcze mógłbym powiedzieć, nie jest w stanie jej zaskoczyć.

– Cholera, naprawdę się zakochałeś, co?

* * *

Z tą nauką szycia to tylko brzmi tak poważnie. W rzeczywistości chcę opanować jedynie podstawy, które pozwolą mi szyć męską bieliznę.

W pokoju mamy stoi kilkuletnia maszyna Singer z fornirowanym blatem o pięknych, kutyh nogach. Mama sprawnie nią operuje. Delikatnie, ale zdecydowanie, zawsze wie, kiedy puścić maszynę w ruch, gdzie przyłożyć materiał i jak zatoczyć nim idealne półkole jak od cyrkla. Jest w tym taka pewna i naturalna, że kiedy podpatruję ją czasami przy szyciu, wydaje mi się, że płynie. Tak jak na scenie.

Potrafi fastrygować, skracać, przerabiać i niejednokrotnie widziałem, jak siedząc do późna przy słabym świetle, ze zwykłych tkanin wyczarowywała stroje, które później na scenie wyglądały jak z pracowni najporządniejszego krawca.

Męska bielizna to przy tym błahostka.

Nie wiem, czy matka kiedykolwiek wcześniej wykonała ją na maszynie, ale biorąc od ojca kilka par bielizny do pół uda, od razu potrafi odwzorować krój i zszyć bawełnę w taki sposób, że po niecałych trzech minutach pokazuje mi całkiem porządne portki. Druga para wychodzi jej jeszcze lepiej, trzecia też i mama znowu płynie, a ja staram się zapamiętać kolejność czynności, ułożenie rąk i momenty, w których naciska pedał z mniejszą lub większą siłą. Mama jako artystyczna dusza nie może przerwać, chcąc każdą parę wykonać płynniej i na swój sposób piękniej, choć to przecież tylko męskie gacie. Odzywa się tylko wtedy, kiedy do powiedzenia ma coś naprawdę niezbędnego dla całego procesu. Nie marnuje słów. To akurat przejęła od ojca.

Szyję, gdy nikogo nie ma w domu.

Mama ma próby w teatrze, ale o nieregularnych porach. Ojciec z kolei jest podporucznikiem i bliskim współpracownikiem Kazimierza Sosnkowskiego, z którym, oczywiście w większym gronie, pracują nad obroną kraju przed bolszewikami. W domu bywa tylko wieczorami, czas głównie spędza w kuchni, gdzie nieustannie je. Odzywa się rzadko i zawsze podniesionym głosem. Do mnie prawie w ogóle.

Przed lustrem zakładam stroje mamy.

Niełatwo jest mi się przełamać i kilka razy sprawdzam, czy drzwi wejściowe są zamknięte. Wybieram obszerną sukienkę z pełnymi rękawami. Ciężko dostrzec w niej biodra i talię, ale z emocji twardnieje mi członek, co może stanowić w przyszłości pewien problem. Biorę jednak kilka wdechów i gdy sytuacja wraca do normy, zakładam sztuczne włosy z pejsami do połowy ucha.

Chce mi się śmiać i przyznaję w duchu rację babci Anieli, która stwierdziła któregoś razu, że mam coś z matki w tym swoim

naśladownictwie innych osób. Przebierałem się jako dziecko w stroje z jej przedstawień, gdy zaczynała swoją karierę i były to oczywiście męskie postacie. Teraz w lustrze widzę siebie jako dziewczynę i nie jest mi z tym źle, w takim sensie, że czuję frajdę, jak w łatwy sposób można zwieść zmysły innych ludzi.

Stawiam mniejsze kroki i lekko się garbię. Nie jestem wysoki jak na siedemnastolatka, ale instynktownie czuję, że bardziej wtopię się w tłum, gdy pochylę nieco głowę. Może to ukryje również moje spore jak na dziewczynę dłonie, ale po chwili zdaję sobie sprawę, że to absurdalne.

* * *

Szwalnia, naprędce zorganizowana przez Katolicki Związek Kobiet Polskich, mieści się na drugim piętrze kamienicy na Panieńskiej. Schody są długie i strome i już z półpiętra mam widok na most Kierbedzia i granatowe wody Wisły.

Wsuwam głowę przez ciężkie ozdobne drzwi, zapukawszy wcześniej. Pomieszczenie uderza mnie swoją przestronnością. To kwadrat z wielkimi oknami i milionem małych pyłków i niteczek unoszących się pod sklepienie sięgające pięciu metrów. W sali w kilku rzędach siedzą dziewczyny. Może z dwa tuziny, wszystkie pochylone nad singerami albo nożycami; kroją, szyją, składają i pakują. Nie zauważają mnie nawet – hałas, jaki dobywa się z ich stukających maszyn, wprawił je w chyba w jakąś hipnozę, z której nic ich nie wyrwie, a na pewno nie jakieś ledwo słyszalne pukanie do drzwi.

Wchodzę do środka, bo Wagnerowa kiwa na mnie, chyba zniecierpliwiona, bo może stałem tak za długo z głową w drzwiach. Straciłem poczucie czasu na moment. Staruszka siedzi na środku za stołem z maszyną do szycia i przygląda mi się, w ogóle niezaskoczona, jakby wiedziała, że właśnie w tej chwili odwiedzę szwalnię. Przedstawiam się, krzycząc prawie, że przychodzę tu za siostrę, która chce bieliznę szyć dla naszych dzielnych żołnierzy.

Wagnerowa ciamka bladymi ustami i choć te ledwie jej się poruszają, słyszę doskonale każde słowo:

– Nie mam, synku, jak uczyć kolejnej dziewczyny. Czasu mało. Mówią, że nasi na front niedługo pójdą.

– Nie trzeba jej uczyć! – wyjaśniam.

– Siostra umie szyć?

– Umie – odpowiadam od razu. – Podstawy.

– A czego sama nie przysłała, tylko brata wysłała?

– Dochodzi do siebie po chorobie. Boi się, że zajęcia żadnego nie znajdzie i będzie nieprzydatna w tym trudnym czasie, a ja na gotową robotę chcę ją wysłać.

Lecę wzrokiem przez salę i widzę Wandę w czwartym rzędzie dziewcząt, prawie pod oknem. Cudownie wygląda taka skupiona na pracy. Jestem pewien, że wszystkiemu poświęca się z równą skrupulatnością. Przechyla głowę na lewo i choć przy maszynie wygląda lekko jak koliberek, żaden nawet najmniejszy grymas nie zdradza, że ścieg jakiś mógł jej zejść albo nitka spaść z igły.

Wagnerowa świdruje mnie oczkami, małymi i zażawionymi, ale z taką jakąś bystrością, że czuję się, jakby cały mój plan przejrzała na wylot i czekała teraz tylko, aż przestanę się wygłupiać. Mówi naraz przygaszona:

– Nie wiem, czy pracy będę miała dla kolejnych rąk... Bielizny na front wciąż mało, ale materiału, z którego można szyć jeszcze mniej. Wszystko do Wilna i Lwowa szło. Na wsi też bawełny niedostatek.

– Mogę załatwić materiał.

Staruszka łypie na mnie, jakbym powiedział, że bimber mam najlepszej jakości i że jak kieliszeczek przyniesie, to mogę jej nalać.

– Ty, synku? Materiał? Skąd?

– Mama gra w teatrze. I szyje wieczorami stroje dla całej obsady.

Igły biją rytmiczne, jakby chciały się przekrzyczeć jedną przez drugą. Przypomina mi się furkot śmigieł z samolotów, jaki usłyszałem pierwszy raz na początku stycznia czternastego roku.

– Niech siostra będzie w poniedziałek na trzydzieści po siódmej – mówi w końcu Wagnerowa i dodaje po chwili: – A nie zarazi nas tu czymś?

– Nie, na nogi chorowała – odpowiadam i kłaniam się nisko. – Bardzo pani dziękuję.

Przy powrocie do drzwi zerkam ostatni raz na rząd, w którym siedzi Wandzia, ale widzę tylko pochyloną głowę i białe dłonie sunące razem z materiałem. Jak nigdy wcześniej jestem pewien, że mój plan to jedyna możliwość, żeby nawiązać znajomość z Wandą. W innych okolicznościach nawet nie spojrzaliby na mnie, choćbym stanął przed nią goły, roześmiany, z pochodnią buchającą gorącem.

– Dobryś brat. – Przez rumor dosięga mnie głos starowinki, gdy chwytam za klamkę. Zastanawiam się, jak to możliwe. – Sprytny i dobry.

Ten „sprytny i dobry” kołacze mi się w głowie podczas schodzenia z drugiego piętra.

Wychodzę z kamienicy i czuję, że całe gardło mam suche, jakbym jakąś gałąź próbował przełknąć.

* * *

Całą sobotę chodzę po domu przebrany za dziewczynę.

Ćwiczę odpowiednie gesty, mówię sam do siebie i siadam ze złączonymi nogami i czubkami butów równiutko ułożonymi na wprost. Czuję się na tyle swobodnie, że w pewnym momencie sam siebie upominam, żeby nie robić niczego na wyrost.

Ojca nie będzie do poniedziałku.

Ze stołu biorę kwit z pasmanterii. Przed zamknięciem mam podjechać z wózkiem i odebrać materiały dla matki. Jeśli w poniedziałek strój, który mam na sobie, ma być moim codziennym przebraniem, to najwyższy czas wyjść z domu.

To będzie moja próba. Jedyna i generalna. Jak w teatrze u matki.

Jest palący lipiec, a trzęsę się, wychodząc na ulicę. Czy wszyscy wiedzą, że jestem w przebraniu? Pukają się pewnie w czoło, jak tylko mnie miną,

albo chichoczą w oknach, wytykając mnie palcami. Czuję się, jakby każdy wlepił we mnie wzrok, więc sam staram się nie patrzeć na przechodniów. Chcę dojść jak najszybciej do pasmanterii i wrócić do domu, skryć się w nim jak pod parasolem w czasie ulewy.

Nikt mnie jednak nie zaczepia, więc unoszę w głowę i staram się iść dziarsko, wychodząc z założenia, że zbyt lekliwy spacer również może wzbudzić niepotrzebne zainteresowanie. Mijam ludzi, ale jestem dla nich niewidzialna – smagną mnie czasem wzrokiem, ale widać nie znajdują nic, co by budziło podejrzenia. Większość przenika powietrze obok mnie, zajęta swoimi sprawami.

To mi dodaje otuchy.

W pasmanterii czuję znajomy zapach tkanin, lawendy i z jakiegoś powodu pasty do butów. Sklepek znam bardzo dobrze, łącznie z zapleczem, z którego nieraz na wózku przywoziłem większe partie różnorodnych materiałów. Tak naprawdę mógłbym zamknąć oczy i wymienić większość bibulek, sznurków, kolorów, jakie zwisają z drewnianych półek. Ekscytuje mnie przeto, że pan Majeranc, właściciel, mimo otwartych oczu nie rozpozna mnie wcale.

– Dla panienki co będzie? – Wychodzi z zaplecza i opiera potężne ręce na blacie. Ktoś inny mógłby odczuć po tej pozie, że nie jest tu mile widzianym gościem, pan Majeranc miał jednak ogromne serce i szybko zjednywał sobie ludzi.

Podaję świstek, który sam wypisał kilka dni temu. Przygląda mu się, jakby grzebał w najdalszych zakamarkach pamięci i próbował powiązać karteluszek z właściwą twarzą.

– A to Feliks miał odebrać... – mówi w końcu, a może bardziej pyta, więc czuję się w obowiązku odpowiedzieć.

– Ale mnie ciotka wysłała.

– A panienka to... – Znów zawiesza głos zmieszany, aż mi się go szkoda robi.

– Siostrzenica. Spod Łodzi.

– Niech będzie. – Wzrusza ramionami i wpuszcza mnie na zaplecze. – Tylko krzepy trzeba mieć do tego!

I ładuje mi na wózek cztery bele materiału.

Jedną w poniedziałek zaniosę do szwalni.

Do domu wracam niemal pędem i z duszonym raz po raz śmiechem w krtani. Czuję się, jakby mnie nie było, jakbym znikł, a wszystko, co robię w przebraniu kobiety, robiła ta właśnie kobieta, ten osobny byt, za który nie odpowiadam.

To jak jakieś czary, magiczna moc, przywołana zwykłą sukienką i kilkoma akcesoriami.

Ciężko jest mi wytrzymać, nie mówiąc nikomu o tym, że przez siedem godzin dziennie będę przebrany za kobietę. Rozsadza mnie to od środka. To jak łaskotanie i pieczenie na wysokości klatki piersiowej, za każdym razem, gdy pomyślę, że jutro znów niezauważony przejdę w sukience i peruce po ulicy Żąbkowskiej, Targowej aż do szwalni nad Wisłą.

To jest szalone, absurdalne, bezczelne, a do tego cholernie mnie śmieszy.

W końcu nie wytrzymuję, tak mnie rozpiera od środka i przymusza, żebym komuś powiedział, że ja i Hanka, bo takie imię sobie nadałem, to jedna osoba. Spotykam się w niedzielę z Wackiem i kreślę mu w podnieceniu cały swój plan pod jednym warunkiem – nie może się przed nikim wygadać.

– Katolicki Związek Kobiet Polskich? – Wacek się krzywi. – Przecież ty nic z katolicyzmem nie masz wspólnego. A tym bardziej z kobietą!

Mierzy mnie od stóp do głowy, jakby chciał się upewnić, że od ostatniego spotkania nic w tym temacie się nie zmieniło.

Siedzimy nad rzeką, na trawie, tak suchej i ostrej od lipcowego słońca, że swędzą mnie zaraz kostki i nadgarstki.

– Zamierzam do nich przeniknąć – mówię. – Jako kobieta.

– Kobieta... – Wacek zamyśla się, jakby próbował sobie przypomnieć, jak wyglądają kobiety. – Nie za bardzo cię rozumiem, Feliks.

Dociera do mnie w jednej chwili, jak mogło to zabrzmieć. Wacek myśli, że mnie zwerbowali albo przekupili i będę teraz sabotował różne organizacje na zlecenie nieprzyjaciela.

– Nie bój się, Wacek! – Śmieję się i klepię przyjaciela w ramię. – Nie jestem szpiegiem, jeśli o tym pomyślałeś.

Wacek tężeje i pyta:

– To po co chcesz to zrobić?

Wyciągam z kieszeni kartkę złożoną na osiem i rozkładam ją na trzeszczącej trawie.

– Znasz Wandę Kaczorowską? – pytam, nie odrywając oczu od najpiękniejszej twarzy, jaką kiedykolwiek widziałem.

* * *

Siedzę za Wandą, w ostatnim rzędzie. Najgorsze miejsce. Mógłbym obok albo nawet przed, bo i tak wynalazłbym sto sposobów, żeby się obrócić, a może nawet zagaić. Tymczasem widzę jedyne jej plecy, bo Wandzia, skupiona na pracy, rzadko spogląda na boki i niemal nie odchodzi od maszyny.

Zauważam, że kaszle co jakiś czas. Stara się to ukryć, ale aż ramiona jej skaczą i czasem ten suchy kaszel głośniejszy się staje od hałasu maszynowego.

Nie było jako takiego powitania nowej szwaczki. Dziewczyny mi skinęły, Wagnerowa wskazała miejsce i zaraz każda wróciła do swoich zajęć. Nawet nie ma jak gadać, bo hałas prawie wszystko zagłusza. Rozmowy, dość skąpe, odbywają się jedynie na przerwach i zaraz dostrzegam, że dziewczyny nie mają kiedy się zżyć ze sobą. A może nie chcą. Nie przeszkadza mi to w ogóle, bo mówiąc szczerze, nie interesuje mnie z tej sali nikt prócz Wandy.

Wagnerowa częściej niż do innych dziewczyn podchodzi do mnie, co jest zrozumiałe – sprawdza, jak mi idzie i czy trzymam się wytycznych, które nakreśliła mi na początku w dosłownie kilku zdaniach. Robota jest prosta, a ja mam do niej dryg, więc trzeciego dnia nie patrzy mi już tyle na ręce.

Czwartego dnia upał jest tak niemiłosierny, że mam dość. Zaduchu, stukotu, od którego po południu boli mnie głowa, milczenia na przerwach i pleców Wandy, której jestem tak blisko, a czuję się, jakby dzieliła nas namacalna ściana z kurzu, żaru i hałasu.

Tuż przed przerwą, wracając od głównego stołu ze szpilkami, których tak naprawdę nie potrzebuję, osuwam się zwinnie na podłogę. Tuż przed maszyną Wandy. Nie chcę zrobić sobie krzywdy, ale upadam na tyle mocno, że szpilki rozsypują się po całej podłodze, a ja uderzam celowo barkiem w krzesło Wandy. Ta zrywa się i kuca zaraz przy mnie, kucają też inne dziewczyny i Wagnerowa z zatroskaną pomarszczoną twarzą.

– Diabły by wzięły tę pogodę! – burczy i gładzi mnie po czole. – Odsuńcie się!

Udaję, że ciężko mi się podnieść i staram się jednocześnie zbierać szpilki jedna po drugiej.

– Przepraszam za to zamieszanie – mówię cicho i oblizuję usta, jakby mi naprawdę wody w organizmie brakowało.

– Nic nie przepraszaj, kochana. Twój brat mówił, że wracasz do zdrowia.

Zabiera mi z ręki pudełeczko. Część z dziewczyn wraca na swoje miejsca, Wandzia, która może się czuje jakoś winna za to uderzenie o krzesło, podsuwa mi swój kubek z wodą pod usta. Jest strapiona i zląkniona i wygląda tak cudownie, że odbierając od niej wodę, przytrzymuję jej rękę na chwilę, co zupełnie jej nie przeszkadza.

Mówię Wagnerowej, że jest mi dużo lepiej i że dokończę dziś pracę, tylko potrzebuję większego przewiewu. Staruszka poleca dwóm dziewczynom, żeby przeniosły moje stanowisko pod uchylone okno.

Tuż obok Wandzi.

Następnego dnia, gdy tylko Wagnerowa daje znać na pierwszy fajrant, podchodzi do mnie Wanda z flakonikiem w ręce.

– Wiem, że miałaś problemy ze zdrowiem – mówi. – To może ci pomóc.

– Pięknie pachnie. – Otwieram buteleczkę i zaciągam się słodkim aromatem.

– To syrop z szarłatu. Wzmacnia ciało i reguluje przepływ krwi. – Smutnieje nagle i wzrok wbija w podłogę. – Mój ulubiony kwiat. Kwitnie we wrześniu, a nie ma jeszcze sierpnia. Wszystko w tym roku dzieje się za wcześnie... Upał już od maja, kwiaty kwitną, kiedy nie powinny. Oby tylko nieprzyjacielowi się tak nie śpieszyło.

Nie wiem, co mam odpowiedzieć.

Ojciec rzadko bywa w domu, zajęty zgromadzeniami, o których nie chce rozmawiać przy żadnej sposobności. Wiem od ludzi, że tworzone są bataliony z ochotników, nawet kobiet, i po ich liczebności widać, że widmo zbliżającego się frontu staje się realne.

Dziękuję Wandzi za syrop i w przyjacielski sposób ściskam ją, ale znów nie za długo, tyle tylko, żeby wyrazić wdzięczność.

Zgodnie z jej zaleceniem piję dwa łyki syropu rano. Na czczo. Nie czuję szczególnie jego cudownego działania, ale i moja forma przecież jest daleka od złej. Piję tylko dlatego, że to ręce Wandzi zbierały kwiaty szarłatu, ubijały i w dobrej wierze rozlały gotową zawiesinę do flakonika.

W ramach rewanżu na drugi dzień przynoszę jej różaniec, który otrzymałem od babci Anieli. Nigdy mi się nie przydał, bo i kościół nie pociąga mnie w ogóle, podobnie jak matkę i ojca. Znając jednak silną religijność Wandzi, wiem, że różaniec wywrze na niej duże wrażenie. Choć początkowo nie chce go przyjąć.

– Jest prześliczny! – mówi i widzę, że oczy jej promienieją, a palce głaszczą paciorki ze szlifowanego granatu. Atak kaszlu hamuje to, co chce powiedzieć, w końcu jednak dodaje: – I bardzo cenny. Zbyt cenny na podarek...

– Dużo mniej cenny od zdrowia, które ratujesz mi swoim syropem – mówię i zamykam jej dłonie na różańcu.

Wandzia przytula się do mnie jak do przyjaciółki, której rada była pomóc. Powinienem w głębi duszy krzyczeć, śmiać się i śpiewać z tej radości i wyróżnienia, jakie mnie spotyka. Tymczasem dotykam jedynie jej włosów i zamieram, jakby moje ręce przyrdzewiały i nie miały na nic siły.

Czuję się podle.

* * *

Mówią na mieście, że wojna coraz bliżej stolicy, ale wcale nie czuć tego w Warszawie. Na ulicy gwar, beztrudne rozmowy i życie, jakby ludzie byli otępiali i jakby butwiejące chmury wcale nie wisiały nad głowami mieszkańców.

Tyle lat okupowały nas obce wojska, że niebezpieczeństwo nie wywołuje wśród mieszkańców ani podniecenia, ani paniki spotykanej w miastach, które nie doświadczyły zbrojnych podbojów.

Wydaje się, że jedynymi osobami, które odczuwają strach, są dziewczyny ze szwalni przy Panieńskiej. I ja.

* * *

W jakiś sposób ojciec dowiaduje się o moich przebiegach.

Tak to nazywa i w jego ustach brzmi to jak coś niepoważnego, jak jakaś kolejna rola matki, kiedy wszyscy się śmieją, a później wychodzą z sali i wracają do istotnych spraw w swoim życiu. Do interesów, które pozwalają wyżywić rodziny w trudnym czasie. Do mężów, którzy nie wrócili jeszcze do pełni zdrowia po wojnie. Do zamartwiania się kolejną wojną, która trwa od kilku miesięcy. Tym zdaniem mojego ojca należy żyć. Teatr, żarty, uczucia – wszystko ma zejść na dalszy plan.

Ojciec ściąga brwi i drżą mu policzki; nie wiem, czego mam się spodziewać. Kiwam głową, gdy pyta odwrócony do okna, czy to wszystko prawda.

– Zakochałem się, tato... – próbuję się tłumaczyć, ale ojciec wali pięścią w stół.

– W kim, do kurwy? W dziewczynie, która przebiera się za chłopca?

– Ja musiałem tak, inaczej nie mógłbym spędzać z nią czasu.

– A czemuż to?!

– Jest z bogobojnej rodziny. Nie pozwalają chłopakom kręcić się koło niej.

Żałośnie to wybrzmiewa, ponieważś się zdają sobie z tego sprawę. Ojciec pryca, a ja czuję się mały, maluteńki, jakbym zaraz miał zostać wgnieciony wojskowym butem w szparę drewnianej podłogi.

– I kiedy chcesz ten cyrk przerwać? – pyta. – Jak do łóżka ją zaciągniesz?

Nic nie odpowiadam, bo gorąco uderza mi w szyję, twarz i końcówki uszu.

– Wojska unikasz – rzuca spod gniewnych oczu. – Dewiacje symulujesz, żeby się wykręcić od obrony ojczyzny.

– Nie, tato, o miłość tylko chodzi...

– O jakiej miłości ty mi mówisz, smarkaczu z mlekiem pod nosem? Syn podpułkownika...

Kręci głową. On teraz robi się coraz mniejszy. Kruszy mu się ta fasada twardziela, budowana przez lata, która ujmowała mamę i której z chęcią się poddawała. Niedawno zapytałem ją, dlaczego kocha ojca, skoro prawie nie ma go w domu, a jeśli jest, to niemal się nie odzywa. Odpowiedziała, że mój ojciec zawsze ma swoje zdanie, a ona bardzo lubi, jak ktoś wie, czego chce. Była przy tym dumna i chyba taką samą dumę chciała wtedy ujrzeć w moich oczach, ale mnie na tyle zrobiło się przykro od tej odpowiedzi, że zamilkłem, unikając jej wzroku.

– Naprawdę chcesz wysłać swojego jedyne go syna front? – pytam.

– Rok młodzi się zaciągają! Wyjdź na ulicę. Dzieciaki mają kokardy biało-czerwone w furazerkach i ludzie na rękach ich prawie noszą. Mam żaków, którzy uchwały podejmują między sobą, że kto na front nie pójdzie,

ten nie jest godzin miana studenta, a ty w tym czasie za babę się przebierasz, żeby walki o kraj uniknąć?!

Pluje wielkimi kroplami śliny. Niemal eksploduje mu gardło, ale widzę równocześnie, że zbiera mu się na płacz. Prędeż twarz ukryje w dłoniach i odwróci się do okna, niż mnie uderzy.

– Trwa walka z bolszewikami, synu – mówi znów. – Miłość może poczekać. To, co robisz... To straszna hańba dla mnie. Wojny unikasz, ale rychtujesz sobie inną, we własnym domu. – Milknie na chwilę, po czym mówi tak, jakby wydawał rozkaz: – Włóż ten strój i przyjdź się pokazać.

– Po co?

– Bo chcę cię zobaczyć.

– Widzisz mnie przecież.

– Przebieraj się i wracaj tu! – krzyczy, ale nie patrzy na mnie.

Chyba płacze i wstyd mi jest przy nim tak stać.

– Nie – mówię tylko i odwracam się do drzwi.

Wychodząc z jadalni, widzę matkę z jakimiś tobołkami przewieszonymi przez ręce. Widać, że przystanęła przy drzwiach, słysząc przypadkowo naszą kłótnię. A może specjalnie nasłuchiwała i wzięła tylko jakieś szmaty na ręce, żeby wymówkę mieć w razie czego?

Mijam ją, a ona na mnie z takim wyrzutem i nienawiścią patrzy, że wolałbym już sto razy, żeby ojciec złoił mnie i przegonił z domu. Znów nie wiem, co się kłębi w jej głowie. Kilka dni temu była moim sprzymierzeńcem, a teraz wydaje mi się, że jak ojciec mówił o wojnie we własnym domu, to wcale nie siebie miał na myśli.

Kładę się na łóżku z myślą, że w ogóle nie znam swojej matki.

A ona mnie.

* * *

Wandzia marnieje. Kaszle coraz bardziej, bledsza jest niż zwykle i musi robić sobie dodatkowe przerwy. Pytam zaniepokojony o tę jej

niedyspozycję, ale zbywa mnie machnięciem ręki i nie chce podejmować tematu. Źle mi z tym, że piję jej szarłat, kiedy widzę, że ona tak naprawdę opada z sił i jej by dużo bardziej pomógł. Mówi mi jednak któregoś dnia, gdy rozstajemy się na Targowej:

– Chyba nic już mi nie pomoże.

Aż kłuje mnie w żołądku przez całą drogę do domu.

Rozweselałam ją, kiedy mogę, i któregoś razu pytam, czy umie tango, taniec, który robi się coraz popularniejszy w stolicy. Sam poznałem kroki na przedstawieniu, w którym gra mama, uczyła mnie zresztą przez kilka wieczorów. Po powrocie z Francji włączyli ten taniec do zakończenia jednego ze swoich występów i mama biegłości w nim nabrała, a ja razem z nią.

Zabieram Wandzię pod okna mojego domu, gdzie wiem, że w czwartkowe popołudnia matka nastawia płytę i puszcza tango. Tańczymy, nie patrząc na ludzi, którzy pewnie przyglądają nam się z ukosa, ale nic mnie to nie obchodzi, bo skupiam się tylko na tym, żeby Wandzię, coraz słabszą i chudsza, dobrze prowadzić i uśmiech wywołać na jej twarzy.

Wieczorem postanawiam, że spotkam się z nią jako chłopak i do wszystkiego się przyznam. Że miłość chciałem tak zdobyć, że kocham ją i chcę się nią opiekować, że z Warszawy przed wojną możemy razem uciec.

Umawiam się z nią na Polu Mokotowskim pod pretekstem pokazania jej czegoś interesującego. Zabieram ze sobą flakonik z syropem podpisanym jej pismem, żeby dała wiarę, że ja i Hanka to jedność, ta sama osoba, jakkolwiek niemożliwie to brzmi.

Wanda, choć słowna i punktualna, jednak nie przychodzi.

Nie pojawia się również w szwalni przez kilka kolejnych dni.

13 sierpnia spóźniam się do pracy. Pierwszy raz. Już na schodach zauważam, że coś jest nie tak. Nie słyszę stukotu maszyn.

Przed drzwiami, wyciągając się na chybotliwym stołku, Wagnerowa wiesza jakiś obraz, zahaczając go o gwóźdź w ścianie.

– Nie szyjemy już, kochana. Wystarczy. Bolszewicy już są pod Warszawą.

Głupio mi, że choć ojciec mój na wysokim stanowisku, to mniej wiem niż ta staruszka. Mówię tylko:

– Nie ucieka pani? Stolica ucierpi i ludność poumiera.

– Ja? A gdzie ja mam uciec, kochana? Mam osiemdziesiąt sześć lat. Jedyne, co mogę zrobić, to powiesić ten obraz. I modlić się.

Przyglądam się namalowanej kobiecie. Ma dobrotliwą twarz, w prawej dłoni trzyma kielich z jakąś białą substancją, w lewej długą gałązkę. Nie mam zupełnie pojęcia, kim jest ta postać, a moje zdezorientowanie chyba dostrzega Wagnerowa, bo mówi, bardziej do obrazu niż do mnie:

– To święta Agata. Chroni od ognia.

Nazajutrz wojska wychodzą z Warszawy.

Żegnają ich dzieci, mężczyźni i kobiety, które w większości płaczą i podbiegają jeszcze do wojaków z ostatnimi pakunkami wypełnionymi łakociami, papierosami i wędliną.

Razem z dziewczynami ze szwalni stoimy w cieniu i machamy żołnierzom. Wypytyuję o Wandzię, której nie widzę już chyba szósty dzień, ale większość dziewczyn wzrusza ramionami, aż w końcu Jadzia, najstarsza z naszej brygady, nachyla się do mnie:

– Nic nie wiesz? Wanda umarła w domu. Gruźlica.

Mijają mnie właśnie moi koledzy z klasy. Wacek, Feliks, Bolek. Dumni, z uśmiechami na twarzach, kiedy we mnie umiera jakakolwiek nadzieja na radość, pokój w stolicy i miłość, z której miałem się odkryć przed Wandą już jako prawdziwy ja, mężczyzna.

Macham do nich, ale prawie nic nie widzę, bo nie chcę tu być – chcę wejść pod kołdrę i przeczekać: bolszewików, gniew rodziców, może uda się nawet przeczekać śmierć Wandy, która, jak tylko wysunę głowę, okaże się jakimś urojeniem.

Dostrzega mnie Bolek, który wiem, że do Wandy też kiedyś czuł sympatię i chyba pęka w nim coś, bo opuszcza swoją wesołą brygadę, przedziera się przez maszerujących chłopców i łapie mnie za szyję. Łądujemy obaj na granitowej kostce, dziewczyny obok krzyczą i próbują odciągnąć Bolka ode mnie, ale on zapalczywie ściąga ze mnie perukę i drze bluzkę, krzycząc mi w twarz, ale tak, że chyba cała ulica Radzywińska słyszy:

– To przebieraniec! Od wojny się miga, a ojca ma wojskowego!

I dwa razy pod oko bije, aż czuję, jak puchnie mi polik. Dziewczyny, mniej już skore, żeby mnie bronić, stoją z ustami zakrytymi dłońmi. Robi się pusto wokół mnie, zbieram się więc w jednej chwili i uciekam w najciemniejsze miejsce, jakie mogę dostrzec.

W bocznej uliczce jest dużo ciszej i nie dosięgają mnie rozbawione spojrzenia wojaków. Przyciskam się do ściany, której chłód hamuje trochę ból po Bolkowych pięściach i ogólnie daje wytchnienie całemu ciału. Nawet jak teraz dołączę do żołnierzy, to nikt się nie zorientuje, że jestem półnagi i że przed chwilą jeszcze udawałem kobietę.

Migają mi kolejni mężczyźni i chłopcy, niektórzy nawet młodszy ode mnie, i widzę, że gdybym chciał iść z nimi ramię w ramię, nie byłbym jedynym, który przypominałby żebraka. Kilku mężczyzn w jakimś nagłym zrywie zlewa się z tym pochodem, a tak opłakanie wyglądają, że na pierwszy rzut oka widać, że bieda wygania ich z domów na front. Bez butów, w łachmanach poprzecieranych, z bańką wody uwieszoną u szyi powrozem.

Obrywam butem, jednym, drugim, i gdy zadzieram głowę, widzę, jak w powietrzu łopoczą biała koszula i spodnie. Po chwili z okna wygląda kobieta o pulchnej twarzy i krzyczy:

– Z Bogiem, bohaterze, to po moim synu, który wojny nie przeżył!

Chcę wykrzyczeć jej, że na żadną wojnę nie idę, bo jestem zwykłym tchórzem, przebierańcem, który nie wie, co sobie myślał, może tyle tylko, że zdobędzie dziewczynę, sam za dziewczynę się podając.

Ale wrócić jak do domu nie mam. Nic mnie tam trzymać nie będzie – ciężko by spojrzeć ojcu w oczy, a i jemu mnie pewnie nie łatwiej. Matka chyba też na froncie chciałaby mnie widzieć. Moi koledzy wszyscy w pochodzie właśnie idą i może zginą na wojnie, a jeśli nawet wrócą, to o czym mielibyśmy rozmawiać? Jakie wspólne tematy nas połączą, po tym wszystkim, co się wydarzyło?

No i Wandzia nie żyje.

Nie żyje.

Kolebie mi się to po głowie, kiedy przebieram się w darowany strój. Dołączam do ochotników, odnajduję Wacka i idę z nim na równi, choć on w skórzanych kamaszach, owijaczach, zielonych spodniach i udekorowany liśćmi kasztanowymi, a ja jak z przypadku, w za dużym ubraniu.

Podbiega do nas dwójka dzieci z cukierkami w sakwie i częstuje nas, ale mi wstyd wziąć choćby jeden. I wtedy Wacek, który nie stanął w obronie, kiedy Bolek walił mnie pięściami, łapie całą garść słodczy i wkłada w moją kieszeń. Oddaje mi też bez słowa długi bagnet z pochwą i połowę konserw.

Za miastem droga robi się piaszczysta.

Przed Ossowem mijamy leszczynowe zagajniki, pachnące krzewy dzikich róż i, choć jest dopiero połowa sierpnia, przekwitnięty szarłat.

MACIEJ KONCMAN

SPRAWIEDLIWOŚĆ PO PRASKU

Warszawa-Praga, kwiecień 1920 roku

Piotra zbudziło szarpnięcie, któremu towarzyszyło gwałtowne zatrzymanie kolejki.

– Matko przenajświętsza! – westchnął do siebie, łapiąc równowagę. „To już by było w lepszych warunkach się przewozić!” – pomyślał. Przecierał oczy, próbując tak jak reszta zorientować się w sytuacji. Pociąg zatrzymał się kilka minut za wcześnie, pozostał im jeszcze kawałek do ostatniej stacji.

– Pewnie jakaś awaria – rzucił ktoś w tłumie. I prawdopodobnie miał rację.

Jechali jednym z pierwszych składów na tej trasie i to zazwyczaj oni na własnej skórze odczuwali wszystkie takie niedogodności.

„No nic! Trza ruszyć dupę!”

Ludzie ociężale zaczęli wychodzić z wagonów, mieląc w ustach przekleństwa i spluwając na zimną ziemię. Piotr ruszył za kolumną, ale stwierdził, że coś jest nie tak, jak być powinno. Pojawiły się jakieś krzyki, ludzie jakby spowolnili, a z drugiej strony widać było, że część z nich mocniej się wrywa.

– Trupa mają! – krzyknął ktoś bliżej Piotra. – Rzucił się pod pociąg!

Mamo!

Może już do Was dotarły wieści, że Franek nie żyje. Przekaż, proszę, Pani Pieślakowej moje kondolencje i przeproś, że nie stawiałem się osobiście. Franka ktoś zabił, a ciało rzucił na Kolej Marecką, straszna sprawa. Jam tego nie widział, nie miałem nawet jak, bo przyszli po mnie z rana, wywieźli na Wileńską i zaczęli wypytywać.

Strasznie to było podłe z ich strony. Trzymali mnie najspierw tak półnagiego przez kilka godzin i mieli czelność zarzucać, że ja to zrobiłem, że Frania bym skrzywdził. Że niby żeśmy się może o dziewczynę pobili albo o pieniądze posprzecjali. Wyobrażasz sobie, Mamo? Przecież Franio jak mój brat, w końcu pozwolił mi zamieszkać u siebie we Warszawie. I to żem im powiedział, więc mnie trochę sponiewierali, jak to policyja, gdy odpowiedzi im się nie podobają. A potem ten, co mnie przesłuchiwał, się chyba Brot nazywał lub Grot, powiedział, że u nas w mieszkaniu bolszewickie ulotki ponoć znaleźli. Wtedy mnie policmajster strzelił tak raz a porządnie. Tak jak Ojciec, ale mocniej. Znacznie mocniej. Uderzył mnie i kazał się przyznać, że ja z czerwonymi się dogaduję, bo oni już to wiedzą.

Mamo, coś we mnie pękło. Rozplakałem się i rzuciłem z pięściami na niego. Myślał, że sobie ze mną poradzi sam na sam, zwłaszcza gdy mnie wcześniej trochę obili i pewnie dlatego byliśmy w pokoju tylko we dwóch. Gdy jego koledzy wbiegli, tośmy się z tym policmajstrem na podłodze kotłowali.

Miotalem pięściami na oślep i krzyczałem, co nam bolszewicy zrobili jak do naszej wsi zawitali.

Chyba ten policmajster mi uwierzył, bo jak mnie wiązali do krzesła, to już mną nie poniewierali (tak mocno).

Popytali mnie jeszcze z godzinę, ręce uświnili jakąś farbą, co ją potem na kartkach odciskać kazali i nie powiedzieli nawet po co. Po tym wszystkim, zawieźli mnie na Środkową, do Sądu Grodzkiego. Policmajster Brot vel Grot powiedział, że winy mi nie udowodnił, ale za atak na niego swoje beknę. Czekaliśmy na sali chwilę, nie powiem, byłem zrozpaczony tym wszystkim. A wtedy policmajster mnie puścił. Łypnął na mnie groźnym

okiem i powiedział, że sądu nie będzie, że nastraszyć mnie chciał i to taka nauczka miała być, by na policjanta się nie rzucać, bo za takie coś i kulę w łeb można dostać.

I poszedł sobie, a ja co? Do domu wróciłem, ale nie mogłem się zmusić, by wejść do naszego mieszkania. Spytałem się sąsiada z góry, czy mogę przenocować u niego, chociażby na podłodze w przedpokoju. Znał mnie, ztem mu raz przy robocie pomagał, jak Franek nie mógł, więc pewnie dlatego się zgodził. A! I Sąsiad mówił, że te ulotki to pic na wodę, ponoć każdego tak sprawdzają.

Nie mogłem za bardzo spać, więc piszę do Ciebie. Kończę, bo zaraz trza jechać do stalowni, może jak popracuję, to trochę się uspokoję. Uściski dla Ciebie i Pani Pieślakowej.

Twój Józio

Józef Skorupski, bo „Józkiem” tytułował się tylko, by zrobić przyjemność matce, skończył pisać list. Pisał do Dębów rzadko, ale ze względu na sytuację w najbliższym czasie będą kontaktować się częściej. Miał cichą nadzieję, że prędzej czy później uda mu się ściągnąć mamę do Warszawy, ale mama nie chciała opuszczać tego, co zostało po ojcowiznie, a teraz sprawy się jeszcze bardziej skomplikowały. Westchnął, po czym wstał, by wyszykować się do wyjścia. Podziękował gospodarzowi za nocleg, a do mieszkania wszedł tylko po najpotrzebniejsze rzeczy. Chociaż określenie „mieszkanie” było trochę na wyrost, bo wynajmowali z Frankiem pokój w czynszówce. Wkrótce wyszedł na Nowostalową, rozejrzał się, czy jechała już może ropucha^[1], ale na ulicy nie było ani jednego „placka”, a zatem znów zabrakło koni, by obsadzić praski tabor. Gdyby to była Wileńska, to tramwaj byłby elektryczny. No cóż... Józefowi pozostawał spacer.

Warszawa żyła i budowała się na nowo. Józef mijał niskie, jednopiętrowe i drewniane budowle, które służyły jako kwatery pracownicze. Coraz częściej pojawiały się natomiast budynki większe, murowane, wysokie na trzy, czasem cztery piętra. Mimo że stojący niedaleko pałacyk^[2] przyćmiewał wszystko wokół, to nadal była to

imponująca architektura, której nie zobaczy się na wsi. Były też oczywiście fabryki i, co krzepiące, wiele z nich było nowych. Miejsce, do którego zmierzał mężczyzna, nie pachniało jednak nowością. Pełno tam było dymu, iskier i hałasu. I metalu. Dużo metalu. Warszawska stalownia intensywnie produkowała elementy stalowe i już wkrótce miała stać się zbrojownią Rzeczypospolitej. Gdy Franek powiedział, że jest w stanie mu załatwić fuchę w tym miejscu, nie zwlekał ani chwili z przyjazdem do stolicy. Pracy było wszędzie pełno, a już na pewno w Warszawie, gdzie fabryka rosła na fabryce, ale Józef chciał, aby jego praca chociaż w minimalnym stopniu przysłużyła się Polsce. Jego kolega miał zupełnie inną motywację do pracy. Należał do grupy tych ludzi, którzy zawsze umieli się dobrze zakreślić, dlatego Józefa dziwiło, że wybrał sobie ten zakład pracy. Czasem nawet żartował, że w ten sposób zagaduje dziewczyny, iż jest inżynierem i ponoć to działa.

Józef szedł wolno i prawie się spóźnił. Przekroczył mury zakładu wraz z grupką ostatnich maruderów i wziął się do swojej roboty. Nie czekał na nic innego, gdyż potrzebował czymś zająć myśli. Jego praca nie była zbyt skomplikowana. Zajmował się załadunkiem i rozładunkiem. W zakładzie mieli kolejkę, która była boczną główną arterią kolejową, a stąd ich produkty mogły iść zarówno na wschód, jak i na zachód. Produkowali przede wszystkim elementy stalowe do kolejek właśnie, czyli szyny, a także elementy wózków i wagonów. Poza tym Józef działał tam, gdzie potrzebna była siła, a niekoniecznie szybkość, dlatego pchał ręcznie wagoniki z towarami, a także sypał węgiel. W przerwach na posiłek szukał ludzi odpowiedzialnych za faktyczną produkcję i starał się wypytać lub nauczyć czegokolwiek, aby w przyszłości zająć się czymś bardziej pożytecznym.

Dziś było oczywiście inaczej, w połowie dnia wezwał go Zdzisław Czarnecki – mistrz zmiany – i pytał o Franka. Wiedział, bo odwiedzili go policmajstrzy, więc pytał tylko przez grzeczność. Interesował się, czy skoro mieszkali razem, to ma kontakt z rodziną zmarłego, bo jeżeli nikt się nie zgłosi, to wypracowana pensja przechodzi na rzecz odbudowy państwa. Wreszcie zapytał, czy młody chłopak nie potrzebuje wolnego, by załatwić

sprawy po Franku. Józef wyczuł w tym pytaniu sugestię, aby przynajmniej na kilka dni zniknąć mistrzowi z oczu, gdyż w związku z nowym przeznaczeniem stalowni, kręci się tu teraz kilku wojskowych i jego obecność mogłaby być problemem. Utwierdził się w tym przekonaniu, gdy przełożony pozwolił mu natychmiast zakończyć pracę przy zachowaniu dniówki za cały dzień. Świetnie – jego życie właśnie się zaważyło, a teraz tracił jedyną rzecz, która trzymała go jakoś w kupie...

* * *

Nie mając co ze sobą zrobić przez resztę popołudnia, poszedł pić do pijalni wódki nieopodal stalowni. Przewijali się tu pracownicy z jego zmiany, którzy mieli to szczęście, że nie musieli dojeżdżać do pracy Kolejką Marecką. Znów pytali go o Franka i chcieli, aby potwierdził je lub zaprzeczył plotkom, które wyrosły wokół sprawy. Ponieważ sam był ciekaw, co ludzie mówią, chętnie przysłuchiwał się tym pytaniom, mimo że nijak nie był w stanie na nie odpowiedzieć. I tak ponownie pytali, czy aby się z Franiem o babę nie pobili. Niektórzy byli w szoku, że Zdzisiek polecił wypłacić pełną dniówkę – to nie było do niego podobne. W zakładzie żartowano sobie, że Zdzichu i za wypadek śmiertelny dniówkę potrafił przyciąć. Wracając jednak do tematu Franka, to ktoś słyszał, że ci z Mareckiej widzieli u niego rany postrzałowe z mausera, a ktoś jeszcze inny podobno słyszał strzały. To z kolei rozbudziło jeszcze bardziej wyobraźnię zebranych gości, bo tych pistoletów pod koniec wojny trochę się przewinęło po strychach i piwnicach. Znów padł zarzut o kolaborację z ruskimi, ale nim Józef zareagował, ci bardziej zorientowani współbiesiadnicy ukrócili temat dosadnym kuksańcem. To, co stale się powtarzało, to pytanie, co Franek porabiał po robocie, a jedyne, co Józef mógł powiedzieć, to to, że wychodził na miasto lub że szedł do dziewczyny. On nie szedł, bo wieczorami starał się douczać. I tu robiło się dziwnie, bo nikt Franka nigdy z dziewczyną nie widział, no i żadna dziewczyna się o niego jakoś nie upominała, a o sprawie wiedziała przecież cała Praga.

Ostatnią z rzeczy, którą Józef zapamiętał tego dnia, to jego silne postanowienie dowiedzenia się, dlaczego Franek musiał zginąć.

Nazajutrz Józef zbudził się z ogromnym bólem głowy. Niespotykane było mieć pierwszy dzień prawdziwego urlopu. Otepienie alkoholowe pozwoliło powstrzymać niechęć do pokoju, który kiedyś dzielił z kolegą. Chcąc nie chcąc, musiał przejrzeć rzeczy Franka. Zarówno aby przygotować się na odprawienie pogrzebu, jak i by złapać jakiś trop. Franek nie miał zbyt wielu rzeczy. Na pewno nie posiadał niczego, co mogłoby się nadawać na pogrzeb, ale o dziwo Józefowi udało się znaleźć kilka nadzwyczaj dobrych ubrań. Jeszcze trzy miesiące temu, gdy nie znał stołecznych realiów, powiedziałby, że Franek zarabia po warszawsku, to i po warszawsku się ubiera, ale teraz wiedział już, że jest to typowo robotnicze życie i w praktyce niewiele można zarobić ponad koszty utrzymania. Tym bardziej Józef zdziwił się, gdy znalazł dziwną monetę, jakiej nigdy wcześniej nie widział. Nie była rosyjska ani niemiecka, przedstawiała orła, a na rewersie kobietę. Mężczyźnie moneta omal nie wypadła z rąk, gdy doczytał, że trzyma właśnie najprawdziwszego dolara!

Dziwna sprawa, bo Franek nigdy się nie chwalił, że posiada dolara. Józef nigdy nie widział żadnego, wiedział natomiast, że był sporo wart, bo podobno miał pokrycie w amerykańskim złocie. W czasach inflacji tylko zyskiwał na wartości i ponoć można było sobie za kilka takich dolarów zrobić porządne zakupy! Może dlatego Franek nie chciał pochwalić się znaleziskiem. A może nic nie mówił, bo moneta była fałszywa? Postanowił, że zagada z Żydem, bo tak Franek mówił o Janie Bermanie, właścicielu ich czynszówki. Zapyta o kwestie związane z najmem pokoju – wszak teraz będzie musiał opłacać go sam. Pokaże mu monetę, powie, że ją znalazł i że chciałby przedpłacić nią za pokój, póki ma pieniądze. Jeżeli moneta jest fałszywa, to Żyd od razu mu to wypomni.

Jak postanowił, tak zrobił. Doprowadził się do porządku po wczorajszej nocy, zjadł śniadanie i poszedł do pana Jana. Wojna trochę odcisnęła piętno na nim oraz na jego majątku, ale powoli wychodził na swoje.

Podobno za pieniądze Władysława Pachulskiego, przynajmniej tak sądził Franio. Józef opuścił swoją drewnianą czynszówkę i wszedł na pierwsze piętro murowanej kamienicy, która znajdowała się naprzeciwko. Kamienica była nowa, bo postawiona dopiero rok temu, przedstawiała zupełnie inny standard niż to, co wynajmował. Brakowało windy, ale na każdym piętrze znajdowały się eleganckie łazienki i każde mieszkanie miało podobno lampy gazowe, a także była doprowadzona linia telefoniczna. Józef miał szczęście, bo zastał pana Jana w jego mieszkaniu, które pełniło również funkcję gabinetu.

– Dzień dobry – powiedział Żyd, po czym rozpoznał w Józefie najemcę swojej czynszówki i jego entuzjazm nieco opadł. – Witaj, chłopcze, co cię sprowadza?

– Ja w sprawie pokoju, panie Janie, tego, co z Frankiem Pieślakiem wynajmowałem.

– Och... – Pan Jan skojarzył wszystkie fakty i wysilił się na sztucznie zatroskany wyraz twarzy, którym w ciągu ostatnich dni ludzie obdarzali go cały czas. – Tak... Paskudna sprawa z tym chłopakiem. Jak się trzymasz?

– A jak mam się trzymać, panie Berman? – zaczął. – Toż to mój sąsiad i kolega był. Szkoda go. Czasy ciężkie, więc pomyślałem zawczasu o finansach i najmie pokoju...

Józef już miał zacząć historyjkę o dolarze, gdy Żyd przerwał mu w pół słowa:

– Tak, wiem, nie musisz się martwić. Za dolary od pani Pieślakowej możesz jeszcze pomieszkać trzy miesiące – uniósł chudy palec i zaznaczył: – ale potem pieniądze muszą być na czas.

– Właśnie... – zablefował Józef – pani Pieślakowa pytała właśnie, czy wszystko dobrze.

– Przekaż pani Pieślakowej kondolencje. Gdy Franciszek przekazywał mi pieniądze w jej imieniu, mówił, że jego matce zależy, byście znaleźli tu dobry fach, że macie się szkolić i dlatego musicie mieć gwarancję kwaterunku. A ty też w tej stalowni robisz, chłopcze?

– Tak, panie Berman.

– Zlitowałbyś się nad tą kobietą. Nie poznałem jej osobiście, ale szkoda jej nerwów. Mnie nic do tego, zapłacone to zapłacone, ale teraz jak straciła syna, to tym bardziej tobie powinno zależeć na tym, by jej nie zawieść...

– Dziękuję, panie Janie. Właśnie chciałem się wszystkiego upewnić, czy dalej mam ku temu warunki. Nie będę zajmować panu więcej czasu.

Rozmowa z Żydem przyniosła jeszcze więcej pytań. Skąd tyle dolarów? Pani Pieślakowa nigdy nie miała tylu pieniędzy. Ba! Od śmierci męża zdarzało się, że to mama Józefa od niej kupowała hafty. Nie żeby jakoś szczególnie potrzebowała, po prostu pani Pieślakowej brakło czasem, wstyd było prosić, a i pani Skorupskiej nie wypadało tego proponować, to sobie wymyśliły taki układ. Tak samo jak Franek zmyślił Żydowi historię o stypendium od matki. Jeden bądź kilka dolarów to mógłby być jeszcze przypadek, ale tak dużo? „Oj Franek, w co ty się wpakowałeś?” – pomyślał Józef.

Mamo!

Najsampierw dziękuję za Twój list, ja się czuję dobrze. Nogi w porządku.

Policja nic nie chce mówić o Franku, że niby cały czas prowadzą śledztwo. Pod koniec następnego tygodnia chcą go chować, dlatego przyjeżdżajcie jak najszybciej. Mnie nic nie powiedzą, bo nie jestem z familji, ale ciał ponoć zabronili wozić, bo się ciągle hiszpanki boją. Przesadzają, bo miesiąc temu tylko trzydzieści osób na to zmarło, i to po drugiej stronie Wisły. Niech Pani Pieślakowa przyjeżdża pociągiem, Dworzec Petersburski już skończony, tyle że go przesunęli i Wileńskim nazwali. Niesamowite, zrobili go w trzy miesiące. Widać, że prowizorka, ale... działa!

Przekorny to los, Mamo – żeśmy wszyscy przeżyli wojnę, by Franek zginął w Warszawie z dala od frontu. A zanim to nastąpiło, to razem żeśmy z Frankiem tory robili, aby Pani Pieślakowa mogła na jego pogrzeb przyjechać. Może też przyjedziesz? Chociaż na kilka dni? Tęsknię.

Twój Józio

* * *

To był już trzeci dzień urlopu. Józef wracał z poczty i postanowił zajrzeć do kwiaciarni, która stała najbliżej jego kwatery. Zwykle w takich przybytkach siedzi starsza kobieta, ale nie tym razem. Szybko złapał kontakt z młodą ekspedientką, spytał o wieniec żałobny, a konkretnie ile by kosztował. Szybko przeszli na temat śmierci Franka. To zadziwiające, bo przecież każdy zdążył się w swoim życiu oswoić ze śmiercią, ale gdy chodziło o swoich, to każdy się interesował. Józef opisał jej Franka i ta odpowiedziała, że chyba go kojarzy. Raz czy dwa nawet mu bukiet zrobiła z róż, z bilecikami. Dla Rozalii bodajże...

Szybko skończył rozmowę i ruszył w kierunku ulicy Wileńskiej. Franek już pierwszego dnia pokazywał mu to miejsce. Piętrowy dom stał trochę na odludziu. Niby na środku ulicy, ale przez to daleko mu było zarówno do dworca i posterunku, w którym go trzymali, jak i do stalowni. Przejeżdżał tędy elektryczny tramwaj, ale przystanki były daleko od tego miejsca. Naprzeciw domu stał drewniany krzyż. Pod krzyżem leżał duży kamień z wrytym napisem:

TU LEŻY ROZALIA ZAMOYSKA UMARŁA RP 1795.

Frankowi podobała się ta pierwsza praska zbrodnia. Mówił, że było tu coś... magicznego. Ponoć szlachciankę napadli zbóje i zakopali ciało tutaj na odludziu, a teraz proszę... Miasto wyrasta.

– Dzień dobry, chłopcze – powiedziała starsza pani, która wyszła z domu naprzeciwko. Gdy lepiej mu się przyjrzała, jej entuzjazm lekko przygasł. – Och, przepraszam, pomyliłam pana z kimś.

– Józef Skorupski, psze pani. – Ukłonił się. – Nic nie szkodzi. Wspominam kolegę, lubił to miejsce.

– Tak... Był tu taki jeden młody chłopak, taki jak pan. Skojarzyłam, bo rzadko kto przychodzi, a on przychodził często. Najpierw sam, potem z kwiatami. Raz go nawet zagadnęłam...

– To jakiś jej krewny?

– Nie. Mówił, że z daleka przyjechał, że wschodu. Na wojnie narzeczona mu na hiszpankę zmarła. Rozalia się nazywała. Przyjechał do Warszawy, ale nie może o niej zapomnieć. Zobaczył ten grób i modlił się, jakby u niej na cmentarzu był.

– Smutna historia. I często tu przychodził?

– Skłamałabym, mówiąc, że codziennie, ale często. I o różnych porach. Jak go na herbatę prosiłam, to mówił, że spać po nocy nie może, że dalej tęskni. No, ale ostatnio coś się nie pojawia, więc jak pana zobaczyłam, to myślałam, że to on.

– I to prawdziwy grób, psze pani? – spytał.

– Ponoć tak, jest tu, od kiedy pamiętam, chociaż kiedyś był tu inny krzyż, metalowy, ale ludzie pokradli.

– Dziękuję, nie będę pani niepokoił. Jak to prawdziwy grób, to pomodłę się chwilę i już idę do domu.

Starowinka poszła do siebie, a on uklęknął przy kamieniu i udał, że zanosí modlitwę. Gorączkowo szukał czegoś, czego za każdym razem mógł szukać tutaj Franek. Na samej górze był otwór po skradzionym krzyżu, zapchany kawałkiem materiału. Wyjął go i wepchnął na ślepo rękę, tak aby nie zwracać na siebie uwagi starszej kobiety. Wymacał zawiniątko, które jak najszybciej schował do kieszeni. Wstał, przeżegnał się i poszedł w kierunku domu.

Ciekawość nie pozwoliła mu zaczekać z otwarciem zawiniątka, aż do powrotu do domu, za co potem skarcił się w myślach. Gdzieś tak w połowie drogi sprawdził zawartość. Znalazł kolejne dolary, tym razem w banknocie, a także dwie kartki. Obie były wyraźnie autorstwa Franka, Józef rozpoznał jego pismo, bo przecież razem się uczyli na tajnych naukach jeszcze przed wojną. Nauki odbywały się w różnych nieoczywistych miejscach, więc zdarzało się, że aby móc wziąć w nich udział, należało się nabiegać, ale było to w czasach, gdy bieganie nie było jeszcze takim problemem.

Pierwsza z kartek, ta większa, była jakimś planem. Została sporządzona specyficznym, ponieważ obejmowała tylko fragment papieru i ewidentnie było widać, że stanowi element większej całości. Druga kartka była krótkim liścikiem: *Chcesz dostać drugie tyle? Idź do Kochańskiego na trzy karty i zapytaj, czy widzieli kiedyś Piłsudskiego.*

Józef nie wiedział, co zrobić dalej. Sprawa wydawała się coraz dziwniejsza. Te wszystkie kłamstwa o dziewczynie ze wschodu, o dolarach od matki i teraz zaproszenie na bazar, i to tam, gdzie według Franka Józef nie powinien chodzić sam, czyli na trzy karty. Mówił, że to wszystko pic na wodę i że jedyną metodą, by z tej gry mieć jakieś pieniądze, to po prostu w nią nie grać. Długo zastanawiał się: iść czy nie iść? W końcu to blisko. Jak zwykle wszystko kręciło się wokół Stalowej i Nowostalowej, jak to na Konopaczyźnie. Może powinien iść na policję? Bądź co bądź Franek został zabity, więc jego też może to spotkać... Przypomniał sobie o wojnie z bolszewikami. Tam też przecież ludzie mogą zginąć, a mimo to pchają się do walki. Dlatego też postanowił, że pójdzie. No bo co się może stać w biały dzień?

Dojście do bazaru zajęło mu trochę czasu. Zanim tam poszedł, wrócił jeszcze na chwilę do domu, aby napisać krótką notkę, dokąd idzie, oraz by ukryć kartkę z tajemniczym planem. Wybór padł na jedną z pustych butelek po wódce, które od czasu jego urlopu walały się po pokoju coraz gęściej. Bazar Kochańskiego, obecnie wykupiony przez dwóch innych Żydów zawierał dużo cennych towarów, o które przecież ciężko w czasach deficytu. Główną aleję zajmowali właśnie Żydzi ze swoimi drogimi wyrobami, za to głębiej, zwłaszcza przy jedzeniu, widać był już mniej pejsów i coraz częściej pojawiali się Polacy. Józef długo nie musiał czekać, aż w końcu usłyszał „Grać i obstawiać! Jeszcze nie było zdarzenia, żeby kto wygrał z patrzenia!”^[3].

Szybko zwrócił się w tamtym kierunku. Jeszcze szybciej nawiązał kontakt wzrokowy z mężczyzną, który nawoływał do gry.

– Śmiało, szanowny pan widzę, że zainteresowany – zaczął, po czym przywołał Józefa machnięciem ręki. – Jak ma pan bystre oko, to i pieniądze można wygrać!

– Chętnie zagram. Czy Piłsudski lubi w to grać? – napomknął Józef.

– Słucham? – Józef zauważył, że ton mężczyzny dosłownie na chwilę uległ zmianie, podobnie jak jego sylwetka, ponieważ spiął się strasznie i przygarbił. – Możesz powtórzyć, chłopcze?

– No... – Nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Właściwie, to nie spodziewał się niczego, bo nie zastanawiał się, co będzie dalej. Zaczął mu się plątać język: – Jestem wielbicielem Marszałka i byłem ciekaw, czy może bywał tu na bazarze...

– O co ci, synku, chodzi? – spytał już w sposób bardzo nieprzyjemny. – Zabieraj stąd te swoje kulasy.

– Miałem coś przekazać... Czy widziałeś Piłsudskiego? Kiedyś?

Mężczyzna wahał się przez chwilę, po czym spytał:

– Od kogo?

– Od Franka...

– Idź do budy B-czternaście, popatrz sobie na gołębie i czekaj.

Józef z duszą na ramieniu poszedł we wskazane miejsce, czyli do sprzedawcy gołębi. Właściwie to już miał pełne portki i zastanawiał się, czy nie dać dyla z bazaru. Po chwili obok niego znalazło się dwóch mężczyzn. Pierwszy, niski i krępy, był ochroniarzem tego drugiego – wysokiego. Gdy spotkali się wzrokiem, wysoki spytał:

– Jesteś od Franka, tak? Wiesz, kim jestem?

Józef wiedział, więc skinął na potwierdzenie. Franek mu o nim opowiadał. To „Laleczka”, czołowa postać podziemia nowej Pragi. Był już starszym mężczyzną, którego nieskazitelna fizjonomia wydawała się wręcz nienaturalna i zapewniła mu przydomek. Wysoki, dobrze zbudowany i wyśmienicie ubrany. Promienny uśmiech nie zniknął z jego gładko ogolonej twarzy. Takich ludzi po prostu nie ma. Nie w kraju spustoszonego przez wielką wojnę i stulecie zaborów.

Kobieta przy grobie Rozalii była przygłucha – efekt wybuchu pocisku; dziewczyna z kwiaciarni była strasznie wątpa – echa głodu z lat dzieciństwa; Zdzisiek, mistrz zmiany w stalowni, miał poparzoną twarz – to pozostałość po gazie musztardowym. Policmajster Brot vel Grot nie miał oka... Franek i Józef nie brali udziału w wojnie, ale też swoje przeszli. Gdy bolszewicy zajęli Dęby, to urządzili sobie nie lada przedstawienie. Kobiety pouciekały, a kto mógł, starał się bronić, aby kupić im więcej czasu. Ojców zastrzelono na miejscu, na ich oczach. Józef płakał i wyrwał się do przodu akurat w momencie, gdy jeden z bolszewików celował w tył głowy Franka. Powstało małe zamieszanie, ale nic to nie dało, bo strzał dosięgnął Franka. Przynajmniej tak to wyglądało. Pokiereszowało mu lewą stronę twarzy, pocisk go ogłuszył i paradoksalnie to uratowało im wtedy życie. Józef z kolei stał się obiektem zemsty czerwonych. Dwóch go trzymało, gdy trzeci masakrował mu nogi. Najpierw strzały, potem w ruch poszedł bagnet. Zrobiło się krwawo, Józef wył. Widać byli zadowoleni z efektu, bo zostawili go tak, aby się wykrwawił na śmierć. Pomógł mu Franek, gdy już odzyskał przytomność, a właściwie to pomogli sobie nawzajem. Nie było szans na wizytę w szpitalu, więc poskładano ich jak umiano. Obaj mieli szczęście. U Franka skończyło się na dużej bliznie na pół twarzy, a Józef mógł dziękować Bogu, że w ogóle chodził. Wojna nikogo nie oszczędzała, dlatego ludzie nauczyli się ignorować mankamenty swoich ciał, a ten koleś nie miał nawet blizn po ospie!

– Skoro pytałeś o Piłsudskiego, to pewnie masz coś dla mnie? – spytał Laleczka.

– Nie przy sobie...

– To po co przyszedłeś?

– Chcę wyjaśnić śmierć Franka, bo policja...

– ...nic z tym nie zrobi? – wtrącił Laleczka. – Musisz im wybaczyć, ale mają tutaj niezły burdel do ogarnięcia. Hiszpanka, pobicia na tle narodowościowym, zwłaszcza teraz po tej akcji z Ukraińcami. Do tego wojna za pasem, powszechny deficyt i służba w niechcianej części Warszawy. Sam im nie zazdroszczę. Zwykle jak pobicie świadków nie da

efektu, a w sprawie nic się nie ruszy przez dwa dni, to ją zamykają na lepsze czasy. Dlatego my działamy.

– Jak to: działacie?

– Mimo że Franio przyjezdny, to był swój chłopak, mówiliśmy na niego „Bużka”. Zginął na robocie, więc należy mu się odprawa. – Laleczka wręczył Józefowi sporych rozmiarów pakunek, po czym dodał: – I sprawiedliwość.

– Wiecie, kto go zabił?

– Powiedzmy, że pewna gnida nie powinna brać dwóch sprzecznych zleceń, zwłaszcza gdy jedno z nich płacone jest w zaborczej walucie.

– I co, zgłosicie go na komendę?

Laleczka z ochroniarzem zaśmiali się głośno, widać, że jego propozycja nawet przez chwilę nie była brana pod uwagę.

– O nie, ale zaufaj nam, robota będzie zrobiona perfektnie. A właśnie, czy mógłbyś nam pomóc z tym, czego nie dokończył Franek?

– To jest to coś, za co zginął?

– Pewnie tak. Bużka robił dla nas plany podziemi stalowni, to istny labirynt.

– Przecież to jest niebezpieczne! Tamtędy odprowadzane jest gorące powietrze z przetopów stali, wszystko musiałyby się dziać... w nocy? A więc tam wychodził? Po co to wam?

– Ku chwale Polski – powiedział pół żartem, pół serio Laleczka. – Stalownia jest boczną główną trasą, więc przemysł byłby na skalę krajową, ale najpierw musimy poznać wszystkie miejsca, gdzie da się zrobić dodatkowe przejścia.

– Przecież tam ma być za chwilę zbrojownia!

– Głośniej nie można? – Laleczka skarcił Józefa. – Tak. I dlatego tym bardziej potrzebujemy mieć tam dojścia. Piłsudski rzucił się na wschód, a nie ma ani pieniędzy, ani żołnierzy. Ktoś będzie musiał ratować ludzi, gdy czerwoni znów wejdą do Warszawy, przynosząc głód i śmierć. I jak zwykle to będziemy my: chłopaki z Pragi!

– Ale to jest zdrada stanu!

– Jaka zdrada stanu, synku? Jak piętnaście lat temu organizowaliśmy w podobny sposób broń, by inni mogli robić zamachy bombowe na Wileńskiej albo atakować carskie pociągi, to było *sehr gut* i *charaszo*. Ci, którzy wtedy tak chętnie brali od nas broń, mieliby tupet, by teraz nazywać nas zdrajcami.

– A co, jeśli pójde na policję?

– Hipotetycznie jakbyś poszedł zeznawać na Wileńską, to w twoim domu znalazłoby się sporo komunistycznych ulotek i kradzionego sprzętu. Albo przydarzyłoby ci się samobójstwo. Bużka mówił o tobie, że jesteś swój, że w bramie zawsze „dzień dobry” powiesz, a uwierz mi, że to tutaj wiele znaczy. I najważniejsze: wspominał, że masz serce po dobrej stronie. Pamiętaj, że o Polskę można walczyć na dziesiątki sposobów, a skoro nie nadajesz się do wojsk ofensywnych, możesz zrobić coś więcej, niż czekać, aż ktoś w akcie ostatecznej desperacji da kulawemu broń do ręki. – Laleczka poklepał Józefa po ramieniu i wraz z ochroniarzem skierowali się do wyjścia. Nim wyszedł, rzucił za siebie: – Pomyśl nad tym Józek. Gdy się zdecydujesz, odwiedź nas, by zagrać w trzy karty. I na litość boską! Następnym razem dokładnie zapamiętaj hasło.

* * *

Piotra zbudziło szarpnięcie, któremu towarzyszyło gwałtowne zatrzymanie kolejki.

– Jasna cholera! – sapnął zdenerwowany. Nie lubił takich niespodzianek, zwłaszcza na początku tygodnia. – To już kolejny raz, gdy zatrzymują nas wcześniej. Co tym razem?!

Piotr ruszył za kolumną. Ludzie wokół byli równie niezadowoleni co on. Posypały się przekleństwa i śmiechy. A po chwili ktoś wrzasnął:

– Ludzie! Znowu trup!

Piotr tego dnia dowiedział się, że samobójstwo popełnił Zdzisław Czarnecki – mistrz pierwszej zmiany w stalowni. Ludzie mówili, że w

swoim własnym mieszkaniu przerznął w karty całe oszczędności, załamał się i posłał swoim niemieckim gościom po kulce z mausera. Potem chciał uciekać, ale zmienił zdanie i rzucił się pod pociąg. Ponoć z tej informacji ucieszył się posterunkowy Grot, który powiązał tę sprawę z ostatnią śmiercią tego biednego chłopaka z blizną, chociaż motywu nie ustalono. Mieszkańcy również doszli do podobnego wniosku, ale tu każdy wiedział, co i jak.

To, czego Piotr nie mógł się dowiedzieć, podobnie jak mieszkańcy Pragi, a nawet historycy, to fakt, że goście Zdziśka zostawili po sobie pamiątkę w podziemiach praskiej stalowni. Prezent miał wypalić, gdy stalownia oficjalnie stanie się Zbrojownią numer dwa, a w środku pojawi się uzbrojenie, przesądzając tym samym losy wojny. Ktoś „życzliwy” znalazł jednak tajemnicze pakunki i z pomocą znajomych je rozbroił. Niewiele osób wiedziało o tej historii, a jeszcze mniej z nich znało dalsze losy tego człowieka. Czy walczył w Ossowie? Czy przeżył? A może było mu dane walczyć też w trakcie drugiej wojny światowej? Jest to jedna z tych historii, które po latach zwie się legendą, a jak to bywa w legendach, ich bohater swym kulawym krokiem odchodzi w mrok zapomnienia.

BARTOSZ KOZDĘBA

TA OSTATNIA NIEDZIELA

„Pamiętaj, aby dzień święty święcić” – takie słowa przekazał ponoć Bóg Mojżeszowi gdzieś na końcu świata... czyli daleko od pewnego miasta na Pałukach. Nie znam człowieka. Słowa znam z ust mojej babci, a to już nie byle co. Anna czyniła dzieciństwo wnuków czymś wyjątkowym, a niedziele były jak rozdanie Oscarów z chochlą w wazie zamiast statuetek. Była naszą bohaterką. Zamiast peleryny nosiła fartuch w kwiaty, zamiast maski miała serdeczny, lekko naiwny uśmiech, a jej superbronią była szmata, którą zaganiała kury i kaczki do kurnika. Jej czas zatrzymał się w roku 1920, nim jeszcze inwazja hitlerowskich Niemiec zmusiła ją do wkroczenia w dorosłość. Niechętnie opowiadała o pracy przymusowej, nieludzkim traktowaniu i smaku mokrych trocin, którymi zapełniała żołądek. Wołała czas zatrzymany na czarno-białej fotografii, którą trzymała w ramce, wśród wątpliwej jakości szklanych waz imitujących kryształ...

Czarno-białymi oczami dziadka Dehmy zobaczyłbym obejście skromnego gospodarstwa. Jego centrum stanowiła studnia z drewnianym kołowrotem, przy której drewnianymi pajacykami bawiły się dzieci wciąż odziane w niedzielne fatałaszki. Wraz z tym, jak jego oczy nabrałyby koloru podpiwka, trawa i koniczyna porastająca podwórze nabrałyby zielonej barwy, strzecha na stodole zaś w świetle słońca nasyciłaby się kolorem słomianym. Czarny pozostał garnitur dziadka, w którym zasiadł na ławeczce pod domem. Podwinął nogawki i zsunął czarne buty, by poczuć pod stopami trawę. To była jedna z jego małych radości – zwłaszcza jeśli chodzi o lewą stopę, całą czerwona, odmrożoną w okopach podczas wielkiej wojny. Białe pozostały zazdrostki w oknach drewnianej chałupy.

Bury kolor zachowały zaś wróble, których szalony świergot dobiega z rynien, po dziś dzień. Niewiele domów miało wówczas rynny – dziadkowi jednak bardzo na nich zależało. Fascynował go wszechobecny postęp. Czekał z niecierpliwością, aż elektryfikacja trafi z pobliskiego Wągrowca, stolicy Pałuk, pod jego dach. Marzył, że może któreś z tych małych dzieciaków w wieku dorosłym do pobliskiego kościoła zajędzie w niedzielę automobilem. Bardzo chciał wierzyć bowiem, że ludzie teraz użyją swych wynalazków w celach innych niż transportowanie broni, zrzucanie bomb i gazowanie setek ofiar wojennego oblędu. Nie mówił tego jeszcze dzieciom, ale najbliższe pieniądze zarobione na kolei zamierzał przeznaczyć na wspólną podróż do pobliskiego Poznania, gdzie działało kino.

Jak każdej niedzieli ubił w fajce tytoń, podkreślił gęste wąsy, przygotowując się do swojego rytuału. Palił tylko w niedziele, po mszy. Zawsze na ławce przed domem – nawet zimą mimo troski swej żony. O ile wiadomo, miała na imię Seweryna i powinna właśnie w domu przygotowywać rosół z zabitej dzień wcześniej kury. Dziś widzę ją tylko w odświętnym białym czepcu oplatającym jej ponoć piękne kruczoczarne włosy. Mimo prac w polu i obejściu jej cera pozostawała nieskazitelnie biała, a rumieńce na jej twarzy pojawiały się dopiero z przyływem uczuć, jakie żywili wobec siebie z dziadkiem. Kochali się i mówili sobie o tym w codziennym podaniu sobie kubka kawy żołądziowej, w tym, jak rozczesywał wieczorami jej włosy i podawał równo złożoną koszulę nocną. Ponoć jeżeli w ogóle zdarzało im się kłócić, robili to w języku zaborcy, tak by dzieci nie rozumiały.

Pierwszy buch fajki roztoczył wokół niego siwy dym...

Zapach palonego tytoniu przechodził za sprawą wspomnień w zapach świeżo ciętego siana. Znowu są z Seweryną młodzikami, świat jest pełen nienazwanych rzeczy, a doznania intensywne. Jej policzki płonęły, a zgrane oddechy najlepiej i najpiękniej świadczyły o tym, że połączyło ich coś przedwiecznego. Józek z błogim uśmiechem wysupływał źdźbła trawy

z jej pachnących kocanką włosów uplecionych jeszcze tego ranka w warkocz. Jej głowa spoczęła na jego ramieniu. Słyszała jego wciąż przyspieszone bicie serca, w którym miała zamieszkać już na zawsze. Otaczające ich kształty – oddalone chaty, młyn i pobliskie wierzby – nabierały powoli ostrości. Drobnymi palcami poprawiła rozsuptane wstążki bluzki, zasłaniając odkrytą pierś.

– Józek, zostań.

W głowie ułożyła to sobie rano inaczej. Teraz jednak wyluskała tylko te dwa słowa – imię ukochanego i największe pragnienie. Prosiła Boga, by to słowo – „zostań” – ziściło się niczym przepowiednia, naiwna prośba małego dziecka bądź baśniowe życzenie. Zatrwożyła się, gdy nabierał powietrza koniecznego do udzielenia odpowiedzi. Znała ją, ale nie chciała, by wybrzmiała.

– Muszę iść.

To wszystko. W tych prostych słowach miały się zamknąć pragnienie, konieczność i przyszłość. Wielka Wojna stała się czymś realnym, namacalnym jak mundur i karabin.

– Poczekasz? – spytał, zaciągając się jej zapachem.

– Poczekam. Obiecuję.

Zaciągnął się tytoniowym dymem i poczuł okropne palenie w piersi. Zaniósł się kaszlem, który starał się w sobie zdusić – tu bowiem każdy dźwięk był niepożądany, każdy mógł zdradzić i wskazać bezlitosnej śmierci miejsce, w którym leżało zakopane życie. W marznącym błocie, glinie zmieszanej z krwią i drutami kolczastymi umierał wiele razy – od otepiającego huku dział i granatów, roztapiającego twarze towarzyszy gazu i kul, które zdawały się być najbardziej litościwe. Włodek, który miał żyć jeszcze tylko przez jeden dzień, podał przyjacielowi fajkę raz jeszcze, by „ogrzał się chociaż w środku”. Nie jest bowiem prawdą, że miłość którą nosił w sercu, dawała mu ciepło. Tam, w okopach nie było miłości. Tylko strach, rozpacz i śmierć – zaklęty krąg. Józef Dehma miał tam na zawsze

przybrać hardą postawę i surowe oblicze. Miłość była gdzie indziej – czekała na Pałukach. Wszystko, czego chciał, to wrócić.

Seweryna pomagała matce wieszać pranie, gdy utykając na lewą nogę, zjawił się na wiejskiej drodze. Jego dłonie nie ścisnęły już karabinu, lecz polne chabry... równie mocno. W kieszeni oprócz fajki Włodka miał zdobyczy pierścionelek. Czekala tak, jak obiecala, bo słowa wtedy znaczyły więcej – może dlatego dziś nie słyszę, co sobie tamtego dnia powiedzieli.

Mała Wanda, bratanica, którą wychowywali, pytała często wuja o to, czy zabił kogoś na wojnie. Nic dziwnego – dziecko chciało zaspokoić tak naturalne łaknienie sprawiedliwości po tym, jak jej ojciec zginął na wojnie. Milczał wówczas dłuższą chwilę i odpowiadał:

– To Bóg nosił kule.

Nie chciał przyznawać się do lęku, z jakim budził się w nocy. Nie mówił o tym, że gruba pierzyna przygniatała go jak wtedy błoto... rano prosił tylko Sewerynę, by wyprała pościel i szedł w pole, trzymając za uzdę nakrapianego konia, którego nazywał Włodziem. Wracając zaś, zawsze ścisnął bukiet polnych kwiatów dla swojej żony. Raz wrócił z jarzębiną, z której splótł dla niej naszyjnik – dziś czarno-biały.

Tej niedzieli miała go na sobie mała Ania, którą poprosił o świeże gęsie pióro i emaliowany nocnik, do którego jak każdego ranka oddał mocz. Odłożyła drewnianego pajacyka na krawędź studni i pobiegła. Przebiegając obok drewnianego krzyżyka wiszącego w wejściu, przeżegnała się pospiesznie i po chwili wróciła na fotografię. Dziadek Dejma (gdy Polska odzyskała bowiem niepodległość, mógł wrócić do polskiej pisowni nazwiska) namoczył gęsie pióro w urynie i zaczął zgodnie z zaleceniem lekarza starannie smarować ocaloną cudem nogę.

Czy myślał wtedy o tych, którzy nie ocaleli? O towarzyszach broni umierających w maskach przeciwgazowych na obcej ziemi (a właściwie na obcym błocie)?

Gewehr stał się przekleństwem Józefa Dejmy. Ten samopowtarzalny karabin włożony mu do rąk przez zaborców niemieckich miał przymarzać

mu do dłoni na froncie, śnić się po nocach w domu i w końcu znowu zastąpić głowę ukochanej Seweryny na ramieniu w czasie powstania, które z Poznania przemaszerowało w końcu do Wągrowca. Pracujący na kolei Dejma 27 grudnia 1918 roku w godzinach wieczornych poczuł znajomy mu niepokój, gdy pociąg z Poznania nie wjechał na peron. Kroniki będą rozwodziły się później nad naradą starosty Hilarego Ewert-Krzemieniewskiego, majora Elsnera i naczelnika Czerwińskiego, która odbyła się w hotelu Bristol. Józefowi wprawionemu w boju mówili, że to będzie krótka akcja. Odbicie składu broni i rozbrojenie garnizonu stacjonującego w budynku gimnazjum męskiego. W sumie może pięćset metrów do pokonania. To, co wydawało się nieskomplikowaną akcją militarną, dla dziadka i jego żony było kolejną wielką próbą uczucia. Tej nocy w domu ze zdjęcia rozmawiali po niemiecku. Wanda i małe Ania nic z tego nie rozumiały, co tylko wzmagало ich strach. Mróz osadzał się na oknach, a słowa *Freiheit, Tod, Kampf, Verrat* i *Einwand*, a nawet *Feuer*^[1] zdawały się soplami lodu ciskanymi w izbie. Cały czar świąt bożonarodzeniowych stopniał niczym płatek śniegu. Seweryna znienawidziła swojego męża w tamtej chwili. Tak – w tamtej chwili, bo miała kiedyś zrozumieć, że tak naprawdę znienawidziła czas, w którym przyszło jej żyć i kochać. Zrozumiała, że jej życie to miłość wbrew czemuś. To od tamtego wieczoru miała spalać się od środka, a jej włosy powoli popieślały. Jednego słowa nigdy nie wypowiedzieli w języku niemieckim. Wypowiedziała je jednak przed snem tamtej mroźnej soboty, 28 grudnia – „kocham”. Świadomie? A może już we śnie?

Następnego dnia wczesnym rankiem Józef zasiadł przy stole i zjadł z żoną zupę mleczną, choć wiedział, że w razie rany postrzałowej w brzuch grozi to powolną agonią w niewyobrażalnych mękach. Widział to zbyt wiele razy na froncie – bezimiennych chłopców ściskających własne wnętrzności, wijących się we własnych fekaliach, wyjących nieludzko. To śniadanie spożywane tak wcześnie, że prawie w nocy było jedynym, co mógł jej teraz ofiarować. Namiastką normalności w tym zdziczałym czasie. Nie pójdą dziś do kościoła razem. Wstał od stołu, chwycił siekierę i poszedł do kurnika. Kiedy z niego wyszedł, wycierał zbroszone krwią dłonie w

szmatkę. Seweryna czekała na niego otulona w kożuch z nutrii na drewnianej ławeczce. Podała mu nabitą już fajkę, którą odpalił od świeczki.

– Zrobisz dziś dzieciom rosół, a przed obiadem zmówicie za mnie modlitwę.

– Dobrze.

– Bóg nosi kule, posłucha was.

Spod ławki wyciągnęła butelkę bimbru. Polała do dwóch szklanek z grubego szkła. Opróżnili je jednym wprawnym ruchem, a ich gorętsze oddechy zamieniły się w obłoki pary ulotne jak ludzkie życie. Włożyła butelkę do worka, w który spakowała ukochanemu wełniane skarpety, menażkę, bochen chleba, nóż, brzytwę, igłę i nici. O bohaterstwie i odwadze opowiada się bowiem później, po latach. Kiedy padają strzały, tylko ludzie niespełna rozumu lub zaprawieni alkoholem wystawiają głowę znad okopu, z za załomu.

– Zostań...

– Muszę iść.

I poszedł, a gdy Ania i Wanda wstały, już go nie było. Matka tylko prasowała czarny garnitur – jak zawsze w niedzielę.

Tamtego poranka nad Wągrowcem rozległ się huk tylko jednego wystrzału. Wszystko rozegrało się na dwóch ulicach – Strzeleckiej i Klasztornej. Wystrzał pochodził z karabinu młodego młokosa, który nie wiedział, jak posługiwać się gewehrem, zacisnął w strachu palec na spuście. Józef Dejma zdzielił go w twarz i odesłał do domu. Totalnie zaskoczeni i zaspani Niemcy skapitulowali. Oddziały Elsnera odjechały pociągiem do Piły. Józef nie spotkał swojej starej znajomej – śmierci. Powstanie wydawało mu się takie... eleganckie w porównaniu z tym, co znał z okopów. Z pewnością eleganckie nie wydało mu się natomiast obrzucenie przez wągrowczan zgniłymi jabłkami pomnika cesarza niemieckiego Wilhelma I Hohenzollerna. Gdyby dowiedział się, że wśród tłumu była też Wanda, sprząby jej zadek na podobieństwo tychże jabłek.

Nie mógł jednak o tym wiedzieć, bo szukał swojej bladej przyjaciółki. Śmiech śmierci usłyszał pod pobliskim Szubinem, gdzie znowu zobaczył, jak ciężkie karabiny maszynowe rozcinają ludzi na pół, obnażając to, czym w rzeczywistości byli – workami pełnymi juchy, ścięgien i fetoru. Pierwszy szturm nie skończył się powodzeniem. Zawodzenie rannych, ich krew na jego butach i rękawie przypomniła mu tę część życia, której nie chciał dzielić ze swą ukochaną. Dym przesłonił gwiazdy i zamienił styczniową noc w namacalną czern, w sukno samej kostuchy, która przechadzała się między rannymi. Mimo przenikliwego mrozu ściągnął buty i oddał mocz na swoją chorą nogę. Nie stracił jej tam, nie straci jej tu. Wziął łyk bimbru, a zawodzenia kobiet w oddali wydały mu się cichsze. To Niemcy wywozili internowanych w pośpiechu mieszkańców Szubina. Nie sądzę, by myślał o niepodległości, o Bogu, honorze czy ojczyźnie. Myślał o Sewerynie, o Wandzie i Ani – nie mógł dopuścić do tego, by i z ich piersi wydobył się ten niehumaniczny szloch, by wycelowano w nie karabiny i zapakowano na wozy. Odwrót trwał w najlepsze. Józef Dejma jednak nie traktował tego jako porażki. Uważał, że póki żyje, jest wygrany, bo wciąż jest mężem i ojcem.

Powstańcy przegrupowali się i przygotowali drugi atak – znowu była noc z soboty na niedzielę. Oddział dziadka Dejmy miał osłaniać drugi szturm. Wiązało się to z długim i katorżniczym marszem przez Pińsko do Wolwarku. Schorowana noga paliła żywym ogniem, odwracając uwagę Józefa od uroków tych okolic. Jeżeli życie człowieka było wędrówką, to czym była śmierć? Przyłapał się na tym, że sycząc z bólu wraz z każdym krokiem, zadaje sobie to pytanie i stara pojąć, czym jest ten koniec wędrówki. Po co w ogóle śmierć, skoro w cierpieniu umiera z każdym metrem pokonanej drogi? Zrozumiał, że wbrew temu, co mówią kapłani, najważniejsze jest, by iść. Nie ma w tym wcale żadnego większego sensu. Życie wieczne – po co to komu? Czy posyłając kule w stronę wroga, ktoś myśli o tym, by go zbawić i odesłać do lepszego świata? Nie. To słowa pocieszenia dla wdów płaczących na mszach pogrzebowych.

Seweryna nie została wdową. Drugi szturm Szubina powiódł się, umacniając powstańczą linię wzdłuż Noteci. Wągrowiec był bezpieczny.

Bezpieczne były też Ania i Wanda. Utrwaliło się, że bohaterowie wracają z tarczą lub na tarczy. Józef uważał, że wojowanie nie czyni nikogo bohaterem, więc wraz z kilkoma powstańcami z Gniezna wrócił na dreżynie.

Kiedy żona zobaczyła go w drzwiach, ścisnął w garści sople lodu, na które zarzucił piękną haftowaną w kwieciste wzory zdobyczną serwetę. Dla Ani miał drewnianego pajacyka, a dla Wandy pięknie zdobiony egzemplarz poezji Mickiewicza. Rodzina Dejmów pograżyła się w sielankowym bezczasie i tylko kwitnące kolejno przebiśniegi, narcyzy, śliwy, wiśnie i dziewanny zdradzały, że wędrówka trwa dalej. Zakwitła i Seweryna, dając swojemu Józkowi kolejną córkę – Hannę.

Nadszedł rok 1920, a z nim w Wągrowcu zaczęły rosnać tablice pamiątkowe i pomniki ku czci powstańców. Pojawił się też pewien fotograf, który w ramach propagandy sukcesu (choć nie tak to wówczas nazywano) dokumentował narodowowyzwoleńczy zryw sprzed dwóch lat. Józefa fascynowało, jak statyczne fotografie oddają to, co dla niego wciąż było szaleńczym pędem, chaosem i krzykiem. Wraz z Alfonsem – bo tak miał na imię fotograf – spędził w restauracji hotelu Bristol wiele godzin, choć jednostki czasu mierzyli raczej w mililitrach odmierzanych kryształowymi kieliszkami. Prostota, a zarazem dramatyzm, które przebijały się w opowieściach Józefa pochłonęły tego poznaniaka bez reszty. Zafascynowany jakąś książką Reymonta o życiu na wsi szybko zamienił pokój w hotelu na gościnę w chacie Dejmów. Od drogich wódek i koniaków wołał bowiem bimer, od perliczek – pyry z gzikem lub szare kluchy. Choć w polu i przy zwierzętach był równie pomocny co koszula w dupie, to w pracach domowych był nieocenioną pomocą dla Seweryny, która ostatnimi czasy niedomagała. Pokochały go również dzieci, którym wieczorami czytał piękne powieści polskich pisarzy. Gdy już zasnęły, siadał na ławeczce z Józefem i opowiadał o wielkiej polityce, o rewolucji bolszewickiej i czekających kraj reformach. Zdjęcia do poznańskiej prasy wysyłał kolejną dzięki znajomościom Józka.

Nastąpiła ta pamiętna niedziela, gdy powstało zdjęcie. Józef Dejma siedzi na ławce. Ma zatroskaną minę. Za chwilę wyśle Alfonsa do pobliskiej wsi, aby ten przekazał wiadomość siostrze Seweryny, iż oczekuje jej w swym domu. Seweryna leży w izbie, a jej dłonie oplata różaniec. Pożegnali się tej nocy z soboty na niedzielę – znowu. Tym razem jednak na długo. Choć jej wędrówka się zakończyła, to ona odeszła. Rolę palącego się w niej płomienia przejęła gromnica, a wszystko, co mógł z siebie wydusić, to jedno słowo:

– Zostań.

Alfons nie mógł na to patrzeć. Wypił butelkę bimbru i zasnął zamknięty w wychodku, tracąc wiarę w Boga. Są bowiem niesprawiedliwości, których nie da się wytłumaczyć „niezbadanymi wyrokami boskimi”. Wszak nawet Hiob nie przyznał się do żadnej z sugerowanych mu przez przyjaciół win, gdy Bóg z Szatanem odebrali mu wszystko w imię swojego głupiego zakładu.

Jakież było zdziwienie fotografa, gdy wypadł z wychodka i zobaczył Józefa w garniturze z dziećmi przy boku.

– Wysrałeś się już? – spytał i nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Zajmij się Hanią, gdy będziemy w kościele. Po mszy ugadam się z księdzem. Gdy wrócimy, Wanda przygotuje rosół, a ty pójdziesz do Straszewa po moją szwagierkę Katarzynę.

„Oto człowiek, który zna śmierć” – pomyślał wtedy mylnie. W rzeczywistości Józef gardził śmiercią. Uważał ją za bezwartościową zachciankę Boga, którego wiedza o życiu zatrzymała się na czasach cesarstwa rzymskiego.

Są smutki, których nie da się opisać mimo ich namacalności. Nie można ich nazwać ani wypłakać. Po prostu brak słów na brak. Może dlatego właśnie powstała ta fotografia – by zatrzymać tamten niewypowiedziany moment.

Kiedy Alfons wrócił po południu z Katarzyną, wydarzyło się coś, o czym nie czytał nawet u Reymonta. Nie potrafił tego pojąć (a może okrutny kac mu na to nie pozwalał).

- Katarzyno – zaczął Józef drżącym głosem – czy pokochasz moje dzieci?
- Tak, Józku. – Jej głos też drżał.
- Zostaniesz moją żoną?
- Tak.

Fotografowi wydawało się to wszystko nierealne i nieludzkie. Jedli obiad na podwórzu, a ona leżała tam martwa z różańcem, jakby wciąż się modliła za swoją rodzinę przy talerzu parującego rosółu. Był i ksiądz, który zdawało się, że już odprawia mszę żałobną. Alfons nie wiedział, że jego przyjaciel (bo tak już o nim myślał) po prostu idzie dalej, że będzie kontynuował swoją wędrówkę. Seweryna przed śmiercią poprosiła męża, by pojął za żonę jej siostrę. Nie chciała, aby ich dzieci wychowywał ktoś obcy.

Katarzyna była inna niż jej zmarła siostra. Pragmatyczna w każdym swoim ruchu, słowie, a nawet krótkich włosach. Dla dzieci miała zawsze dobre słowo, ale bez cukierków. Ścieliła równo łóżka, ale nie wkładała pod poduszki kocanki ani lawendy. Żyli z Józefem wspólną miłością do Seweryny. Ufali jej bardziej niż Bogu, bo jej troski doświadczali za jej życia, a i po śmierci wierzyli, że uśmiech losu jest jej uśmiechem.

Tamtego dwudziestego roku Józef został drogomistrzem, a jego życie stało się wędrówką również w sensie dosłownym. Przechadzał się codziennie drogą z Wągrowca do Nowej Wsi i kontrolował stan nawierzchni oraz terenów przydrożnych. Nigdy już nie chwycił za karabin, a medale skrywał wraz ze wspomnieniami na dnie szuflady. Alfons wyjechał ponoć do Gdańska, gdzie słuch o nim zaginął. Jego zamiłowanie do książek udzieliło się Wandzie, która ukończywszy gimnazjum dla dziewcząt, znalazła pracę w bibliotece. Pielęgnowała w sobie dawną nienawiść, gdy patrzyła jak hitlerowcy niszczą pomnik powstańców wielkopolskich. Podobno miała coś wspólnego z wykradnięciem Niemcom tablic pamiątkowych z nazwiskami poległych. Anna zawsze mówiła, że wyjdzie za przystojnego żołnierza – tak też się stało. Może nie był do końca żołnierzem... zabił jednego hitlerowca, przy okazji paląc stodołę sąsiadom, bo nie wiedział, że karabin jest załadowany pociskiem zapalającym. Z

pewnością był jednak przystojny i wiedział, co to miłość, bo kochał Annę, a to nie zawsze było łatwe.

Józef Dejma któregoś niedzieli wypalił fajkę po raz ostatni. Jego słowa przed śmiercią brzmiały: zostańcie. Zostaliśmy więc z jego legendą wędrownego Odyseusza, który zamiennie dzierżył w dłoni karabin, bukiet polnych kwiatów i fajkę. Po roku dwudziestym pokolenie Anny i Wandy musiało chwycić za broń. Generacja ich dzieci w bezkrwawej rewolucji antykomunistycznej trzymała już tylko kwiaty. Jest druga niedziela lipca 2020 roku. Siedzę przed domem i nabijam fajkę. Patrę na moją żonę, która wplata w wianek żółtą kocankę.

W obłoku tytoniowego dymu wszystko na chwilę szarzeje mi przed oczami... jak na starej fotografii sprzed stu lat.

RINA KREMPEĆ

TRZY MIESIĄCE NA WOJNĘ

Bić – bić – będę – się bić. Bić – bić – będę – się bić. Jednostajnie marudny stukot kół już zaczął rozmazywać widok siedzących obok i naprzeciwko młodych i bardzo młodych mężczyzn. Może nawet młodszych – szczeniaków właściwie. Jędrak pomacał raz jeszcze płócienny worek, który dźgał go czymś twardym w zębra. Żeby tylko ktoś nie świsnął. Bo w worku... Zaraz... kalesony i mydło, i chusteczka do nosa... I suchary...! To one tak gniołają, przez to żelazne pudełko. I najważniejsze – kajet i czekolada od panny Zofijki. Panna Zofijka. Zielonkawe oczy, takie uważne. Tylko w niego wpatrzone, zachwycone? Chyba... Na pewno! A te włosy w kolorze miodu, lipowego miodu... Oczy – miodu – zielone – miodu – bić – bić – będę się... Za zakrętem, za końcem pól, za lasu początkiem były już tylko senne marzenia. Jędrak odpłynął.

Dwa dni wcześniej niecierpliwie wyczekiwał na swoją kolej przed wejściem do parterowego domku tuż obok rynku. Na drzwiach przybita samotnym gwoździem wisiała spora kartka w linie, na niej tylko dwa słowa: KOMISJA WERBUNKOWA. Nie musiał się rozglądać, wiedział kogo tam spotka. I przed nim, i za nim aż niebieściło się od mundurków. Prawie cała trzecia klasa męskiego gimnazjum postanowiła gonić bolszewika, aż w piąty mu pójdzie! Wieść o organizowanej armii ochotniczej przyniósł rozgorączkowany Józek.

– Panowie, trzeba tej kartoflanej armii dać łupnia! Niech sobie czerwone syny nie myślą, że wezmą Warszawę, że rozdrapią brudnymi pazurami, że... niedoczekanie!

Wreszcie i Jędrzek dopchał się do stolika, przy którym siedział jednoręki jegomość w kapocie wyglądającej na nicowaną, i to nie raz. Obok wyprostowany do niemożliwości suchy staruszek. „Ma chyba z pięćdziesiąt lat” – przemknęło przez myśl Jędrkowi.

– Czy kawaler ma papiery, metrykę? – To nie był głos starego wiarusa. To był głos... Na Boga, panna Zofija! Jędrzek czuł, że na przemian to pąsowieje, to blednie przeraźliwie... Panna Zofija! – A to pan Jędrzej chce do wojska? – Na dziewczynie, na oko niewiele młodszej od Jędrka, to spotkanie też widać zrobiło wrażenie. Lekko drżącą dłonią wzięła od chłopaka metrykę. – Urodzony czwartego lipca tysiąc dziewięćset trzeciego. Dopiero co skończył kawaler siedemnaście lat... Ale... To już może na wojnę. Wpisuję na listę, pojutrze wyjazd do Warszawy, stawi się kawaler o piątej rano na dworcu.

– Skoro pojutrze, to może jutro by się panna Zofija spotkała ze mną? Tak na pożegnanie?

Dziewczyna skinęła głową.

– Mieszkam u ciotki, na Krętej, zaraz obok piekarni. Przyjdzie kawaler o siedemnastej. A teraz do widzenia. Tyłu jeszcze czeka, żeby się zaciągnąć... Ojej, a czy to aby nie braciszek pana Jędrzeja chowa się tam z tyłu?

Jędrzek ze zdumieniem dostrzegł w tłumie niedorostka w zbyt dużej czapce.

– Czego tu szukasz, Tadzik? Dzieci do wojska nie przyjmują!

– Dzieci, jakie dzieci, mam już trzynaście lat! – Stając na palcach tak wysoko, jak się tylko dało, chłopak aż się jąkał: – T-t-też jestem gimnazystą i t-t-też chcę b-b-bić bolszewików!

– Po pierwsze trzynaście będziesz miał za rok, a po drugie... Zresztą sam się przekonaj. – Jędrzek złapał brata za rękaw i na powrót przecisnął się do stolika panny Zofii.

Ta bez mrugnięcia okiem spytała:

– A pismo ze zgodą rodziców kawaler ma? Bez tego nijak.

– O, zapomniałem... Z domu, ja... ja z-z-zaraz p-p-przyniosę. – Tadzik zakręcił się na pięcie i przytrzymując opadającą mu na oczy czapkę, wybiegł na utopioną w lipcowym słońcu ulicę.

Znali się od zawsze. W Babińcu pod Płockiem wszyscy znali wszystkich. Bogato nigdy nie było, ale przecież i bieda piszcząca jakoś często tu nie gościła. Ot, zwykła wieś, kilka chałup zacniejszych i zasobniejszych, gdzie i parę koni, i żywiny wszelakiej uświadczyłeś, z sadami, zagonami zboża i kartofli. W takiej właśnie zagrodzie – szlacheckiej, jak przy każdej okazji podkreślał Bronisław Puzowski – wychowywali się Jędrzek i Tadzik. I to Bronisław Puzowski zdecydował, że jego dwaj synowie mają się uczyć. W Płocku, w porządnym gimnazjum. Jędrzej zostanie urzędnikiem w magistracie, a Tadeusz, kto wie, może lekarzem? Jak tak znosi do domu te chore koty, ptaki ze złamanymi skrzydłami, jak robi im z płótna opatrunki, to widać ma w sobie smykałkę do doktorowania. Matka Helena, z domu Osińska, najczęściej zajmowała się wzdychaniem. A to za niegdysiejszą wiosną, kiedy na jej widok kawalerom dech zapierało, a to za płonnymi nadziejami na światowe życie gdzieś tam. Najczęściej wzdychała jednak z troski.

– O mój Boże, Bronisław, te szkoły tak kosztują, nie mogłabym dalej ich uczyć tutaj, w domu?

Ojciec jak pacierz klepał wciąż tę samą odpowiedź:

– Kosztują, to kosztują, moje zmartwienie.

Ze dwie wiorsty od domu Puzowskich w starym, imponującym ogromem młynie mieszkała z ojcem i dwiema młodszymi siostrami panna Zofija. Młynarz Kazimierz Gubicz, wiecznie zagoniony, zawsze obficie upudrowany na białe, doskonale radził sobie w interesach. Gorzej z trzema pannicami, których natury pojąć nigdy mu się nie udało. Żona odumarła go cztery wiosny wcześniej, słabego zdrowia była, wykańczały ją też powoli te „stany błogosławione”, a to udanym porodem zakończone, a to... Częściej nieudanym. Jedno Gubicz wiedział – córki trzymać krótko, wykształcić ile się da, a potem posłać za męża, dobrze posłać. Nie za jakichś hreczkosiejów albo pozał się Boże szlachciurów, co to wtedy dobrze zjedzą,

gdy psu miskę wydrą. Ba! Uczyły się nawet nieźle, na pensji w Płocku udało się okrzesać ich maniery, w dodatku zapowiadały się na urodziwe. Szczególnie Zofija. Ale upilnować w domu! Nie wiedzieć kiedy znikają wszystkie trzy, by znaleźć się gdzieś na łąkach w podkasanych nieprzyzwoicie sukienkach, w towarzystwie całej, wioskowej dzieciarni. Zofijkę najbardziej ciągnęło do najstarszego z chłopców, do syna Puzowskiego – Jędrka.

– Po co kawalerowi takie długie rzęsiska? I takie oczy niebieskie jak stawy? – pytała.

– Żeby się w nich przepiękna panna mogła z-z-zanurzyć...? – zająkiwał się wtedy Jędrak, zupełnie jak dziś jego młodszy brat, gdy w opały popadał.

Bić – bić – będę... Pociąg szedł pełną parą. A głowa Jędrka nie odskakiwała już tak natarczywie od brudnej szyby jak wcześniej, gdy ruszali z Płocka. Wciąż jednak dudniło w niej marszowe echo płockiej orkiestry z jednorękim trębaczem na czele. Przydymiony mgłą świt wyгнаł na ulicę chyba z pół miasta. Jędrak wypatrywał w podnieconym tłumie miodowłosej panny. Obiecała przecież. Spotkali się i obiecała, że dopiero na dworcu pożegnanie, to prawdziwe... Najpierw dostrzegł jednak tylko stryjenkę, ze ściągniętą twarzą, wydawała się jakaś starsza i nieurodziwa. Przynęcała wczoraj Jędrkowi, że dopilnuje Tadzika, że z oka nie spuści.

– Bo wie stryjenka, że te szczeniaki nawzajem sobie piszą zgodę rodziców? I że komisja werbunkowa to honoruje?

Wrośniętemu w ziemię tuż obok ciotki Tadzikowi nie udało się strząsnąć z ramienia bladej i delikatnej dłoni, która okazała się twarda niczym imadło.

Taki sam żelazny uchwyt poczuł Jędrak, gdy wciąż tkwił na płockim peronie. Ręka nie była ani delikatna, ani blada, choć jej właściciel – kapral – mocno pobladł z poirytowania.

– Wsiadać!

– Jędrak! – Ten głos, na krańcu świata by poznał... Panna Zofija! Gdyby nie kapral szykujący się do zamknięcia drzwi, Jędrak spadłby ze stopnia.

– Dobra, synu, dziewczyna sprawa poważna, pokaż się jej – zawyrokował kapral dobrodusznie. – I tyle, mamy sprawy ważniejsze.

– Jędreku!

– Zofija... – zdołał wystękać.

Zawiadowca dał już w gwizdek. Kapral chwycił zawiniątko Zofii, wepchnął wraz z nim Jędrka do czeluści wagonu.

Kajet i czekolada, kaje-et i czeko-ko-kolada-da... – zazgrzytały hamulce eszelonu. Gwizdki podoficerów obudziły rzeczywistość. Koniec jazdy. Jędreku był szeregowcem piechoty. Szedł na wojnę.

– Raz, dwa, raz, dwa, raz, dwa.

– Jędreku, ja już nie mogę. – Witek, kolega z gimnazjalnej ławy, potykał się o własne nogi. Twarz chłopaka, do którego wyjątkowo pasowało przezwisko „Łodyga”, po sześciu godzinach marszu przypominała brudny pergamin. Pobladły nawet pryszcze, których miał nad miarę, a wstydził się zawsze.

– Witek, w końcu jesteśmy piechota. – Jędreku lepiej znosił monotonną wędrówkę po niekończącej się skwarnej polnej drodze, chociaż w ustach zamiast języka czuł zdrewniałą podeszwę pokrytą obfitością piasku i jeszcze czegoś nieokreślonego. – Myśl o tym, żeś teraz żołnierz, że będziemy bić czerwonych, przecież o tym marzyliśmy, pamiętasz? I żeś harcerz! I przypomnij, co mówił nam generał Haller: że musimy precz wroga pogonić, nie dać mu Warszawy! – Jędreku żarliwie przekonywał nie tylko Witka, przekonywał też sam siebie. Że plecak nie aż taki ciężki, że lewy kamasz nie mniej pasuje niż prawy, że jak tylko staną gdzieś na dłużej, to napisze do panny Zofijki... Po to na dworcu podarowała mu kajet w twardych okładkach. I tak jakoś tkliwie spojrziała w oczy.

– Ale obiecuje pan Jędrzej, że na pewno wróci? Do rodziny, do domu, do mnie?

Tych słów Jędreku wprawdzie nie był pewien, bo parowóz zagwizdał znienacka a głośno, ale przecież je usłyszał. Tak, właśnie tak powiedziała...

– Kompania, stój! Do psiej nędzy, co tam szeregowy robi? – Porucznik Kozicki zawrócił w miejscu zmęczonego upałem siwka i niemal zatchnął się widokiem młodego ochotnika, który tuż obok drogi w wygrzebanej naprędce jamie zasypywał karabin. – A z czego będziesz strzelał, durniu? Z własnego zadka? To się dopiero bolszewik przelęknie!

Stał tam jeszcze z opuszczonymi bezradnie rękami, purpurową – czy to ze wstydu bardziej, czy zmęczenia – twarzą. Stał, gdy ostatnie szeregi kompanii minęły go obojętnie, biorąc kierunek na najbliższy lasek – szansę chwilowego wytchnienia w cieniu. „Dureń – zaklął w duchu Jędrak – na wojnę poszedł, a karabin mu ciąży...”. I wybiegł, a właściwie wytoczył się w stronę grzebacza.

– Do szeregu, idioto, wracaj – wykrztusił, piachem mazowieckim zduszony. W tym momencie poczuł woń końskiego potu.

– Wy też żołnierzu dezertować chcecie? – Głos porucznika Kozickiego, choć dziwnie łagodny, otrzeźwił Jędrka momentalnie.

– N-nie...

– Obaj do szeregu – zakomenderował Kozicki. – A jak się nazywacie, żołnierzu?

– Jędrak...

– Będzie z was żołnierz. A na pewno w boju kompan. Ale rozkaz, pamiętajcie, to rozkaz. Nic na własną rękę. Przełożonego słuchać rzecz święta!

List udało się Jędrkowi napisać dopiero dwa dni później. Serce wróciło już na swoje miejsce, ale ręce wciąż mu się trzęsły, długo nie mógł rozprostować palców, zaciśniętych na karabinie. *Droga Zofijo, zadaliśmy bobu czerwonoarmiejcom. Wiali przez rzekę, że hej. Jestem cały i zdrowy, czego i Tobie życzę. Żywię nadzieję na szybkie zakończenie wojny i na rychłe spotkanie z Tobą.* Pisanie nie szło mu składnie, rozgorączkowanie strzelaniną powoli zamieniało się w odrętwienie, w dziwny stupor. „Może jutro będzie list od panny?” – zdążył pomyśleć Jędrak, zanim nie wiedzieć kiedy zasnął nad kajetem.

I znów maszerowali, mijając przeraźliwie głucho, opustoszałe wsie bez życia, bez ujadających burków, nawet ptaki zacichły, nie wiadomo – z upału czy trwogi. Jędrzek złapał jedną z fruujących licznie i bezładnie kartek grubego, prząsnego papieru. „Zdajsia, Warszawa uże nasza!” Machinalnie schował papier do kieszeni munduru. Do tej samej, w której tkwił list od Zofijki. Kiedy w ostatni wtorek nasz tatko wrócił z Sierpca, dokąd trzy dni wcześniej pojechał za interesami, to aż się przeraziłam. Brudny, pokaleczony, bez butów i prawie bez odzienia! Gdy już nieco doszedł do siebie, opowiedział, jak to na ulicy stłukło go trzech bolszewików. Jakie ograbione do szczeru sklepy widział, jakie domostwa splądrowane! Szczęściem jego bratu, a mojemu stryjowi Maciejowi, nic się nie stało. Jego dom jakoś przeoczyli, może dlatego, że niemurowany i mniej pachniał im bogatymi łupami. A nie chciał przecież tatko słuchać, żeby nie jechać, że tam bolszewicy, że nasze wojsko uciekło, że strach! Teraz pewnie uwierzy już we wszystko, co mu sąsiad powie... U nas w Babieńcu na razie cisza, ale niektórzy przepowiadają, że za niedługo przyjdzie nam uciekać, że ruska armia coraz bliżej. Tak bardzo się boję, jaka to szkoda, że nie ma tu pana Jędrzeja...

– Alaaarm! Kozacy!

Nie wiadomo, czyj to głos rozdarł upalną ciszę, w której maszerowali, marząc o chłodnej wodzie, o domach pachnących świeżym chlebem, o czekających w tych domach matkach, żonach, narzeczonych. „Nie jesteśmy po słowie, ale przecież te listy...” – myśli w głowie Jędrka skakały niczym pchły na wiejskim kundlu. Raz widział się ze śliczną Zofiją, jak pod rękę spacerują gdzieś po Warszawie, takiej z kart pocztowych, wielkowiejskiej, raz ganiał z kolegami ze szkolnej ławy, dokazując niczym szczeniak...

– Alaaaarm!

Kolumna piechoty gwałtownie zafalowała, po chwili stanęła, by znów ruszyć do przodu, wolno, coraz wolniej. Z przeciwka, z ogromnych tumanów kurzu wyłoniła się grupa ułanów pędzących w panice na oślep.

– Uciekać!

Jędrzek stanął jak wryty, niezdecydowany, co właściwie powinien począć, tymczasem spora część ochotników wzięła nogi za pas. Niemal w tej samej

chwili z boku drogi wyrosła dorodna klacz, a na niej sam dowódca, kapitan Maciejewski.

– Kompania stój! To wy, psie kurwie, przyszlście tutaj, żeby się bić, czy żeby uciekać?! Tu nie Aleje Ujazdowskie, milion diabłów rogatych! Stać tu murem! Ładuj!

Dwa razy udało się jeszcze tego samego dnia przegnać kozaków, dwa razy wracali, by wreszcie tuż przed zmierzchem odpuścić.

– Widziałeś tego na tym wielkim, czarnym koniu? Jak siekł szablikiem? – Łodyga już prawie niczym nie przypominał przestraszonego chłopaka sprzed trzech tygodni. Tylko pryszczki pozostawały te same. – To cud, że wynieśliśmy z tego całe głowy!

– No, nie wszyscy – zasępił się Jędrrek. – Stasiek i Heniek już z nami do domu nie wrócą. Oby nam to się udało – westchnął i natychmiast pocieszył i siebie, i kamrata: – Harcerze nie boją się nawet samego Chan Gaja, bo to chyba on był na tym czarnym koniu. Straszny...

Łodyga aż zadygotał. I zamilkli obaj. Jędrrek nie bez trudu przegonił z myśli obraz złowieszczonego dowódcy czerwonych kozaków i zastąpił go innym – piękną panną z ujmującym uśmiechem. Panną snów przepięknych godną... Zofiją, jak mniemam – wychynął z młyna pan Gubicz, w mącznej bieli uśmiechnięty. Jakoś tak złośliwie... Jędrrek natychmiast oprzytomniał: „Rany boskie, przecież listu nie przeczytałem. Ale to już jutro”.

Kochany Panie Jędrzeju! Tak mi za Panem tęskno i tak bardzo się o Pana boję. Mówił mi tatko, że bolszewicy lada chwila, a już do Płocka wejdą. I że kogo po drodze bagnietami nie zakłują albo na szablach nie rozniosą, to w niewolę biorą. Modlę się gorąco, aby Pana taki los nie spotkał, aby wrócił Pan do mnie i do swego braciszka, i do rodziców. Tadzik, jak słyszałam, nie chce z miasta od stryjenki wyjechać. A przecież Babieniec trochę z boku, tu bezpieczniej...

– W mordu chcesz? – zagadnął krasnoarmiejec. Niespecjalnie zainteresowany odpowiedzią. W skupieniu przeglądał Jędrkowy kajet. – *Ni pri cziom* – orzekł wreszcie.

– *Na podcierkę?* – zasugerował drugi, uważnie przyglądając się swemu dziobatemu odbiciu w nędznej resztkę lustra z zakładu fryzjerskiego. Rosochatą, czarną czuprynę wieńczył mu najmodniejszy w Pułtusk damski kapelusik.

Jędrak nie czuł strachu. Z początku. Czuł złość i zdziwienie. „Właśnie teraz musiał się zaciąć ten przekłety karabin? Tyle chociaż, że jednego chudego bolszewika dziabnąłem bagnetem, na pewno swołocz nie przeżył. Na pewno!”

Przerażenie przyszło później. Stali stłoczeni w kilkudziesięciu, otoczeni przez czerwonoarmiejców bardziej przypominających bandę żebraków niż żołnierzy wielkiej armii.

– To takie obdartusy nas ubijają? – Łodyga cały czas trzymał się blisko Jędrka, jakby w przeczuciu, że tylko tak zdoła to wszystko przetrwać.

– Głupiś, Witek – wyszeptał Jędrak, pokonując przeraźliwą suchość w ustach. – Wzięli w niewolę, to nie ubijają. Najwyżej z butów obiorą. Nie bój się, Łodyga, zwiejemy tym zawszonym łachmytom!

– *Małczy! Polskaja sobaka!* – rozdarł się dziobaty kapelusznik. Chwilę jeszcze pogrzebał w zdobycznym kuferku. I wyciągnął zielony kubraczek.

– *Eto dla żenszczin* – upomniał go czytelnik kajetu, powoli i metodycznie upychając wyrwane kartki w kieszeni munduru, tuż obok surowej, kurzej nogi. Obwieszeni bronią czerwonoarmiejcy wyglądali groteskowo. Tylko kto odważyłby się zaśmiać?

Popychani kolbami w plecy, chłopcy ruszyli spieczoną upałem, zakurzoną drogą. Dokąd? Wszystko wskazywało na to, że wracają do Płocka.

– Zginiemy, Jędrak, zginiemy, już po nas! – Bliski płaczu Witek wyglądał jak przerośnięte dziecko, które ktoś gwałtem zmusił, by dorosło.

– Milcz, Łodyga, obyś w złą godzinę nie wypowiedział! – wyszeptał niemal bezgłośnie Jędrak. Bał się, że Łodyga usłyszy jeszcze i to, co przeraźliwie dzwoniło mu w głowie: Co z nami będzie? Co będzie? Boże!

Już tyle dni nie mam od Pana listu. Chyba się panu Jędrzejowi nic złego nie przytrafiło, bobym ze strapienia umarła chyba. Tatko mówi, że ruskie wciąż pchają się do Warszawy, ale nasi dzielni chłopcy w końcu im kota pogonią. Niech pan Jędrzek zważa na siebie i niech ma w pamięci, że ktoś na Niego z utęsknieniem czeka...

Tego listu Jędrzek przeczytać nie mógł. Nie mógł też wiedzieć, że gorące słowa panny Zofijki, choć niby odesłane z powrotem do nadawcy, zawieruszą się gdzieś po drodze.

Siedzieli we dwóch z nieodłącznym Witkiem wśród innych nieszczęsnych ochotników, na garstkach zeschniętego igliwia w rachitycznym, skąpiącym cienia lasku. Jędrkowi zaburczało w brzuchu, na języku wciąż czuł smak tego czegoś, czym nakarmili ich ruscy. Obrzydlistwo! Ale i tak dużo gorszy był widok jego własnych nóg. Pokiereszowanych, opuchniętych, bosych. „Dobrze, że choć kapotę zostawili”. I raptem przypomniał sobie o kieszeni i o kawałku papieru z wredną prowokacją. „Zdajsia, Warszawa użę nasza!” Brudnawy świstek był zadrukowany tylko z jednej strony. „Napiszę na tym list do panny, ołówkę wciąż mam. I wyśle! Tylko wpierw trzeba stąd uciec, do naszych” – te ostatnie słowa powiedział już na głos, czy może raczej szeptem, wprost w ucho Łodygi wpatrzonego z przerażeniem w nieodległe nic...

– *Ech wy, otczajannyje czorty, padnimajties!* – Wysoki, zgrzytliwy głos uzbrojonego w nahajkę kozaka poderwał ich z ziemi.

„A żebyś wiedział, że jesteśmy diabłami gotowymi na wszystko, żebyś wiedział, capie śmierdzący” – pomyślał mściwie Jędrzek.

– Zwiejemy na następnym postoju – zdążył jeszcze wyszeptać. I sam uwierzył w to, co powiedział Łodydze.

Nad martwym koniem ze wzdętym brzuchem czarno było od much. Leżał blisko drogi na zagonie stratowanego żyta.

– Ciekawe, czy to nasz, czy bolszewicki – zagadał znienacka Łodyga.

Otumaniony nużącym marszem Jędrzek nawet nie spojrział w stronę konia, ofuknął tylko kolegę:

– A co ci za różnica! Myśl lepiej, jak uciekniemy. Może się czerwoni czymś ożłopia na umór?

– Przecież myślę – odpowiedział nieco urażony Witek. – I nawet już wymyśliłem. Posłuchaj tylko, rosyjski przecież znamy niezgorzej. Możemy zrobić tak... – Chłopak zaczął gadać jak katarynka. Jędrak patrzył na niego z rosnącym podziwem. Miał go wcześniej za niezgułę...

Plan Witka był tak szalony, że... że mógł się powieść. Musieli tylko zdobyć gdzieś kawałek czerwonej szmaty. Okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczali.

– Zuchy z was chłopcy, nie ma co! – przynajmniej dwa razy starszy od nich żołnierz z uznaniem kiwał posiwiałą głową. To on pierwszy ruszył im z pomocą, gdy bladym świtem dotarli na wpół żywi nad brzeg rzeki, do polskiego oddziału. Nawet przez myśl im nie przeszło, że więźci za bolszewików, mogą zginąć z rąk swoich. Trochę później Jędrak, pochłaniając wielką pajdę chleba, opowiadał, jak to zwędzili śpiącemu wartownikowi stary kozik i bolszewicką flagę. Jak Łodyga z mozołem wycinał z niej dwie gwiazdy, jak się nimi potem przystroili, by wreszcie pewnym krokiem przemaszerować przez sam środek grupy ruskich żołdatów. I jak jeszcze Jędrak rzucił w ich stronę:

– *Nu kak, tawariszczi, charoszyj spiryt?*

– *Tisze, durak! Tawariszcz kamiendant nas ubijot za spiryt!* – W przenikliwym szepcie zmizerowanego oberwańca słyhać było najprawdziwszy strach.

Kochana Zofijko! Ten list nie za ładny, na ruskiej bumadze, ale innego papieru nie miałem. Krótko napiszę „hura!”, bo zwialiśmy z niewoli z Witkiem, kolegą gimnazjalistą i też harcerzem. Jak to dokładnie było, opowiem Pannie, gdy już do domu z Bożą pomocą powrócę. Tymczasem jestem znów wśród swoich i gotujemy się na ciężkie boje, bo mamy rozkaz nie dopuścić bolszewików do stolicy, ale wpierv pognać ich z Płocka. Mam nadzieję, żeś cała i zdrowa i że modlisz się za mnie i za nas wszystkich.

Witek pochrapywał już w najlepsze. Jędrak nie mógł zasnąć, wciąż czuł serce w gardle, wciąż przedzierali się z Łodygą przez gęste zarośla, przez

jakieś strumyki. Na szczęście księżyc nie pozwolił, by zagubili się w ciemnościach. Kierunek ucieczki wyznaczało im echo wczorajszej artyleryjskiej palby. Przydały się, i to jak, zdobywane zeszłego lata harcerskie sprawności. Wędrownika, tropiciela, wywiadowcy. To było coś! Wreszcie zapadł w sen, wcześniej wsunąwszy pod głowę sfatygowane kamasze, które wynalazł gdzieś ten sam żołnierz o siwej głowie. Za duże, ale zawsze... Stary długo nie mógł wyjść z podziwu dla młodych wojaków.

– Naoglądał się ja nieraz, za czasów wielkiej wojny, tych młodych roczników, jak trzeba było nacierać, to chowali się po rowach. A jak był rozkaz kryć się, to lecieli jak te ćmy po śmierć. Że to niby takie odważne. A wy, chłopcy, ho, ho...

Jędrak spał. Przyśniła mu się panna Zofija, w szarej obsypanej mąką sukience siedziała przy studni i wymachując czerwoną płachtą, wykrzykiwała raz po raz: *Charoszyj spiryt! Charoszyj spiryt!*

Aż dziw, że następny list od Zofijki jakoś Jędrka odnalazł. Pełen uznania dla sprawności frontowej poczty, uszczęśliwiony po pachy już, już miał go otworzyć, gdy przeszkodziło mu gromkie „baaaczność!” dowódcy kompanii. Papier pośpiesznie trafił za pazuchę, a Jędrak wraz z Łodygą na pierwszą linię frontu.

Tymczasem panna Zofija rozpisywała się o Babieńcu i o Płocku. *Kochany Jędrku, nawet nie wiesz, jak ucieszyłam się z wieści, żeś cały i zdrów, że udało Ci się – jakim to sposobem?! – uciec z ruskiej niewoli. A u nas w Babieńcu nie wiadomo, co począć. Jedni wołają uciekać, drudzy, że lepiej przeczekać, że wojna nas ominie. Tatko od czasu, kiedy to pobili go bolszewicy, prawie się nie odzywa, a jeśli już, to każe siedzieć cicho jak mysz pod miotłą. Rodzice Pana wciąż się dopytują, czy jest nowy list. Czekają, jak i ja na Pana czekam... Tylko o Tadziku i o stryjence Pana nic mi nie wiadomo, w Płocku jedna wielka rujnacja, podobno do szczytu rozgrabiony. Niektórzy opowiadają, że ruscy kradną nawet drzwi i okna, że kominy rozbierają. Uwierzysz, kochany panie Jędrzeju?*

– Nie noszą lampasów, lecz szary ich strój, nie noszą ni srebra, ni złota. Lecz w pierwszym szeregu podąża na bój, piechota, ta szara piechota...

Nogi niosły jakoś lepiej, Jędrak wyśpiewywał z przesadnym zapalem dopiero co wyuczone słowa. Starał się ze wszystkich sił zagłuszyć myśli o ostatnim liście od panny, liście, który nie wiedzieć czemu parzył go w kieszeni munduru. I bał się. Coraz bardziej. Maszerującemu obok Witkowi rytmiczne słowa o dzielnej piechocie grzęzły w wysuszonym gardle. Chciał do domu. Do Płocka.

Powietrze zapachniało nagle przedwieczorną sierpniową burzą, by po krótkiej chwili poddać się wszechobecnemu fetorowi – końskich odchodów, kwaśnego potu, strachu i śmierci. Trwali w bezruchu, w kilkunastu, przyklejeni prawie do podziurawionej kulami ściany niedużego domu. Domu Łodygi. Po twarzy chłopaka, na której próżno by szukać niedawnych jeszcze młodzieńczych krost, rozmazując brud i tęsknotę, płynęły łzy. Jędrak nawet nie próbował pocieszać przyjaciela. Jemu też ugięły się nogi na widok wybebeszonej skorupy, która była kiedyś rodzinnym domem Witka. Ze ściśniętym żołądkiem pomyślał o Tadziku, o stryjence i jej domu, który był niedaleko stąd. O ile jeszcze był... Zajadła strzelanina, bardzo nieodległa, przywróciła Jędrka do rzeczywistości. Gorączkowo grzebał w plecaku, przeszukiwał kieszenie. Co z tego, że tak dobrze już strzelał, zresztą nie tylko on, Łodyga nabrał podobnej wprawy w sztuce zabijania, skoro strzelać nie miał już czym! „Może ruskim też zabrakło amunicji?” – z rozpaczą i nadzieją uczepił się tej myśli, gdy zapadła złowroga cisza. Cisza, którą przerwało ledwo słyszalne stukanie butów, taki drobny tupot, jakby... jakby biegło dziecko.

– Jędrak, patrz! – Łodyga szarpnął przyjaciela za rękaw. – To przecież twój Tadzik!

Drugą stroną ulicy zmierzała w ich kierunku nieduża postać. Spory worek, którym objuczony był chłopak w za dużej czapce, wyraźnie utrudniał mu bieg.

– Taaadzik! – krzyknął przeraźliwie Jędrak i w tej samej chwili chłopak padł jak rażony piorunem. Na jego drobnej piersi, tuż pod obojczykiem szybko rozkwitała podobna do maku krwawa plama. Z worka wysypały się naboje.

„Wy skurwysyny! Skurwysyny!!!” – Jędrrek chciał wrzeszczeć, nie mógł jednak wydobyć głosu, chciał lecieć bratu z pomocą, ale Łodyga mocno złapał go za ramiona.

– Cicho, Jędrrek, ciii... Patrz...

Nie wiadomo skąd przy drobnej figurce leżącej nieruchomo w brudnej krwawej kałuży pojawili się dwaj czerwonoarmiejcy. Po chwili namysłu wyższy z żołnierzy, wyciągnąwszy skądś niezbyt czyste bandaże, zaczął opatrywać chłopaka.

– Może on i szkodnik, ale gieroj! – odpowiedział cicho na niezadane pytanie.

Kochany Panie Jędrzeju! Jakie to szczęście, że przegoniliście wreszcie bolszewików. I że Pana stryjenka przywiozła do Babińca Tadzika, rannego, bladego, ale żywego! Stryjenka opowiadała, jak to braciszek Pana uciekł z piwnicy, w której się schowali. Uciekł, żeby roznosić naszym dzielnym żołnierzom amunicję. Chciał pokazać, jaki z niego harcerz! Dobrze, że tak się to wszystko skończyło! A w Babińcu dzieje się jak nigdy – stanęli u nas, w młynie, oficerowie ze sztabu, tatko mówi, że to od generała Sikorskiego. I od nich wiemy o zwycięstwie naszej armii i o tym, że teraz już tylko trzeba pogonić ruskich tam, skąd przyszli. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy znów Pana zobaczę...

Jędrrek czytał ten list, który dogonił go gdzieś pod Modlinem, po raz piętnasty. A może nawet dwudziesty? Aż sam się dziwił, że litery jeszcze od tego nie wyblakły. Tadzik żyje! – te dwa słowa pozwalały zapomnieć, że do domu daleko. Coraz dalej. Był przecież rozkaz gnać bolszewików. Więc gnali. A w chwilach krótkiego odpoczynku przywoływał obraz urodziwej panny. Na myśl o niej robiło mu się gorąco i tak jakoś słodko, tak bardzo, że nie czuł zimna ostatnich październikowych dni, nie zważał na przeciekające kamasze, na zmęczenie. I wciąż wyobrażał sobie, jak wracają z Łodygą do domu i jak na plockim dworcu wita go uszczęśliwiona Zofijka. A on jak prawdziwy stary wiarus, taki dorosły i męski, bierze pannę w ramiona.

Wracali do domu. Już bez mundurów, te im zabrano. Taki rozkaz... Wracali w wiatrem podszytych lichych ubraniach. W butach, które

trzymały się nóg tylko dzięki sznurkowi. Witek z ręką na temblaku, przestrzeloną podczas ostatniej potyczki z czerwonymi, siedział skulony w kącie wagonu, odzywał się coraz rzadziej.

– Nie martw się, Łodyga, twoja rodzina na pewno cała i zdrowa, uciekli tylko. – Jędrak zmusił się, by spojrzeć koledze w oczy. Starał się uwierzyć we własne słowa. Czuł się... winny? Tak, winny, bo jego bliscy ocaleli, bo czeka go stęskniona panna, bo nawet ranny nie jest. Pociąg, zgrzytając przeraźliwie, wtaczał się właśnie na płocki dworzec.

Paskudny, listopadowy, zacinający z ukosa deszcz nie wypłoszył z peronu ani zmokniętej orkiestry, ani niecierpliwie wyczekującego tłumu. Jędrak, pomagając wysiąść Łodydze z pociągu, usiłował jednocześnie wyłowić z morza głów tę jedyną, miódowłosą. Nagle poczuł, jak Witek zamienia się w słup soli, by po chwili, rozpaczliwie szlochając, rzucić się między stłoczonych ludzi.

– Ojczy! Mamo!

Jędrak głęboko odetchnął. „Dzięki Bogu!” I niemal natychmiast zapomniał o Łodydze, lądując w ramionach swojego ojca.

– Mój ty dzielny wojaku. – Bronisław Puzowski, pochrzając, próbował ukryć wzruszenie. Bez powodzenia. A jego syn z całych sił wyteżał wzrok, by wreszcie...

– Panna Zofija!

Jędrak przepychał się z trudem w kierunku dziewczyny. I wtedy zobaczył. Panna Zofija trzymała pod rękę wymuskanego porucznika w idealnie dopasowanym mundurze i oślepiająco błyszczących oficerkach. Uśmiechnęła się do Jędrka, lekko tylko zakłopotana.

– To pan Jędrzej, mój dawny znajomy – wyjaśniła swemu towarzyszowi.

Porucznik, obrzuciwszy taksującym spojrzeniem Jędrka i jego rozpadające się kamasze, wycedził przez zęby od niechcenia:

– A pan szeregowy, jak się nie mylę, to skąd wraca?

– Ja? Z wojny. A pan porucznik gdzie się taki wytworny uchował? – Jędrak poczuł, że z twarzy odpłynęła mu cała krew. Odwrócił się szybko z

nadzieją, że nikt tego nie zauważył.

Spocony, sapiący parowóz wtaczał się na dworzec, ciągnąc wagony z kolejną grupą ochotników. Jutro wrócą do gimnazjum.

BARTOSZ MAJORCZYK

UBŁOCONA WOLNOŚĆ

Jest duszno. Od kilku godzin nieprzerwanie maszerujemy. Zasady sztuki wojennej nakazywały, by w czasie przemieszczania stale się rozglądać. Wiele par oczu lustrujących otoczenie pomoże w porę dojrzeć przeciwnika, przygotować się na atak lub odskoczyć na bezpieczną odległość. To tyle teorii. Obserwowałem teren może przez pierwsze trzy godziny. Później wpatrywałem się już tylko w koniuszki swoich butów. Zmuszenie karku do uniesienia głowy wymagało nadludzkiej siły. W zawężonym polu widzenia co rusz pojawiał się to jeden, to drugi nosek moich zdobycznych buciorów pokrytych teraz drobnym żółtawym pyłem z traktu, który tak bardzo dał się już nam we znaki, że zacząłem tęsknić za błotem. Kurz wzbijany przez zmęczone nogi pokrywał nas po czubki hełmów, zgrzytał w zębach i wbijał się w oczy tysiącem igiełek. Sylwetka pochylona pod ciężarem broni i oporządzenia. Koniuszki butów jak wahadło zegara pojawiały się w zawężonym ze zmęczenia polu widzenia. Lewy, prawy, lewy, prawy. Wpadłem w rodzaj transu, w jaki wpadali warszawscy Żydzi, których z kolegami obserwowałem czasem w młodości. Bujali się długo w przód i tył, a gdy kończyli modlitwę, zawsze z roztargnieniem rozglądali się wokół, usiłując sobie przypomnieć, gdzie właściwie się znajdują. Miałem tak samo. Nieobecność jaźni, nogi pracujące niczym tłoki maszyny parowej: lewa, prawa, lewa, prawa, lewa, prawa i nagle okazuje się, że palące słońce jest już sporo niżej, a krajobraz uległ zmianie.

Już dawno straciliśmy łączność. Z informacji pozyskanych w czasie skrytych wizyt w osadach wynika, że nasi biją się z czerwonymi o

Warszawę. Wszędzie opinie są podzielone: jedni mówią, że wkrótce pod wodzą Piłsudskiego pogonimy hołotę z powrotem za Ural, inni – że to raczej pobożne życzenie, że od wschodu tyle luda ściągnęli, że nasze reduty czapkami nakryją. Dowódca po konsultacji z dwoma innymi pododdziałami wydał rozkaz marszu w rozproszeniu w kierunku na widły Bugu i Narwii. Ruszamy więc niezwłocznie.

Nieliczne postoje nie wyrywają mnie z transu. Bezwiednie siadam i prostuję nogi, przytykam do ust manierkę, racząc się ciepłą, gorzką wodą, i wciskam między zęby suchary z tuszonką. Pograżony w odmętach zmęczenia umysł paniczne poszukuje zajęcia. Więc wspominam. Właściwie to umysłem przeistaczam się w tamtego warszawskiego chłystka, rzuconego po przeszkoleniu w wir walki, zmuszonego uczyć się życia na przyspieszonym kursie czasu wojny. Nawet nie wiem, czy jest początek sierpnia, czy już koniec. Koniec postojów. Rozkaz wymarszu przekazywany z ust do ust, by głośną polską mową nie ściągnąć nieszczęścia. Podrywam się jak inni, zajmuję swoje miejsce w szeregu i ruszam przed siebie, gdy inni ruszają. Byle do przodu. Lewa, prawa, lewa, prawa, lewa, prawa i już zapadam się w sobie i wracam do czasów zaszłych. Mentalna projekcja nabiera dziwnego schematu. Najpierw pojawia się w mojej głowie motyw przewodni, który samoistnie wypełnia się wyrytymi w pamięci scenami. Rozpoczynam wewnętrzny monolog. Chyba uzależniam się od tego zbawczego momentu, w którym ból całego ciała, niewygody wędrówki i ucisk wiszącego nad nami niebezpieczeństwa stają się czymś odległym i łatwiejszym do zniesienia.

Las rzędzie. Aby przeciwnik nas nie wykrył, schodzimy z traktu na ścieżkę wytyczoną przez zwierzęta. Kolumna rozciąga się w rząd. Przedzieramy się przez gęsty podszyt.

Lewa, prawa, lewa, prawa, sen.

Stare prawidło mówi, że żołnierz śpi, kiedy może, a maszeruje, gdy mu każą. Nieliczne godziny wypoczynku pozbawione są z reguły sennych obrazów. Zapadam po prostu w letarg na granicy świadomości, z napiętymi mięśniami łydek i dłońmi zaciśniętymi na ciepłym drewnie czterotaktowego karabinu. Nogi gotowe do życiodajnego skoku, gdyż wojnę przeżyją ci, którzy są w ciągłym ruchu. Układ palców niezmienny, z palcem wskazującym gotowym natychmiast wsunąć się na język spustowy i kciukiem ustawionym tak, by jak najszybciej przesunąć bezpiecznik. Przyglądałem się towarzyszom, gdy trzymałem wartę. Pozostali też tak śpią, swoje dłonie o brudnych paznokciach wbijając w broń, jakby byli oszalałymi z zazdrości kochankami, za wszelką cenę pragnącymi, by obiekt żądz nie wysunął się spod pościeli. Z ulgą przyjmuję koniec czuwania i możliwość przymknięcia oczu. Twarze wybudzanych kompanów wyrażają najprawdziwszą krzywdę. Oto skończyła się ich namiastka sielanki. Rozumiem ich rozczarowanie. Obiecywali sobie po odpoczynku bardzo wiele, lecz oto wyrwani z nieprzytomności odkrywają, że są tak samo zmęczeni jak wcześniej, każda nierówność legowiska pozostawiła po sobie pulsujące źródło bólu, a ciepło ich ciał wsiąkło w glebę jak w gąbkę. Nie ludziłem się, że w moim przypadku będzie inaczej. Miałem nadzieję, że dokładnie oczyściłem miejsce, na którym zalegnę, lecz po upojnej chwili, w której złożyłem swoje umęczone ciało na ściółce, odkryłem, że trzy małe szyszki wbijają mi się boleśnie w plecy, a igliwie przechodzi przez splot mundurowego materiału, nakłuwając skórę przy każdym ruchu. Od kilku minut zastanawiam się, czy warto się podnieść i poprawić co trzeba, lecz stwierdzam w końcu, że nie mam na to już siły. Po kilku chwilach wszystko to przestaje mieć znaczenie. Zamykam oczy. Zaraz zapewne je otworzę, rozczarowany, że to już. Jednak pamiętam jedno miłe zaskoczenie, gdy nawiedził mnie senny majak. Zamykam oczy i... widzę Warszawę! Jest jakby spowita we mgle. Niewyraźne fasady kamienic i witryny sklepowe. Bruk! Twarde, wyboiste podłoże zwane nie wiedzieć czemu kocimi łbami. Jakie to piękne! Mimo że tęsknię za rodzinnymi stronami, bardziej wzrusza mnie to, że stopy natrafiają na twarde podłoże. Żadnego zapadania się w grząskim mule, żadnych problemów z równowagą i koniec

z mlaszczącym dźwiękiem towarzyszącym wyrywaniu z trudem nóg z grząskiej pułapki. Ten dźwięk już chyba zawsze będzie mi się kojarzył z wyciąganiem wbitego po rękojeść bagnetu z brzucha. Zrobiłem po tym bruku chyba ze cztery kroki, gdy nagle poczułem się jak wrzucony do lodowatej wody. Oczy szeroko otwarte, łapię spazmatycznie hausty wilgotnego, bagiennego powietrza. Listowie odznaczające się na tle wznoszącej się szarości nieba. Nade mną głowa dowódcy. Bardziej poznaję po konturach, gdyż szczegóły twarzy nikną jeszcze w mroku. W odruchu paniki bezwiednie wyrzucam ramiona do przodu. Dowódca nie daje się zaskoczyć. Przytrzymuje karabin jedną ręką, dzięki czemu nie trafia go w głowę. Drugą uspokajająco kładzie mi na klatce piersiowej. Nie ma do mnie pretensji, gdy wstaję, mamrocząc przeprosiny. Żyjemy w ciągłym napięciu.

Koniec lasu. Aby dojść do następnego, zmuszeni jesteśmy przebyć dobre dwa kilometry otwartego terenu. Idziemy niemal na wprost, przez łąki. Z lewej i prawej osłaniają nas niewielkie wzgórza. Oby nikt nas nie zauważył.

Lewa, prawa, lewa, prawa, dowódca.

Kazał mówić na siebie Kajzer, jako że służył wcześniej u Prusaków. Do tego stopnia zrosł się ze swoim przezwiskiem, że właściwie nikt z nas nie miał pewności, jak naprawdę się nazywał oraz jaki miał stopień. Oznaczeń nie nosił, podobnie jak my. Tozabawne, że właściwie nie znamy człowieka, którego doświadczenie nieraz ocaliło nam życie. Była to postać ze wszech miar intrygująca i fascynująca. Inteligent, który za wszelką cenę próbował ukryć ostrość swego umysłu, by nie tworzyć dystansu, jaki zawsze towarzyszy jednostkom wybitnym w kontakcie z prostymi ludźmi. Zwykł mawiać, że historia z reguły milczy o takich jak my, wykonujących robotę na pewno potrzebną, lecz bez wielkiego znaczenia operacyjnego. Mimo to z tonu jego głosu wywnioskowałem, że jest z tego faktu niezwykle rad. Jesteśmy małą grupą mającą za zadanie wylapywać dywersantów, mieć oczy i uszy otwarte na trakty i przejścia oraz pokazywać się od czasu do

czasu w siołach i miasteczkach, aby widok żołnierza polskiego przywracał wiarę mieszkańcom w to, że wciąż trwa ojczyzna, z takim trudem wyszarpana z rąk zaborców. Prawda jest taka, że nie zdążyliśmy wycofać się z resztą wojska; główne siły nieprzyjaciela, pędząc na teatr najistotniejszych działań, jakoś nas pominęły, i zawiśliśmy w operacyjnej próżni, w której na siłę znaleziono nam zajęcie. A więc wróćmy do dowódcy tego małego, walecznego pododdziału. Miał gładką twarz młodzieńca o oczach starca, ogromną wojskową wiedzę, ale przede wszystkim intuicję, która nieraz ratowała nas z opresji. Pewnego razu wysłał chłopaków po zaopatrzenie do wsi, a ze mną postanowił sprawdzić okolicę. Bolszewicy byli daleko, ale widziałem, że coś go niepokoiło. Spotkaliśmy trzech starszych mężczyzn niosących koszyki z grzybami. Ot, niegroźne wsiowe dziadki, chcące skarbami lasu urozmaicić monotonię skąpego jada. Ten na czele, widząc nasze mundury, czystą polszczyznę opowiedział, że są tutejsi i sięgnął do koszyka, aby pokazać grzyby. Wtedy Kajzer błyskawicznie wy dobył browninga i zaczął strzelać. Stałem jak wmurowany i nawet nie zdążyłem unieść lufy karabinu, gdy wszyscy trzej leżeli na ziemi, charcząc i wyjąc. Jeden nawet zdążył wystrzelić, na szczęście niecelnie. Wszyscy trzej mieli w koszykach nabite rewolwery. Drżącymi rękami zacząłem przetrząsać ich kieszenie. Jeden przestał już dychać, natomiast tego najlżej rannego opatrzyliśmy i powiązaliśmy. Wydobyte z kieszeni przedmioty nie pozostawiły żadnych wątpliwości, że oto właśnie trafiliśmy na bolszewików. Gdyby nie czujność dowódcy, gdyby na jego miejscu był u mojego boku ktoś inny, te trzy poczciwe dziadki wpakowałyby w nas kilka porcji ołowiu i moja wojskowa kariera dobiegłaby końca. Pytałem potem Kajzera, skąd wiedział, że to szelmy. Odrzekł, że miał przeczucie i zaryzykował. Czyli gdyby się pomylił, rozwaliliby trzech Bogu ducha winnych starców? Niech ta wojna już się skończy.

Wchodzimy z łąkowego żaru pod zbawienną ochronę leśnego parasola. Wielkie i monolityczne drzewa iglaste. Twarde podłoże pokryte milionami igieł.

Lewa, prawa, lewa, prawa, buty.

Oddziałowy rytuał. Zanim wyruszymy po postojach lub odpoczynku, każdy z nas zajmuje się obuwem. Postukałem parę razy czubkiem o pień brzozy, żeby oderwać warstwę zaschniętej gliny od podeszew. Potem, ułamawszy gałązkę, zacząłem cierpliwie zdrapywać to, co zostało. Kilka osób poszło w moje ślady, w czasie gdy pozostali przykucnęli w krzakach, obserwując okolicę. Poprzedniego dnia udało nam się odnaleźć względnie suchą i zadrzewioną wysoczyznę, jednak jej znaczne oddalenie od lasu spowodowało, że musieliśmy skorzystać z osłony ciemności i porannych oparów, aby ewentualni przeciwnicy nie wykryli naszej obecności. Skończyłem wreszcie te szewskie ablucje i z przyjemnością wzułem buty na pokiereszowane nogi. Z tymi buciorami to w ogóle ciekawa historia. Jak trwał zaciąg, zabrali nas do szatni, gdzie kazali zostawić cywilne rzeczy i w bieliźnie ustawić się w kolejce po wojskowe sorty. Stary i wypłowiały mundur na szczęście pasował, gorzej z butami. Niby mój rozmiar, a uwierały jak cholera i po kilkunastu minutach miałem dość wszystkiego. Z tyłu napierał sznur podobnych mnie młodzieńców, odbierających swój przydział, dzięki któremu przeistoczymy się w żołnierzy. Na moje zastrzeżenia nikt nie zwracał uwagi. Sprzed punktu pobrania obuwia przegoniono mnie, nie chcieli słyszeć o żadnej wymianie. Awanturując się z porządkowymi, przedarłem się do cywilkowni po moje stare buty, a tam się okazało, że jakiś warszawski cwaniaczek zdążył już pomyszkować. Ktoś zrobił niezły kipisz, w pośpiechu przepatrując nasze rzeczy. Zamiast moich trzewików znalazłem robotnicze buciory, podarte i oblepione smołą. W dodatku zdecydowanie za małe. Na nic zdały się protesty. Kilku umundurowanych dryblasów chwyciło mnie za ręce i nogi i wynieśli mnie na zewnątrz, gdzie wepchnięto mnie do grupy ludzi zmierzających na dalszy punkt pobrań. Tak zaczęła się historia pełna bólu. Przez całe prędkie i chaotyczne przeszkolenie zagryzałem z bólu wargi. Nic nie dało, że podstępnie podmieniłem buty kolegi, skazując go tym samym na podobne cierpienia, na nic zmiękczenia, rozciągania i bezsilne uderzania. Buty za nic nie chciały dopasować się do stóp. Codzienny rytuał odrywania onuc wyglądających jak zmiętoszona polska flaga – biała od ropy i czerwona od

krwi. Po pewnym czasie zubożyłem na ustawiczny ból. Na szkoleniu mówili nam, że buty są tak samo ważne jak karabin, że bez nich żołnierz jest bezużyteczny, dlatego każdego dnia czyściliśmy je starannie i nakładaliśmy nową warstwę pasty zapewniającej wysoki połysk po żmudnym procesie polerowania. Na moje prośby i skargi szef kompanii rozkładał bezradnie ręce. Nie ma, mawiał potem asekuracyjnie za każdym razem, gdy mnie widział. Moja gehenna skończyła się jakiś czas później, już w rejonie działań, gdy sprawdzając teren po wcześniejszej potyczce, natknąłem się na rozkładającego się już bolszewickiego trupa, któremu bardziej ode mnie poszczęściło się w doborze obuwia, a mniej w kwestii przeżycia, by się tymi butami cieszyć. Płukałem je długo w rzece i stosowałem przeróżne zapachowe mieszanki, lecz wciąż pozostawał na nich smród procesu gnilnego poprzedniego właściciela. Owa niedogodność była niczym wobec rozkoszy, jaka płynęła z braku bólu. Nie od razu oczywiście, lecz gdy nadszedł ów zbawienny moment, kiedy stopy nieco się podleczyły, nic nie było w stanie popsuć mojego dobrego humoru. Nawet błoto.

Kilku szybko nogich chłopaków wysłanych na zwiad potwierdziło, że we wsi przed nami nie ma bolszewików. Jest za to mostek przerzucony przez szeroko rozlaną rzekę. Nie ma rady. Idziemy. Umęczone twarze chłopów patrzą na umęczone twarze polskich żołnierzy. Przemarsz w grobowej ciszy.

Lewa, prawa, lewa, prawa, błoto.

Właśnie, błoto! Przez praktycznie cały czas przyszło nam działać w terenie, gdzie rozmiękła gleba była bodajże jedynym bogactwem naturalnym. Wioski i miasta zamiast dróg wytyczały lepkie, błotne trakty, po których ślizgały się dorożki i wozy, a ludność dokonywała akrobatycznych sztuczek, by nie zapaść się po kolana. Elewacje kamienic i ściany chałup pokryte były breją niemal do wysokości dorosłego człowieka. Każdyznaczony był tu śladem czarnej, tłustej paciai. Lipiec, gorąco, a za sprawą lokalnej magii ciemna maź za nic nie chciała się pokryć popękana,

twardą pokrywą. Za to nasze mundury były twarde niczym rycerskie zbroje, a pierwotny materiał widoczny tylko na zgięciach, tam gdzie brunatna skorupa nie miała szans się ostać. Jak to w życiu bywa, to co jest naszym przekleństwem, bywa i wybawieniem. Konne zagony przeciwnika już dawno by nas rozniosły na tym terenie, gdyby nie unieruchomiły ich rozliczne bagienka, moczary i sadzawki. Tam, gdzie koń zapadnie się po brzuch, piechur przy odrobinie wysiłku przejdzie. Nieraz w ten sposób dawaliśmy niewielkim tyłowym oddziałom czerwonych. Nieraz też bezpiecznie uchodziliśmy, korzystając z rozpoznanych zawczasu ścieżek.

Wielka połać spalonego lasu. Spośród stert popiołów wylaniają się już nowe drzewka, karmione żyznymi szczątkami pokonanych przez żywioł rodziców. Chociaż od pożogi musiało minąć kilka miesięcy, wzbijamy ogromny tuman sadzy.

Lewa, prawa, lewa, prawa, walka.

Pamiętam pierwszą potyczkę. Szybkość ataku bolszewików zaskoczyła nas wszystkich. Ich oddziały w błyskawicznym tempie przemierzały nasze świeżo co odzyskane ziemie. Przeczekaliśmy pierwszą falę, kryjąc się na bagnach. Na tyłach czerwonego frontu zaraz pojawiły się oddziały pilnujące linii zaopatrzeniowych, czyszczące osady ludzkie z elementu burżuazyjnego i dbające o wprowadzenie nowego, proletariackiego porządku. Bandyci w mundurach. Podczas przebijania się chyłkiem na zachód trafił nam się taki właśnie oddział. Zaskoczenie było obopólne. Oni zastanawiali się, jak przeprowadzić się przez trzęsawisko, my właśnie je przeszliśmy, mokrzy i oblepieni gliną i szlamem. Byliśmy wykończeni. Bez problemu mogę odtworzyć przebieg całej akcji. Pamiętam długie sekundy napięcia, gdy wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem, niezdolni do ruchu. Z transu wyrwał nas krzyk jednego z tamtych. Ruska mowa złamała zakłęcie. Kajzer pacnął w błoto, dając tym samym przykład innym. Czerwoni najwyraźniej byli już ostrzelani, bo z ich strony zdecydowanie szybciej zaczęły nadlatywać kąśliwe ołowiane owady złośliwie bzyczące nad naszymi głowami. Chwilę wcześniej przeklinałem błoto, teraz pragnąłem z

całych sił zagłębić się w śmierdzącej brei. Ręce trzęsły mi się jak w febrze. Mocowałem się z zamkiem karabinu. Ręce ślizgały się i za nic nie mogłem wprowadzić naboju do komory. W czasie szkolenia i marszu starałem się wyobrazić sobie, jak będzie wyglądała moja pierwsza walka, i w pewnym sensie nie mogłem się doczekać chrztu bojowego. Teraz pewna część mojej podświadomości przeklinała w duchu młodzieńczą głupotę. Nad resztą wodzę przejął zwierzęcy, gadzi strach, nakazujący wężowymi ruchami pełznąć w kierunku osłony martwego drzewa, ze wszystkich sił przyłgnąć do ziemi i w końcu uruchomić ten diabelski kawał drewna i stali będący moją jedyną szansą na przeżycie. W to, że dzikusy po drugiej stronie nie biorą jeńców, wierzyliśmy wszyscy. W tej konkretnej chwili, słysząc, jak pociski wwiercają się w pień, za którym leżę, chciałem być bezkształtną amebą, która by mogła całą swą powłoką rozpląszczyć się na grząskim podłożu, wnikając w każde zagłębienie terenu. Udało mi się w końcu przeładować i w panice pozbyłem się niemal na oślep wszystkich pięciu naboji. Przeturlałem się na plecy, drżącymi rękami wydobyłem z ładownicy łódkę naboju i załadowałem karabin. Z przemoczonych włosów pod hełmem pot kapał mi wprost na oczy. Przetarłem twarz dłonią, rozmazując na niej błoto. Wzięłem głęboki oddech i wysunąłem się z osłony, wodząc długą lufą przed sobą. Do diabła z tą całą wojną! Do diabła ze szkoleniem! Czego oni tam nas uczyli? Co to ma wspólnego z sytuacją, w której jestem? Dostaliśmy karabiny Mauser M98, niemieckie cudenka, których wszyscy nam zazdrościli. W Wojsku Polskim było za mało broni, za to za duża jej różnorodność. Karabiny włoskie, niemieckie, austro-węgierskie, rosyjskie, francuskie i jeden Stwórca wie jeszcze jakie. Zdobywcze, i kupowane, gdzie się dało, często z braku dewiz wymieniane za wagony pełne drewna, węgla czy ziemniaków. Koszmar kwatermistrza. Różgami wbijali nam do głowy dane techniczne: długość 1250 milimetrów, długość lufy 740 milimetrów, masa broni 4,1 kilograma, kaliber 7,92 milimetra. Nawet teraz, pod ogniem nieprzyjaciela kołaczą mi się te niepotrzebne liczby. Trening strzelecki przypominał napoleońską musztrę. Kolejność komend znana jak porządek mszy. Na stanowisko biegiem marsz, padnij, ładuj, do nieprzyjaciela ogniem pał, rozładuj, broń sprawdzona, powstań, w tył zwrot, na linię

wyjściową marsz. Cel nieruchomy, odległość 100 metrów. Dziurawienie papierowych kart. No i na co to wszystko? Teraz siłą woli zmuszam się do wychylenia zza zbawiennej ochrony, wpycham daleko w trzewia chęć panicznej ucieczki. Lufa lata jak szalona, żadnej podpórki, przyrządy celownicze w błocie, oczy pieką od potu. Cel? Niewidoczny. Gęsty tatarak faluje, nie wiem, czy od wiatru, czy od poruszających się tam postaci. W końcu między gęstwiną dostrzegam błysk wystrzału. Strzelam raz, drugi, trzeci. Bez efektu. Krzaczek obok mnie przechyla się ścięty pociskiem. Mnóstwo energii poświęcam na stłumienie naturalnego odruchu wyrzucenia karabinu i wtulenia głowy w ramiona. Ponowny błysk. Pałę jeszcze dwa razy i chowam się, żeby przeładować. Widzę jednego z naszych, leży na plecach i krzyczy. Chyba nie jest ranny, ale z tej odległości ciężko mi to ocenić. Karabin trzyma kurczowo przy piersi i wyje z przerażenia tak głośno, że dźwięk ten przebija się przez huk wystrzałów. W końcu wola przeżycia pchnęła go do działania. Zaczął turlać się w moją stronę. Jak ja w tamtym momencie nienawidziłem tego typu! Nawet bolszewików po drugiej stronie nie byłem w stanie obdarzyć tak głęboką niechęcią. Wzięło się to pewnie stąd, że jeszcze chwilę temu, gdybym się nie opanował, byłbym teraz tak samo jak on. Doturlał się do mnie. Z czarnej skorupy błota, jakim był dokładnie pokryty, patrzyły na mnie ogromne oczy o źrenicach zwężonych do rozmiarów główki od szpilki. Uderzył we mnie smród fekaliiów. Musieli go widzieć, bo chwilę potem pociski zaczęły uderzać w pień części. Facet przestał wyć. Po prostu leżał na plecach i głośno oddychał, wpatrując się w nieokreślony punkt na niebie. Zauważyłem, że ma chlebak z granatami, które zabrałem i uzbroiłem. Krzyknąłem do panikarza, żeby się nie ruszał, wzrokiem wyszukałem dogodne zagłębienie kilkanaście kroków od mojej pozycji i leżąc na boku, rzuciłem przed siebie odbezpieczony granat. Włożyłem w to tyle siły, ile zdołałem wykrzesać i ramię momentalnie zdrętwiało mi z bólu. Głucha eksplozja była dla mnie sygnałem do szaleńczego zrywu. W kilku susach dopadłem nowego stanowiska. Piekielnie paliło mnie udo. Pospiesznie rzuciłem drugi granat. Z naszej strony rozległy się okrzyki. Poderwałem głowę. To Kajzer ruszył, strzelając przed siebie z pistoletu, a

za nim momentalnie poderwało się kilku chłopaków. To nie był bieg, a raczej szaleńcze brnięcie przed siebie z pluskiem błocka pod butami. Nawet panikarz zerwał się do przodu, a ja, zanim się zorientowałem, gnałem w kierunku krzaków, w pośpiechu nasadzając bagnet. Szaleństwo.

I tutaj moja niezawodna pamięć o tamtych wydarzeniach się kończy. Pamiętam przedzieranie się przez tatarak, który z pasją siekałem nasadzonym na lufę ostrzem. Kojarzę, że krzyczałem, nie ze strachu, ale jakoś tak z emocji, których nie mogłem pomieścić w głowie. Wszyscy przez kilka następnych dni mówili potem szeptem, nie mogąc ze zdartego gardła wydobyć normalnych dźwięków. Ocknąłem się, jak siedziałem na leżącym na ziemi siodle, a któryś z naszych bandażował mi udo. Kilka wychudzonych i wymęczonych zdobywczych koni skubało nieopodal zielsko. W prawej ręce ściskałem mojego mausera opartego kolbą o ziemię. Cały bagnet i końcówka lufy sterczały buńczucznie ku niebu pokryte zaschniętą krwią. Nie pamiętam momentu, w którym skorzystałem z tej strasznej broni. Kojarzę za to dźwięk towarzyszący wbiciu, przekręcaniu i wyciąganiu długiego ostrza z ciała. I rosyjską śpiewną skargę wyciśniętą z ostatnim oddechem. Konie oddaliśmy we wsi. Nam się nie przydadzą w terenie, w jakim działamy, a chłopom nieco ulżą w ich niedoli. Radziliśmy, żeby na mięso poszły, bo to od razu widać, że nie nasze rumaki, i jak bolszewicy znajdują, to wieś spalą. Pewnie nie posłuchali, bo wcześniej nasze wojsko zarekwirowało wszystkie konie i nie było czym robić na gospodarce. Oby ta obrotność nie sprowadziła na nich nieszczęścia. Dostaliśmy samogonu, świeżego mleka, pieczywa i kiełbas. Dowódca pozwolił wypić. Przez trzy dni na postojach jedna trzecia pododdziału miała wolne, dostawała swój piekący przydział i spała, nie trzymając warty. Było to wielkie ryzyko, ale każdemu z nas dobrze to zrobiło. Rana uda przeszywała mnie piorunującym bólem przy każdym kroku, ale iść trzeba.

Gęsty las mieszany. Mimo iż idzie się trudniej, cieszymy się kojącym poczuciem bezpieczeństwa, jakie zapewnia osłona z krzaków i młodych drzew.

Lewa, prawa, lewa, prawa, rodzina.

Starszy brat, dwie siostry. Wszyscy w stolicy zostali. Brat pewnie teraz bije się z bolszewią, broniąc dostępu dalej, na zachód. Starsza siostra starała się na sanitariuszkę, ale nie wiem, jak to się skończyło. Druga siostra, dziecko jeszcze, przy matuli została. Matka moja to wspaniała kobieta, chociaż życie ją zniszczyło. Broniła mi zaciągu, płakała i błagała. Mówiła, że jednego starczy, jak się za odrodzoną bije. A jak ja miałem w domu zostać? Przecież nawet gdybym nie chciał, toby mnie ludzie na ulicy wytykali palcami, że młody gamoń, a od powinności uciekł. Chciałem przecież w ślady brata. No, tak po prawdzie to sam nie wiem, czy chciałem. A jeszcze w inną jednostkę mnie rzucili i za nic nie chcieli przenieść. W każdym razie matkę uspokoiłem, mówiąc, że na mszę za wybawienie od złego losu dałem, i raz, jak sprawunki robiliśmy, to stara Cyganka wywróżyła mi, że przez najbliższe pięć lat kostucha mnie nie sięgnie. Znowu, żeby być szczerym chociaż względem własnego sumienia, to Cygankę chwilę wcześniej opłaciłem i poinstruowałem, co ma powiedzieć przy matce, a zamiast dać na mszę, kupiłem sobie buty, co to mi potem tak zgrabnie jakiś apasz z magazynu wyprowadził. Za resztę zaoszczędzonej forsy nabyłem butelkę wódki i kawałek kiełbasy. Jak to spożyłem, dopiero się zgłosiłem. Inaczej nie dałbym rady. Na koniec przed wyjazdem brzydkiego psikusa ojcu sprawiłem, chociaż należało mu się od dawna. Otóż pijus przeklęty w stanie upojenia ubzdurał sobie, że też na wojnę pojedzie. Ludzi brali jak leci i pewnie taki ochlapus by się dostał, nazwisko splamił i dał się głupio zabić. Jako że całe życie pracował w fabryce, doniosłem na niego policmajstrowi, że bolszewicką bibułę czytuje i wspominał coś o godnym przywitaniu braci ze wschodu. Gazetki się znalazły na dowód. Nikt tam na wnikliwe śledztwa czasu nie miał, ale przymknęli gada i pewnie do karnego batalionu wcielią. Nakopie się trochę transzei, od wódki odpocznie. A i matka będzie miała spokój, bo póki ja z bratem byliśmy w domu, ręki nie ważył się na nią podnieść, tak mu raz daliśmy do wiwatu. Teraz nie wiadomo, co by było, gdyby nas zabrakło. Tak sobie myślę, że jest jeszcze jedna kwestia. Jakby nie daj Bóg bolszewicy zwyciężyli, to starego

uwolnią i dadzą spokojnie pracować, a razem z nim i matka, i siostry ocaleją, chociaż przeklętnik na pewno nie da im spokoju. Obym tylko doszedł do domu, czerwonych przegnamy i o rodzicielkę godnie zadbam.

Prosta leśna droga z dwiema jasnymi koleinami wytyczonymi przez koła wozów. Idzie się świetnie, ale musimy być czujni. Na takich drogach łatwo o niechciane spotkania.

Lewa, prawa, prawa, lewa, śmierć.

Nie chcę o tym myśleć. Wolę wrócić do monotonnego spoglądania na koniuszki butów. Przecież kilku z naszych zostawiliśmy pochowanych w błocie, z dała od traktów. Został po nich brzoźowy krzyż i wpis w dowódczym dzienniku, żeby w przyszłości odnaleźć miejsce ich spoczynku i godniej podziękować za poświęcone życie. Na początku bałem się śmierci. Potem już tylko przerażała mnie jej konkretna forma związana z długim konaniem po postrzale lub leżeniem z oderwanymi kończynami i czekaniem, aż zgaśnie to, co zgasnąć musi. Zabijania też za bardzo nie kojarzę. Czy komuś odebrałem życie? Jak się strzela po lasach, to ciężko stwierdzić, czy to ja, czy kto inny oddał śmiertelny strzał. Ale przypomina mi się zakrwawiony bagnet. Nie zawsze jednak odbieraliśmy życie. Kilka razy się zdarzyło, że opatrywaliśmy rannego i zostawialiśmy go na skraju wsi, jak udowodnił, że przemocą został wcielony. Raz też trafiliśmy trzech naszych dezertów. Do domu uciekali, bardziej zaaferowani, co z ich wsi zostało po przejściu bolszewików, niż obroną dopiero co odzyskanego kraju. Żał mi ich było, bo trochę rozumiałem ich postawę, ale w takich przypadkach rozkaz był strzelać. A jednak Kajzer nie ustawił ich pod ścianą. Mieliśmy taką wieś, gdzie mieszkali życzliwi nam ludzie. Musieliśmy przenieść się w inne miejsce, ale dowódca zostawił tych trzech pod opieką mieszkańców. Mieli przez dwa tygodnie pracować dla nich, winy odkupić, a potem by ich puszczono, żeby do domu doszli. Paru chłopaków nie kryło oburzenia, ale ja byłem zadowolony. Nie chciałem zabijać swoich.

Ciemno już. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca odnajdujemy niewielki leśny wąwóz z dala od drogi. Wyznaczenie wart, ustalenie hasel i dróg ewakuacji. Padamy, tak jak staliśmy. Bez ogniska, bez biwakowej krzątaniny. Chwila snu i w drogę.

Lewa, prawa, lewa, prawa, kilometr po kilometrze.

Dowódca zna się na rzeczy, prowadzi nas, dzięki mapom sztabowym ustalając co prawda nie najłatwiejsze, ale skryte marszruty. Po lasach poruszam się już tak, jakbym spędził w nich całe życie, ja, który właśnie niemal całe życie spędziłem w Warszawie. Już się nie boję. Jeszcze kilka, kilkanaście, a może kilkadziesiąt kilometrów. Słysząc gdzieś odgłosy intensywnych walk. Dojdziemy tam, dokąd nam rozkazano, i okaże się, czy przywita nas wciąż wolny kraj, czy czeka nas ponowny koszmar rusyfikacji.

A może jeszcze zdążymy włączyć się do walki i wpiszemy się na karty historii?

Prawdę mówiąc, chcę tylko, aby ta podróż się skończyła, i bym wreszcie mógł zdjąć buty.

MAREK STRZAŁA

PANIE BABEL

Musimy sobie coś wyjaśnić panie Babel, stąd ten list.

Dlaczego nie zwracam się do was „towarzyszu Babel”? Przywłaszczyliście sobie to zacne przedtem pozdrowienie, zbolszewizowali i obrzydzili je wszystkim przyzwoitym ludziom. Żaden uczciwy robociarz nie powie dziś bez obrazy do drugiego „towarzyszu”. Mógłbym was od biedy nazwać „kolegą”, skoro obu nam przyszło walczyć w 1920 roku. Prawda, że po przeciwnych stronach... Cóż zrobić, żołnierska rzecz. Bo nie odmawiam wam, panie Babel, miana żołnierza, choć jako politruk walczyliście z za cudzych pleców propagandowym szmatławcem, gdy ja zwyczajnie z karabinem i szablą w dłoni, jak to szeregowy ułan.

Wracając jednak do sedna, chciałbym wyjaśnić kilka spraw. A pierwsza jest taka, że teraz już nie żałuję, że was nie zabiłem, gdy miałem po temu sposobność. Trzymałem was na muszce karabinu i chybiłem. Nie muszę się tego wcale wstydzić. Czmychaliście z tamtym drugim jak zające, a odległość była może z trzysta kroków. Trafić celnie w takich warunkach na polu bitwy – czysty hazard. Mamy w Polsce powiedzenie, że żołnierz strzela, ale to Pan Bóg kule nosi. Ale przecież wy, bolszewicy, w Pana Boga nie wierzycie...

Tak, byłem jednym z tych dwóch polskich ułanów na początku sierpnia koło Brodów, dziś w województwie tarnopolskim, którzy walili do was z karabinów spod chaty we wsi Klekotów, jak to dość wiernie opisujecie w swojej książce o *Armii Konnej*. Dla waszej informacji powiem, że nie czailiśmy się na jakichś tam maruderów, takich jak wy i wasz wachmistrz

Afońka. Z moim pułkowym kolegą pojechaliśmy na ochotnika samowtór zwiadem do owych Klekotów, a potem spieszeni, konie przywiązawszy do sztachet płotu, trzymaliśmy tylko we dwóch wieś do przybycia naszej baterii. Podobnie jak was, odpędzaliśmy strzałami też innych bolszewików Budionnego. Wszyscy oni pierzchali pod karabinowym ostrzałem dwóch polskich ułanów, więc nie macie się czego z wachmistrzem Afońką tak bardzo wstydzić.

To prawda – strzelałem, żeby zabić. Byliście mi wrogiem. Niektórzy mówią „to nic osobistego”, tylko zwyczajnie, jak na wojnie. Lecz dla mnie to była sprawa najzupełniej osobista. Na pewno pamiętacie, panie Babel, 7 czerwca 1920 roku i szpital w Berdyczowie? Choć pewnie nie pamiętacie Anny, tamtejszej sanitariuszki, której ja nigdy nie zapomnę. No tak, wy oczywiście byliście wtedy w Żytomierzu, 40 kilometrów na północ od Berdyczowa, kilka godzin marszu, gdzie wasi przemogli naszych i gdzie z miejsca wymordowaliście cały nasz garnizon. Że niby my też nie braliśmy jeńców? W tymże Żytomierzu oswobodziliście kilka tysięcy bolszewickich żołdatów, schwytyanych przez nas do niewoli w poprzednich miesiącach. To skąd się oni wzięli?

Tak bardzo chciałem was zabić wtedy pod Brodami! Może właśnie dlatego chybiłem? Przecież jak na ułana wcale dobrze strzelałem z karabinu. Paręset metrów to nie jest wielki dystans, nigdy nie pudłowałem z tej odległości. Wtedy, gdy w was mierzyłem, znów stanęła mi w pamięci słodka buzia Ani, uśmiechnięta, z rozkosznymi dołeczkami na różanych policzkach... Oko zaszło łzą. Na muszce miałem gamoniowatego bolszewika w śmiesznych na wojnie drucianych okularach. Biegł niezdarne, pokracznie przebierając krótkimi nóżkami. A uciekaj sobie, kuli i tak nie ujdiesz... Nie całkiem dobrze widziałem, bo kształty miałem rozmyte, ale uciekający bolszewik był bez karabinu tylko z naganem, czyli oficer. Tym lepiej. Chciałem jak najstaranniej celować, ale nie mogłem odpędzić wspomnienia tej uśmiechniętej słodko buzi Aninej... Teraz, gdy o tym myślę, przemyka mi przez głowę, że może to właśnie Ani i jej

uśmiechniętej twarzyczce zawdzięczacie życie, panie Babel. Może ze wzruszenia ręka zadrżała, może wzrok się przyćmił...

Przecież tak bardzo chciałem was zabić. Was i każdego bolszewickiego diabła z konnej armii Budionnego. Za moją Anię, zamęczoną razem z innymi pielęgniarzkami, i za moich 600 rannych towarzyszy broni, spalonych żywcem w szpitalu w Berdyczowie. Nie wiem, co im wszystkim zrobiliście jeszcze przed śmiercią. Nie chciałem myśleć, co mogło spotkać moją Anię z rąk tych zwyrodnialców, zanim ją uśmiercili. Była taka dobra, zawsze uśmiechnięta, wszystkim śpiesząca z pomocą w byle drobiazgu, każdego rada wysłuchać, każdego gotowa pocieszyć dobrym słowem...

„Anioł powinien mieć takie jasne oblicze!” – pomyślałem, gdy pierwszy raz je zobaczyłem pochylone nad sobą. Ze świetlistych oczu biła czuła troska, lecz na pełnych ustach igrał łagodny uśmiech. Kiedy galopujesz w szarży, a znienacka skosi cię seria kulomiotu, i lecisz w czeluść, i ogarnia cię ciemność, to człowiek albo nie spodziewa się już widzieć niczego, albo ujrzeć takie właśnie anielskie lica. „Bardzo boli?” – zapytał anioł melodyjnym głosem nabrzmiętym słodyczą. Dopiero wtedy poczułem przeszywający ból i już wiedziałem, że mi do rajku wciąż daleko. Mimo wszystko chwilę zajęło, zanim pojąłem, że jestem w szpitalu polowym i mam przy sobie anioła stróża w pielęgniarzkim fartuchu. Tak poznałem Anię.

Nie było nas wielu rannych, raptem kilkoro naszych i paru jeńców bolszewików. Szpital urządzono w małym dworku otoczonym biało kwitnącym sadem. W drugim pokoju leżało jeszcze z tuzin zakaźnie chorych, głównie na tyfus i dyzenterię, ale i tak siostry nie miały wielu podopiecznych. Ania prawie nie odstępowała od mojego łóżka. Karmiła, poila, pielęgnowała, czytała mi na głos. „To dlatego, że jestem najciężej ranny” – myślałem. Szybko jednak dobrzałem. Tymczasem Ania, wbrew moim obawom, wcale nie przychodziła o wiele rzadziej. Mniej teraz było pielęgnowania, za to mogliśmy dużo rozmawiać. Dowiedziałem się od niej o naszym wielkim triumfie w Koziatynie, gdzie przy niewielkich stratach (tylko 9 zabitych!) wzięliśmy w tym węzłowym mieście kolejowym 2000

jeńców i zdobyli 80 lokomotyw, 2000 wagonów, dziesiątki armat, parę setek kulomiotów, tysiące karabinów i zatrzęsienie amunicji. A już kilka dni później nasi zajęli Kijów.

Żałowałem, że rana odniesiona we wcześniejszej potyczce pozbawiła mnie udziału w wiktorii koziatyńskiej, ale z każdym dniem żałowałem mniej, a potem wcale... Miałem przy sobie Anię i tylko to się liczyło. Gdy odchodziła do swoich obowiązków, cierpiałem męki, choć widziałem, że każdą kolejną wolną chwilę spędzi przy moim boku. Tego samego dnia co Koziatyn nasi zdobyli Berdyczów i wkrótce wszystkich nas przeniesiono do tamtejszego szpitala. Jechałem ułożony na pośłaniu na furmance suto wysłanej pachnącym sianem, a Ania całą drogę siedziała tuż przy mnie. Zdjęła czepek i gdy wietrzyk pieścił jej włosy, ja wyobrażałem sobie, że falują pod moimi palcami. Niekiedy pochylała się nade mną, niby to sprawdzając coś z troską, a wtedy jej włosy łaskotały moje policzki i czułem w nozdrzach ich cudny aromat.

Po przyjeździe do Berdyczowa z każdym dniem byłem silniejszy i mogliśmy już chodzić z Anią na coraz dłuższe spacerunki. Tak, żadne z nas nie miało wątpliwości. Pokochaliśmy się od pierwszego spojrzenia. Ledwie to pojęliśmy, nadeszły złe wieści z frontu. Pod przemożnym naporem świeżych armii bolszewickich nasi zmuszeni zostali do odwrotu spod Kijowa. Pod koniec maja do szpitala zaczęli napływać wartkim potokiem ciężko ranni. Moje chwile z Anią były teraz krótkie i przelotne. Ja sam czułem się już całkiem zdrów, rana się szybko goiła. Ucałowałem moją Anię mocno na pożegnanie i ruszyłem z Berdyczowa za swoim pułkiem na zachód. Przysiągłem szybko wrócić... I tak, panie Babel, wieść o zagładzie berdyczowskiego szpitala i mordzie na wszystkich jego pacjentach, lekarzach i pielęgniarzach z ręki waszej Konarmii dosięgła mnie, nim znów mogłem dosiąść konia z szablą w dłoni.

Przed waszym przybyciem na front też nie działo się pięknie. Wojna była straszna. Wróg bezwzględny. Biliśmy bolszewików bez litości. Tak samo oni nas. Bez pardonu. Żołnierska rzecz. Potem pojawiliście się wy, konna armia Budionnego. Zbieranina najpodlejszych degeneratów

wyhodowanych na rzezi, gwałcie i rabunku w najciemniejszych ostępach Rosji. Zapanowało okrucieństwo, jakiego świat nie widział. Powszechny mord – oto prawdziwe imię waszej armii konnej. Jedna zbrodnia plugawsza od drugiej, jakby każdy oprawca pod komendą Budionnego chciał innych przelicytować w potworności. Nie muszę tego panu, panie Babel, tłumaczyć ze szczegółami, bo widział pan dość na własne oczy.

Pamiętam wioski po przejściu waszej Konarmii. Spalone obejścia. Inwentarz rozgrabiony. Obnażone trupy kobiet. Okaleczone ciała mężczyzn zwalone na stos w podwórzu. Bywało, że z innymi leżały i zwłoki dzieci.

Zrujnowanym wojną i głodującym nieraz rolnikom siłą zabieraliście resztki strawy. Kto nie chciał dać albo nie miał, tego biliście i torturowali. Nawet pan, panie Babel, inteligent z Odessy, szedł w ślady swoich dzikich kompanów i dość szczerze to opisał, niby na spowiedzi. Jest takie jedno pańskie opowiadanie w książce *Armia Konna*, które nie daje mi spokoju: o wygłodzonej wieśniaczce, co to nie miała już ni kęsa dla siebie i swojego dziecka, a wtedy pan, panie Babel, przystawił jej rewolwer do piersi, żeby dostać kapuśniaku. Czy naprawdę zabiłby pan nieboraczkę, gdyby nie kolega, który zatrzymał ją żywą do wykorzystania w chuci? I to drugie opowiadanie, gdy podpalił pan słomę w chacie starej chłopki, żeby oddała ukryte przed wami jadlo...

Nie oszukujmy się. Pańska książka pod tytułem *Armia Konna* to wredna i kłamliwa antypolska bolszewicka agitka literacka. I nic dziwnego, skoro spłodził ją były czekista i polityczny komisarz Budionnego. Jednak z drugiej strony, stworzył te opowiadania również prawdziwy pisarz, który ukazał prawdę o Konarmii w całej jej przeraźliwej ohydzie. Gwałty, mordy, rabunki, sadystyczne okrucieństwo wobec swoich i obcych, tchórzostwo – wszystko to pokazane jako zwykła, codzienna sprawa. Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego bywało tak, że całe oddziały waszej Armii Konnej poddawały się nam i prosiły, żeby mogły przy naszym boku natychmiast ruszyć w bój przeciw niedawnym towarzyszom i prac bolszewików

Budionnego. I wie pan co, panie Babel? Oni często wcale dobrze się bili po naszej stronie...

W pana książce o Armii Konnej nie ma prawie wcale porządnych ludzi. Nie wiem, czy takich pan nie spotkał, czy ich nie rozpoznał, ale tak czy inaczej, współczuję. Nawet spośród przedstawionych starozakonnych tylko o nielicznych pisze pan życzliwie. A przecież to pana pobratymcy i w tamtej wojnie ciężki ich dotknął los. Zrazu sprzyjali wam, bolszewikom, wypatrywali z nadzieją nadejścia waszych wojsk, aż nadciągnęła bolszewicka Armia Konna, przynosząc im mord i gwałt. Wie pan o tym lepiej ode mnie, bo przecież widział pan wszystko na własne oczy. Ja oglądałem tylko trupy wymordowanych izraelitów i ich splądrowane domostwa po odejściu kozaków Budionnego. Dlaczego wprost pan o tym nie pisze, panie Babel? Dlaczego zamiast nazwać rzecz po imieniu, zawsze zastępuje pan słowo „Kozacy” mianem „Polacy”, komu innemu kłamliwie przypisując zbrodnie pańskich towarzyszy broni, którym bał się pan wyjawić swoje wyznanie i pochodzenie, podając się za Rosjanina o nazwisku Kirył Lutow, syna Wasyla Lutowa.

Wdzięczny jestem jednak za to, że pokazał pan w swoich opowiadaniach okrucieństwo tamtej naszej wojny. Zwyczajne wojenne okrucieństwo. Wtedy, w 1920 roku, byłem świadkiem bohaterstwa, poświęcenia, męczeństwa moich rodaków, a także hartu, wytrwałości i koleżeństwa, ale to opisali inni. Tymczasem pan, panie Babel, dał tak wymowne świadectwo wojennych okropności, w szczególności cierpień i nieszczęść cywilów, bez różnicy wyznania i narodowości: katolików, żydów i prawosławnych. Niech będzie ono przestrogą. Osobliwie teraz, gdy w oczy zagląda nam nowa wojna z Niemcami. Moja żona pociesza, że Niemcy nie bolszewicy, inna kultura, a nasza Polska jest dziś silna i mamy za sojuszników największe światowe potęgi Francję i Anglię... ale ja wiem swoje. Gdy przyjdzie potrzeba, znów włożę mundur, jednak stałem się już innym człowiekiem i nie gardzę śmiercią jak tamten młodzik, którym byłem, gdy gromiliśmy bolszewicką Armię Konną.

Chociaż tak bardzo chciałem was zabić wtedy pod Brodami, dzisiaj już nie żałuję, że z Bożej woli stało się inaczej. Umknęliście moim kulom, żeby po latach napisać swoją książkę o Armii Konnej. Gorzką i straszną. W wymowie też przejmująco prawdziwą, bo choć nie umieliście, panie Babel, oddać nam sprawiedliwości i zaślepiła was nienawiść do każdego Polaka, to pański talent literata i pisarska ambicja zdradziły prawdę o bolszewikach Budionnego i wojennej ohydzie, jaką sprowadzili na nasz padół. Lepiej się stało, co dziś rozumiem, że chybiłem i uszliście z życiem, bo nie byłoby waszej książki o Konarmii. A przecież dobrze, że jest.

A inny powód, że nie żałuję już teraz niezabicia was, panie Babel, jest taki, że strzelałem do zbrojnego wroga, jakim mi się przedstawialiście, choć haniebnie czmychającego. Tymczasem dziś wiem z pańskiej książki, że marny z was był wojak i żadnej krzywdy nie mógł nam uczynić. Więc po co takiego zabijać? Jakkolwiek sam pan się prosił o kulkę, panie Babel, napadając na mój kraj w hordzie niosącej mord i pożogę.

Było was trzydzieści tysięcy i byliście dobrze uzbrojeni, że tylko pozazdrościć. Mieliście działa i karabiny maszynowe, parę dywizjonów samochodów pancernych i dywizjon czołgów, 3 eskadry lotnicze, 4 pociągi pancerne i amunicji co niemiara. Nam wszystkiego brakowało, prawie wszystko było u nas zdobyczne. Nasi, bywało, walczyli do ostatniego naboju, nim ich dopadliście i zamęczyli. Niemcy i Czesi odmawiali przepuszczenia dostaw materiałów wojennych dla Polski. W Gdańsku stały nierozładowane statki z polską bronią i amunicją. A do bolszewickiej Rosji dostawy z zachodu Europy płynęły bez przeszkód.

Tak, na początku próbowaliśmy was zatrzymać. Potem przyszło się już tylko cofać, możliwie stawiając opór i krusząc wasze siły. Aż nadszedł ten wielki dzień, kiedy za nurtem Styru, na południe od Beresteczka zamknęliśmy was w potrzasku. To powinien być wasz koniec. „Rozbijemy ich w puch, całą tę konną armię, pomścimy zbrodnie, zniszczymy diabelski pomiot pustoszący naszą polską ziemię” – tak myślałem wtedy z moimi towarzyszami broni. Zapłacą za wszystkie krzywdy i za moją Anię! Byłem tego pewien, gdy strzelałem do was, panie Babel, we wsi Klekoty. I tak

powinno się stać. I byłoby już po was. Kiedy, cóż, nadszedł owego 2 sierpnia rozkaz Naczelnego Wodza: zostawić na razie Budionnego, wycofać się i ruszyć na pomoc Warszawie zagrożonej głównymi siłami bolszewickimi na północnym froncie.

Gorzki to był odwrót. Zamiast dokonać dzieła i położyć ostateczny kres zbrodniczej Armii Konnej bolszewików, cofaliśmy się, ponosząc wielkie straty, a tuż za nami kroczyły w głąb Polski mord, grabież i gwałt. A wtedy nadeszła wiktoria w Bitwie Warszawskiej. Wam w Armii Konnej zdawało się, że idziecie na odsiecz bitym na froncie północnym bolszewickim armiom, a szliście prosto pod nasze szable. Ostatniego dnia sierpnia stanęliśmy naprzeciw sobie pod Komarowem koło Zamościa, nas 1500 polskich ułanów przeciw 6000 bolszewików pozostałych jeszcze w Armii Konnej, naszych sześć pułków przeciw waszym dwudziestu.

Nasze oddziały napierały ze wszystkich stron na liczniejsze siły Armii Konnej. Przygwożdżone kozackie dywizje Budionnego w kilka tysięcy szabel odgryzały się boleśnie osłabionym polskim szwadronom. I oto nasze dwa pułki ułanów, ósmy i dziewiąty, miały zadać decydujący cios. Czuję, jakby mi skrzydła rosły, gdy spiąłem swojego gniadosza i z uniesioną szablą ruszyłem cwałem z innymi, w niepowstrzymanej szarży na skłębioną bolszewicką masę. Runęliśmy na wroga niby jastrzęb na zającą. Cóż z tego, skoro trafiliśmy w próżnię... Zamiast dotrzymać nam pola i przyjąć walkę, Kozacy rozpierzchli się na wszystkie strony. Nasze dwa pułki w impecie przegalopowały na wskroś przez pozycje bolszewickie, a mnie aż ścisnęło z żalości w gardle, że łotry znowu uszli sprawiedliwości z mojej ręki.

Jak niepyszni wróciliśmy całym pułkiem na pole bitwy od drugiej strony. Bój był teraz zażarty. Oko za oko, ząb za ząb. Kozacy chyba zobaczyli, że mają przewagę liczebną i twardo dotrzymywali pola naszym. Na nowo uformowaliśmy nasz pułk do szarży i ruszyli galopem na bolszewików. Wbiliśmy się w szeregi kozackie i zepchnęli wroga, zdobywając tabory i w nich samochód samego Budionnego. Jeszcze próbowali, jeszcze się odgryzali. Aż wreszcie pękła ich wola i rzucili się do ucieczki. To był koniec.

Pod Komarowem my, Polacy, mieliśmy 300 zabitych i rannych, podczas gdy konna armia Budionnego straciła blisko 4000 ludzi. Jej niedobitki ruszyły z powrotem ku wschodowi, by nigdy nie wrócić.

I tak oto, panie Babel, obu nam przyszło uczestniczyć w ostatniej w dziejach wielkiej bitwie kawalerii i tym samym zamknąć wspaniałą tradycję jazdy po kilku tysiącletnich wojennej chwały. I znowu, jak pod Wiedniem, szarża polskiej konnicy zniszczyła najazd barbarzyńców i ocaliła Europę. Jak kilka dni wcześniej Bitwa Warszawska oddaliła bolszewickie zagrożenie na froncie północnym, tak bitwa pod Komarowem zadała ostateczny cios hordom Sowietów na froncie południowym i przesądziła definitywnie wynik całej wojny. Wygraliśmy.

I co mi zostało? Nie miałem już swojej Ani. Dopadłem jej oprawców. Wytrzebiliśmy z polskiej ziemi plugastwo Budionnego. Kres wojny oznaczał i dla mnie koniec wszystkiego. Po co żyć? Wtedy dobry Bóg cudownym zrządzeniem skrzyżował nasze ścieżki. Boży znak na moje zbawienie.

Wtedy, w Krakowie, stojąc na peronie kolejowym, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Stała w tłumie pośród waliz i kufrów. Ten sam dziewczęcy uśmiech, ta sama słodka buzia i różane policzki z rozkosznymi dołeczkami. Podbiegłem. „Aniu! To naprawdę ty? Więc żyjesz!” – zawołałem, a ona rzuciła mi się na szyję. Jak szalony zacząłem całować jej rękę, a ona śmiała się perliście. „I ty nie poległeś jak mówili!” – krzyczała mi do ucha. „Ale powiedz jak się wyratowałaś?” – pytałem, nie posiadając się ze szczęścia. „Przyszedł list z domu, że tato bardzo chory, umierający. Więc zaraz pojechałam do Zamościa, na dwa dni przed przyjściem bolszewików. Jak tato wydobrzeł, Bogu niech będą dzięki, wtedy mi powiedzieli, co się stało z naszym szpitalem w Berdyczowie”.

Ania opowiedziała mi, jak przetrwali oblężenie Zamościa przez bolszewików z Armii Konnej Budionnego. Jak się bali, co z nimi wszystkimi będzie, gdy Zamość padnie. I jak potem nasłuchiwali wieści o bitwie pod pobliskim Komarowem, i jak przyszła wiadomość o naszej

wiktorii... Byliśmy tak blisko, ona w Zamościu, ja nieopodal, koło Komarowa. Gdybym tylko wiedział!

Potem Ania wyznała mi też, jak poznała po wyjeździe z Zamościa swojego narzeczonego, że jest on kapitanem z Legionów i poetą, i jak bardzo się kochają. Teraz właśnie jechała do niego do Warszawy. Żeby tylko był jakiś pociąg, bo wiadomo, że kolej na razie jeździ kulawo...

I tak pożegnaliśmy się na tym peronie kolejowym w Krakowie na zawsze. Pytałem serca, czy zniesie cios, ale ono znów biło mocno, młode i ochocze. Bom też przecie już dawno pogrzebał swoje kochanie, wtedy po wieści o zbrodni w berdyczowskim szpitalu. A czy mogłem mieć żal do Ani, że nie szukała mnie niczym Izis Ozyrysa, nie czekała, aż ja ją odnajdę niby Penelopę Odys? Takie są te wojenne miłowania, co płoną jak żagiew gwałtownie w dziejowej zawierusze i gasną z nastaniem spokoju. Cóż zrobić, widać nie było nam z moją Anią pisane powojenne szczęście we dwoje. Mnie wystarczyło, że się uratowała, że jest, że ten promienny uśmiech i te słodkie dołeczki na policzkach nie zniknęły ze świata.

Wróciłem do życia. Gdy minęła wojenna potrzeba, wojsku stałem się zbędny. Innym często trudno było się z tym pogodzić. Ja po powrocie do rodzinnego domu bez większego żalu zawiesiłem swoją ułańską szablę pod ryngrafem na kilimie: dla ozdoby i pamiątki. Skończyłem kursy i zostałem nauczycielem. Ożeniłem się z kobietą, którą pokochałem nad wszystko, choć brak jej dołeczków na policzkach, gdy się śmieje. Ma za to najpiękniejsze w świecie chabrowe oczy. Moja żona mawia, że nadejdzie wielka wojna, skoro urodziło nam się aż czterech synów.

Jak słyszę, popadł pan ostatnio w niełaskę w swojej komunistycznej ojczyźnie. Bardzo mi przykro z tego powodu i szczerze współczuję. Pan, panie Babel, wie najlepiej, jaka dola czeka podobnych nieszczęśników. Był pan przecież blisko z tym stalinowskim katem Jezowem i jego żoną (mówią nawet, że został pan jednym z jej kochanków), i ponoć to oni właśnie pociągnęli pana za sobą w przepaść. Jezowa mi nie żal, zasłużył na najgorszy los, również za tych sto tysięcy moich rodaków, których kazał w ostatnich latach zamordować strzałem z rewolweru w tył głowy, co ponoć

uchodzi u was za „humanitarny” sposób dokonywania egzekucji. Panu jednak życzę wyjścia z opresji i modłę się, by pana udziałem nie stało się teraz to samo, co wcześniej spotkało ofiary pańskiego patrona Jeżowa. Tak, modłę się za pana, panie Babel – ja, który w 1920 strzelałem, żeby pana zabić... Oby nic już gorszego nie przydarzyło się panu z rąk bolszewickich oprawców i żeby pana szybko uwolniono z więzienia.

Długo zwlekałem z napisaniem niniejszego listu, lecz teraz być może nadciąga nowa wojna i nadeszła pora. Nie wysyłam go od razu, bo rzecz musi zaczekać na pańskie wyjście (oby rychłe!) z więzienia. Wyekspediuję list, jak tylko dowiem się, że znów jest pan na wolności. Mam nadzieje, że w swoim czasie trafi on w pańskie ręce.

* * *

Post scriptum

Mój dziadek zmarł w 1993 roku, w wieku 93 lat. Powyższy list, pisany dość wprawną ręką na kilku arkuszach pożółkłego papieru, znalazłem wśród pozostałych po nim papierów. Dziadek uczestniczył jako żołnierz w I wojnie światowej, a następnie brał udział w wyprawie na Kijów i w Bitwie Warszawskiej. Nie był jednak nigdy ułanem. Przeciwnie, całe życie zamiłowany w pojazdach mechanicznych, w polskim wojsku służył w 1920 roku jako kierowca, a potem w cywilu prowadził najdroższe kołowe wehikuly – lokomotywy. Kto jest zatem autorem listu do sowieckiego pisarza Izaaka Babla, listu pisanego najwyraźniej latem 1939? Przyjaciół? Ktoś z rodziny? Późniejszy towarzysz broni mojego dziadka z akowskiej konspiracji? Niestety, pod listem brakuje podpisu, a nieliczne ujawnione w treści szczegóły biograficzne nie pozwalają na identyfikację. Zwłaszcza teraz, po stu latach, jakie dzielą nas od wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku, i po 80 latach od rozstrzelania Izaaka Babla na polecenie Stalina, jako rzekomego trockistę, francuskiego szpiega i terrorystę. Podobno Babla zabił strzałem w potylicę ulubiony oprawca generalissimusa, tenże sam

Wasył Błochin, który parę miesięcy później własnoręcznie zamordował kilka tysięcy polskich więźniów z obozu w Ostaszkowie...

KAMILA SZMIGIEL

TRZY KOLORY KSIĘDZA

Indygo I (1920)

Kiedy się umiera, to nie jest tak, że przestaje się widzieć. Oczy zamykają się jedynie na świat ludzi, ponieważ wszystko jest w nim niejasne i rozmyte. Po śmierci widzi się lepiej i ostrzej, kontury są wyraźne i dopracowane mimo początkowego wrażenia, że przemyka się w półmroku. Śmierć ma kolor, któremu najbliżej do palonego cynamonu – właśnie taką dłonią w rdzawym odcieniu zabiera mi ostatni oddech i kładzie do swojego koszyka. Nie wiem, jak to możliwe, ale wypadam z wiklinowej trumny, w której śmierć nosi dusze. Musiałam się zsunąć... jestem lekka, w końcu gruźlica zjadła całe moje płuca. Opadam w czasie i zawisam gdzieś pośrodku. Kilka razy trącają mnie inne dusze, ale one są z innej faktury, lśnią złotem, bawełną i pachną starymi księgami. Niby znajome, ale brzmią zupełnie inaczej, jakby ktoś złamał muzykę skrzypiec.

Wpadam w grupę poszarzałych cieni, w których słyszę odgłos dział i monotonię serii karabinów. To żołnierze, którzy zginęli. Może jest wśród nich mój ojciec? Major, który poszedł na wojnę. Nie dostałam od niego właściwie żadnego listu poza tym, w którym oschle poinformował mnie, że znalazł się w kaliskim 203 Pułku Ułanów. I nic więcej.

– Zawsze tak było. Nie ucieszył go nawet twój widok, kiedy wyszłaś z ciemności na światło urodzin. Twoja matka była artystką kabaretową i zostawiła cię tuż po porodzie. Uciekła z oszustem karcianym. Twój ojciec nie miał nawet pewności, czy jesteś jego dzieckiem, ale zawsze mówił, że

honor nie pozwoliłby mu cię zostawić. Wychowywał cię więc przez całe dwadzieścia lat bez słowa. Nigdy na ciebie nie krzyknął, nie uderzył cię. Ani nie przytulił. Zawsze stał z boku i patrzył spod czoła, jakby już samo patrzenie na ciebie go bolało. To z powodu podobieństwa do matki. Ale on cię kocha na swój sposób, Aniu – powiedziała kiedyś babcia.

Może więc wiadomość o moim zgonie wcale go nie zasmuci? Wreszcie umarłoby to, co łączyło go z kobietą, która tak go zawiodła. A poza tym jest majorem, może świetnie sobie radzi na tej wojnie i tylko bym mu przeszkadzała. W końcu wojna wymaga skupienia. Robi się jakieś plany na mapach, przesuwa się tekturowe kształty, które w rzeczywistości mają skórę, kości i serce, ale w tej rozgrywce są tylko kulami na wielkim bilardzie strategii. I co to za radość, zobaczyć koło siebie córkę, która wcale nie musi być córką. Tak. To nie ma żadnego sensu. Pójdę w odwrotnym kierunku i sama znajdę śmierć, która mnie zgubiła. Ale dokąd iść? W zaświatach nie ma żadnych drogowskazów. Droga jest tylko jednolitą rzeką, przemykającą między falującą architekturą snów.

Och, są i rozdroża. Którą stronę mam wybrać? Chyba prawą, wydaje się jaśniejsza i przypomina mi sad babci. Moje kroki mieszają się z szumem liści. Dziwna zaiste to droga. Ciągnie się labiryntem ceglanych chmur, które prowadzą do miasta. Panuje w nim cisza, jakby nigdy nie było tu żadnego jarmarku, żadnej zabawy ani żadnego święta. Krzywe budynki falują przed moimi oczami, a latarnie zakrzywiają się, jakby chciały mi się dokładniej przyjrzeć. Wchodzę w kręte ulice, którymi płyną wspomnienia i echa ludzi. To ci, o których nikt już nie pamięta. Rozmazują się i sami o sobie zapominają, błakają się tuż przy ścianach kamienic i patrzą przed siebie pustymi oczami. Nie ma w nich ani jednej świecy. Jedna z dawnych kobiet łapie mnie nagle za rękaw.

– Panienska mnie zna? Panienska zna moje imię?

– Nie, nie znam... – odpowiadam.

– Nie zna, nie zna... – powtarza zawiedzione echo.

Inne dusze, gdy tylko to słyszą, zbiegają się jak bezdomne dzieci zwabione obietnicą cukierka. Głosy i języki mieszają się, coraz mocniej

wczepiają się we mnie. Zimnymi palcami dotykają moich włosów i policzków, halki wystającej spod sukni i medalionu. Zaczynam słabnąć... moje ciało w odcieniu indygo migota nerwowo, a przed oczami pojawiają się mroczki zaduchu jak przy atakach suchot. Muszę się uwolnić... Wyrrywam się im, chociaż to wcale nie jest proste, niektóre dusze wessały się już we mnie chciwie i chcą zabrać kawałki mojego światła, rzucam w nie medalionem, który w mig porywają i walczą o niego, jakby był kluczem do ich wyzwolenia. Uciekam.

W świecie zmarłych nadchodzi zmrok. Kolor ciemniejącej lawendy rozlewa się po odwróconym niebie. Księżyc rozświetla bladym wzrokiem senne miasta, które przesuwają się po szachownicy nocy. Sen rozsypuje złotymi skrzydłami gwiazdny pył na nasze powieki. Mimo to nie zasypiam. Przechodzę między grobami i szukam imion. Dawnych imion, które jeszcze pamiętam. Chciałabym znaleźć kogoś, kogo znam, ale nikt nie przychodzi mi do głowy. W końcu wpadam na duszę kogoś młodego. Ma ona odcień gasnącej bieli.

– Zaczekaj, panienko. Jest panienka córką majora Dąbrowy? – pyta dusza.

– To prawda.

– Wiem, że mnie panienka nie zna. Moje imię nie jest ważne. Pewnie zapomną mnie, tak jak wszystkich, zasypanych gdzieś w masowym grobie. Ale kiedy odchodziłem, przeszedłem długą drogę, podczas której pomogłem odejść wielu zagubionych. I zobaczyłem, że major bardzo martwi się o panienkę. A teraz jeszcze panienkę tu spotykam. Co się stało?

– Zmarłam na suchoty. Szukam śmierci, wypadłam jej z koszyka.

– Nie wiem, gdzie można znaleźć śmierć, ale jeśli chce panienka, mogę pokazać drogę do ojca panienki. Ci, których nie zabrała śmierć, mogą wciąż przenikać zasłonę, choćby na chwilę.

– Ale po co miałabym iść do ojca?

– Po to, żeby wyprzedzić śmierć? Może celowo panienkę z niego wyrzuciła. Jakby chciała powiedzieć, że pozostała ważna sprawa do

zamknięcia na ziemi. Bo jeśli nie zamknie się życia, nie można odejść razem ze śmiercią.

– Zamknęłam życie, nic mnie z nim nie łączy.

– A ojciec? Czy zdążyła panienka się z nim pogodzić przed śmiercią?

– Nie mam po co się z nim godzić, bo nigdy mi niczym nie zawinił. Jaka winę ma traktowanie jak powietrze?

– Więc jednak nie potrafi panienka zaznać spokoju. Coś ciągle panienkę tam w środku gryzie. Cięży kamieniem na sercu i nie pozwala się oderwać od życia. Nawet trumna nie rozdzieliła panienki z żalem, który czuje. Pomodłę się za panienkę.

– Modlitwa?

– Tak. W końcu jestem księdzem.

– W takim razie przepraszam... powinnam się zwracać „proszę księdza”, nie „proszę pana”. Nie wiedziałam...

– Nic nie szkodzi. Tutaj tego nie widać. To w końcu świat zmarłych. Ale nawet tutaj można wybaczać.

– Może mnie pa... ksiądz zaprowadzić do ojca. I tak nie mam tu żadnych perspektyw oprócz patrzenia w niebo i księgi umarłych. Ale czy jest daleko stąd?

– Widać niezbyt długo przebywa panienka w zaświatach, jeśli nie wie, że odległość tu tak naprawdę nie istnieje. Trzeba przeniknąć tylko odpowiednie drzwi i przejść przez materię, która siłą chce nas powstrzymać, ponieważ jesteśmy dla niej obcy, a nasz dotyk chłodzi ją jak lód. Proszę za mną.

Skrećam w wąską ulicę i zatrzymuję się na placu. Nigdy wcześniej tu nie byłam, jakby to miejsce ukrywało się przede mną. Z placu wyłania się wysoka brama, która nie stoi w miejscu, ale się kołysze. Nie zbudowano jej z żelaza, tylko z nici. Z przędzy o wielu kolorach i strukturach.

Przechodzę przez bramę... Wpadam w wir świstów i krzyków. Kształty o różnych barwach kotłują się w błędnym kole krzyków, modlitw, wspomnień. Gdzieniegdzie pojawiają się czerwone kontury, które kłują i

prześlizgują się jak węże. Niektóre migoczą słabo i widzę, że zostało im niewiele czasu, upadają, a ich melodia cichnie.

– Dalej musi już panienka iść sama.

– A jeśli go nie znajdę?

– Uda się. Z Bogiem – mówi dusza i znika w białej poświacie.

Zostaję sama w świecie żyjących, kiedyś zwanym codziennym, a teraz obcym. Może tym razem uda mi się spotkać śmierć w kolorze cynamonu, która ciągle przede mną ucieka. Widzę już nawet przebłyski jej jasnych włosów. Jej skóra w odcieniu dojrzałej brzoskwini lśni ponad wojenną zawieruchą. Chcę do niej zawołać, krzyknąć, żeby zabrała mnie ze sobą. Żeby nie zapomniała włożyć mnie do koszyka, w którym nosi dusze. Idę do niej, przeskakuję przez języki, których nie potrafię już zrozumieć, bo to języki żywych, brzmiące zupełnie inaczej niż te, którymi mówią umarli. Nagle coś łapie mnie za rękę. Jak to możliwe? Przecież żyjący nie widzą wędrujących dusz. Skupiam się i próbuję rozpoznać kanciasty kształt, który kurczowo się we mnie wczepia. Nie ma żadnej konkretnej melodii, jest tylko prostą sekwencją powtarzalnych dźwięków. Czymś na kształt zepsutego walca. Dotyk upadłego żołnierza jest zimny i szorstki, a on sam pachnie naftaliną. Zupełnie jak... ojciec...?

– Anna? To ty, dziecko?

Nie wiem, czy coś odpowiedzieć. Czemu przypomniał sobie o mnie dopiero teraz? Babcia na pewno go poinformowała o mojej chorobie i zgonie. A on nie wspominał mnie ani nie modlił się za mnie, inaczej odczułabym to. Usłyszałabym...

– Anna? Anka, pomóż mi. Nic nie widzę...

– Skąd wiesz, że tu jestem? – pytam w końcu.

– Nie mam pojęcia. Wyciągnąłem przed siebie rękę, bo wydawało mi się, że coś jest przede mną. Coś mającyło niebieskawą iskrą, a kiedy jej dotknąłem, poznałem ciebie. Co ty tu robisz? Zostawiałem cię w Kaliszu...

– Umarłam. Nie przysłałeś ani razu listu.

– Nie... nie umiałem... nie wiedziałem, co ci powiedzieć. Bałem się. Jesteś taka krucha, bałem się... że powiem coś nie tak... że moje słowa mogą być zbyt mocne, że się rozsypiesz jak porcelana, którą się zbyt mocno ściśnie.

– Po co ta troska? Może nawet nie jesteś moim ojcem.

– Wychowywałem cię przez dwadzieścia lat... nawet jeśli nie jestem twoim ojcem, to już nim zostałem. Słabo mi jakoś... weź mnie ze sobą, Andzia.

Ale śmierć o cynamonowej skórce mija nas. Nie bierze ojca za rękę, zbiera za to do koszyka inne dusze. Niektóre z nich skamlą jak porzucone szczeniaki, jakby przypominały o swojej obecności. Żadna z nich nie chce zostać sama i błąkać się potem tak jak dusze, o których wszyscy zapomnieli. Zbyt daleko, żeby wrócić do ciała i jeszcze dalej, żeby dogonić śmierć. Właśnie, śmierć... Śmierć jest już tak blisko! Na wyciągnięcie ręki... ale... chcę... chcę zostać z ojcem. Na wypadek gdyby umarł. Po tym, co mi powiedział, nie chcę, żeby się zgubił. Szczególnie jeśli śmierć także o nim zapomni. Biorę go za rękę. Jeśli umrze, przeprowadzę na drugą stronę i razem poszukamy śmierci. Bał się, że jestem zbyt krucha... że się rozsypię... porcelana...

Ale ojciec nie umiera. Ktoś odciąga go od wybuchu, udaje się go przewieźć do lazaretu. Amputują mu nogę, żeby gangrena się dalej nie wdała. Po tym, co mi powiedział, postanawiam, że z nim zostanę, dopóki się nie obudzi. Siedzę w nogach łóżka i czuwam. Śmierć w cynamonach nie pojawia się przy nim ani dziś, ani przez kolejny tydzień. Gdy ojciec się budzi, przychodzi go odwiedzić pułkownik i informuje go, że zdobyli ważny punkt. W tym Ciechanowie, gdzie został ranny i gdzie pierwszy raz złapałam go za rękę. Ich pułk zdobył sztab sowieckiej armii, chyba czwartej, ale nie jestem pewna, bo akurat pielęgniarka przynosi ojcu leki. W środku znaleźli kancelarię armii wraz z magazynem. I to dziwne urządzenie. Radiostacja. Ta była jakaś szczególna, bo łączyła z Mińskiem, z ich dowództwem.

– No to przestroiliśmy nasz nadajnik na tę nową częstotliwość i zaczęliśmy zagłuszać to, co nadawali tamci, żeby nie mogły do nich dotrzeć

rozkazy. Wiesz, co im puszczailiśmy, Mietek? Nie uwierzysz, Pismo Święte!

– A słyszałeś o tym księdzu? Zaraz, jak on się...

– Skorupka.

Szarość I (1967–1968)

I list do Kazimierza Dejmka

Drogi Kazimierzu! Gratuluję ci wspaniałego pomysłu. Przyznaję jednak, że wystawienie „Dziadów” jest nie lada wyzwaniem. Przejrzałem szkic, który mi przysłałeś. Twoja koncepcja wydaje się bardzo spójna i doceniam fakt, że przybrała formę tryptyku, tak powszechnie spotykanego w kościołach. Poprzez to już na wstępie podkreślasz wielkość sztuki, ale również tworzysz nastrój niezwyklego misterium. Sam z niecierpliwością czekałem, aż za sprawą kurtyny dokona się przemienienie aktorów w byt niemal duchowy, bezcielesny, okryty tylko światłem i chórem. Niezwykle ciekawe wydaje mi się stworzenie oddzielnych mansjonów dla Gustawa, Senatora i księdza Piotra, podobnych średniowiecznym dramatom liturgicznym. Pozwól, że przejdę teraz do postaci księdza Piotra. Widzę, że podobnie jak mnie niezwykle cię ona nurtuje. Ktoś, komu zamiast bagnetu daje się do ręki krzyż i każe wypędzać zło, dysponujące przecież ZOMO, karabinami i czołgami. Cieszę się, że zwróciłeś się do mnie o pomoc w sprawie kreacji jego sylwetki, ponieważ wydaje mi się, że jestem w stanie ci pomóc. A to za sprawą zupełnie innego księdza o nazwisku Skorupka. Postuję się broszurą „Ksiądz Ignacy Skorupka, obrońca Warszawy”, w której opisano historię księdza Skorupki. Był to młody kleryk, który dobrowolnie zgłosił się na kapelana wojskowego. Brał udział w bitwie pod Ossowem, zdaje się koło czternastego sierpnia, gdzie zresztą zginął. Zabłąkana kula. Ale nie sama śmierć jest najważniejsza, tylko legenda. Sam posłuchaj, przytoczę ci fragment z tej broszurki: „Wziął wprzód stulę na ramiona swoje na znak służby kapłańskiej, zespolonej ściśle ze służbą narodową. Ujął też krucyfiks w rękę i w modlitewnym westchnieniu podniósłszy swój jasny wzrok ku niebu, zawołał: Chłopcy naprzód! W imię Boga!... I szedł raźnie przed innymi, podniosły, wielki, tylko krzyżem uzbrojony [...]. Wśród kurzawy, w odblaskach

pękających pocisków armatnich widać było krzyż trzymany wysoko przez nieustraszonego sługę Bożego, by dokoła widziano, że Chrystus umęczony maszeruje jako prosty żołnierz z polskimi rycerzami... Dokoła tworzyły się ławy trupów, ale ci, którzy zostali, atakowali dalej bolszewicki front, po raz drugi, trzeci... Przed nimi przecie kroczył on ukochany kapelan, niby żywy ucieleśniony posąg bohaterskiego obowiązku. [...] Aż nagle ugodzony kulą ekrazytową pada, jak orzeł rażony strzałą” [1].

Na poprzednich stronach owej broszurki dowiedziałem się o działalności księdza Skorupki w związku z polskimi przesiedleńcami, którzy utracili domy na skutek działań wojennych. Autor podkreśla jego zaangażowanie w osadzie polskiej w Bohorodsku, gdzie „z energią i żarliwością zajął się tułaczami, zwłaszcza biedniejszymi” [2]. Czy nie dostrzegasz tutaj dobrej inspiracji dla swojego księdza Piotra, któremu los wysiedleńców zamkniętych w kibitkach również nie był obcy? Naturalnie, już na wstępie możesz mieć obiekcje, co zresztą zrozumiałe, bo przecież ksiądz Piotr wcale nie umarł. Jest jednak na swój sposób legendą, poza tym ma odwagę powiedzieć Senatorowi swoje zdanie, co byłoby prawie równoznaczne z bezpośrednim wypowiedzeniem wojny, nawet jeśli nie fizycznej, to słownej. Spokojny, ale dobitny akt sprzeciwu, obrony wartości. Pokora, ale i siła. Skromność i ascetyzm, co oczywiście nie obeszło się bez pochwały broszury: „pychy, zarozumiałości nie było w nim żadnej” [3]. Możesz mieć też zastrzeżenia co do wieku, ponieważ gdybyś przejął inspirację w całości, to Gustaw i ksiądz Piotr byłiby prawie rówieśnikami. W tym miejscu muszę sobie pozwolić na dygresję odnośnie do Gustawa, muszę bowiem przyznać, ten Holoubek to pierwszorzędny wybór, sam widziałem na próbie. Dobra dykcja i ekspresja, w drzeniu jego głosu słychać całą gamę odrzucenia, kryzysu, buty i tego cierpienia „za miliony”. Myślę, że na dziś będę kończyć ten list, aby cię nie zamęczać, jestem bowiem przekonany, że prace przed premierą wyczerpują cię wystarczająco.

II list do Kazimierza Dejmka

Drogi Kazimierzu. Myślę, że ksiądz Piotr wzorowany na wspomnianym już przeze mnie księdzu Skorupce powinien odegrać ważniejszą rolę w twoim dramacie. Naturalnie rozumiem, że ogranicza cię czas, a „Dziady” i tak rozrosły się do

rozmiarów ogromnego bluszczu, zagarniającego po drodze całą przestrzeń teatru. Skoro, jak sam podkreślasz, zdecydowałeś się pójść w misterium jako formę średniowieczną, a również zapewne masz na myśli sam klimat „Dziadów”, to myślę, że mam pewną radę, jak mógłbyś przy zachowaniu już wypracowanych proporcji zwiększyć rolę księdza Piotra i rzeczy duchowych. Sugeruję pomyśleć nad tłem, ustanowić coś w rodzaju chóru. Podniosłość religijnych pieśni nie dość, że podkreśli mistyczny charakter „Dziadów”, to dodatkowo ustanowi most między kulturą polską na przestrzeni wieków. To samo możesz osiągnąć poprzez odpowiednie dekoracje w swoim tryptyku, w części przewidzianej dla księdza Piotra zrezygnowałbym ze zbyt wielu ozdobników, a postawił na jednolitość krzyża. Odpowiednie oświetlenie, które spadnie na krzyż, wyciągnie z niego o wiele większy przekaz niż drobne symbole, które nie każdy poprawnie odczyta i zrozumie. Daj mi, proszę, znać w następnym liście, czy uważasz, że moja opinia jest przydatna. W nawiązaniu do naszej ostatniej rozmowy sam muszę ci się zwierzyć, że kilka razy podczas deszczowego wieczoru zdawało mi się, iż z bram przygląda mi się wzrok bezpieczki czatującej na każdy mój kolejny krok.

III list do Kazimierza Dejmka

Drogi Kazimierzu, ostatnio udało mi się zupełnym przypadkiem spotkać świadka, który brał udział w bitwie pod Ossowem, tej samej, w której zasłużył się ksiądz Skorupka. Do tej pory ucieka, nigdzie nie mogąc odnaleźć choć namiastki spokoju. Przyznał, że bliski jego kuzyn zginął w Katyniu, tym gorszym wrogiem jest więc dla systemu jako ten, który zna prawdę. Wymusili na nim, że nigdy nigdzie jej nie ujawni, w przeciwnym razie zniknie, podobnie jak cała rodzina. Egzystuje więc jako woźny w szkole, ale co to za egzystencja, sam przyznaj. Tułaczka gorsza niż Odyseusza. W każdym razie posłuchaj, co ów człowiek mi wyznał. Twierdzi on, że to wszystko, co w broszurce opisano, stanowi mit. Legendę, którą stworzono na gruzach i bruzdach, żeby podkreślić męczeństwo i podnieść morale wśród armii. Oddaję głos świadkowi.

Czerwień I (1989)

Po śmierci dziadka trzeba było zrobić porządku w jego rzeczach. Znalazłem stare listy, już powojenne, bo w czasie wojny wszystko się spaliło. Było też stare zdjęcie z podstarzałym, inteligentnie wyglądającym mężczyzną.

– To jest profesor z Warszawy. Przyjechał kiedyś do nas zapytać o księdza – powiedziała ciotka, której transcendencja zaczynała mnie coraz bardziej drażnić.

– Popiełuszkę? – spytałem, bo oprócz naszego proboszcza to był jedyny znany mi ksiądz.

– Nie, o księdza Skorupkę!

– Znali się?

– Dziecko, to był ksiądz z Bitwy Warszawskiej. Twój dziadek też brał w niej udział, jeszcze jako młodzieniec. I powiedział temu profesorowi, że znał prawdziwą historię jego śmierci.

– Dziadek z nim rozmawiał? Z profesorem?! Na pewno. Przecież był zwykłym woźnym.

– Tylko dlatego, że był niewygodny dla władzy. Twój dziadek całe życie uciekał. I wcale nie był woźnym, przed wojną dorobił się aplikacji adwokackiej. Możesz sprawdzić. W archiwach powinien być gdzieś nagrany wywiad, którego udzielił dziadek już po upadku stanu wojennego. Pomogę ci poszukać.

Ciotka zanurzyła się w zasłonie kurzu i zrujnowała całą moją dotychczasową segregację staroci dziadka. W końcu wyjęła starą kasetę i po zbliżeniu oczu do światła była już pewna, że to ta właściwa. Po włączeniu kasety natychmiast poznałem głos dziadka.

– Ksiądz Skorupka, zamiast prowadzić natarcie, zajął się upadłym żołnierzem, który dogorywał po pocalunku kuli. W całym tym zamieszaniu nie zapomniał o udzieleniu umierającemu ostatniego namaszczenia. Co więcej, próbował go uspokoić i przygotować na spotkanie ze śmiercią. Sakrament okazał się ostatni dla nich obu, ponieważ i nachylonego nad żołnierzem księdza Skorupkę dosięgła zabłąkana kula, przeznaczona być może zupełnie dla kogoś innego. Po tych słowach pan profesor stwierdził,

że moja historia wydaje się bardziej realna i ludzka niż ta przedstawiona w broszurze. Jego odkrycie zmieniło kształt postaci księdza Piotra. Nowy Piotr na wzór księdza Skorupki stał się osobą, która przystaje nad umierającym zesłańcem i w marznącej kibitce pojednuje go z Bogiem, zamiast prowadzić zagłodzone strzępy ludzkiej godności z krzyżem przez śniegi Syberii wprost na cara. Dlatego Józef Duriasz wygłosił monolog z mniejszym zaangażowaniem. Bunt pozostawiono w całości Konradowi, a lustrzane odbicie księdza Skorupki skupiło się na pokorze i bólu pogodzenia z losem, które ciążą bardziej niż brzemień improwizacji Konrada.

Dalej ciężko było cokolwiek usłyszeć. Z głośnika dobiegały trzaski.

– Pewnie od wilgoci – westchnęła ciotka. – Co chcesz zrobić z tymi pamiątkami?

Szarość II (1967–1968)

IV list do Kazimierza Dejmka

Kazimierzu, przede wszystkim chciałbym ci podziękować, że zaprosiłeś mnie na premierę „Dziadów” i ochrzciłeś mnie zaszczytnym mianem „honorowego konsultanta do spraw zgodności literackiej”. Gratuluję ci z całego serca sukcesu „Dziadów”. Nie spodziewałem się, że osiągną aż tak wielki sukces. Niezwykle satysfakcjonuje mnie fakt, że zamiast teatrzyku na pochwałę rewolucji przeprowadziłeś prawdziwą rewolucję. Rewolucję, w której wyciągnięte na scenie dłonie aktorów chcą sięgnąć nie tylko po brawa, ale także po wolność, która dawno straciła głos, i pamięć, którą wciąż siłą się zmienia i zakłóca. Nawet jeśli nie do końca taki miałeś zamiar, to powiedziałbym, że udało ci się stworzyć nową bitwę, co prawda bez kawalerii i piechoty, jaką posiadano podczas Bitwy Warszawskiej, ale twoja obsada skutecznie zastąpiła każdy, najcelniejszy pocisk artylerii. Wnioskuje, że ludzie dopatrzyli się w „Dziadach” jakiegoś wiecznego cyklu, ilustrującego ich własne lęki, koszmary i marzenia. I ten cykl powraca w nowej odsłonie wraz z nastaniem kolejnej epoki. Bawi mnie nazywanie sztuki skandalem, bo czymże jest

skandal przy zachowaniu i działaniach władzy, która protest z Poznania tłumi wojskiem i milicją, a na Węgry wysyła czołgi. Mam nadzieję, że Holoubek szybko wróci na deski, życz mu ode mnie powrotu do zdrowia.

V list do Kazimierza Dejmka

Kazimierzu, listem bym tego nie nazwał, raczej marnym odwzorowaniem mojej dotychczasowej rzeczywistości. Dzisiaj rektor kazał mi się pilnie stawić w swoim gabinecie. Spodziewałem się czegoś związanego z trzydziestolecie mojej pracy albo z publikacją nowej monografii. Niestety, zapewnienia o szacunku do moich wykładów i osiągnięć są marnym pocieszeniem przy wymówieniu, jakie otrzymałem. Kilku studentów chciało zorganizować demonstrację, żeby rektor zostawił mnie wśród kadry akademickiej, ale nie życzyłem sobie tego. Niepotrzebnie naraziliby swoje kruche życia głośnym protestem i obroną. Tyle mówiło się o odwilży, o tym, że nowe będzie bardziej wolne, a tymczasem co się dzieje? Kontrolują każdy dialog, zanim aktor zdąży go jeszcze wypowiedzieć. Nie mam pojęcia, co dalej zrobić. Czekać? No i jeszcze to, sam popatrz. Znowu w radiu powtórzyli to przemówienie Gomułki z czerwca ubiegłego roku.

Przemówienie Gomułki^[4]:

Nie czyniliśmy przeszkód obywatelom polskim narodowości żydowskiej w przeniesieniu się do Izraela, jeżeli tego pragnęli. Stoimy na stanowisku, że każdy obywatel Polski powinien mieć tylko jedną ojczyznę, Polskę Ludową. Ale nie chcemy, aby w naszym kraju powstała piąta kolumna! Nie możemy pozostać obojętni wobec ludzi, którzy w obliczu zagrożenia pokoju światowego, a więc również bezpieczeństwa Polski i pokojowej pracy narodu polskiego opowiadają się za agresorem i burzycielami pokoju. Niech ci, którzy odczuwają, że słowa te skierowane są pod ich adresem, wyciągną z nich właściwe dla siebie wnioski!

VI list do Kazimierza Dejmka

Drogi Kazimierzu! Napisałeś na nowo fragment dobrej historii. W zasadzie przypomniałeś to i owo z przeszłości i otrzepałeś Mickiewicza z kurzu, którym

niestusznie się go zasypuje. Cieszy mnie fakt, że skorzystałeś z wielu moich rad. Jak widać, zostały one również dobrze przyjęte przez publiczność, sędziego najważniejszego spośród wszystkich recenzentów. Niestety, nagonka rozpętała się w najlepsze. Gomułka nakręcił swój blaszany bączek, a wir zasysa pamięć i na nowo rozdrapuje stare rany. Żałuję, że nie dam rady więcej ci pomóc. Piszę do ciebie z Dworca Gdańskiego, ponieważ nie miałem już czasu w mieszkaniu, by skreślić te parę linijek. Nie wiem, czy jest sens dalej czekać. Nadzieja odeszła wraz ze zbyt pośpieszonymi przebieśniami, które nawrót zimowej dłoni zamienił w kryształ lodu. Dlatego przekazuję ci tych kilka miłych słów w naszym wyjątkowo zimnym marcu z życzeniami na nowe jutro. Trzymaj się ciepło i pamiętaj o jednym. Możesz sprzedać duszę, ale nigdy przenigdy nie pozwól sprzedać nazwiska. Właśnie nadjeżdża mój pociąg. Obiecuję, że przyślę kartkę z Tel Awiwu. Może ją kiedyś otrzymasz. Kiedyś, kiedy już ta cała ciemność rozwieje się jak dym ze spalonej świecy.

Hałas zatrzymującego się pociągu zmieszał się z gwizdem konduktora, który przeciął ostre, zimowe powietrze. Wystraszona Marysia złapała profesora za rękę.

– Nie puszczaj mnie, nie możesz się zgubić – powiedział i przyciągnął ją jak najbliżej siebie.

– Proszę wsiadać!

– Tatusiu, pośpiesz się, bo zabiorą nam miejsca – ponagliła go, a na jej dziecięcej twarzy pojawiła się zmarszczka zmęczenia.

– Miejsca mogą zabrać, ważne, żeby zostawili nam myśli, Marysiu. Bo jeśli i to zabiorą, wtedy nic już z człowieka nie pozostanie – odpowiedział profesor i pożegnał ostatni polski marzec w swoim życiu.

Indygo II (1920)

Ojciec nadal rozmawia z pułkownikiem. Zastanawia się, co się stało z księdzem Skorupką, ale niestety, nikt nie zna odpowiedzi. Tylko ja wiem,

że minęłam go po drodze. I że zamiast zaznać wyczekiwanego przez każdego spokoju, wędruje po zaświatach i poszukuje tych, którzy zabłądzili.

– No nic. Ale też nie uwierzysz, co ci powiem. Jak mnie te odłamki trafiły, to przyszła po mnie moja Andzia. To znaczy najpierw mnie zamroczyło, a potem wyciągnąłem przed siebie rękę i coś złapałem. Od razu wiedziałem, że to ona. Była przy mnie cały czas. Trzymała mnie za rękę. Chyba ciągle tu jest.

– To by znaczyło, że nie żyje!

– Zmarła na suchoty. Wczoraj dostałem list od matki.

– Moje kondolencje...

– Żałuję, że nie zdążyłem jej przeprosić. Przez tyle lat nie powiedziałem jej, że ją kocham. Że jest moją córką, nawet jeśli nie byłem jej ojcem. Jakoś się bałem, że nie zrozumie. Było mi wstyd przed samym sobą. Myślałem, że to słabość. Chyba nigdy sobie nie wybaczę, że tego ode mnie nie usłyszała.

– Na pewno słyszy to teraz. Jest przy tobie. Zrozumie, to była mądra dziewczyna.

Śmierć zabiera duszę młodego żołnierza obok, całego poparzonego. Ostrożnie wyluskuje z niego życie, jakby bała się uszkodzić i tak już zniszczoną powłokę. Zauważa mnie i wyciąga w moim kierunku rękę. Bezgłośnie proszę, żeby chwilę zaczekała. Chwilę, w której zamknie się oddech i przemkniecie komety po niebie. Śmierć zatrzymuje się przy drzwiach, a ja podchodzę do ojca. Cicho, bo przecież cienie przemykają po pyle materii bez żadnego dźwięku. Moją obecność wylapuje łza kapiąca po policzku ojca. Zatrzymuję się przy łóżku. Otaczają mnie resztki migoczących plam, które pulsują w murach szpitala. Zostawiam ojca wraz ze spokojem i światłem, które powoli się w nim rozlewa. Im bardziej zbliżam się do śmierci, tym staję się lżejsza. Potem moje stopy odrywają się od błyszczącej ziemi. Śmierć zabiera mnie ze sobą i nareszcie czuję, jak moje ciało w kolorze indygo rozplywa się w jej koszyku...

KRZYSZTOF USAKIEWICZ

LIMBO

*Nie ma nieba i ziemi, otchłani, ni piekła,
Jest tylko Beatrycze. I właśnie jej nie ma.*

Jan Lechoń, *Spotkanie*

Choć blask przebijających się nieśmiało spomiędzy poszarpanych elewacji budynków promieni sierpniowego słońca oślepił oczy, było coś wzbudzającego niepokój w widoku, który z okien hotelu Savoy rozpościerał się na Nowy Świat. Z wysokości pierwszego piętra łatwo mogłem dostrzec, że na reprezentacyjnym trakcie panował nie tyle zwykły miejski zgiełk, ile nerwowe podniecenie. Wszyscy przemykali po trotuarach, w stronę czy to Krakowskiego Przedmieścia, czy to placu Trzech Krzyży, w wyraźnym pośpiechu i podenerwowaniu. W tę i we w tę raz po raz przepedałowała jawnie czymś zaabsorbowana cyklistka. Nawet dzwonek przejeżdżającej ulicą co piętnaście minut jedyńki nie brzmiał ani beztrosko, ani wesoło. Pozory normalnej codzienności nadawali temu miejscu jedynie obnośni sprzedawcy zapalek oraz sznurowadeł, bezskutecznie usiłujący zaczepić wymijających ich ludzi.

Pobliski słup ogłoszeniowy gęsto pokrył się nekrologami. Gdyby spojrzeć na ponure klepsydry z bliska, okazałoby się, że średnia wieku wymienionych z nazwiska osób – w znakomitej większości mężczyzn – nie przekraczała dwudziestu, może dwudziestu jeden lat. Świętej pamięci taki, owaki. Z mojej perspektywy grubo obramowane czarne prostokąty zlewały się w złowrobną całość. Wzrok przyciągała także długa kolejka przed

wejściem do apteki pana Zawadzkiego, reklamującego się w witrynie obniżką cen na hematogen. Naiwne, acz, jak widać, powszechne przekonanie, że eliksir ze zwierzęcego osocza da człowiekowi zdrowie i długowieczność, skojarzyło mi się z indiańskimi legendami.

Do Warszawy, która od niespełna dwóch lat mogła znów poszczycić się mianem stolicy niepodległego państwa, przyjechałem pełen obaw. Konieczność odbycia dwudniowej podróży z paryskiego Gare de l'Est, bo do tej pory to właśnie we Francji pracowałem jako korespondent, ryzyko, że w każdej chwili może nadejść kolejna fala epidemii hiszpanki uniemożliwiająca mi powrót do domu, niepewność pracy dziennikarskiej na froncie – powody do strachu można by mnożyć. Zresztą to tragiczne postludium wojny światowej, wciąż nie wiadomo, czy będące starciem kluczowym dla dziejów dwudziestowiecznej Europy, czy może jeno jednym z wielu powersalskich konfliktów lokalnych, wojną, podczas której szarzy kawalerii mógł wyjechać na spotkanie czołg, miało w sobie coś z kuriozum.

O wszystkim zadecydowała moja nie najlepsza, bo nie najlepsza, ale jednak znajomość polszczyzny. Dzień wcześniej miałem okazję osobiście poznać aptekarza Zawadzkiego: o ile powiedzenie „krem na” nie sprawiło mi większych kłopotów, o tyle przyznaję, że przy nieprzyjemnie szeleszczącym „zmarszczki” połamałem sobie język. Cóż, oto niewygodny pierwszy znak starości... Nie żebym chciał się sumitować, ale na swoje usprawiedliwienie dodam, że nie słyszałem o żadnym innym języku, w którym litera „z” byłaby tak często używana jak w polskim. Mimo mych wahań redakcja „Chicago Tribune” nie chciała słyszeć nawet słowa sprzeciwu. Z lakonicznej wiadomości, jaką przekazano aparatem Hughesa z Ameryki do paryskiego biura prasowego, jasno wynikało, że nikt inny prócz mnie nie może zostać wysłany nad Wisłę.

Po wywiązaniu się ze wszystkich obowiązków i przesłaniu depechy do redakcji postanowiłem odbyć krótki spacer. Zależało mi, by poczuć atmosferę miasta w obliczu zagrożenia, porozmawiać z napotkanymi

ludźmi, zrobić zdjęcia. Ponadto nie miałem wątpliwości, że powinienem przejrzeć wieczorne wydania polskiej prasy.

Kiedy przechodziłem przez hotelową restaurację, zwolniłem kroku. Była pora kolacji. Na stolikach królował sandacz à la Radziwiłł, w nozdrza wpijał się zapach krążków z okonia w sosie pomidorowym, pewna elegancka para popijała ciemnym piwem kapłona duszonego z grzybami. Dyskretnie nadstawiłem uszu, aby dosłyszeć strzępki rozmów. „A ja ci mówię, Piłsudski niczego nie wskóra! Znam ten typ człowieka – naczelnik nie naczelnik, ale najpierw robi, potem myśli. Toż to militarysta, pepeesowski Kmicic samochwała, bałagula w mundurze! Wszystko musi po swojemu, na nikogo się nie ogląda, z ententy kpi w żywe oczy. Bolszewików, daj Boże, przepędzi, Dmowski wyczeka moment, wróci z Poznania i, zobaczysz, da mu mata w dwóch ruchach!”. Tuż obok: „Naprawdę uważasz, że tu chodzi o coś więcej niż politykę? Ideę? *Ma chère*, gwarantuję ci, że w całej Konarmii psubrata Budionnego nie znajdziesz wojaka, który byłby w stanie choć jedną stronę z Marksa przeczytać!”. Dwaj eleganccy mężczyźni, którzy zdecydowali się zasiąść opodal fortepianu: „A ja myślę, *sir*, że nawet jeśli Tuchaczewski dotrze do Berlina i triumfalnie przekroczy Bramę Brandenburską, Lloyd George nadal tym się nie zainteresuje. My, Anglicy, mamy zobojętnienie we krwi”.

Wyszedłem przed drzwi Savoya i znalazłem się na ulicy. Odniosłem wrażenie, że wyczuwam w powietrzu proch strzelniczy, zrzuciłem to jednak na karb mojej nadwyobraźni. Nowy Świat wydawał się już opustoszały. Ruszyłem naprzód. Napawałem się chwilą spokoju, zarazem jednak usiłowałem nie tracić dziennikarskiej czujności. Ledwie garstka ludzi zebrała się przed zazwyczaj obleganym kinoteatrem Colosseum. Afisze przy wejściu zostały zastąpione przez antybolszewickie plakaty. Zamiast Duńczyka Valdemara Psilandra, który spoglądał do niedawna na widzów w kolejce, teraz polski legionista walczył z krwistoczerwoną hydrą. Zamiast uroczej, posyłającej pocałunki Poli Negri można było zobaczyć obleśnego krasnoarmiejca łapczywie obściskującego pierś niewinnej kobiety. W miejscu ogłoszenia o genialnej, najmłodszej w historii kina,

wschodzącej amerykańskiej gwiazdzie Marie Osborne, pojawił się rysunek zrujnowanego wiejskiego kościoła, z którego ostała się jedynie figura Chrystusa na krzyżu. Przy czym Chrystus ten wydawał się pochodzić nie tyle z Nazaretu, ile z Samotraki, oprawcy nie oszczędzili bowiem nawet jego świętej lewej ręki. Czerwona pozoga w tle nie pozostawiała wątpliwości, kto stoi za rozbojem.

Nawet w Śródmieściu na ulicach było wciąż więcej dwukołowych wozów i prowizorycznych furmanek niż aut. Skręciłem w Aleje Jerozolimskie, w których wyminąłem młodego mężczyznę legitymowanego przez uliczny patrol. Następnie poszedłem Bracką. Wyprzedziłem parę kobiet roztrząsających sprawę nieszczęsnej sąsiadki, która kilka dni temu pomyliła lekarstwo z trucizną. Zdażyłem jeszcze usłyszeć, że lekarze byli bezradni.

Na murach hurtowni przemysłu ludowego specjalizującej się w produkcji koszy podróżnych wisiały rozwieszane przed kilkoma dniami wezwania ochotników do broni oraz – dość urokliwe – zawiadomienie, że wszyscy posiadacze gołębi zarówno pocztowych, jak i tych zwykłych powinni zgłosić się do dowództwa miasta. W przypadku gołębiarzy niepodporządkowanie się obowiązkowi rejestracji groziło wysoką, kilkutyśną grzywną. Kilka kamienic dalej, już na Szpitalnej, dostrzegłem także apel o przyłączanie się do pracy przy okopach podpisany przez Ligę Akademicką Obrony Państwa.

Nad placem Saskim górował sobór Świętego Aleksandra. Z jednej strony budowla zarówno przytłaczała, jak i olśniewała swoim bizantyńskim przepychem oraz monumentalizmem, z drugiej jednakże sprawiała wrażenie nieproszonego gościa, który z wrodzoną impertynencją rozsiadł się na Osi Saskiej. Skierowałem wzrok ku cebulkowym kopułom, następnie podszedłem, by się przyjrzeć z bliska płaskorzeźbom na tympanonach. Wszystko wskazywało na to, że niezależnie od wyniku nadchodzącego starcia dni soboru są policzone – w najlepszym dla niego razie zostanie przekształcony w jakiś budynek użyteczności publicznej, na przykład siedzibę miejscowego rewkomu.

Na schodach siedzieli dwaj żebracy, mężczyźni w średnim wieku, jeden bez nogi, drugi z przybrudzoną piracką przepaską na oku. Gdyby nie przechodzący akurat placem kolejny patrol policji, zapewne zwróciliby się do mnie z prośbą o jałmużnę. Pomyślałem sobie, że za tym blichtrzem nowoczesności – za luksusowymi hotelami na Nowym Świecie i Krakowskim Przedmieściu, ekskluzywnymi restauracjami serwującymi dania kuchni włoskiej i francuskiej – skrywa się drugie, wcale nie mniej istotne oblicze miasta. Gdyby tylko starczyło mi czasu, chętnie pojechałbym na Annopol, udał się za tory przy Dworcu Gdańskim, zrobił zakupy na słynnym placu Kercelego, zobaczył tę inną rzeczywistość. Niewątpliwie byłem świadkiem nie tylko walki Polaków z Sowietami. Oto na moich oczach bogactwo ścierało się z niedostatkiem, Wschód spoglądał wilkiem na Zachód, tradycja konfrontowała się z nowoczesnością, pęd modernizacyjny występował przeciwko porozbiorowemu zacofaniu. Ten tygiel czasowo-kulturowy, w którym jadłem na obiad lina à la Nelson, płaciłem za ten posiłek markami i dziękowałem po angielsku *thank you*, następnie zaś wychodziłem na ulicę i mijając cerkiew, słyszałem przechodniów rozmawiających w jidysz, wzbudzał moją fascynację.

Trzy dni później razem z innymi przybyłymi z zagranicy korespondentami zostałem zaproszony do Puław. Kawalkada czarnych fiatów spod Biura Prasowego Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego mieszczącego się na placu Teatralnym wyruszyła bladym świtem. W ten sposób podążaliśmy śladami marszałka Piłsudskiego. Naczelnik przed niespełna tygodniem opuścił Warszawę i przeniósł kwaterę główną do niewielkiego nadwiślańskiego miasta na południe od stolicy, z którego istnienia dotychczas nie zdawałem sobie sprawy.

Podróżowałem z Hiszpanem i Brytyjką. Ponieważ dotychczasowe wieści z frontu były pomyślne, polskiemu kierowcy, który zapomniał nam się przedstawić bądź nie zamierzał tego w ogóle zrobić, humor dopisywał. Przez całą drogę rozmawialiśmy po angielsku, w pewnej chwili jednak, być może nieco nieopatrnie, zdradziłem się ze znajomością polszczyzny. Szofer zareagował entuzjastycznie. „Pan mówi po polsku? No to, jak mi

Bóg miły, trzeba będzie zorganizować panu wywiad z pułkownikiem Geraldem Saint-Denizierem! Znajdą panowie wspólny język, proszę tylko uważać, bo pułkownikowi zdarza się mylić przypadki. Tyle że on teraz gdzieś pod Wyszkowem zapewne, a my w drodze na Puławy...”.

Choć propozycja wydawała się kusząca, to jednak gdyby to ode mnie zależało i mógłbym wybrać sobie dowolnego dowódcę zaangażowanego w konflikt, poprosiłbym o spotkanie z lotnikiem, majorem Cedrikiem Fauntleroyem. Nie ukrywam, decydowałyby tutaj względy osobiste – stęskniłem się za widokiem kogoś, kto pochodzi z mojego rodzinnego Chicago. Z takiego wywiadu na pewno ucieszyłaby się również redakcja – sądzę, że hen, po drugiej stronie Atlantyku mało kto był świadom, że gdzieś w odległej Europie grupka amerykańskich szaleńców postanowiła sformować 7 Eskadrę Myśliwską, wybrać na patrona Tadeusza Kościuszkę i zamiast po zakończeniu wojny światowej wrócić do domu, szybować teraz gdzieś w przestworzach nad Wyszkowem czy innym Hrubieszowem.

Podróż minęła nadspodziewanie szybko. Piaseczno, Góra Kalwaria, Magnuszew, Kozienice – tablice z kolejnymi nazwami przetaczały się nam przed oczami. Mimo że wieści z frontu napawały optymizmem, w czasie przejazdu przez kolejne nadwiślańskie miasta i miasteczka wyraźnie było widać wszechobecną panikę tubylców. Trudno zresztą im się dziwić. Ileż to już razy w ostatnich latach zdarzało się, że jakaś dobra nowina okazywała się humbugiem albo złudnym prologiem do hiobowych wieści? Na przedmieściu Puław dwie rodziny w pośpiechu ładowały tobołki z całym dobytkiem na wóz zaprzężony w niepodkutą chabetę. Wielu żydowskich kupców okna w sklepach pozabijało deskami. Tylko jeden osamotniony staruszek siedział na ławce przed swoją chałupą. Zgarbiony, wsparty o laskę, przypominał w tej scenerii Minosa – zabrakło mu jedynie ogona, którym mógłby owijać swoje wychudzone, kościste ciało. Kiedy zjeżdżaliśmy z mostu na nadrzeczną skarpe, przypatrywał się nam uważnie. Karawana eleganckich fiatów kontrastowała tu z wszechobecną nędzą i strachem. Nawet przysadziste dęby naprzeciw kościoła jakby utraciły swój majestat i chciały pochylić się, ulitować nad mieszkańcami.

Wprowadzono nas do biura prasowego zorganizowanego naprędce w zabytkowym pałacu Czartoryskich. Skoro zostaliśmy wywiezieni sto pięćdziesiąt kilometrów za Warszawę, nieśmiało liczyłem, że spotka się z nami sam marszałek. Piłsudski jednak, jak zostaliśmy wkrótce powiadomieni, wyjechał z Puław już poprzedniego wieczora. Wcześniejsze plotki zyskały za to oficjalne potwierdzenie: bolszewicki atak został odparty, trzy dni temu o świcie siły szturmowe pod dowództwem Edwarda Rydza-Śmigłego rozpoczęły kontrofensywę znad Wieprza. Sytuacja wydawała się opanowana do tego stopnia, że – o dziwo – zezwolono nam udać się na miejsce dopiero co zakończonych walk.

Ponieważ dalsza podróż w tak licznej grupie byłaby niebezpieczna, musieliśmy się rozdzielić. Każde z nas otrzymało swojego opiekuna. Zostałem przedstawiony oficerowi Biura Prasowego Naczelnego Dowództwa. Był to wysoki, krótko ostrzyżony mężczyzna. Jego kraciasta marynarka opinała się na szczupłej, by nie powiedzieć pałukowatej, sylwetce, elegancji dodawała wystająca z butonierki biała poszetka. Nurtujące spojrzenie przebijało się przez szkła okularów à la Ludwik Zamenhof. Z ulgą przyjąłem do wiadomości, że mój przewodnik ma na imię Kazimierz – tak samo jak minister spraw wojskowych, generał Sosnkowski. Za to brzmienie nazwiska wywołało u mnie niemalże atak paniki. Wiedziałem, że wszelkie próby są z góry skazane na niepowodzenie i nigdy nie będę w stanie wymówić poprawnie „Wierzyński”. Oficer skinął mi przyjaźnie głową i dał znak, bym podążył za nim do zaparkowanego przed główną aleją parkową samochodu. Z Hiszpanem i Brytyjką nawet nie miałem okazji się pożegnać.

Ruszyliśmy z powrotem na północ, tym razem jednak podróżowaliśmy wschodnim brzegiem Wisły. Moją uwagę przykuła nazwa bodaj pierwszej miejscowości, którą mijaliśmy. Nie kryłem się z uśmiechem, choć pilnowałem, aby nowo poznany przewodnik nie uznał go za sardoniczny. Moja reakcja została jednak dostrzeżona.

– Nie uważa pan za na swój sposób zabawne, że na tereny bitewne wjeżdżamy przez miejscowość Gołęb? *The name „dove” means peace, sir!* – Wstyd się przyznać, ale chwilami nie potrafiłem zapanować nad sobą. Towarzyszące mi podniecenie zwyciężało i pozwalałem sobie na angielskie wtręty.

Tymczasem oficera Wierzyńskiego cechowały spokój i opanowanie. Posługiwał się piękną polszczyzną, miał nienaganną dykcję, cyzelował każde słowo.

– Trudno nie przyznać panu racji, redaktorze. Wojna zawsze jest kłębowiskiem paradoksów.

Choć nie miałem wątpliwości co do tego, że trafiłem w dobre ręce, wciąż nie potrafiłem wyzbyć się strachu. W Dęblinie odbiliśmy na wschód. Mijaliśmy jeszcze ostatnie zabudowania miasta, gdy droga wyprowadziła nas wprost nad rzeczkę czy może kanał. „A jeśli most jest zaminowany?!” – przemknęło mi przez głowę. Wyobraźnia zadziałała. Impulsywna myśl w okamgnieniu przerodziła się w wizję śmiertelnego niebezpieczeństwa. Kategorycznie zażądałem od Polaka, aby zatrzymał automobil.

Kierowcy wyraźnie było to nie w smak, nie śmiał jednak protestować. Zjechał na pobocze i obydwaj wysiedliśmy z samochodu. Ostrożnie, krok po kroku, zszedłem nad brzeg. Podpory zdawały się wzbudzać zaufanie, ale czy nie była to gra pozorów? A jeśli cała konstrukcja zaraz wyleci w powietrze? A my wraz z nią?

Pod przęsłem mostu, na łódce dostrzegłem mężczyznę łowiącego ryby. Choć jest to ujma na honorze, przyznaję, że w tym momencie zapytałem oficera Wierzyńskiego, czy ma coś przeciwko temu, aby sam przejechał przez most, podczas gdy ja poproszę rybaka o przewiezienie na drugą stronę. Polski żołnierz obojętnie skinął głową.

Czekało mnie jednak gorzkie rozczarowanie. Ani okrzyki, ani rozpaczliwe wymachiwanie rękami w niczym nie pomogły. Nie wierzę, że miejscowy mnie nie słyszał. Zachowywał się jednak, jak gdybym był powietrzem.

Niepyszny wróciłem do samochodu, a wspięcie się po skarpie z powrotem na drogę przysporzyło mi niemałych kłopotów. Na szczęście oficer Wierzyński na mnie czekał. Na jego twarzy nie widać było zdziwienia, nie malował się na niej także gniew. Raczej stoicki spokój, jakby od początku wiedział, jak skończy się ta historia.

– Widzę, panie redaktorze, że Charon pana zawiódł.

Zdziwiłem się takim porównaniem z żołnierskich ust, niczego jednak nie dałem po sobie poznać. Milczałem i myślałem trochę z podziwem, a trochę z politowaniem o żołnierzach, którzy tę samą drogę, którą z Puław przejechaliśmy samochodem, musieli przebyć pieszo.

Na moim strachu się skończyło. Pół godziny później byliśmy już dziesięć kilometrów za Rykami i kierowaliśmy się na Łuków, gdy tym razem to oficer Wierzyński wybuchnął śmiechem.

– To takie zabawne!

– *What do you mean, mister Vyezynsky?* – wyrwało mi się, natychmiast jednak się poprawiłem. – Co pan, panie oficerze, ma na myśli?

– Właśnie sobie uzmysłowiłem, że już kiedyś pokonywałem tę drogę. W tysiąc dziewięćset piętnastym roku jako jeniec rosyjski. Dwa i pół roku spędziłem potem w więzieniu w Riazaniu.

– Co pan mówi!? Naprawdę!? Szedł pan tą samą drogą?

– Nie można dwa razy przejść tej samej drogi, proszę pana. Ale tak, pięć lat temu byłem tutaj i maszerowałem wtedy w tym kierunku, w którym teraz jedziemy.

Myśli oficera sprawiały wrażenie coraz bardziej zagmatwanych, postanowiłem jednak, choćby przez wrodzoną grzeczność, to przemilczeć.

– Musi pan, oficerze, nienawidzić Rosjan? – zapytałem.

– To zależy. Na przykład Aleksandra Błoka i jego poezję uwielbiam! „I ginę – książę – w kraju własnym / zatrutym ugodzony ostrzem”^[1]. Czy to nie piękne? Nigdy nie będę potrafił tak pisać, z takim wyczuciem łączyć fraz jak Błok! Albo „Tropami sunąc tajemnymi”... To jest wspanialsze nawet od poezji Leopolda Staffa!

Nigdy nie słyszałem o kimś takim, kto nazywałby się *Stuff*, nie było to jednak w tym momencie istotne. Nie mogłem już dłużej powstrzymać ciekawości. Nie po raz pierwszy tego dnia pomyślałem, że mój opiekun pod mundurem oficerskim skrywa zgoła odmienną tożsamość.

– Panie oficerze, proszę powiedzieć... Pan jest poetą?

Dziennikarska intuicja mnie nie zawiodła. Okazało się, że mój oficer należy do grupy poetyckiej, której nazwy nie potrafię w tej chwili wygrzebać z zakamarków pamięci, ale która kojarzyła mi się z salamandrą. Pan Wierzyński opowiadał mi o wierszach pisanych w więzieniu w głębi Rosji, o spotkaniach w podziemiach Hotelu Europejskiego, o zaprowadzaniu dyktatury poetariatu, o Julianie Tuwimie, którego imię nic mi wówczas nie mówiło, a o którym zrobiło się w Ameryce głośniejsze dopiero po II wojnie światowej, gdy poeta przeniósł się do Nowego Jorku.

– Nieodgadnione są koleje losu z Rosjanami – powiedział mi pan Wierzyński parę kilometrów przed Garwolinem. – W pamiętnym tysiąc dziewięćset osiemnastym roku, redaktorze, podróżowałem do Kurska w wagonie z czekistami. Proszę mi wierzyć, co się strachu najadłem, to moje, ale na miejsce dojechałem żyw i zdrów.

Mógłbym ulec wrażeniu, że wjechałem do ogrodu botanicznego – kwiaty leżały dosłownie wszędzie. W przeciwieństwie do wcześniej mijanych miast i miasteczek, w których wciąż łatwo wyczuwalny był strach, Garwolin przypominał mi karnawałowe Rio de Janeiro. Ludzie tłumnie wylegli na ulicę, wszyscy z ożywieniem dyskutowali, ktoś gestykułował i próbował coś pokazać, ktoś inny radośnie tańczył. Jakaś gospodyni częstowała przypadkowo napotkanych ludzi upieczonym specjalnie na ten dzień ciastem.

– Pan kiedyś miał okazję poznać Piłsudskiego osobiście? – zwróciłem się do pana Wierzyńskiego. Jak już się dowiedziałem, naczelnik opuścił miasto raptem kilka godzin temu.

– Tylko raz. Zaprowadził mnie do Belwederu jego osobisty adiutant. A tego poznałem dobrze. Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego gościłem niegdyś w internacie w Kijowie, proszę pana. Z Wieniawy żołnierz dobry, ale jeszcze lepszy cyklista!

Ogarnęło mnie dziwne uczucie. Od paru dni podążałem śladem Józefa Piłsudskiego. Znów niewiele zabrakło, abym zobaczył człowieka, którego nazwisko w ostatnich miesiącach nie zniknęło z pierwszych stron gazet. Pomyślałem sobie, że naczelnik celowo ze mną się droczy. Ciągłe pozostawia za sobą ślady i jak gdyby prowokuje do nieustannej pogoni oraz tropienia.

Wysiedliśmy z samochodu. Choć nogi bolały mnie już niemiłosiernie, wtopiłem się w ciżbę. Przypomniałem sobie o dziennikarskich obowiązkach. Zaczepiałem ludzi, robiłem zdjęcia. W pewnym momencie rzuciła mi się na szyję nieznana kobieta.

– Pan jest Amerykaninem?! – wykrzyknęła.

„Czyżby zdradził mnie akcent?” – pomyślałem z przerażeniem. Nie zdążyłem jednak odpowiedzieć, bo ta pocałowała mnie w policzek. Podejrzewam, że się zarumieniłem. W końcu wziąłem głęboki wdech i półgębkiem się przedstawiłem.

– A więc dziennikarz! Kiedy będzie pan pisać swój artykuł, proszę pamiętać, że w języku polskim „wojna” nieprzypadkowo jest rodzaju żeńskiego, dobrze? Z bolszewikami walczą również kobiety!

Odczuwałem niemałe skrępowanie, ponieważ młoda, obca garwolinianka nadal kurczowo zaciskała ręce na mojej szyi. Co gorsza, muszę uczciwie przyznać, że dotyk jej dłoni sprawiał mi przyjemność. Długie, złote włosy spływały jej na ramiona, a przeszywające, przenikliwe spojrzenie czyniło ją jeszcze bardziej atrakcyjną.

– Chciałabym panu coś powiedzieć, ale w dyskrecji. Czy pan się zgodzi?

„*Unbelievable!* To musi być to! Ona zaraz wyzna mi miłość! I co ja zrobię?!” – ogarnęło mnie chyba jeszcze większe przerażenie niż pod dęblińskim mostem. – „Przecież mam w Ameryce żonę. Ale ona jest tak urocza... Jak to w ogóle możliwe, żeby tak od pierwszego wejrzenia...”

Język kobiety niemal wwiercił mi się w ucho. Oglądałem się z przerażeniem wokół, ale w tłumie powszechnego święta nikt nie zwracał na nas uwagi. Na prawym policzku czułem jej oddech, zrobiło mi się błogo, chciałoby się wykrzyknąć „Chwilo, trwaj wiecznie!”. Nawet pan Wierzyński okazał takt i po raz pierwszy od wyjazdu z Puław usunął się z zasięgu mojego wzroku. Ułamki sekund wydawały mi się teraz długimi godzinami.

– Pssst! – usłyszałem w końcu upragniony szept. A więc teraz nastąpi wyznanie... – Wojna jest złem! Rozumie pan? Nawet jeśli wygrywają nasi, wojna jest złem. Proszę o tym nie zapomnieć! Cierpienie oraz poniżenie nie znają podziałów etnicznych!

Kobieta zwolniła uścisk i puściła się pędem między ludźmi. Nim zdążyłem w jakikolwiek sposób zareagować, już znikła w pierwszej przecznicy. Nie było nawet sensu rzucać się w pogoń. Po całym dniu nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Po raz kolejny tego dnia pomyślałem o żołnierzach. Wydawało mi się niewiarygodne, że czterdziestokilometrową trasę znad Wieprza do Garwolina przebyli w jeden dzień.

Straciłem nagle cały animusz. Rozmowy przestały się kleić, ludzie wydali mi się znacznie mniej przyjacielscy, korpulentny mężczyzna, którego zagadnąłem pod piekarnią, niegrzecznie mi odburknął. Ogarnęło mnie zniechęcenie.

Ni stąd, ni zowąd ponownie pojawił się przede mną pan Wierzyński. Poprosiłem go, abyśmy wracali do samochodu i ruszali w dalszą drogę. Dla niepoznaki, aby ukryć swój zawód, zrobiłem jeszcze na odchodnym kilka zdjęć rynku. Chóralne śpiewy i feeria kwiatów na chodniku teraz jednak wydały mi się pretensjonalne.

– Szkoda, że Piłsudski już wyjechał – powiedziałem. Nie tyle z przeświadczenia, ile aby przełamać niezręczną, przynajmniej dla mnie, ciszę, która na chwilę zapanowała.

Pan Wierzyński serdecznie się roześmiał.

– Ależ co pan robił przez ostatnie pół godziny? Na chwilę zostawić pana samego i proszę bardzo, co się dzieje. Proszę się rozejrzeć wokół... Naprawdę pan nie widzi? Przecież on tutaj jest!

Nazwa „Siedlce” od początku budziła moją sympatię, ponieważ kojarzyła mi się z angielskim *saddle*. Czyż to nie uroczy pomysł, aby nadać miastu nazwę „Siodełko”? Nie kryłem zatem radości, gdy pan Wierzyński przedstawił mi kolejny punkt na mapie naszego objazdu. Choć jednocześnie perspektywa, że miałbym tę przebytą dziś samochodem wraz z polskim oficerem i poetą drogę pokonać pieszo, w dodatku w mundurze i z uzbrojeniem, budziła moje coraz większe przerażenie. Obawiam się, że łatwo mógłbym aspirować do roli zakały polskiej armii. No, chyba że Edward Rydz-Śmigły poszukiwałby smakowitego amerykańskiego mięsa armatniego...

Znów jechaliśmy przez bezkresną mazowiecką równinę, która pod pewnymi względami przypominała mongolski step. Krajobraz urozmaicały jedynie brzozone zagajniki. Do leżących tu i ówdzie na poboczu trupów żołnierzy bolszewickiej Grupy Mozyrskiej zdążyłem się już przyzwyczaić. Polane wapnem, cuchnące w upalny dzień ciała poległych Sowieców wyglądały niczym egipskie mumie, na których rozsiadły się muchy.

Korzystaliśmy teraz z polnych skrótów, toteż zdążyłem zapomnieć, jak wygląda utwardzona droga, a spod kół automobilu nieustannie wzbijały się obłoki pyłu. Byłem wdzięczny mojemu opiekunowi, że w Garwolinie pamiętał o uzupełnieniu zapasów wody. Dziwiłem się natomiast, że w żadnych przewodnikach po Polsce nie ma mowy o „krajobrazie pustynnym”, zewsząd bowiem otaczał nas piach. Tylko na horyzoncie majaczył zarys pojedynczych akacji, nie zdziwiłbym się jednak, gdyby okazały się one fatamorganą. Wydawało mi się w tamtej chwili, że jeśli wiadro piasku miałoby zbliżoną wartość do baryłki ropy naftowej, Polska stałaby się najbogatszym państwem świata.

Przywołałem w pamięci fragmenty z Księgi Wyjścia. W aucie panowała cisza, pan Wierzyński skupił się na wymijaniu potężnych kolein i co większych kamieni, które mogłyby uszkodzić podwozie, pograżyłem się więc w myślach o Izraelitach i ich czterdziestoletniej tułaczce do ziemi obiecanej. Mimo to, kiedy ujrzałem przez przednią szybę ognisty słup,

byłem pewien, że to trudy dnia oraz niemiłosierny żar z nieba dały o sobie znać. Zażądałem, byśmy natychmiast zatrzymali się w jakimkolwiek cieniu i odpoczęli, mój poczciwy towarzysz zapewnił mnie jednak wówczas, że również widzi to zjawisko. Choć po prawdzie bardziej niż ognisty słup przypomina mu ono chmarę kurzu. Pan Wierzyński spojrział na mnie życzliwie i nieznacznie docisnął pedał gazu.

Dopiero z bliska tajemniczy obiekt nabrał kształtów i okazał się ludzką gaśienicą, a dokładniej rzecz biorąc, gromadą sowieckich jeńców. Wyglądali strasznie, bez opatrunków, większość z nich rany miała jeszcze niezajodnowane. Ucierpieli od kul, kłuc bagnetem. Ktoś miał na wpół zakrwawioną głowę, inny szedł bez ręki. Jeden bolszewik, który zachował resztkę sił, podpierał kuśtykającego kolegę. Co osobliwe, gromadę pokiereszowanych krasnoarmiejców prowadzili nie żołnierze, lecz dwaj najzwyczajni polscy chłopcy. „Toż to wcielenie chochołów” – wymknęło się z ust mojemu zacnemu przewodnikowi.

Nasze auto zahamowało, niespodziewane spotkanie na środku tego mazowieckiego piaszczystego ugoru wzbudziło obustronne zainteresowanie. Prawdę mówiąc, jeden ze strażników sowieckiego eszelonu mnie do złudzenia przypominał polskiego premiera, pana Wincentego Witosa. Okazało się zaraz, że pan Wierzyński jest nie tylko obytym w świecie oficjelem, doświadczonym wiarusem, znakomitym, jak mniemam, poetą, lecz także i sprawnym tłumaczem. Tłumaczem, dodajmy, z języka polskiego na polski!

Z największym skupieniem wpatrywałem się w ruch spierzchniętych warg, próbowałem wyłowić choćby jeden dźwięk, który zabrzmiałby w moich uszach znajomo. Wszystko na próżno! Z mowy napotkanego na naszej drodze sobowtóra Wincentego Witosa nie byłem w stanie zrozumieć ani słowa. Jego język zdawał mi się bełkotem człowieka, który napchał sobie w usta błota.

Z pomocą pana Wierzyńskiego spytałem, co teraz będzie z tymi ludźmi. Usłyszałem, że trafią do więzienia w Dąbiu. Mężczyzna w umorusanej, niedbale zarzuconej na ramiona marynarce po każdym wypowiedzianym

zdaniu podkręcał sobie wąs i z wyraźną rozkoszą zaciągał się papierosem. Spaloną przez słońce, wyniszczoną trudami życia codziennego twarz pokrywały liczne zmarszczki, które postarzały naszego rozmówcę jeszcze o co najmniej kilka lat.

Zapytał, czy jestem sanitariuszem. Pan Wierzyński od razu sprostował.

– Dziennikarzem... Z Ameryki...? – zafrasował się nasz Witos. Jakby dopiero teraz wszystko do niego dotarło, a Ameryka skojarzyła mu się z jakimś odległym, dwudziestowiecznym Eldorado. Po chwili z ust mężczyzny znów wydobył się niezrozumiały gulgot, brzmiący niczym mowa barbarzyńców. Mój przewodnik wszystko, o dziwo, zrozumiał, po raz kolejny bowiem uśmiechnął się pod nosem:

– *Dear sir*, będzie miał pan mniej pracy. Nasz nowy znajomy wymyślił już tytuł artykułu. Prosi, aby rozpoczął pan od słów: „Porzućcie wszelką nadzieję!”.

Pełne zapiski wspomnień Dana Liglera z pobytu w Polsce nigdy nie ukazały się na łamach „Chicago Tribune”. Tekst opublikowano dopiero w 1957 roku w antologii Pism zebranych amerykańskiego dziennikarza i korespondenta. Na język polski relację przetłumaczył Franciszek Wojtczuk, Ligler przekład autoryzował. Treść wspomnień udostępnia się polskiemu czytelnikowi po raz pierwszy.

JAN KOSKA

WSZYSCY JESTEŚMY NA WOJNIE

*Opowiadanie wyróżnione nagrodą specjalną Dyrektora
Biura Programu „Niepodległa”*

Wojtek, 14 lat. Wrzesień 1983, Płock.

Pust' wsiegda budiet sonce, pust' wsiegda budu ja.

Końcowe *ja* zadźwięczało mocnym akordem, odbiło się jak szklana kulka po podłodze.

Bukwa zamknęła oczy. Zadowolona jak kot, który dostał śmietankę.

Przypomniała mi babkę, kiedy próbuje swojej wódki krówkowej.

– No co jak co, ale takiej wódki to nikt nie robi – stwierdzała babka zawsze triumfalnie i oblizywała brzeg kieliszka. A potem długim, wąskim językiem prędko wybierała resztki z dna.

Bukwa szybko i dziwnie mrugała. Jakby chciała zapłakać albo odwrotnie, nie chciała się ośmieszyć płaczem. Podejrzewałem raczej to pierwsze. Zauważyłem, że odstawia czasem takie pokazówki, szczególnie jak przychodził ktoś z kuratorium.

– Kalemba, co robisz pod ławką? – spytała nagle. Suchy, nagły wystrzał, jeszcze nie seria. Seria zawsze była ciut później. – Kalemba, tak, ty. Do ciebie mówię, pobudka, druga lekcja. – Bukwa mówiła monotonnie, jakby

bez sił, na jednej nucie. Nie była nerwowa, wręcz znużona nawet. – Połóż to na moim biurku. – Ton głosu zmienił się niebezpiecznie.

– Ale co? – Kalemba jak zwykle przeciągał strunę.

– Słyszę, że czymś szeleścisz. Ręce przed siebie! – huknęła Bukwa.

Piotrek wywalił przed siebie na ławkę dwie łapy, wielkie jak grabie. W jednej z nich miał zatłuszczony pakunek.

– Połóż kanapkę na moim biurku – westchnęła nauczycielka. – Odbierzesz po lekcjach.

– Ale po lekcjach będę głodny. – Kalemba przeciągał dalej.

Cała klasa czekała w napięciu. Ogólnie na ruskim było nudno.

– To i w sam raz się, synku, najesz – skwitowała Bukwa i wyraźnie wyczerpała temat.

Znowu zamknęła oczy. Na powiekach miała perłowy cień. Był srebrny i dlatego wyglądała jak niestarannie oskrobana ryba.

– *Pust' wsiegda* – zaintonowała.

Klasa za nią. Nagle przerwała.

– Nowacki, czemu nie śpiewasz?

– Śpiewam – wyjąkałem.

– Nie słyszę. Coś tam męczysz pod nosem. – Podeszła bliżej i nachyliła się nade mną.

Śmierdziało jej z ust. Odsunąłem się, ona też.

– Pod tablicę i śpiewasz sam – zaordynowała.

Po klasie rozszedł się chichot.

– No, śpiewaj.

Wyszło ze mnie coś, co mogłaby wydać z siebie równie dobrze świnia albo foka.

– To mutacja – wyszeptałem.

– Mutacja, mówisz – drwiła wyraźnie. – No popatrz, co za odkrycie! – Bukwa napawała się chwilą.

– Wójtowicz podejdź i śpiewaj! – Zdecydowała, że będzie po dobremu.

Wójtowicz podeszła i zaśpiewała. Głos miała nie zanadto dziewczęcy, lekko męski nawet. Ale taki, że ciary chodziły po plecach.

– No i tak należy śpiewać – stwierdziła zadowolona Bukwa i wyciągnęła rękę w naszą stronę, jakby w ten sposób chciała podać nam tę oczywistą prawdę.

Odwróciła się do tablicy. Gdzieś z tyłu ktoś głośno beknął. Plecy Bukwy znieruchomiały. Ale nie była to postawa w typie „znieruchomiła kobra, która czeka na ruch ofiary”. Raczej zwiesiły się bezradnie i oklapły. Zrobiło mi się jej żal. Westchnęła i najwidoczniej postanowiła jakoś to obejść.

– Jeżeli na lekcji zdarza się coś takiego, należy przeprosić. Przeprosić – powtórzyła z naciskiem.

– Przepraszam – wymamrotał Kozłowski.

– Będziesz stała na apelu w pierwszym rzędzie – zwróciła się do Wójtowicz Bukwa.

– A ty, Nowacki, będziesz otwierał usta i niech cię ręka boska broni wydać z siebie jakiś dźwięk.

Ktoś parsknął. Nie widziałem kto, bo byłem odwrócony do Bukwy. Ale ona widziała.

– Sowiecka, wstawaj! – rzuciła krótko.

Drugoroczna Regina podniosła się z krzesła. Miała co podnosić. Wylewała się poza siedzenie. Jak ona wytrzymała, siedząc tak tylko połową? I to środkową?

– Poznać głupiego po śmiechu jego – wycodziła Tania.

A potem sama się zaśmiała. To i my się zaśmialiśmy. Jakoś czuliśmy, że można, a nawet trzeba.

I to tyle, bo rozległ się dzwonek. A po przerwie była już histra.

Maria, 13 lat. Sierpień 1920, Płock

Poszłam dziś z ojcem i bratem nad rzekę. Wzięliśmy z piekarni worki po mące. Piekarz Lubocki piekł na okrągło. Dzień i noc. Gorąco było, a on stale piekł. Powiedział, że wypiecze cały zapas mąki. Wszystko miało iść na obłężenie. Nie wiadomo przecież, ile potrwa. Jak długo będziemy musieli się bronić. Ale obronimy się. Obronimy się na pewno.

Wszyscy to powtarzali. Głos drżał tylko za pierwszym razem. Ale za chwilę ktoś drugi, trzeci, czwarty dorzucał, że ależ przecież, że tak. Nie inaczej. I tak wszyscy się uspokajali.

Sypałam piasek do worków i związywałam sznurkiem szpagatowym. Tata i Józek nosili je potem na wały obronne, ale też do miasta, na tworzone tam barykady. Lubiłam przesypywać między palcami suchy piasek wyprażony na słońcu. Myślałam o tym, że chciałabym kiedyś zobaczyć prawdziwą pustynię. Marzyłam też, aby pojechać nad morze, bo nigdy nie byłam.

Ojciec się denerwował.

– Marzycielka, zejdz na ziemię, samo się nie zrobi – powtarzał.

– Wiem, wiem – odpowiadałam na odczepnego.

Co on tam wie, kiedyś im wszystkim pokażę! Zawsze myślałam, że przeznaczone mi jest życie niezwykle i wielkie. Kiedyś dałam sobie powróżyc Cygance i tak mi właśnie przepowiedziała, że będę robić rzeczy, na które się niewielu odważy.

Wojtek, 14 lat. Wrzesień 1983, Płock

Historyk był czystym złem. Nazywaliśmy go między sobą Dziadkiem, dlatego że był już po sześćdziesiątce, ale ta ksywka była zbyt łagodna dla niego.

Taki mały sadystyczny pokurcz, czarniawy, z siwizną. Ze złą, skrzywioną twarzą. Krótkie nogi, prostowane na becze. Jeden z tych, podobnych do diabła na obrazkach z książki dla dzieci.

Nie wystarczyło mu, że upokorzył jakiegoś ucznia. Czasem, jak miał zły humor i dorwał kogoś na korytarzu, potrafił tak wykręcić rękę, że biedak zwijał się z bólu, aż klękał. Dziadek miał z tego wyraźną radochę. Unikaliśmy go jak ognia. W każdej klasie wybierał sobie ofiarę, kogoś, z kogo się i tak wszyscy nabijali. W naszej klasie trafiło na Reginę. To było łatwe – była gruba, brzydka i głupia. Miała problem, aby zapamiętać kilka dat. Dręczył ją więc, szydził ile wlezie. Na każdej niemal lekcji.

Teraz też.

– Sowiecka, powiedz, proszę, kiedy Polska odzyskała niepodległość. – Zawsze zaczynał tak niby normalnie, dopiero potem się rozkręcał.

Chwila triumfu w ciemnych oczach. Bo te oczy wychodziły zawsze na pierwszy plan. Wytrzeszczone, wypukłe, przewiercające. Szukające zaczepienia, wady, usterki, błędu czegokolwiek, czym mogły się nacieszyć. Jak my go nienawidziliśmy...

Regina nie odważyła się na niego spojrzeć.

– W tysiąc dziewięćset dwudziestym – wyszeptła.

– Brawo, goł, najważniejszej daty nie możesz zapamiętać. Barani łbie. Że też ziemia nosi takie paskudy, w dodatku tępe. – Widziałem, jak Dziadek karmił się każdym słowem, sycił, rozkoszował. – Niewydarzony tuman. No i uroda świni. Po mamusi sprzątacze – dodał.

Po twarzy Reginy przepłynęła cicha łza. Potem druga, trzecia. Łzy kapały jej na pulpit, a ona stała bezgłośnie, przerażająco smutna. Upokorzona. Tego było za wiele. Nawet my, którzy czepialiśmy się Reginy, wiedzieliśmy, że grubo przesadził. A mnie w środku coś drgnęło. Bo odczułem to upokorzenie Reginy jak swoje własne. Też chciałem płakać, krzyczeć. Rzucić się na Dziadka i zrobić coś nieodwołalnego. Wstałem w kompletnej ciszy. Komuś zaburczało w brzuchu, zabręczała mucha. Było tak cicho, że słyszałem jak sam przelykam ślinę. Dziadek skierował na mnie wzrok, jak lufa karabinu kieruje się na nowy cel. Pewnie myślał, że dostaje mu się następna gratka, druga ofiara na talerzu.

– Słucham. Masz coś do powiedzenia? – zapytał. – Ale przecież wszyscy wiemy, że nic nie umiesz. – Powiódł tymi oczyskami po klasie.

Trwała cisza jak makiem zasiał. Jak nigdy. Poczułem, że mam w tej ciszy sprzymierzeńca, że Dziadek traci rezon. Było widać po tym, jak przestępował z nogi na nogę, kurczowo ścisnął krede, aż sypał się biały pył z kruszonego w palcach kawałka. Nie bałem się. Czułem, jakbym znalazł się na jakiejś drodze i powinienem dojść do samego końca. To było oczywiste, jasne. Chrząknąłem, jakbym miał wygłosić nie wiadomo jakie przemówienie.

– Właściwie Regina miała rację – powiedziałem spokojnym tonem.

Taki byłem w tym momencie: spokojny, zrównoważony.

– Co? Co ty mówisz? Następny niedouczony. – Dziadek zachłysnął się własną śliną.

Czułem się chwilowo górą.

– Wprawdzie niepodległość odzyskaliśmy w tysiąc dziewięćset osiemnastym, ale potem była wojna bolszewicka i cały czas nie byliśmy pewni tej wolności. Sprawa niepodległości cały czas była krucha.

– Jaka wojna, mówisz? – zapytał historyk z wyraźnym triumfem w głosie.

– Bolszewicka. Może w podręczniku tego nie ma, ale pan jako historyk powinien wiedzieć. Przecież Płock dostał od marszałka Piłsudskiego...

– Dosyć! – przerwał mi Dziadek. – Jutro przyjdiesz z rodzicami do dyrektorki. Będziesz miał z tego nieliczne problemy. Nie tylko ty. Twój ojciec, matka. Cała rodzina. A teraz wpisuję ci dwóję. I tobie, Sowiecka, również. Ktoś jeszcze ma coś do powiedzenia? – Z rozmachem otworzył dziennik. Ręce mu drżały. – Dwa – potwierdził, patrząc mi prosto w oczy. – Możesz usiąść. Ty też, Sowiecka, siadaj, jeżeli nie masz nam nic innego mądrego do powiedzenia, bo nie masz.

Otwórzcie podręcznik.

Maria, 13 lat. Sierpień 1920, Płock

Tworzyliśmy wewnętrzne barykady w zaułkach, kwartałach ulic. W ten sposób podzielone, poszatowane miasto trudniej będzie zdobyć. A jak przyjdzie nasze wojsko, odpowiednio uzbrojone, to zakleszczymy bolszewików na otwartych ulicach, będą wtedy jak bezbronne kaczki wystawione na odstrzał.

My z pięciu sąsiednich kamienic mieliśmy zamknąć ślepy zaułek. Bolszewicy mieliby tylko jedną drogę przez okoliczne kamienice. Ale mężczyźni przywieźli deski z tartaku, zabijali nimi drzwi i okna. Zbijali z desek też takie krzyżaki. Prymitywne barykady, ale zawsze. Wszyscy zakładaliśmy, że za nimi staną wojskowe działa, ustawią się uzbrojeni żołnierze. Po prostu przyjdzie nasze wojsko i nas obroni. Czekaliśmy. Ale też na kozackie wojsko Gaj-Chana. Prawdę mówiąc, umieraliśmy ze strachu. Wyprzedzała ich zła sława okrutników, barbarzyńców. Morderców.

Kobiety znosiły do piwnic wodę w baniakach i łóżka dla dzieci. Dzieciaki nic sobie z niebezpieczeństwa nie robiły. Młodsze chłopaki strzelały do siebie z kijów od szczotek. Lubocki wyszedł przed piekarnię czerwony, umordowany. Krzyknął do nich, że jak się nudzą, niech pomogą chociaż nosić worki. Rozpierzchli się w trymiga. Zdążyli tylko wykrzyknąć:

Idą, idą Ruskie

Boże mój

Idą, idą Ruskie

Ty się bój

Idą, idą Ruskie

Będzie bój.

Lubocki machnął ręką zrezygnowany. W końcu to tylko rozbrykane dzieciaki. Przez szybę zobaczyłam, jak jego trzy córki uwijają się, wyrabiając z pracownikami ciasto. Te córki to była jego największa duma. Aniela, Mela i Wanda. Najmłodsza była tylko o rok ode mnie starsza. Zazdrościłam im urody. Wszystkie były drobne i jasnowłose, ja – ciemna, krzepka, wysoka jak chłopak.

„Szkoda, że nie pieką eklerek” – pomyślałam. Najbardziej lubiłam te z polewą krówkową.

Wojtek, 14 lat. Wrzesień 1983, Płock

Po lekcji Regina podeszła do mnie. Myślałem, że podziękuje czy coś.

Ale ona była wściekła.

– Głupek – rzuciła. – Nie prosiłam cię o pomoc.

Kalemba usłyszał, co powiedziała i nie wytrzymał, jak to on ze swoją niewyparzoną gębą.

– Kurde, Regina, ty naprawdę durna jesteś. Przecież on cię bronił i teraz ma kłopoty. Puknij się w łeb. – Wielkim paluchem postukał jej po czole.

– A ty zabierz te brudne łapy ode mnie! – Odsunęła się i wytarła demonstracyjnie czoło rękawem.

Kalemba nie odpuszczał.

– A ty co? Cała dzielnica śmieje się z ciebie, że chodzisz pod koszary i dajesz się macać żołnierzom przez płot. A tu nagle nie dotykaj – wypalił.

– Co ty opowiadasz, Kalemba?! – Odwróciła się zaskoczona.

– Co ty opowiadasz, co ty opowiadasz – drwił z niej na całego. – Wszyscy się śmieją, że się rozpląszczasz na tym płocie, no i wiesz... – zakończył z obleśnym uśmiechem.

Regina już nie mogła nic powiedzieć, bo łzy ciekły jej ciurkiem po twarzy. Odwróciła się i pobiegła w stronę damskiego wucetu.

– Naprawdę to robi? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Ona może nie, ale matka mówiła, że dziewczuchy z internatu uciekają i idą pod płot do żołnierzy.

– Po co jej to powiedziałeś?

– Niech głupia doceni, kto stoi po jej stronie, a kto nie.

– Ale to nieprawda – zaprotestowałem.

– Prawda nie prawda, a skąd ma te prywaciarskie ciuchy? Podobno nieźle im za to macanie przez płot płacą.

– Wiesz co, Kalemba, jesteś taki jak on, jak Dziadek – powiedziałem z goryczą, bo czułem, że nie chcę tak, nie potrafię.

Spojrzał na mnie zdziwiony, jakbym odkrył przed nim nie wiadomo jaki sekret. Ale już sam nie wiedziałem, czy to wszystko było tego warte. Jak ja to teraz powiem ojcu? Matki i babki się nie bałem. Tylko ojca. Trzymaj język za zębami, nie wychylaj się, a będzie dobrze. To były jego zasady.

Maria, 13 lat. Sierpień 1920, Płock

Miasto rozgrzewało się od strachu i sierpniowego upału. Szli na nas. Codziennie byli coraz bliżej. Było też coraz cieplej. Nieraz miałam aż mokrą szyję pod włosami. Brałam wtedy chłodnej wody na rękę i dotykałam szyi, czoła. Chłodziłam głowę od strasznych myśli. Ten strach przerabialiśmy na odwagę, choć bardziej na buńczuczność. Niech przyjdą. Pokażemy im – tak gadali w mieście.

Ale z jakimś niepokojem w głosie, bo wiedzieliśmy wszyscy, co tam się dzieje, tam gdzie już przeszli, gdzie byli. Powtarzali to sobie ludzie w sklepach, maglu, na placach, w domach ściszym głosem. Bo głośno mówili, że niech przyjdą. Pokażemy im. Dodawaliśmy sobie odwagi tym powtarzaniem. Jak magicznym zaklęciem.

Niektórzy uciekali w stronę Warszawy. Myśmy nie mieli dokąd. Dzisiaj Lubocki zobaczył mnie przez szybę i zawołał:

– Przyjdźcie tu do mnie na chwilę całą rodziną – powiedział.

Przyszliśmy. Byli też Łozińscy, Kosakowie, Strzeleccy, Szurmiejowie. Piekarz objął nas smutnym spojrzeniem.

– Sąsiedzi, to ja wam coś pokażę. Chodźcie.

Zaprowadził nas na zaplecze, tam gdzie stoi piec. Obok pieca stała ławka. Odsunął ją. Włożył nóż między deski podłogi. Podniósł się kawał

podłogi z desek, jakby właz.

– Tu jest wejście do piwnicy, w razie czego schowamy się tu i przeczekamy. Mówię to wam, moim najbliższym sąsiadom.

Pokiwaliśmy głowami, co było mówić. Nikt nic nie powiedział. Milcząco wyszliśmy z piekarni. Przed naszymi drzwiami matka powiedziała wesoło.

– To w ogóle nie będzie potrzebne. Zobaczycie. Damy Iwanom łupnia.

Wojtek, 14 lat. Wrzesień 1983, Płock

Ojciec za aferę na historii wyzywał się przede wszystkim na babce.

– Po co mama opowiada mu te wszystkie rzeczy?! – krzyczał. – Po co nabija mu głowę tymi starymi historiami? To wszystko przeszło, minęło, niech mama się wreszcie z tym pogodzi, tego już, do cholery, dawno nie ma! Trzeba żyć, najlepiej jak można. Najwygodniej. Nawet lepiej niż inni. Co mama chce osiągnąć? Czego mama chce dla niego? – Tu wskazał na mnie. – Żeby tak samo żył przeszłością? – Ojciec ciągnął litanie wyjątkowo długo, bo zazwyczaj nie miał aż tyle do powiedzenia.

Też lubił takie teatralne pozy jak Bukwa, też łapał się za głowę, wyciągał ręce w jakimś dziwnym geście. Podpatrzył u Holoubka?

– Mogłaby się matka już przed śmiercią jakoś z życiem pogodzić, spokornieć, a nie taka wiecznie skwaszona – wyrzucił z siebie na koniec.

Babka wysłuchiwała cierpliwie, w milczeniu. Ani się nie skrzywiła. Twarz pokerowa jak w westernie.

– To jest tak, jak orzeł powije wróbla, albo jakoś tak to się mówi, w każdym razie nie udałeś mi się, synku, oj nie – tylko tyle powiedziała.

Maria, 13 lat. Sierpień 1920, Płock

Ktoś wpadł z wieścią, że Kozacy wjechali do miasta. Podobno całą chmarą. Nie doczekaliśmy się nikogo do obrony. Bo jako pierwsi, przed naszymi żołnierzami zjawili się Kozacy na koniach.

Rzucaliśmy w nich kamieniami. Tymi, które wcześniej nanosiliśmy z nad rzeki. Była też kostka brukowa przywieziona wcześniej z zakładu Blachnickiego. Potem rzucaliśmy wszystkim, co było pod ręką. Ktoś przyniósł sztucce. Noże kuchenne do chleba, do mięsa. Nigdy w życiu nie myśleliśmy, że posłużą do zabicia człowieka. Gdyby łatwo dało się zerwać bruk, też byśmy go rwali gołymi rękami, jakkolwiek. Było mieć czym się bronić. Dobrze mi w tym szło. Zawsze miałam celną. Nasza obrona była jednak jak te barykady, licha i niewiele warta.

To była gorączkowa, nierówna walka. Rozwścieczyliśmy ich tylko jak osy.

Wojtek, 14 lat. Wrzesień 1983, Płock

Wiem, jak się czuje ktoś między młotem a kowadłem. Miałem tak przez całe dzieciństwo. Między babką a ojcem ciągle trwała wojna. Zawsze trzymała moją stronę. Im bardziej dawała mi to odczuć, tym gorzej traktował mnie ojciec. Nigdy jednak nie sprzeciwił się babce. Nie znam zresztą nikogo, kto by się jej sprzeciwił. Nie znam też nikogo, kto by specjalnie za babką przepadał. Przez jej niewyparzony język. Kiedy mieli ją odznaczyć za powstanie, powiedziała tylko: niech mi zamiast tego dadzą deputat mleka słodzonego, ale ma być zagęszczone, bardzo trudno je dostać. Babka robiła z tego swoją słynną wódkę krówkową. A spirytus do niej zdobywała dla niej moja matka, następna ulubienica babki. Nic dziwnego, że ojciec nie mógł tego zdzierżyć. W gruncie rzeczy nawet go rozumiałem.

Maria, 13 lat. Sierpień 1920, Płock

Trzy piekarzówny leżały na ziemi, a na nich poruszali się Kozacy. Jeden po drugim. Zmieniali się. Jeden po drugim, jeden po drugim... Trwało to w nieskończoność. Jak jeden wstał, zaraz był przy każdej następny i następny.

Krzyczały, ale żołnierze nie zwracali na to uwagi. Najpierw głośno się darły. Walczyły. Potem już tylko kwiliły, pojękiwały. Jak małe dzieci. Żałośnie, bezbrinnie. Cicho. I to było najgorsze. Nie dało się tego słuchać.

Piekarz próbował bronić córek. Prosił, błagał.

Ale dostał strzał w głowę. Ich matkę zabili wcześniej, jak zaczęła szarpać za mundury. Chciała odciągnąć ich od najmłodszej córki.

Kozacy biegali od mieszkania do mieszkania, wynosząc ubrania, sztuce, naczynia. Nawet kołdry i poduszki. Jakaś kołdra się rozdarła i pierze wyleciało na ulicę. Cięli wszystkie. Domyśliłam się, że szukali czegoś, co może zostało tam ukryte.

Jeden z nich założył na siebie damskie futro, drugi miał przełożony przez ramię cały stos sukienek. Pewnie zgarnął z szafy jak leci. Zobaczyłam na ulicy mój błękitny kapelusz. Miał brudną, pogiętą wstążkę. Widocznie ktoś na niego nadepnął. Próbowałam skupić na nim uwagę. Był trochę za duży na mnie, ale odrobinę. Przypomniałam sobie, jak go kupowałam z matką.

A teraz leżała obok mnie rozcięta szablą od gardła aż po sam brzuch. Moja matka. Jeden z nich kopnął jej ciało, odwróciła się bokiem. Jak szmaciana lalka. Wypadły z niej jelita. Nie wiedziałam, że człowiek ma w sobie tego tak dużo. Wyglądały jak wielkie czerwone robale. Nie mogłam oderwać od nich oczu. Nie mogłam patrzeć na twarz matki. Ale spojrzełam. Była przerażona nawet po śmierci. Z otwartymi szeroko oczami. Miała wybite zęby. Wyglądała przez to jak staruszka.

Cieszyłam się, że zabili ją na samym początku, bo tamta matka trzech córek jeszcze na to wszystko patrzyła.

Kozacy śpiewali teraz jakąś piosenkę. Podawali sobie butelkę, pili z niej. Dobijali leżących. Modliłam się w duchu, żeby mnie nie zabili. Zacisnęłam

powieki. Może pomyślała że nie żyję. Myślałam tylko o jednym, że przecież ta Cyganka mi przepowiedziała życie wielkie i niezwykle... Że to, co teraz, to przeżyję, muszę przeżyć, mimo że nie chce mi się wcale żyć. Bo to przecież nie koniec.

Na sąsiedniej ulicy słyszeć było strzelaninę. Krzyczeli po rosyjsku. Chyba wołali swoich. Pobiegli w tamtym kierunku. Ale wiedziałam, że wrócą. Podniosłam się z trudem.

Tata miał rozcięty brzuch. Jak mama, ale jemu nie wypadły jelita. Na pewno nie żył. Miał takie szklane oczy jak inni. Do tej pory widziałam je tylko u naszego psa, kiedy zdechł. Takie spojrzenie, które trafia w nicłość, w próżnię, w nigdzie. Józek dostał strzał w głowę. Z całej rodziny przeżyłam tylko ja.

Z sióstr podniosły się tylko dwie. Trzecia, ta najmłodsza, Wanda, miała między nogami wystającą szablę. Widać było rękojeść. Włożyli w nią szablę jak w szaszłyk. Ciągle jeszcze uciekała z niej krew. Aniela dotknęła jej ręki. Badała puls. Popatrzyła na drugą siostrę i pokręciła głową. Mela pomogła mi wstać. Otoczyła mnie ramieniem. Słaniając się, szliśmy w stronę piekarni. Jak żywe trupy. Przytuliła mnie mocno.

– Cicho, cicho, cicho – powtarzała jak małemu dziecku. Raz za razem.

A przecież byłam cicho. Naprawdę byłam cicho.

Doszliśmy do wjazdu, otworzyliśmy i weszliśmy do środka. Tylko my trzy przeżyliśmy. Tylko my. Aniela zaryglowała wejście. Potrójnie. Wzięła deskę i podparła wjazd, tak jak pokazał jej ojciec. Nad nami szurały ciężkie buty. Ktoś przebiegał. Potem ucichło na dłuższy czas. Siedziałyśmy w zupełnym milczeniu. Nie mówiłyśmy do siebie nic. Ani jednym słowem nie odezwałyśmy się do siebie. Czas mijał. Załatwiałyśmy się w rogu. Tylko pierwszy raz było wstyd. Śmierdziało. Przywykłyśmy. Była woda, ale nie chciało nam się myć. Tylko piłyśmy. Ciemność była nam na rękę.

Był chleb. Dużo chleba. Ładnie ułożony w drewnianych skrzynkach. Przełożony papierem, przesypany mąką. Ale nie chciało nam się jeść. Myślałam o tym, co będzie, jak wysadzą ten budynek. Tak mogło być. Albo spała. Zginiemy wtedy w tej piwnicy, jakby nas pochowano żywcem.

Znajdą takie szkielety w kuckach. Ciekawe, czy można taki szkielet potem jakoś rozprostować, gdyby chcieli nas później pochować, tak jak się należy. W trumnach.

Dlatego modliłam się w nieskończoność, bo miałam nadzieję, że modlitwa jakoś rozgoni to, co miałam w głowie, wymaże. Ale tak się nie działo. Spróbowałam czegoś innego. Wyobrażałam sobie ich, tych, którzy nam to zrobili, to diabelskie nasienie z rozprutymi brzuchami jak u mojej matki, z tymi kiszkami tak bezwstydnie wyłożonymi na widok ludzki. Wyobrażałam sobie ich przebitych wzdłuż i wszerz szablami, jak ta najmłodsza piekarniowa.

Dźgałam ich szablami w głowę, serce, brzuch, po kilka razy, po wiele razy. Tryskała krew w mojej głowie. Wyglądała jak sok. Kręciłam ten film. Przekładałam klatki filmowe, wprowadzałam bohaterów i zabijałam ich. Wszystko mogłam. Mieszała się we mnie wściekłość z podziwem nad samą sobą. Wykipiało to wszystko, wyrosło. A ja poczułam małą, maleńką ulgę. Myśli znalazły odpływ. I obiecałam sobie już nigdy żadnych modlitw. Trzeba mieć swoje sposoby. Złość. Gniew. Bo to mnie uratowało. Usztyniło. Bo gdybym tak zaczęła wtedy płakać, to wypłakałabym się cała, do cna, i wiem, że nic by ze mnie nie zostało. Nie wiem, o czym myślały one. Ale pierwsza nie wytrzymała Aniela. Wylała sobie na rękę wody i podmyła się. Uważnie umyła też uda, nogi. Wiele razy.

– A teraz wy – powiedziała.

Zrobiłyśmy to samo.

– Musimy wyjść – dodała.

Ale nie wychodziłyśmy. Od czasu do czasu któraś z nas pytała: A może wyjdziemy? Jakbyśmy się umówiły, że tak co jakiś czas trzeba zapytać, po czym z ulgą kwitowałyśmy, że nie, lepiej nie. Na górze było cicho. Ale wyszłyśmy. To ja odsunęłam deskę. Mela mi pomogła. Aniela odryglowała. Nigdy nie zapomnę tego, jak się wtedy bałam.

Był dzień. Piękny, letni dzień. Gdy wyszłyśmy, młodzi chłopcy układali na prowizorycznych noszach trupy. Przykrywali starannie każdego białym prześcieradłem. Nie wiem, skąd tyle ich mieli.

To, co się potem działo, rozmyło się w niepamięci. Odnalazła mnie ciotka, siostra taty. Tej nocy straciła męża i dwóch synów. Pojechałyśmy do Warszawy i zaczęłyśmy tam nowe życie. Po powstaniu wróciłam tu. Te wszystkie lata poza tym miastem to była iluzja ucieczki. Nie można uciec od miejsca, które tak związało mnie ze sobą. W którym pochowałam swoje życie i radość.

Wojtek, 14 lat. Wrzesień 1983, Płock

– Jak, mówisz, ma na nazwisko ten nauczyciel? – zapytała babka, zapinając guziczki przy mankietach swojej odświętnej bluzki.

– Lubocki – mruknąłem. Samo brzmienie tego nazwiska mnie brzydziło.

– Powtórz. – Spojrzała na mnie nagle zaskoczona.

– Babcia powinna aparat nosić, no mówię: Lubocki – odpowiedziałem, ale czułem, że z tym aparatem to cienki sarkazm, babka miała przecież świetny słuch.

Pobladła, dziwnie poruszona.

– Dobrze, babciu, się czujesz? – zaniepokoiłem się.

– A imię jego? – zapytała.

– Henryk – odpowiedziałem coraz bardziej zdziwiony.

– Henryk, Henryk – szeptała babka.

– Babciu, wszystko dobrze? – przestraszyłem się.

– Nie, tak. I tak, i nie. Sama nie wiem. – Nagle wróciła jej dawna energia.

– Gdzie on mieszka?

– Lubocki? Skąd mam wiedzieć!

– Przynoś książkę telefoniczną, ale już – zażądała.

– Babcia chyba nie zamierza go odwiedzić? – przestraszyłem się.

– Zamierzam – potwierdziła krótko.

– Nie.

– Ja się ciebie o nic nie pytam. Przynoś książkę.

– Nie ma. Ojciec zalał herbatą i matka wywaliła.

– No jak zwykle, fajtłapa, skocz do sąsiadów.

Nie było wyjścia. Mogłem powiedzieć, że nie mają albo że nie ma sąsiadów w domu, ale babka by i tak sprawdziła.

– Masz? – zapytała niecierpliwie i niemal wyrwała mi ją z ręki. – Lubański, Lubnicki, Lubknauer, jest: Lubocki – ucieszyła się. – Matko święta, więc to tak, to musi być syn – szeptała.

– Babcia go zna? – zapytałem niepewnie.

– A ile on ma lat?

– Tak dokładnie nie wiem, ale dobrze z sześćdziesiąt.

Babka pobladła, przysiadła na poręczu fotela i powtórzyła kilka razy:

– A więc to tak, mój Boże...

– Babciu, ale co jak, nie rozumiem, powiedz, znasz go? Tę rodzinę? – pytałem.

– A więc to tak – powtarzała cicho.

Maria, lat 76. Wrzesień 1983, Płock

Jestem coraz bliżej, jeszcze tylko kilkadziesiąt kroków. Jeszcze kilkanaście. Z każdym krokiem coraz mocniej, coraz wyraźniej to widzę, czuję. Pamięć płata figle, czasem zamyka drzwi na klucz, nieodwołalnie, czasem tylko stawia zasłonę. A czasem stawia człowieka na wprost wobec wszystkiego, co przeżył, co schował w głowie, w najgłębszych zakamarkach. I teraz dostaje to wszystko, to, co niechciane, nachalne, żywe. Boże, jak bardzo żywe. Po powrocie do Płocka starałam się omijać to miejsce, nie chodzić tu, nie przypominać sobie.

Ile razy tu byłam, w tym moim zaułku, choćby w pobliżu, najrzadziej jak się dało, zaraz zalewały mnie wspomnienia. Nie mogłam tego wytrzymać,

czasem zdawało mi się, że pęknę od tego, i wówczas byłam jak oni. W głowie, w myślach robiłam im to, co oni nam wtedy.

W powstaniu, w Warszawie odegrałam się. Nie było mowy o tym, żeby brać ich żywych. Brakowało nawet dla nas, powstańców, wszystkiego. I to ja byłam jako pierwsza gotowa, aby ich zabijać. Najpierw nacinałam im gardła, ale było wtedy za dużo krwi. Krwawili jak prosiaki. A my przecież ściągaliśmy z nich mundury, buty. Wszystko się przydawało. Wszystko było potrzebne. Potem robiłam to taką stalową linką. Dwóch chłopaków ich przytrzymywało, czasem trzech. Każdy wierzgał, opierał się. Nasze chłopaki odwracały oczy. A ja nie mogłam. Nie chciałam. Podchodziłam spokojnie. Jak do pacjenta. W końcu byłam pielęgniarką. Patrzyli na mnie zdziwieni. Nie pasowałam im do tego, co robiłam, ano nie. Przysięgałam ratować ludzi. Ludzi, a to było diabelskie nasienie. Ni mniej, ni więcej. Patrzyłam na ich przerażenie i myślałam o mamie, tacie, Józku, o tym naszym zaułku. O wszystkim, co mi zabrali. Dawałam im to, co oni nam. I odbierałam im to, co oni nam odbierali.

Wojtek, 14 lat. Wrzesień 1983, Płock

Babka wróciła po czterech godzinach. Zjadły mnie już niemal nerwy.

Pierwsze, co zrobiła po wejściu do mieszkania, to podeszła do kredensu i wyciągnęła swoją karafkę z wódką krówkową, pomyślała chwilę i zamiast małego kieliszka wzięła dużą koniakówkę. Nalała sobie po sam brzeg.

– No, co ja ci powiem, synku – zaczęła, jakby chodziło o jakieś głupstwo.
– Żadnej sprawy nie było i nie ma. Jakiś film opowiadałeś, a nauczyciel się zdenerwował. Póki co nic nie opowiadaj, słuchaj w tym ojca. – Babka mrugnęła do mnie, ale smutno. Nie jak zawsze, po szelmowsku, podnosząc przy tym palec do góry, jakby ostrzegała: tylko uważaj. Już nie musiała. – Niektórzy ludzie są jak szczury – westchnęła. – Atakują, jak się czegoś boją. Zapamiętaj.

– To on się czegoś boi? – zapytałem zdezorientowany.

– Tak, synku, on się boi, ja się boję, wszyscy się boją. Wszyscy, cholera, się boją. – Pierwszy raz widziałem, jak babka płacze.

Byłem cicho, słuchałem, nie wiedziałem, co mam powiedzieć.

– I ciągle jesteśmy na tej wojnie. – Babka pociągnęła wielki łyk z kieliszka. – Wszyscy. Nawet ci, co nie byli. – Łzy leciały jej po poranej zmarszczkami twarzy, po tej twarzy, gdzie już prawie nie było widać ust ani oczu, tylko nos, ostry, sterczący. Leciały do wódki krówkowej, rozcieńczając jej słodycz. – Co to za życie takie pieruńskie... Pamiętaj, wszystko pamiętaj. – Babka ożywiła się nagle.

– Pamiętam, babciu, wszystko, co mi mówisz, zapamiętam. I to, że mam nienawidzić Ruskich – przyznałem dla świętego spokoju, było mi jakoś niewygodnie patrzeć na płaczącą babkę.

– Niemców też – dodała.

– Tych też – przytaknąłem.

– Jestem taka zła, taka wściekła, że nie mogę spokojnie umrzeć. – Babka rozplakała się jak Regina, wtedy w szkole.

Przytuliłem ją taką kruchą i małą.

– Nie umieraj, babciu.

Maria, lat 76. Wrzesień 1983, Płock

Wiedziała, że to go denerwuje, może nawet brzydzi. To moje wylizywanie kieliszka. Bawiło mnie to. Widziałam, jak ze sobą walczy, jak się w sobie zbiera. Jak robią się mu te złośliwe ogniki w oczach. Taki już był ten mój syn, od dziecka. Czekałam, aż mnie upokorzy, dotknie. Należało mi się, a jednak nie potrafiłam inaczej. W końcu zebrał się na odwagę.

– Mama kłamała, że wtedy, w tym zaułku ci Kozacy kazali jej tylko patrzeć?

– Tak, synku, kłamałam.

PRZYPISY

NIEUSTRASZONA

[1] Fragment pieśni *Rozkwitały pąki białych róż*, słowa: Jan Lankau, Kazimierz Mieczysław Wroczyński; muzyka: Mieczysław Kozar-Słobódzki; ze śpiewnika *Biegiem – słowem – śpiewem – do patriotyzmu!* wydanego na zlecenie KKS Jura Moto Sport Sp. z o.o. 2013 r.

[2] Fragment utworu *** (Gdybym spotkał ciebie...) Bolesława Leśmiana z tomu *Jestem twoją rozkoszą*, wydawnictwo Sternik 1995.

[3] Z języka ukraińskiego: A co my tutaj mamy?

[4] Z ukraińskiego: Chodź no tutaj, gołąbeczko! Zaraz się zabawimy!

[5] Z ukraińskiego: Brać ją!

SIEDEM DNI IWANA FROŁOWA

[1] *Tierpi kazak, atamanom budiesz* – przysłowie rosyjskie.

[2] *Dwa niedwiedza w odnoy berłogie nie żywut* – ludowe przysłowie rosyjskie.

[3] *Pogoniszsja za dwumja zajcami, ni odnogo ne pojmajesz* – przysłowie rosyjskie.

SPRAWIEDLIWOŚĆ PO PRASKU

[1] Ropucha – potoczne określenie tramwaju konnego, który swoim kształtem nawiązywał do tego płaza.

[2] Dom Ksawerego Konopackiego, jednego z założycieli Nowej Pragi, ze względów okazałości i stylu budowli potoczne nazywany „pałacikiem”.

[3] Michał Pilich, *Tajemnice Nowej Pragi. Stalowa 39*, Warszawa 2018.

TA OSTATNIA NIEDZIELA

[1] Wolność, śmierć, walka, zdrada, sprzeciw, ogień.

TRZY KOLORY KSIĘDZA

[1] Cytat za: Józef Makłowicz, *Ksiądz Ignacy Skorupka, obrońca Warszawy*, 1921.

[2] Tamże.

[3] Tamże.

[4] Fragmenty przemówienia Gomułki z 19 czerwca 1967 r. podczas obrad VI Kongresu Związków Zawodowych, dostępnego online <<https://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/628796,Wladyslaw-Gomulka-Nie-chcemy-by-w-naszym-kraju-powstala-piata-kolumna>>.

LIMBO

[1] Fragment wiersza *Hamlet* podany został w przekładzie Andrzeja Mandaliana.

Spis treści

Karta redakcyjna

Wstęp

Edyta Świątek, *Nieustraszona*

Krzysztof Bochus, *Siedem dni Iwana Frołowa*

Anna Bińkowska, *Mechanik*

Marcin Ciszewski, *Most*

Joanna Jax, *Na wschód od Mińska*

Sylwia Zientek, *Córka pułkownika*

Jacek Galiński, *Przeprawa*

Ewa A. Girowicz, *Słowografie, czyli (nie)zwykłe sceny z życia A.D. 1920*

Marcin Jędrysiak, *Werble werbunkowe*

Jacek Kalinowski, *Wanda*

Maciej Koncman, *Sprawiedliwość po prasku*

Bartosz Kozdęba, *Ta ostatnia niedziela*

Rina Krempeć, *Trzy miesiące na wojnę*

Bartosz Majorczyk, *Ubłocona wolność*

Marek Strzała, *Panie Babel*

Kamila Szmigiel, *Trzy kolory księdza*

Krzysztof Usakiewicz, *Limbo*

Jan Koska, *Wszyscy jesteśmy na wojnie*

Przypisy

Redaktor prowadzący
Rafał Bielski

Redakcja i korekta
Anna Mieczkowska

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie wykorzystane na okładce
©BLACKDAY/Shutterstock

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2021

© Copyright by Jan Edmund Kowalski, Edyta Świętek, Krzysztof Bochus, Anna Bińkowska, Marcin Ciszewski, Joanna Jax, Sylwia Zientek, Ewa A. Girowicz, Jacek Galiński, Marcin Jędrzyak, Jacek Kalinowski, Maciej Koncman, Bartosz Kozdęba, Rina Krempeć, Bartosz Majorczyk, Marek Strzała, Kamila Szmigiel, Krzysztof Usakiewicz, Jan Koska, Warszawa 2021

Konkurs „1920” dofinansowano ze środków
Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu
w ramach Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017–2022

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-66644-84-7



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.

ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81
redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)